

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



*Kaszubski werblista*  
Rzecz o Günterze Grassie



**Ryszard Ciemiński**

***Kaszubski werblista***  
Rzecz o Günterze Grassie



Tower Press  
Gdańsk 1999

© Copyright by Ryszard Ciemiński i Tower Press, Gdańsk 1999

Redakcja

Marta Bryłowska, Elżbieta Pękała

Korekta

Zespół

Projekt okładki, łamanie, opracowanie graficzne

Dariusz Szmidt

Na okładce wykorzystano zdjęcia

Pawła Żaka i Wojciecha Milewskiego

Zdjęcia

Małgorzata Bramorska-Fogiel, Wojciech Lendzion,

Karol Nowaliński, Leonard Szmaglik, Paweł Żak

W tekście wykorzystano fragmenty prozy G. Grassa w przekładzie

Sławomira Błauta i Ryszarda Ciemińskiego

ISBN 83-87342-17-3



Tower Press, Gdańsk 1999

# Część I

*I szukam ziemi Polaków*

*Mojej matce Marii z Trepczyków, babce Matyldzie  
oraz jej niezamężnej siostrze, którą w domu  
mego dzieciństwa i młodości nazywaliśmy  
Tante Hedwig, choć była mi babką cioteczną,  
a także Tante Mariesien, zgwałconej w roku 1945  
przez Sowietów, gdańszczankom ze Świętego  
Wojciecha, czterem dzielnym kobietom, którym  
niejedno zawdzięczam, książkę tę poświęcam.*

## Zamiast wstępu

Moment ukazania się książki Günтера Grassa *Aus dem Tagebuch einer Schnecke* — *Z dziennika ślimaka*, a było to w roku 1972, zbiega się w czasie z wymianą listów między nami. Pytałem autora „gdańskiej trylogii” o szczegóły jego kaszubskiego pochodzenia, gwoli zrekonstruowania lokalnych, pomorskich wątków rodzinnych. On w odpowiedzi na tyle konkretnej, iż umożliwiającej podążenie jego tutejszymi tropami, już pod koniec listu spytał mnie, czy aby nie jestem w posiadaniu planu mojego rodzinnego miasta, Kartuz, z lat 1939—1945. Sądzić by zatem należało, iż do kolejnej książki potrzebne są Grassowi szczegóły z topografii Kartuz w niemieckiej wersji językowej. Lecz wówczas ni takiej mapy, ni niemieckich nazw ulic i placów mojego miasta rozpoznać nie byłem w stanie. Bo też świadomość Grassa tych spraw, pisarza już wtedy światowego formatu i autorytetu, daleko od mojej, choć urodzonego i przez lat osiemnaście w Kartuzach wzrastającego, była większa.

Odpisałem zatem Grassowi z właściwą młodym ludziom nieznajomością rzeczy, iż plan mojego miasta z lat okupacji jest mi niedostępny i że raczej w niemieckich archiwach okupacyjnego planu mojego miasta poszukać by należało.

O całej sprawie poinformowałem też mieszkańca Kartuz, przedwojennego sekretarza Aleksandra Majkowskiego, pana Feliksa Marszałkowskiego, od lat,



jak się pokazało, zapamiętałego czytelnika książek Güntera Grassa. Choć i on zdobyć okupacyjnego planu Kartuz nie był w stanie, to jednak z zakamarków pamięci swojej i bliźnich wydobyl niejedną informację dotyczącą niegdysiejszych nazw kartuskich ulic. Już było wprawdzie o wiele za późno, ażeby pójść w sukurs pisarzowi, lecz w sam raz właściwa pora na to, ażeby oddać się tej sprawie po kaszubsku solennie. Posunął się zatem pan Marszałkowski, niegdyś za młodu jako redaktor „Zrzeszy Kaszëbskiej”, opisany na kartach książki *Ziemia gromadzi prochy* przez Józefa Kisielewskiego, w rekonstrukcyjnej robocie o krok dalej. Wygrzebał nazwy ulic z okresu międzywojnia. Na potrzeby przyszłego autora polskiego tłumaczenia *Blaszanego bębenka?* Pospołu odgrzebaliśmy co nieco nazw jeszcze pruskich, tych sprzed 1918 roku.

I tak mijały lata. Wieści o kolejnych książkach Güntera Grassa docierały skąpo. Niegdyś krakowskie „Życie Literackie” pomieściło fragment jego powieści *Z dziennika ślimaka*. Dużo w niej było zapachów Raduni i Motławy. Na tyle wiele, iż mogło zaistnieć przypuszczenie, że to fragment tej powieści, o której pisał w liście przesłanym w połowie 1971 roku. Czyżby to *Dziennik* właśnie był tą książką dziejącą się „w mieście pańskiego urodzenia”, jak pisał mi wówczas?

Znów minęło parę lat. Grass, niezwykle płodny w latach siedemdziesiątych, zasypywał rynek wydawniczy nowymi książkami, które oddalały tamtą niewielką książeczkę. A przecież dotarła do mych rąk. Odnalazłem w niej wówczas fragment dotyczący Kaszub i Kartuz. Fragment jakby mój, własny. Niepełny, jak wolno mi się dziś domyślać. Jakim byłby, gdybym prośbie pisarza uczynił zadość? Bardziej szczegółowy, pedantyczny? Z mnóstwem konkretnych odnośników do planu i topografii miasta? Uznałem, iż w tej sytuacji spróbuję spłacić zaciągnięty niegdyś u pisarza dług przekładem tego fragmentu. Choćby po to, aby to co kaszubskie na Kaszuby powróciło...

### *Z dziennika ślimaka* (fragment)

Zweifel nie miał żadnego celu, ale wystarczająco wiele strachu. (Kaszuby, za których centrum i stolicę uchodził Karthaus, dziś Kartuzy, będą przy odbywaniu wędrowki nazywane także Szwajcarią Kaszubską<sup>1</sup>). Strach jest niezawodnym towarzyszem podróży. (Lekko pagórkowate rozciągają się Kaszuby od Tczewa nad Wisłą<sup>2</sup> aż do Słupska na Pomorzu, od Zatoki Puckiej i Półwyspu Helskiego aż do powiatu kościerskiego<sup>3</sup>). Po drodze śmiać się będzie Zweifel z siebie samego, ze swego strachu. (W turystycznych prospektach jest napisane: Kaszuby są bogate w jeziora, w których znajdują się liczne raki<sup>4</sup>). Pomiędzy Żukowem a Dzierżążnem<sup>5</sup> przejechał Zweifel przez drobny deszcz, który jednakowoż żadnych przydrożnych ślimaków z ich kryjówek nie wywabił: było za wcześniej (Tobie, Raoulu<sup>6</sup>, ponieważ interesujesz się gałęziami drzewa genealogiczne-

go i nieuporządkowanymi stosunkami granicznymi, piszę objaśniająco: Kaszubi<sup>7</sup>, których po dziś dzień miało pozostać jeszcze trzysta tysięcy, są ludem starosłowiańskim, który mówi umierającą mową naszpikowaną niemieckimi i polskimi zapożyczeniami). Niebawem, na powrót suchy, zmiarkował Zweifel na krótko przed Kartuzami, że jechał na pękniętej tylnej oponie. (Moja rodzina jest od strony matki kaszubska, a zatem ty, Raoulu, jak i twoja siostra<sup>8</sup>, jak i twoi bracia<sup>9</sup>, jesteście w jednej czwartej Kaszubami). Aż do stolicy powiatu posunął Zweifel swoim rowerem. (Kartuzy leżą pomiędzy jeziorem Karczemnym od południowej strony oraz Klasztornym od północnej. Jezioro nazywa się tak, ponieważ Zakon Kartuzów w roku 1381 na życzenie pewnego znudzonego światem kaszubskiego księcia zbudował klasztor: kartuski Raj Maryi, miejsce kontemplacji). Zweifel znał Kartuzy. Kościół klasztorny z jego dachem w kształcie wieka trumny rzucał i rzuca swoje zwierciadlane odbicie na wody jeziora. (W 1818 roku został utworzony pruski powiat kartuski). Podczas gdy to powiatowe miasteczko pomiędzy obiema światowymi wojnami na nowo zwało się Kartuzy, przewędrował Zweifel Kaszuby wraz z uczniami gimnazjum imienia następcy tronu, Wilhelma, później zaś z uczniami żydowskiej szkoły średniej. (W Kartuzach mieścił się przyklastorzny browar, młyn parowy, mleczarnia i cztery tartaki, które Zweifel z daleka przy wietrze zachodnim miał jeszcze usłyszeć). Podczas jego ostatniego wylotu wczesnym latem przed wybuchem wojny uczeń Zweifela, Fritz Gerson, znalazł w olszynie nad brzegiem Raduni większą liczbę dwuzębnych ślimaków. (To cię zainteresuje, Raoulu: dziś znajduje się w Kartuzach kaszubskie muzeum. Pojechać tam kiedyś<sup>10</sup> i poszperać w kronikach...).

Günter Grass

### Przypisy

<sup>1</sup> W oryginale: *Kaschubische oder Kassubische Schweiz*. Okazuje się, iż dla Grassa po dziś dzień, jak przez wiele lat i dla mnie samego, Kaszuby i Szwajcaria Kaszubska to pojęcia mogące występować zamiennie. Podczas gdy dziś jest mi to wiadome na pewno, iż jedynie środkowa część Kaszub, właśnie ta przykartuska, bywa tak właśnie nazywana. Po prostu dla Grassa jasne jest, iż to właśnie Kartuzy stanowią w stopniu największym o istocie Kaszub. Swoisty kartuzocentryzm, który pojmuję i jak najbardziej doceniam.

<sup>2</sup> Najwyraźniej upodobał sobie Grass to miasto. Już na pierwszych stronicach *Blaszanego bębenka* napisał o Tczewie jako o mieście wyznaczającym kres jego kaszubskiemu patrzaniu. Może działa tu niedydyjsze halo wzniezione wokół tego miasta przez międzywojenną propagandę, kiedy to doprawdy niewiele brakowało, aby właśnie Tczew pełnił funkcję największego (i jedynego) — w miejsce Gdyni — polskiego portu na Bałtyku. Raczej więc nie Tczew pełnił rolę wobec Kaszub graniczną. Położony, jak to dziś określamy, na Pomorzu Nadwiślańskim, od Kaszub jest oddzielony jeszcze skrawkiem Kociewia.

<sup>3</sup> Bez dwóch zdań. Bardziej od kościerskiego południowy powiat chojnicki oddaje Grass w pacht Kosznajdrom i Kosznajderii. Patrz: powieść Grassa *Psie lata*. W tej powieści wiele uwagi poświęca Grass (Tulla Pokriefke jest właśnie z Kosznajderii rodem) tym sprawom. Jednakowoż sytuował wówczas Grass tę dość odrębną grupę etniczną i wyznaniową na południe od Chojnic w okolicach wsi Ostrowite, co zresztą w pełni jest zgodne z prawdą historyczną. A zatem: Brusy, Wiele, same Chojnice zostały tu przez Grassa uznane za niekaszubskie. *Licentia artistica?*

<sup>4</sup> W oryginale: *Taschenkrebse* — raki kieszonkowe. A więc drobne, wolno mniemać, raczej gatunki.

<sup>5</sup> W tekście książki: *Zuckau i Seeresen*.

<sup>6</sup> Jeden z synów bliźniaków Güntera Grassa.

<sup>7</sup> W oryginale: *Die Kaschuben oder Kassuben*.

<sup>8</sup> Córka Grassa ma na imię Laura.

<sup>9</sup> Franciszek, brat bliźniaczy Raoula (nazwany tak dla uczczenia pamięci rozstrzelanego na Zaspie w r. 1939 Franciszka Krause, wuja autora *Blaszanego bębenka*). Najmłodszy syn Grassa ma na imię Bruno.

<sup>10</sup> A słowo ciałem się stało. Günter i Raoul Grassowie odwiedzili kartuskie muzeum przy okazji pobytu na Kaszubach, gdy kręcony był w roku 1978 film podług *Blaszanego bębenka*.

(1988)

## Saga rodu Krause

Temat z wywiadu. „Moja matka — mówił Günter Grass — była Kaszubką. Jeszcze dzisiaj wielu moich krewnych mieszka w okolicach Kartuz”. To poruszyło moją wyobraźnię. Jestem z tych stron, zwanych Szwajcarią Kaszubską, historycznie zaś po prostu Kaszubami czy, jak kto woli, Ziemią Kaszubską. Urodziłem się i całą swą młodość spędziłem w Kartuzach, mieście noszącym na sobie widomy znak i piętno kartuzów, zakonu wywodzącego się z doliny Chartreuse we Francji (ślady po zabudowie klasztornej, eremy braci zakonnych oraz kościół w kształcie trumny, będący architektonicznym wyobrażeniem dewizy zakonnej kartuzów *memento mori*, są w nim po dziś dzień widoczne), tu zaś czołowy — już wówczas — pisarz Europy powiada o sobie, że jest na wpół Kaszubą. Sam przecież miałem to kulturowe, narodowe pogranicze w domu mojego dzieciństwa, wypełnione rozmowami po niemiecku, „tak aby babka rozumiała”. Wychowywała mnie *Tante Hedwig*, babcina siostra, znająca ledwo parę słów po polsku i to tych jedynie, które ułatwiały prowadzenie handlu warzywami, owocami i rybami na rynkowym kartuskim straganie. Chowałem się nadto w aurze gdańskiego przedmieścia Święty Wojciech, gdzie mieszkali *Tante Grete*, *Tante Liessen*, *Onkel Karhl*, familia Timm. W klimacie wypraw tych dzielnych ludzi do gdańskiej hali targowej, na *Fischmarkt*, gdzie babka do spółki z niezamężną siostrą oferowały mieszczuchom na sprzedaż płody kaszubskich sadów i ogrodów, nadto ryby z kaszubskich jezior, jaja, masło i drób.

Nie było więc przypadku w tym, iż słowa pisarza trafić mogły na wcale podatny grunt. Liczył się też moment, w którym zostały wypowiedziane; zbliżał się właśnie akt podpisania układu państwowego Polska-RFN, rozstrzygającego sprawę polskich granic zachodnich. Co stało się możliwe wiele lat po wojnie dzięki dobrej woli obu stron, gdy Grass i jemu podobni ludzie poczeli w jego kraju decydować o tych sprawach.

Grass był już wszak wówczas autorem takich wypowiedzi:

Granica na Odrze i Nysie? Jestem zdania, iż tereny te należą się Polakom. Nie jestem jednak zwolennikiem argumentacji historycznej. Myślę, że nadszedł czas, by Niemcy zaczęli nowe życie w zgodzie z sąsiadami. Nie można bowiem nagle powracać do przeszłości i starych roszczeń.

Tak mówił w wywiadzie dla wrocławskiego miesięcznika „Odra”, który jako pierwszy po tej stronie granicznej rzeki zwrócił uwagę na osobę i twórczość autora *Blaszanego bębena*.

W dwa dni po tym wywiadzie, z delegacją służbową, wycyganioną całkiem *in blanco* od stołecznego tygodnika „Polityka”, byłem w Gdańsku, mieście — o czym wiedziałem — jego młodości. Zadanie miałem proste: na początek odszukać kaszubską rodzinę Grassa. Jak się jednak okazało, łatwiej się takiego zadania podjąć, aniżeli je wykonać. Bo temat, intuicja mówiła prawdę w tym względzie, był wielki. Na miejscu zaś ukryty był klucz do niego. Klucz do drzwi rzadko w przeszłości otwieranych, co miało swe źródło w potrzebie uładzenia szeregu spraw bardziej doczesnych, odbudowy miasta ze zniszczeń, zabliznienia ran, w potrzebie czasowego dystansu. Klucz do owego polsko—niemieckiego wzrastania obok siebie, ale i przenikania się ludzkich losów po tej i tamtej stronie granicy. W tym miejscu, jak wiadomo, szczególnie zapalnej, zwłaszcza odkąd traktat wersalski zdecydował o powstaniu tego dziwaczного tworu o nazwie Wolne Miasto Gdańsk.

A więc gdzie?... — Zdaje się Bysewo albo Kobysewo? — słyszę z ust człowieka, który czytał coś w tej materii, a może tylko mu się o uszy obil okruh prawdy? — Kobysewo? To być może — opiniuje inny. W tej wsi bardzo bliskiej Kartuz przed wojną mieszkali liczni niemieccy koloniści.

Ostudziło mnie to trochę, to przynaję, bo nie ślad po kolonistach pragnąłem odnaleźć. Nie było innego wyjścia, należało sprawdzić i tę wersję. Coś w rodzaju bazy wypadowej założyłem w pobliskim Przodkowie. Do miasta stąd dziesięć kilometrów, za to do Kobysewa tylko niecałe dwa. I siedziba gminy z pocztą na miejscu.

## Na kaszubskich kartofliskach

Z Edwinem, nauczycielem ze wsi Przodkowo, ruszamy skoro świt. Jest sam środek mroźnej i po kaszubsku śnieżnej zimy. Brniemy więc przez kopny, nawiany w wielu miejscach śnieg. Kroczymy od chałupy do chałupy dla zasięgnięcia języka. Domy porozrzucane są po koloniach, skryte po laskach, zagajnikach, za pagórkami, że, bywa, z drogi ich nie widać. W pierwszej: — Owszem, mieszkali tu kiedyś Niemcy, jacyś koloniści, ale żaden się we wsi już nie uchował. — W drugiej sytuacja podobna. Tak więc przynajmniej w tym jest jakaś jasność. Edwin radzi pytać o listy „stamtąd”. Może sygnowane są imieniem tego, o kogo nam chodzi. Wreszcie wskazują nam murowany dom (tych przewaga we wsi) na samym końcu wsi. Jego właściciel nazywa się Byczkowski, przez wiele lat był zarządcą kartuskiego cmentarza, teraz przebywa już na rencie. — Mam krewnych w RFN — potwierdza. — Jak się nazywają? — Ziemke.

Pani naczelnik poczty z Przodkowa obiecuje przejrzeć wykazy zagranicznej korespondencji. Zaznacza, że to niezgodne z przepisami, opisuję więc rzecz możliwie barwnie. Ulega. Z rana pukam do pocztowego okienka. — U mnie nic nie ma — oświadcza. — Niech pan poszuka na poczcie w Kartuzach. Może w ich spisie widnieje to nazwisko.

Naczelnik Pawłocki przyjmuje mnie w swoim dyrektorskim gabinecie. Do pomocy wzywa sędziwego poczmistrza. Do spółki naradzają się. Widać przypadła im do gustu ta opowieść o polsko-niemieckiej rodzinie gdzieś spod kartuskich okolic. Obiecują poszukać, dać znać, jeśli na coś natrafią. Jeszcze przypadkowo spotkany kolega z ławy szkolnej. Prowadzi w Kartuzach radiowęzeł. Nada komunikat na antenę. Kto wie, może się kto odezwie?

Kończyła się już redakcyjna delegacja, należało powrócić do Warszawy. W redakcji literatury niemieckiej Państwowego Instytutu Wydawniczego, gdzie jest tajemnicą poliszynela, że szykują edycję *Blaszanego bębenka*, poradzili napisać do Luchterhand Verlag. W niecałe dwa tygodnie później nadszedł ten upragniony list:

Bardzo dziękuję za Pański list. Moi niektórzy krewni ze strony matki mieszkają w Bysewie, poczta Firoga. Jeszcze w 1958, 59 i 60 roku odwiedziłem moją babkę cioteczną. Ona umarła przed niewiele laty, ale syn jej Jan Krause, jego siostra Agnieszka Hirsch żyją jeszcze; zwykli ludzie. Jan gospodaruje na ziemi, Agnieszka pracuje na kolei. Ich brat został jeszcze przed 1930 rokiem zatrudniony na Poczcie Polskiej w Gdańsku. Po wybuchu wojny i po tym, jak poczta została opanowana przez oddziały SS-Heimwehry, Franciszek Krause został rozstrzelany.

Jak Pan zapewne wie, w powieści *Blaszany bębenek* opisałem kompleks walki Poczty Polskiej i tę część historii mojej rodziny przełożyłem na język literacki.

Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu, jeżeli Pan przeprowadzi rozmowy z moimi krewnymi. Mam też zamiar na wiosnę przyszłego roku przyjechać do Gdańska z dwoma moimi starszymi synami i moich kaszubskich krewnych wówczas odwiedzić.

Moja przyszła książka, która ukaże się prawdopodobnie w przyszłym roku, dzieje się w dużej części w Kartuzach, a więc w miejscu Pańskiego urodzenia. Ale w związku z tym: posiada Pan, być może, plan miasta Kartuzy z lat 1939-45? Jeśli tak, bardzo byłbym Panu wdzięczny za jego fotokopię.

Z przyjacielskim pozdrowieniem  
Günter Grass

To było siedemdziesiątego drugiego roku. Znajomość książek Grassa wówczas mocno była w Polsce niekompletna. A przecież znałem opowiadanie *Kot i mysz* w przekładzie Ireny i Egon Naganowskich. Widziałem też ekranizację tej drugiej części „gdańskiej trylogii”. Braki należało nadrobić co rychlejszą lekturą *Bębenka*. Przekład polski był już, jak się cichcem wywiedziałem, gotowy. Dokołał go Sławomir Błaut w sposób niemal kongenialny.

Lektura maszynopisu była czymś zupełnie niezwykłym. Bibułki tylko śmigały w rękę (nigdy przedtem nie zdarzyło mi się obcowanie z arcydziełem pozbawionym starannej oprawy, grafiki, druku itp.). I owo niepodobieństwo tej książki do żadnej znanej mi dotąd lektury. I jej bliskość zarazem wobec spraw skądś już przecież znanych, intuicyjnie przeczuwanych, niedookreślonych, może i nie do końca nazwanych, lecz bliskich od dawna, od zawsze spoufalonych, obłaskawionych.

Równocześnie wszcząłem starania o odszukanie w gdańskich archiwach okupacyjnego planu mojego miasta. Wszędzie zdziwienie, że czegoś takiego szukam. Pozostało więc odwołanie się do pamięci ludzi, którzy co nieco pamiętają. Pokazało się, że jedynie kilka nazw ulic, placów w wersji niemieckiej, i to już do prawdy wszystko. W końcu zwątpiłem, czy w polskich archiwach należało szukać tego planu...

Moja pamięć, a miałem wówczas niespełna dwa lata, przechowała obraz świetlistej łuny podbarwionej u spodu ogniem na atramentowego koloru nocnym niebie. Okrzyki grozy wywabiły nas, mieszkańców kartuskiego domu przy ulicy Jeziornej (*Seestrasse?*), do domu na szczycie sporego wzniesienia, skąd, wieść niosła, miało być lepiej widać. Na czyich rękach na strych tego domu się dostałem, Bóg jeden raczy wiedzieć. Ale ten obraz, pierwszy z życiowych zapamiętany, miał już w głowie pozostać. To Gdańsk tak płonął w czterdziestym pię-

tym. Jego Gdańsk (mój dopiero w przyszłości), choć go w nim już wówczas nie było. Całe szczęście.

„Chciałbym rodzinę z polsko-niemieckiego pogranicza opisać”. Pamiętam te słowa mojego listu do niego, gdy po raz pierwszy zaszedłem na ulicę Labesweg 13, do domu, w którym urodził się 16 października 1927 roku...

Na długo przedtem, zanim ujrzałem ją po raz pierwszy, na długo przedtem wiedziałem o tej ulicy niemało. O tym, w jakiej leży dzielnicy sporego, o ciasnej, czynszowej w tym miejscu zabudowie miasta; znałem ulice, pośród których jest położona. I punkty w terenie, za pomocą których mogłem do niej dojść: dworzec kolejowy we Wrzeszczu (tak, we Wrzeszczu, jako że w tej dzielnicy Gdańska był się urodził; piszą o tym fakcie we wszystkich co bardziej szczegółowych encyklopediach i podręcznikach XX-wiecznej literatury), wtedy zresztą inaczej się mówiło: *in Langfuhr*. Nazwa polska tej dzielnicy wyciągnięta została z jakiejś niesłychanej dawności, z prasłowiańskości lokalnej, tak bardzo jest szeleszcząco-szumiąca i w tym odmienna od owego Langfuhr. No i browar. Nieraz powoływał się na ten punkt na mapie swoich wspomnień, jako ważny i istotny. Bądź co bądź taka *Brauerei* dodawała okolicy wielkomięjskiego sznytu i powagi, niemałego też kolorytu i barwności.

Tropiłem więc nadal. Nie znałem bowiem wciąż jednego: polskiej nazwy tej ulicy. Na przedwojennym planie Gdańska — może nie dość szczegółowym — w spisie ulic akurat Labesweg nie było. I wtedy wpadła w moje ręce opasłych kształtów książka adresowa z czasów Freie Stadt Danzig. Gotykiem pisana, po niemiecku staranna. Specyficzna przez to, że ulice podawała w kolejności geograficznej z zaznaczeniem ulic sąsiednich. Na tyle przy tym szczegółowa, że podająca listy mieszkańców pod poszczególnymi numerami domów. Szukam, palcem wodzę, wreszcie... Jest! Ulica Labesweg 13. Pochylam się nad listą mieszkańców, pośród których jest też Wilhelm Grass — *Kolonialwarhändler*. Jednak od tamtej pory minęło niemal pół wieku. Wtedy ulicę Labesweg przecinała, trochę ukośnie, Elsenstrasse, wieńczył zaś MaxHalbePlatz. Tylko jak wszystkie te miejsca nazywają się dzisiaj?

### Gdy Wrzeszcz zwał się Langfuhr

Wysiadam z kolejki elektrycznej spinającej dziś Gdynię z Gdańskiem, dwa niegdyś powaśnione z sobą miasta, jako że pierwsze z nich powstało niejako w opozycji do drugiego, gwoli tego by, przy blokadzie portu w Gdańsku, Polska nie udusiła się gospodarczo i miała swoje okno na świat. Wysiadam z kolejki



— to rzecz z gruntu nowa w pejzażu tej dzielnicy — by od razu zboczyć w lewo, w stronę morza, a właściwie zatoki. Pytam napotkanych ludzi o browar, pokazują mi kierunek. Zatem idę dobrze. Staruszka, by utrafić, nagabuję o Labesweg. Patrzy na mnie zdumionym wzrokiem. Nie, nie wie, jak dzisiaj się nazywa. Przyjechał w te strony dopiero po wojnie. Ale tam, w suterenie, mieszka gdańszczanka, ona powinna wiedzieć.

Kroczę więc wedle wskazania, iż mianem gdańszczanina czystej krwi nazwać siebie może jedynie ten, co od przedwojny tu mieszka.

— Labesweg? Ależ tak, musi pan iść ulicą Grażyny.

— Nazywała się przed wojną Elsenstrasse? — wpadam jej w słowo.

— Tak, a potem musi pan skrócić w prawo. Zaraz, jak się ona nazywa... Już wiem, Lelewelstrasse.

Na Grażyny zabudowa jak przed laty; śladu po nowym budownictwie. Wszystko tu leciwe, wysokie, po obu stronach jezdni czynszowe kamienice. Przeszłość ani trochę podrobiona. Przeszłość i zwyczajność, jaka była tu przed laty. Mnóstwo kamienic upstrzonych jest od ulicznej strony wcale finezyjną metalową balkonadą. Na tej ulicy, wiem o tym skądinąd, mieszkał niegdyś ojciec Güntera, stolarz z zawodu, podobnie jak i jego ojciec, właściciel niewielkiego warsztatu stolarskiego. Później przeprowadził się na Labesweg. Ale o tym dowiaduję się już z ust sędziwej staruszki zamieszkałej po dziś dzień w kamienicy pod trzynastym. Gdy telewizja RFN kręciła przed laty film o życiu Grassa, przybył do tego domu i on sam także; rozpoznał wówczas w tej kobiecie dawną lokatorkę domu. Jej zaś trudno było doprawdy w barczystym mężczyźnie o sumiastym wąsie, rozpoznać tamtego Günterka. Na parterze, w miejscu, w którym niegdyś jego ojciec (a właściwie mama) prowadził sklep kolonialny, taki z mydłem i powidłom, mieszka teraz samotna kobieta w średnim wieku. Na planie filmu spytała Grassa o przyczynę odnawiającego się ciągle na ścianie zacieku.

— Może w tym miejscu stała beczka z ogórkami lub kiszoną kapustą? — odpowiedział pisarz uśmiechając się z lekka do wspomnień z dzieciństwa, do których jakże chętnie lubi powracać przy każdej nadarzającej się sposobności.

Tak więc Labesweg (ulica niejakiego Labesa) dziś nosi imię znakomitego polskiego historyka Joachima Lelewela, członka rządu w czasie powstania listopadowego, przez władze carskie zaocznie skazanego na szubienicę; Elsenstrasse podmieniła swojska Grażyna; znów MaxHalbePlatz, nazwany tak od imienia i nazwiska już tylko germanistom znanego pisarza polskiego pochodzenia, za to germańskiego neofity, więc polakożercy, ten plac nosi dziś imię ks. Bronisława Komorowskiego, bohaterskiego proboszcza polskiego, katolickiego (już przed woj-

na) kościoła św. Stanisława we Wrzeszczu. Odszedł też w cień obraz tamtego Gdańska. Także z kaszubskimi wozakami dostarczającymi tu z okolicznych wiosek towar na sprzedaż. Obraz rzędów fur wypełnionych po brzegi cegłą na budowę koszar we Wrzeszczu.

Zgadza się — napisał w liście do swoich kaszubskich krewnych z Bysewa. — Byłem z kanclerzem Willym Brandtem jako gość uczestniczący przy podpisaniu układu Polska—RFN. Ale pobyt ten trwał krótko, zaledwie dwa i pół dnia. Ale wraz z Anną [pierwszą żoną Grassa, Szwajcarką, tancerką z profesji — R. C.] mamy zamiar, jeżeli to będzie możliwe, jeszcze w tym roku wraz z dziećmi przyjechać w moje rodzinne strony. Wtedy i Was odwiedzimy, nie zapomnimy o Was.

W międzyczasie Sigurd Hilkenbach [niemiecki biograf Grassa — R. C.] był u mnie i przekazał mi fotografie. Przyjemnie jest oglądać, jak duże i dorodne są Wasze dzieci. Proszę pozdrowić Jana, jego żonę i dzieci. Wszystkich w Bysewie. Serdecznie pozdrawiam.

Günter

Wówczas zawitał do Warszawy w orszaku rządzącej już wtedy w RFN partii SPD, która dla podpisania, między innymi, umowy kulturalnej delegowała ze swoich szeregów Siegfrieda Lenza (rodem z Elku), późniejszego autora *Heimatmuseum*, oraz właśnie Güntera Grassa, przesiedleńca z Gdańska, znamienitego już wtedy autora „gdańskiej trylogii”. Oprowadzał go zaś po stolicy Andrzej Kuśniewicz, pisarz z innego, polsko-galicysko-austriackiego pogranicza.

Z wcześniejszego pobytu Güntera i Anny w Bysewie uchowała się niejedna fotografia w sam raz nadająca się do rodzinnego albumu. Jak choćby ta, na której familijnie objęci stoją pod płotem w cieniu owocowego drzewa całą piątką. Żyjąca jeszcze wówczas babcia cioteczna Güntera, Anna Krause, Agnieszka, jej córka wraz z mężem, Anna i Günter. Wszyscy uśmiechnięci, radośni. I to małe u ich stóp bawiące się konikiem na biegunach. Musiało to być pod koniec lat pięćdziesiątych, krótko po tym, jak w podcień bysewskiego gospodarstwa domu Anny Krause, wdowy już wówczas, wszedł przystojny mężczyzna z charakterystycznym wąsikiem i zapytał:

— Czy tu mieszka Anna Krause? — I wyciągając paszport powiedział: — Nazywam się Günter Grass.

Lecz raczej nie. Było to zapewne podczas drugiej lub trzeciej jego bytności w tych stronach.

Zapowiedział się w liście, lecz właśnie tego roku nie przyjechał, choć zwykł to czynić niemal corocznie. Trafiłem na ten moment, gdy go bezskutecznie wyczekiwano i z odcieniem wyrzutu w głosie mówiono o niedotrzymanej obietnicy.

Ten list Agnieszka, ciotka Güntera (choć prawie równa mu wiekiem), pokazała mi jako świadectwo ożywionych kontaktów z jego kaszubskimi krewnymi. Mąż jej, po którym wzięła nazwisko Hirsch, gdy powrócił z pracy, pochwalił się nowym akordeonem i magnetofonem, na którym w tajemnicy przed mierniczymi nagrał rozmowy dotyczące spłaty ich i Jana domostw, wkrótce mających pójść pod spychacz dla zbudowania w tym miejscu lotniska pasażerskiego. Bo podobno tamto stare we Wrzeszczu już się zużyło. Ci panowie kręcą się tutaj, uwijają, wiadać, że spieszno im bardzo, terminy robót ziemnych pod przyszłą płytę lotniska gonią ich, namierzają więc wszystko w znacznym pośpiechu.

W końcu przyjechał. Co wprawniejsi w liczeniu stwierdzą, iż po raz szósty od końca wojny. Z początku nazywało się, że dla dokumentacji gdańskiego tematu kolejnych książek z cyklu nazwanego „gdańską trylogią”, potem, że z okazji powstania filmu podług *Kota i myszy*. Był też jakiś tajemniczy przyjazd z ekipą zachodnoniemieckiej telewizji nakręcającej film o jego życiu, wreszcie, że na „Dni Kolonii” w Gdyni. Wciąż więc zjeżdżał na „swoje” Kaszuby, do „swojego” Gdańska. Do miasta, z którego uczynił centrum spraw tego świata, które jest mu nieomal całym światem. Kluczył wąskimi uliczkami, nanosił te uliczki, place na plan swojej wyobraźni. Liczył drzewa przydrożne (akuratny w tej robocie był zawsze), odległości namierzał od morskiego brzegu. Z precyzją mierniczego obarczonego dziejową misją przyglądał się domom, zaglądał gdańszczanom w twarze, jakby liczył, że pośród nich rozpozna sobie znajome. Filmowego bohatera *Kota i myszy* (wielce to udana ekranizacja w koprodukcji z polskim zespołem „Rytm”) prowadził pod ceglaste gmaszysko „Conradinum”, po dzisiejszemu Technikum Budowy Okrętów, wielce elitarną i dziś szkołę, której uczniem był (czy on sam także?) jego powieściowy bohater. Pod Stogi, hen, na północno-wschodni koniec miasta wprowadzał chłopców swojej generacji.

Tak napisze w wielce osobistym wyznaniu pt. „Jak powstał *Błaszany bębenek*”:

W Gdańsku szukałem miasta Danzig, rozmawiałem na cmentarzach z rodzinnymi nagrobkami, siedziałem (podobnie jak dawniej jako uczeń) w czytelni biblioteki miejskiej i kartkowałem roczniki „Danziger Vorposten”, wciągałem w nozdrza Motławę i Radunię. W Gdańsku byłem obcym człowiekiem, a mimo to we fragmentach odnalazłem wszystko na nowo: łaźnie, leśne ścieżki, gotyk z wypalonej cegły i owe koszary mieszkalne między dawnym placem Maxa Haldego a Nowym Targiem; odwiedziłem również (za radą Oskara) raz jeszcze kościół pod wezwaniem Serca Jezusowego.

I dalej myśl swą pociągnie:

A potem znalazłem się w mieszkalnej kuchni mojej babki ciotecznej, Anny. Uwierzyła mi dopiero po okazaniu paszportu: „No, Günterku, ale urosłeś”. Pozostałem tam przez pewien czas i przysłuchiwałem się. Jej syn Franz, zatrudniony na Poczcie Polskiej, po kapitulacji obrońców istotnie został rozstrzelany. Znalazłem jego nazwisko wykute na kamiennej tablicy pamiątkowej, został uznany.

O tym uznaniu napisał nie bez powodu, jako że tradycja pisania o tej obronie istniała dotąd w Polsce, acz w tonacji heroiczno-wspaniałej. Bez podania choćby takiego szczegółu, jak ocalenie się kilku pocztowców.

Odnalazłem także dwóch byłych urzędników pocztowych. Obaj (jeden z nich dostarczał przekazy pieniężne) podali mi szczegółowy opis urządzeń na Poczcie Polskiej podczas jej obrony. Ścieżek, którymi uciekali, nie potrafiłem odnaleźć.

A przecież to proste. Wykorzystali zamieszanie od frontowej strony, wydostali się na dziedziniec i wskakując na drewnianą przybudówkę wspartą o mur okalający pocztę, wydostali się na zewnątrz.

Tyle że nie było pośród nich wuja Güntera. Jak nie było przez wiele lat pełni uznania dla heroicznego czynu jej obrońców. I lata dopiero musiały minąć, by powstał film (nie we wszystkim prawdziwy), pomniki (od razu dwa), gigantyczna mosiężna tablica ze wspomnianą listą ofiar tejże obrony (po jej renowacji nazwisko wuja omyłkowo napisane zostanie w wersji: Krauze). Wydano nadto pamiątkowy stempel-kasownik i książki na temat obrony poczty. *Z Blaszanym bębenkiem* na pierwszym miejscu tej listy.

Kto wie, czy wstępem do niej nie była szkolna praca Grassa, lekcyjne wypracowanie nazwane w podtytule: *Pomóż!*, w tytule zaś: *Kaszubi*. Miał wówczas trzynaście lat i nieraz z mamą i babką Knoffową jeździli we trójkę do nieodległego od Wrzeszcza Bysewa. Uganiał się wtedy z kaszubskimi berbeciami po okolicznych wzgórzach i pagórkach, a zimą, bywało, wiązali swoje sanki w długi szereg i takim kuligiem zjeżdżali w dół.

Helene Grass zwierzała się wówczas swojej ciotce i wujowi z obaw o syna: — On nic całymi dniami nie robi, tylko w książkach siedzi.

Sam zaś przyzna po latach z jakąś powściągliwą dyskrecją: „Całe życie chciałem matce coś udowodnić, nie zdążyłem”. To być może *Blaszany bębenek* miał ją ostatecznie przekonać, lecz w momencie jego ukazania się na rynku księgarskim od czterech lat już nie żyła...

Przywożąc parą przyprzeżonych do wozu koni cegłę, wypalaną w bysewskiej cegielni, Jan, wuj Güntera, wówczas dopiero co pełnoletni, zwykł był czynić

w sklepie swojej kuzynki rozmaite drobne sprawunki. Helene Grass na jego kaszubskie odezwania odpowiadała skinieniem głowy lub żywym zaprzeczeniem. Doskonale rozumiejąc, co on mówi, nie odpowiadała w znanym sobie dialekcie, gdyż wokół wiele było niemieckiej klienteli. Milcząc, pakowała do różnobarwnych torebek towar, o który Jan prosił i handlowym zwyczajem tego sklepu dokładała do uczynionych zakupów jakąś drobnostkę, lizaka czy paczuszkę cukierków.

### **Na początku była babcina spódnica**

We wsiach leżących przy drodze pomiędzy Gdańskiem a Kartuzami, zaczyna się kaszubska linia jego rodowodu po kądzieli. Wywodzi się ona z piaszczysto-gliniastych pól ciągnących się od Rębiewowa i Kokoszek, Klukowa i Bysewa aż po Matarnię i Firogę (dwie ostatnie wsie oddzielone są od pozostałych gęstą zasłoną iglastego lasu), które, po wcieleniu w życie postanowień traktatu wersalskiego, przebiegać miała granica, oddzielająca powiat kartuski od wyodrębnionego od Rzeszy Niemieckiej i Polski, Wolnego Miasta Gdańska. I wówczas to okazało się, że zdecydowana większość tych wsi pozostała jednak po kaszubskiej (polskiej) stronie, jedynie Firoga stała się wsią graniczną z posterunkami obu żandarmerii na rogatkach.

Za cel postawiłem więc sobie poznać polsko-kaszubskie korzenie tej spojej familii. Na początek zaś dotrzeć do momentu w jej dziejach kluczowego i brzemiennego w rozliczne skutki. Wzajemnego przeniknięcia się dwóch narodowości, dwóch kultur, dwóch religii, dwóch obyczajowości.

Wiedziałem mało. Prócz intuicji była nazwa wsi Bysewo i wieść o babce Knoffowej. Raczej nie, i to nazwisko było mi wówczas jeszcze nieznanne. Dużo więcej mówiło mi nazwisko Krause. Należało zatem dociec momentu poślubienia owego Knoffa (bo że jego właśnie, już niebawem miało się okazać). Sam Grass dał mi tę oto cenną wskazówkę:

Było to w roku [tysiąc] osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym. Babka siedziała w sercu Kaszub, w pobliżu Bysewa, jeszcze bliżej cegielni, siedziała mając przed sobą Rębiewow, za sobą Firogę, zwrócona ku drodze na Brętowo między Tczewem a Kartuzami, siedziała plecami do czarnego lasu klukowskiego i leszczynowym kijem nadpalonym u końca wsuwała ziemniaki w gorący popiół. Nie było to właściwie Bysewo, w kotlinie leżały Bysewo-Glinianki. Tam za moją babką podążył nieduży i krępy Józef Koljaiczek, który już nie mógł rozstać się ze spódnicami.

Pomińmy już określenie położenia podgdańskiego, pełnego robotniczych domków, Brętowa jako centralnego na drodze z Kartuz do... nadwiślańskiego Tczewa. Koniec końców, Grass miał prawo szeroko potoczyć wzrokiem po tej pomorskiej okolicy, wydobyć z zapomnienia nazwy miast zasłyszane w dzieciństwie dość już przecież odległym. Później daleko bardziej będzie precyzyjny i boje będzie toczył z tymi, którzy podważą położenie jednego z wraków w gdańskiej zatoce opisanego na kartach *Kota i myszy*. Lecz wtedy... Po tylu latach powracając znów w swoje ojczyste strony...

Bo tych babcinych spódnic, zgodnie z kaszubskim obrządkiem i odwiecznym rytuałem, było siedem. Widomy ślad po Kaszubach odeszłych w zapomnienie, tu na krótką chwilę przywołanych do istnienia. Trzymam się więc tego tropu, bo wiedzie w dobrym kierunku. Odwiedzam urząd gminy w Baninie, któremu podlega administracyjnie i Bysewo, i Rębichowo, i Klukowo, te wszystkie okoliczne wsie związane jakoś z jego kaszubskim rodowodem. Dobieram się do ksiąg zaślubin sprzed lat, zakurzonych (zrazu niechętnie widziany przez gminną urzędniczkę), przerzucam te z lat dwudziestych i -nastych naszego wieku, wciąż w tył zmierzam, w głąb czasu. Oddalając się, wierzę, iż zbliżam się zarazem. Przełom wieku już mam za sobą. Ogarnia mnie lekki niepokój, bowiem ksiąg do przejrzania pozostało już niewiele, gdy w jednej z ostatnich, nieco już sfatygowanej czasem księdze gotykiem pisanej z roku 1889, znajduję taką oto inskrypcję kaligrafowaną wielce starannie czarnym inkaustem:

14 listopada przed urzędnikiem Urzędu Stanu Cywilnego w Mattern (Matarni) stanęli celem zawarcia związku małżeńskiego Winraut Knoff, katolickiego wyznania, urodzony dwudziestego drugiego września 1857 roku w Willanowie, powiat Kartuzy, zamieszkały w Gdańsku przy ulicy Obergasse 18, oraz Elżbieta Krause katolickiej religii, urodzona 18 października 1858 roku w Ramkau (Rębichowie), wybudowanie Bissau (Bysewo), córka właściciela ziemskiego Jakuba Krause i Marii Bach.

Jest to więc moment, w którym Kaszubka, przyszła babka Günтера Grasa, poślubia kaszubskiego — już wtedy — gdańszczanina, niejakiego Knoffa, i wyjeżdża z Kaszub na zawsze, by zgodnie z wolą męża postępując, dać swoim dzieciom niemieckie odtąd wychowanie. Winraut Knoff przyjmie na siebie odpowiedzialność za zapewnienie podstaw bytu materialnego swej małżonce, gospodarskiej córce z kaszubskiego Bysewa.

A zatem, pytałem sam siebie, to miałyby być ta chwila dziejowa, w której Elżbieta Krause przez swój ożenek i wyprowadzkę z Kaszub na zawsze, lecz za miedzę tylko, do Gdańska, za to przenikając w obręb całkiem innego świata, czy

to jest ten moment, w którym dobrowolnie przyjmie reguły nowej dla siebie kultury, cywilizacji, obyczaju? Czy ulegnie, podda im się bez chwili wahania? A może nowe wybory nie będą znaczyły w jej życiu aż tak wiele? W życiu tej, która przytłoczona być mogła materią zdarzeń codziennych.

Wyjeżdżając do Gdańska, najstarsza córka Jakuba Krause pozostawi na gospodarstwie młodsze rodzeństwo, w tym i trzy lata od niej młodszego Józefa Krause.

Lecz co ważne naprawdę, to to, iż Elżbieta trwać będzie, tam w Gdańsku, przy religii praocjów, przy katolicyzmie, który w morzu protestantyzmu oznacza nadto przynależność do innej, aniżeli niemiecka, narodowości. Tak bowiem się tu na pograniczu sprawy od dawien dawna układały.

Ale prócz Knoffowej wyjedzie do miasta nad Motławą dla założenia rodziny także i brat jej, Jan Krause. W tym też mieście rychłych spełnień wyda się za mąż siostra jej, Marta. Mężem Marty będzie również Kaszuba, dla odmiany osiadły w kurortowym Sopocie, o nazwisku Gisela. Tak więc prócz Józefa tylko siostra ich, Julia, pozostanie na wsi, w Rębiewicach. (Dziś od nazwy tej wsi wzięło swój szyld nowe gdańskie lotnisko).

W Bysewie, dokąd w tym właśnie czasie Krausowie się przenoszą, pracuje największa w okolicy cegielnia, w tej części, której nazwa przeniknęła także do *Blaszanego bębenka* jako Bysewo-Glinianki. Jej właściciel Niemiec Hensel odkupił ją w przeszłości od Żyda, budowniczego i pierwszego właściciela. Także i majątek ziemski należy w owym czasie do Hensla. Junkier pruski jest tutaj panem życia i śmierci. Na razie, chwalić Boga, nie korzysta jeszcze z pełni swych praw. Ma w tym zresztą ukryty interes. Nie może wzgardzić okoliczną, tanią, kaszubską siłą najemną, pracującą za deputat w postaci kartofli, grochu, warzyw. W zamian za pracę zezwala polskiemu chłopu na trzymanie własnego inwentarza.

Grass po dziś dzień powiada o rodzinie swojej matki jako o kaszubskiej, o niej zaś samej jako o Kaszubce. *Kaschubendeutsch* (zgermanizowany Kaszuba) — tym mianem określił Grassa Prusak z urodzenia, Scholtis. Ów Scholtis o sobie i Grassie powiadał, iż obaj należą do rodu wywodzącego się od Obodrytów, plemion Pomorzan, Wilków, Braniborzan, Lutyków, Serbów Łużyckich. Biografowie napiszą wprost, iż wywodzi się on z domu polsko-niemieckiego, przy czym za ów członek polski uważać będą właśnie korzeń kaszubski.

On sam zaś dopowie:

Mam pedantyczny stosunek do geografii i czasu. Gdańsk Wrzeszcz jest centrum tego świata. Inne miasta niemieckie, Düsseldorf, Hamburg, Kolonia, Berlin, wydają się przedmieściami.

Stało się więc, że w Bysewie, Grassa kaszubskiej prakolebce, sołtysem mianowano Józefa Krause, rodzzonego brata babki Knoffowej. To on ożenić się miał z Anną, córką gospodarza z pobliskiego Klukowa o nazwisku Hoppe.

## Ojcowie i dzieci

„Mam na Kaszubach chyba ze stu krewnych” — tak przecież przyznał w owym wywiadzie, który był na początku. *De facto* ma ich tu bodaj jeszcze więcej. Należało więc obejść wszystkie te domy jakoś związane z nim rodzinną tradycją. I ten w Bysewie, i ów w Klukowie, gdzie po dziś dzień mieszkają dzieci Franciszka, i w Rębiechowie, i w Kartuzach także.

U córki Anny w Kartuzach (po mężu Wróblowej) dostrzegłem na ścianie jednego z pokoiów fotografię rodziny Krause sprzed kilkudziesięciu lat. Trzynastka dzieci otacza rodziców. („Czy ja też jestem na tym zdjęciu?” — spyta mnie Grass, gdy mu w przyszłości opowiem o moim odkryciu).

Najstarszy syn Jakuba i Anny — Franciszek, dzięki pomocy strażnika granicznego z Firogi — Trzelińskiego, rozpoczął dopiero co pracę na Poczcie Polskiej przy Heveliusplatz. Mundur pocztowca skutecznie go wyróżnia z grona braci i sióstr.

Paweł jeszcze nie zaczął swej służby w oddziałach kawalerii polskiej w Chełmnie. Już niezadługo, podczas jednej z ćwiczonych szarż ułańskich, zginie w wieku zaledwie 23 lat.

Brunon miał w kilka lat później kupić ziemię od Niemca Wetzlinga z Klukowa, w momencie gdy ten zdecydował się na wyjazd do Rzeszy.

Przed sobą także miała tragiczny epizod września trzydziestego dziewiątego siostra ich, Amanda. Z małą, dwuipółletnią Wandą na ręku wyszła przed dom i wtedy dziewczynkę trafiła zbłąkana kula. Matka pochowała dziecko w miejscu, gdzie to się stało, w przydrożnym rowie. Męża zaś swego nigdy już potem ujrzeć nie miała. Znak życia ten eks-żołnierz polskiej armii na zachodzie da dopiero hen z Anglii, już jako zniedołężniały starzec, i wówczas zaprosi do siebie najstarszą córkę, by go aż do śmierci pielęgnowała.

Ich siostry — Hildegarda i Helena — przed samą wojną przeprowadzą się do nieodległych Kartuz. To w mieszkaniu jednej z nich przechowa się i doczeka naszego czasu ta fotografia.

Józef zaś, ich brat, obejmie po swojej żonie Łucji Magrejan gospodarkę w Kosowie.



I tylko Jan oraz Agnieszka, z całej rodziny Krause dzieci najmłodsze, podziela ojcowiznę pomiędzy siebie. I to ich właśnie po śmierci babci ciotecznej, Anny, najczęściej będzie odwiedzał żywo przywiązany do miejsc młodości Günter. Im dopomoże w remoncie zniszczonego wicherą dachu. A gdy betonowa płyta lotniska pokryje całą okolicę, wesprze ich w przeprowadzce do Brzeźna nad sam morski brzeg na północ od Wrzeszcza.

Lecz na długo przedtem...

Gdańsk brunatniał z dnia na dzień bardziej. Ten Gdańsk Forsterów, Rauschningów, Greiserów. Nieopodal tymczasem...

Junkrzy pruscy — Rehmer z Matarni (proboszcz tej wsi, w chwili gdy go odwiedziłem, opowiedział mi tę wielce znaczącą historię), Fibranz z Kokoszek, Hensel z Bysewa, właściciele z Owczarni i Rębichowa — ogłosili bojkot Prusaka jak i oni — Boelkego z Barniewic. Boelke miał nieszczęście zakochać się i wziąć za żonę prostą Kaszubkę, własną służącą, wyłamując się tym samym z pruskiej koalicji kolonistów. Co niedziela posyłał żonę powozem do kościoła, dzieci swoje chowali po katolicku. Wojna go nie złamała. Po przewaleniu się frontów pozostał w Barniewicach do końca swych dni.

Ale Boelke był jeden, mocno osamotniony w swej życiowej postawie. W dodatku nie miał zbyt silnego oparcia w pobliskich właścicielach ziemskich majątków. W okresie pomiędzy wojnami Niemcy byli na tym terenie, umocnieni obskurancką postawą rządu sanacyjnego, w posiadaniu prawie 90 procent majątków. Tych największych, liczących z reguły więcej niż 180 hektarów gruntu każdy.

## **Poczta Polska**

Wychodząc za mąż za Kaszubę — owego Gisele — Marta Krause nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że utonie w morzu niemczyzny. Zamieszkali we Wrzeszczu przy Wäldchenstrasse. Ona, wcześniej już przyuczona do zawodu krawcowej, przyjmuje klientów w domu. Są to prawie wyłącznie Niemcy. Gisela zaś był murarzem. Łatwiej od żony radzi sobie z niemiecką mową, a że fachowcem jest dobrym — wokół ludzie, furt, się budują — zamówień na roboty murarskie mu nie brakuje. I on także prowadzi interesy wyłącznie z niemieckimi gospodarzami. Oboje żyjąc pośród nieomal samych Niemców, nie mając za sobą gruntownej szkoły polskiej, w pewnym momencie — na tej stale płynnej polsko-niemieckiej granicy — zaczynają pomiędzy sobą rozmawiać w tym języku, a dzieci swoje, dwóch synów, Wilhelma i Waltera, posyłają do szkoły, jakiejżby innej, nie-

mieckiej. Po latach starszy zostanie kierownikiem kina „Uffapalast” (w miejscu, gdzie dziś kino „Leningrad”\*) przy Langgasse, młodszy zaś, Walter, będzie elektrykiem. Obaj wraz ze swymi rodzinami wyjadą w czterdziestym piątym do Zachodnich Niemiec. Chyba nie mają dzisiaj zbyt dokładnych wyobrażeń na temat swojej kaszubskiej przeszłości.

Czy i na ile znały się ze sobą dwa odłamy jednej rodziny wywodzącej się z tej samej wsi — Giselów i Franciszka Krause?

Ten ostatni bowiem, po ukończeniu siedmiooddziałowej szkoły powszechnej w pobliskim Klukowie, gdy podrośnie, spróbuje pobyc trochę na ojcowiznie, wkrótce jednak poszuka sobie pracy poza rolą. Po ożenku przemieści się do coraz bardziej robotniczej w tamtym czasie dzielnicy Gdańska, Brętowa (Brentau z *Bębenka*). Obejrzałem kolonię domków robotniczych ułożoną półkoleście, skąd wiodła droga Franciszka — po protekcji, jak się rzekło, strażnika granicznego z polskiej placówki w Firodze — wprost do roboty na Poczcie Polskiej. Do jednego z trzech (obok kolei oraz placówki wojskowej na Westerplatte) ognisk polskiego życia w przedwojennym Gdańsku. Rozpalonym i rozgorączkowanym, rozedrganym emocjami i walką polityczną prowadzoną już nie z ukrycia, z za węglą, ale coraz bardziej wprost.

Zamieszkał nieopodal Heveliusplatz. Swoje dzieci posyłał Franciszek do polskiej szkoły na Wałowej. Należało podejść pod ten obiekt — swoistą fortecę polskości tamtego czasu, wkrótce już wyspę tylko. Wypadło porozmawiać z kilkoma ocalałymi pocztowcami. Był rok 1928, gdy zaczął Franciszek pracę w tym mieście. W czasie dość jeszcze spokojnym (jak spokojne i udane było jego małżeństwo z Małgorzatą Kołodziejczyk z Rębiechowa), z upływem lat przybywało wciąż bojówek, agresywnej młodzieży spod znaku „HJ”. Na koniec zaś pojawiły się grupki pijanych marynarzy z pancernika „Schleswig-Holstein” zaczepiające polskich przechodniów.

Zdarzyło się, iż za Franciszkiem pobiegli dwaj cywile. Torbę listonosza miał tego dnia wypchaną po brzegi przesyłkami i gazetami polskimi. Wyczuł grożące mu niebezpieczeństwo, przyspieszył kroku. W pewnej chwili zaczął uciekać, biegł, wskoczył do sieni pobliskiego domu. Wbiegł na piętro, gdy nagle otworzyły się przed nim przyjazne drzwi jednego mieszkania. *Bitte hier* — usłyszał z głębi. Już tylko przez drzwi wiodące na korytarz słyszał zdenerwowane głosy tamtych. *Wo ist der polnische Hund geblieben?*

\* Obecnie kino „Neptun” [R. C. - 1999 r.].

Grass świadczył za Poczta Polska:

Cóż, gdyby zażądano ode mnie udziału w obronie Poczty Polskiej, nie zabrakłoby mojego głosu: dla Polski i polskiej gospodarki, rosnącej dziko, a jednak wciąż wydającej owoce, chętnie zamieniłbym szyby wszystkich domów po prawej stronie placu Heweliusza, okna domów na Sukienniczej, oszklone fasady na Tartacznej łącznie z komisarzatem policji i, sięgając dalej niż kiedykolwiek przedtem, pięknie wypucowane szyby Podwała Staromiejskiego i Rycerskiej. Narobiłbym zamieszania wśród ludzi z Heimwehry, także wśród przygotowujących się obywateli. Mój głos zastąpiłby kilka takich ciężkich karabinów maszynowych, już na początku wojny kazalby uwierzyć w cudowną broń, a mimo to nie ocaliłby Poczty Polskiej.

Franciszek był już wtedy ojcem kilkorga dzieci, pośród nich najstarszej Irmgardy, nazwanej tak za podszeptem niemieckiej akuszerki. Co się za tę chwilę słabości dostało jej ojcu od kolegów w pracy! Docinki i złośliwe komentarze ustały dopiero, gdy kolejnemu swemu dziecku dał imię Grzegorz, następnym zaś Magdalena i Kazimierz.

Czy jednak odwiedzał Franciszek sklep swej kuzynki we Wrzeszczu?

Chyba niezbyt często, jako że odległość od poczty na Labesweg była znaczna, a i poruszanie się po mieście nie stanowiło już w owym czasie dla Polaków sprawy łatwej i bezpiecznej.

W roku 1938 zaczęły się uliczne napaści bojówek hitlerowskich i faszystowskiej młodzieży. 28 sierpnia pijani marynarze pokładowi z pancernika „Schleswig-Holstein” pobili do utraty przytomności Franciszka Mionskowskiego, polskiego pocztowca z placu Heweliusza. Franciszka na służbie nieraz dochodziły okrzyki w rodzaju: „Najpierw rozprawimy się z Żydami, potem zabierzemy się do was, przekłęci!”

Wiele razy namawiała go żona, by wyjechali do centralnej Polski, do Częstochowy czy Łodzi. Odmawiał. Potem już i nie miał innego wyjścia; zaprzysiągł był służbową tajemnicę, której na imię było: obrona jednego z ostatnich bastionów polskości w Gdańsku.

Niemcy rzucili przeciwko nim doborowe oddziały SS i Wehrmachtu. Zostały odrzucone przez bohaterów pocztowców ogniem ich przedpotopowych mauerów. Już jednak na krótko tylko. Za murem okalającym wówczas pocztę pojawiły się dwa samochody pancerne. „Sudetenland” i „Ostmark” i też nie dały im rady. Dopiero cysterna z benzolem tłoczonym strażacką motopompą oraz miotacze ognia zakończyły ten nierówny bój.

Poczta Polska, masywna ceglana budowla, mogła spokojnie przyjąć pewną ilość takich uderzeń, bez obawy, że ludziom z Heimwehry uda się załatwić sprawę raz dwa, szybko zrobić wyłom, dostatecznie szeroki dla frontalnego, często ćwiczonego natarcia.

I wytrzymała pewną liczbę tych uderzeń, aż przyszedł moment, gdy jej lokatorzy musieli się poddać; dalszy opór nie miał sensu.

„I blisko trzydziestu na pół oślepych, osmalonych mężczyzn, krzyżując na karku uniesione ramiona i dłonie, opuściło gmach poczty lewym bocznym wyjściem”.

Franciszek siedł w drugim szeregu obrońców, w samym podkoszulku — wolał wystawić poparzone ciało na podmuchy wiatru, to łagodziło ból dość znacznie. W podpisie pod zdjęciem, które zostało zrobione z tej okazji, wyczytać dziś można: *Eine Gruppe gefangener Franktireure der poln. Post*.

A potem ustawili ich pod wysokim murem, kazali ściśle przylgnąć do niego z rękami uniesionymi ku górze. W chwilę potem wydano rozkaz, by ustawili się w szeregu. Zaczęła się ta ich droga krzyżowa wśród tłumnie wyległych na ulice mieszkańców Gdańska. Przeszli wzdłuż Traktu Królewskiego otoczeni długim, zdawało się nigdy niekończącym się, gęstym szpalerem Niemców. Długie hitlerowskie *Fahny* opadały niemal ku samej ziemi z okien Langgasse.

Poprowadzili ich wprost do osławionej „Victoria-Schule”, stamtąd zaś do więzienia na Biskupiej Górze. Przez pierwsze dni Franciszek chodził wciąż w tym podkoszulku. Przy każdej próbie włożenia pocztowego munduru cierpiał męki. Pipkowa, wdowa po zamordowanym dozorczy poczty, opowie potem Krausowej, że mąż jej z bólu ogryzł sobie paznokcie, był cały siny z pobicia. W ostatnich swych chwilach prosił, by przekazać żonie, ażeby kupiła dzieciom buty ze skóry, bo idzie straszna zima.

Na miejsce egzekucji wybrano cmentarz na Zaspie. Na sekundę przed karabinową salwą, w chwili śmierci Konrada Guderskiego, podreferendarz Poczty Polskiej i dowódca jej obrony, Alfons Fisykowski, Kaszuba pochodzący z podkartańskiej wsi Goręczyno, wzniósł dwujęzyczny okrzyk: „Niech żyje Polska!”.

I szukam ziemi Polaków, która zginęła, która jeszcze nie zginęła. Inni mówią: prawie zginęła, już zginęła. Ja szukam Polski na swoim bębenu i bębnię: zginęła, jeszcze nie zginęła, przez kogo zginęła, prawie zginęła, już zginęła, wszystko zginęło, jeszcze Polska nie zginęła.

Ciała pocztowców zwalono do głębokiego rowu, wszystkie razem. Zasypano ziemią, zdeptano, zamaskowano wszelki po nich ślad.

Matka Franciszka przyjechała z pobliskiego Bysewa, aby obejrzeć miejsca, gdzie walczył jej syn. Poszła wraz z kuzynem na Heveliusplatz. Przy resztkach żelaznego ogrodzenia spotkali szlochającą kobietę.

— *Die polnische Hunde! Die haben meinen Sohn gemördet!* — zlorzezczyła matka jednego z Niemców zabitych w potyczce z pocztowcami.

— Widzisz, Anno, ty płaczesz po swoim, ona po swoim synu. Zobaczysz jeszcze, że imię Franka przejdzie do historii.

Na Kaszubach, w Bysewie, niemiecki właściciel majątku Hensel przywdziewa mundur majora. Osobiście wydaje rozkaz ścigania ukrywających się w pobliskich lasach rozproszonych działaczy Związku Zachodniego. W jego obejściu odbywają się masowe rozstrzelania. Leutnant Rehmer, zarządca majątku z sąsiedniej Matarni, trzęsie całą okolicą. Obu ich wspierają mniej majątni niemieccy chłopci. To ich autorstwa będzie lista kaszubskich wieśniaków, którzy wykazali się w przeszłości niesubordynacją wobec germańskich dziedziców.

Jest na niej także, pomiędzy innymi, Jan Krause, gospodarz i wozak bysewskiej cegielni w jednej osobie. Wraz z innymi ma obowiązek codziennego meldowania się na posterunku policji w Firodze, którą przestała już przechodzić granica pomiędzy Wolnym Miastem a Polską. Któregoś dnia zabierają go do gdańskiego więzienia na Schiesstange, skąd trafi na roboty do Niemiec.

Jan powróci z wojny. Urodzą mu się dzieci, Maria i Zygmunt, dziś już dorosłe, obarczone własnymi rodzinami. Maria wyjdzie za mąż za marynarza i będzie jedną z licznych na Wybrzeżu żon stale oczekujących powrotu męża do domu. Pracę dla siebie znajdzie jako kelnerka w klubie studentów „Żak”, do powieści Grassa trafi jako pracownica kantyny Stoczni Gdańskiej.

Tak o niej napisał w *Turbocie*: „Maria jest moją krewną. Jej ojciec to kuzyn mojej matki”.

Spróbować warto, za pomocą tego, co się już wie o rodzinnych faktach, dotknąć alchemii twórczej pisarza. Rzeczywiste nazwiska, fakty, zdarzenia, nazwy miejscowości nałożyć na poetycko-zmyśleniowo-irracjonalne, a przecież z kotła rzeczywistości czerpiące.

Oto więc:

Kuczorowie (nie Krausowie) żyli już za czasów Amandy [skądś znamy to imię — R. C.] Woyke w Kokoszkach, Rębichowie i w Żukowie (nazwy tych wsi padały tu po wielokroć). A jedna z ich jedynaczek, Lowise Pipka (kuzynka Zofii), poślubiła Kutschorę, który pochodził z Viereck (obecnie Firoga). Maria jest zatem krewną Leny Stubbe z domu Pipka oraz Amandy Woyke. Również rodowód mojej babki ze strony matki — tu uwaga! — z domu Kuczorra (której matka jest wprawdzie z domu Bach) — [wszystko

pokrywa się z wypisem z XIX-wiecznej księgi ślubów gminy w Matarni-Baninie — R.C.] — świadczy o istnieniu pokrewieństwa pomiędzy mną (jak i też Maria) a Amandą i Leną.

I zaraz potem narrator *Turbota* konstatuje:

W końcu my, Kaszubi, mamy krewnych co kilka kilometrów. Rozpościerał się zaledwie las pod Bysewem, gąszcz malin przed Żukowem, szosa, która wiodła do Kartuz, Wisła, Radunia i cztery, pięć wieków pomiędzy nimi: epoka trwająca przed i po wprowadzeniu ziemniaków, historia, która przeszła obok nas. O tym Maria nic nie wiedziała.

Z powojennych ruin podniosła się jedna tylko cegielnia w Bysewie. Ta na Gliniankach właśnie, zwieńczona kilkupiętrowym domem widzianym z daleka, z płyty lotniska, na którym co pół godziny, co godzina lądują samoloty.

Jak patrzy na Glinianki ten, dla którego znaczą one więcej niż zwykła wytwórnia cegieł pod budowę kaszubskich domów? A zresztą całkiem ostatnio cegielnia ta zaczęła się modernizować; przeszła na pełną automatyzację przy obcinaniu cegły. Roczna produkcja cegielni wynosi więc obecnie 7300 tysięcy sztuk. W planie: produkcja prefabrykatów. Znów na ziemi należącej niegdyś do kolonisty z Kokoszek, Fibranza, stanęła, dość już dawno, fabryka domów dla Gdańska, główny wytwórca nowych gdańskich osiedli mieszkaniowych: Zaspły, Żabianki, Moreny, Przymorza. Od dawna produkuje gotowe, płytowe elementy budowlane, wrosła już w lokalny podgdański pejzaż; stały się zresztą Kokoszki częścią gdańskiego molocha urbanistycznego.

Nie doczekał tych wszystkich przemian były sołtys wsi Bysewo, Józef Krause. Zmarł w wieku 75 lat zaraz po zakończeniu wojny. O całe 20 lat przeżyła go żona Anna.

To do jej domostwa zaszedł Grass przed wielu laty: „W roku 1958, gdy po raz pierwszy otrzymałem wizę i przyjechałem tu z wyblakłymi wspomnieniami...”.

I choć były takie właśnie lub może autorowi tych słów pisanych po latach wydawało się, iż takie właśnie były, pomieścił w swoim powieściowym debiucie i te słowa: „Och, ty szalona kawalerio! Uganiająca się konno w poszukiwaniu czarnych jagód. Z lancami, które zdobią białoczerwone porporczyki”.

Polski temat ciągnie się za nim jak świetlista smuga rozjaśniająca wszystko wokół. Wewnętrzne niemieckie sprawy, własne obolałe miejsca, magię wspomnień z dzieciństwa, całkiem terażniejsze rozmyślania.

W tym kraju — to o Republice Federalnej rządzonej podówczas przez frakcję CDU/CSU — szuka się ostatnio ziemi Polaków przy pomocy kredytów, kompasu, radaru, różdżek i delegatów humanizmu, przywódców opozycji i strojów zabezpieczających przeciw

molom ziomkostw. Podczas gdy w tym kraju szuka się ziemi Polaków duszą — na pół Szopena, na pół zemstą w sercu.

Dziś utrzymują — i on sam nie sprzeciwia się takim opiniom — iż tak go ów „temat gdański” uwierał, na tyle gniół go, niczym przyciasne ubranie, że nagle, pewnego dnia, zapragnął wejść weń całym sobą. Spróbować rozeznaczyć się w nim i rozpoznać. Zdarzyło się zatem tak, że uniwersalny poeta, autor groteskowych sztuk scenicznych, zasiadł pewnego dnia do stołu — rozłożywszy uprzednio na nim plan swego miasta? podręczniki jego historii? własne dziecinno-młodzieńcze notatki? zdjęcia, ryciny? I wówczas zaczęło się to wielkie Günтера Grassa pisanie.

Na długich pięć lat tak się zamknął z samym sobą i wizją swych arcyważnych, nie tylko dla siebie samego, wspomnień. Alchemia twórcza. Podobno jednym ciągiem machnął kilka tysięcy stron i je właśnie, ledwo trzydziestkę przekroczywszy, zaniósł pewnego dnia do wydawcy. To że wykrojono z tych maszynopisów opowiadanie i dwie powieści, składające się na „gdańską trylogię”, wynikać miało także z przyjrzenia się owej wizji miasta wzrokiem spokojnym i na zimno, z dystansu niejako.

Samo miasto bowiem w różnym stopniu i nasileniu, lecz wszechwładnie tam było obecne. Miasto w rzeczy samej niezwykle. Pradawnie północne, nadmorskie. Wyrokami historii naznaczone piętnem pograniczności. Na przecięciu szlaków komunikacyjnych, handlowych i kulturowych leżące. Tych wiodących ze wschodu na zachód oraz z południa na północ. U ujścia do Bałtyku jednej z największych rzek Europy leżące. Kiedyś wprzęgnięte w orbitę struktur nowoczesnego świata. Niegdyś miasto hanzeatyckie. Zdobywane i płańdrowane. Przez Krzyżaków, Prusaków, Napoleona, kolejnych królów polskich i wielu innych wodzów. Obiekt westchnień zaciekleń zwolenników pangermanizmu. Bezpośredni powód najkrwawszej ze światowych wojen. Tygiel wielu języków, wyznań, kultur, narodów. Światowe miasto, któremu zagrażał los Babilonu, Niniwy i Kartaginy. Jednak ocalało. Również na kartach powieści Grassa. I także dzięki nim.

(1972–1978)

## Było raz sobie miasto...

Było raz sobie miasto, które miało przedmieścia: Orunię, Siedlce, Oliwę, Emaus, Pruszcz, Święty Wojciech, Młyniska, a także portowe przedmieścia zwane Nowym Portem oraz przedmieście, które zwało się Wrzeszcz. Wrzeszcz był tak wielki i tak mały, że wszystko, co się na tym świecie zdarzyło lub zdarzyć się mogło, zdarzyło się także we Wrzeszczu lub zdarzyć się mogło.

Na tym przedmieściu pomiędzy śnieżnymi wzgórzami, placami ćwiczeń, nawodnionymi polami, zaledwie wydzielonym cmentarzem, warsztatami okrętowymi, boiskami sportowymi i koszarowymi blokami, we Wrzeszczu, gdzie znalazła schronienie okrągła liczba 72 tysięcy zameldowanych mieszkańców, 3 kościoły, jedna kaplica, dwa gimnazja, jedna szkoła średnia, jedna szkoła przemysłowa i jedna ekonomiczna, gdzie wciąż za mało było szkół powszechnych, za to mieścił się browar z piwnicą na lód, tutaj we Wrzeszczu mieściła się fabryka czekolady „Baltic”, lotnisko miejskie, dworzec i sławna politechnika (Technische Hochschule), dwa niejednakowo wielkie kina, magazyn kolejowy, zawsze wypełniona hala sportowa oraz wypalona synagoga.

Ten jego Wrzeszcz zwał się Langfuhr. Musiała to być dlań niespodzianka sporego kalibru, taka odmiana oswojonego Langfuhr na świszcząco-zgrzytliwo-piszczący Wrzeszcz. Lecz może to tylko złudzenie, być może uznał rzecz całą za ekwiwalentną, tak bardzo obie te nazwy (trudno sobie wyobrazić bardziej niepodobne) siedzą w językach, z których pochodzą. O starszeństwo i dłuższy rodowód każdej z nich może i spierać się nie warto. One po prostu są. To znaczy jedna z nich była, druga zaś jest obecnie. Bo obie raz na zawsze wpisane zo-



stały w dzieje tego miasta, tego przedmieścia, tego, jak zaraz się okaże, mikroświata spoistego i jedyne w swoim rodzaju. Nazwy miast, dzielnic, przedmieść, jak ludzie: odchodzą i przychodzą, stając się po pewnym czasie ich częścią integralną.

Ten więc jego Wrzeszcz, powtórzmy, zwał się Langfuhr i dotykał od zachodniej strony, z dalekim wywinięciem w kierunku północnym, samego już Gdańska. Inaczej: był tego Gdańska wcale pokazną częścią. Gdańska kościołów, sklepów, urzędów, dwóch stoczni (Schichau i Danziger Werft), Starego i Głównego Miasta. Był dla tego Gdańska rodzajem sypialni, lecz, jak chce tego Grass, nie tylko. Był tworem samoistnym i autonomicznym. Uwierzmy mu, bo wie lepiej. Nawet gdy w swoim patrzeniu na MIASTO zastygł, niczym Oskar, w dziecięcym patrzeniu.

Tu było jego wszystko. Miejsce, dom, gdzie przyszedł na świat — przy Labesweg 13. W tym miejscu doczekał swej osiemnastoletniej dorosłości czy, jak kto woli, pełnoletności. Tu chodził w dziecięcych portkach i tu z nich wyrastał, tutaj, na słabych jeszcze nóżkach, obchodził wszystkie krańce tego świata, który jawił mu się obszerny i dalekosiężny, nieomal bezgraniczny, a przy tym jak położony. Pomiedzy morskim brzegiem od jednej, tej północno-wschodniej strony, pasmem połodowcowych wzgórz okolony od strony południowo-zachodniej, dźwigami portowymi i stoczniowymi, przez które przenikały gdzieś brunatne, rude wieżycy starych stylowych gdańskich kościołów — od wschodniej strony, od zachodniej: letniskowo-kurortowy Sopot. Cztery światy i każdy odmienny. I pośrodku ten jego, harmonijnie pełny, zupełny i kompletny.

A po latach napiszą, bo jakoś tę rzecz nazwać było trzeba, iż urodził się „na drobnomieszczańskim i robotniczym przedmieściu Gdańska — Wrzeszczu”. Tak nad Łabą to określa, w sposób być może nadto ogólnikowy, za to chyba niezbyt daleki od prawdy.

Ten mały z Wrzeszcza wszelako chciał się z drobnomieszczanina przedzierzgnąć w szlachcica (pióra) i to mu się po latach wielu udało nad podziw. Lecz jego Wrzeszcz zwany Langfuhr miał w tym swój udział doprawdy niemały.

Tak więc tu się urodził w anturazhu, jak to określa, „dziecięcych objawów braku apetytu, licznych przesądów, dziecięcych strachów, świątobliwych pieśni, dziecięcych tonów jego liryki”. („Kto tu się śmiał? Kto śmiał się tutaj? Tutaj wyśmiał się”). W Gdańsku Wrzeszczu zatem mieszkał pewien chłopczyk, który nazywał się Günter Grass i który nigdy nie był milczącym chłopcem, a po latach wszyscy wiedzieli dlaczego. Bo od pierwszych swych dni miał on wiele ludziom do opowiedzenia.

Choćby o mieście związanym ze sprawami świata historią wojen napoleońskich oraz dwóch światowych, nadto robotniczymi protestami roku 1970 i 1980. To na wieść o tutaj rozpoczętej drugiej ze światowych wojen czcigodni, acz mocno przestraszeni francuscy *gentilhommes* pytali: *Mourir pour Danzig?* Niczego zdawało się nierozumiejący, choć wystarczyło, by przypomnieli sobie rok 1918 i pałac w podparyskim Versailles, gdzie zapadły pewne brzemienne w skutki decyzje.

Po latach zaś krytycy oceniają, iż ta jego chęć zwierzenia się, opowiadania innym o swoim mikroświecie, znajdowała się dokładnie na linii od lokalnego do uniwersalnego. Odrzucenie zaś własnych korzeni mogłoby być równoznaczne ze zubożeniem twórczości o rzeczy istotne. Jego zaś polski tłumacz i przyjaciel w jednej osobie (mieszkaniec Wrzeszcza i ulicy Lelewela, jak dziś nazywa się dawna Labesweg, tak, tak, tej samej), Bolesław Fac, wypowie o tej sprawie sąd celny i istotny:

Dowody na doniosłość drobiazgów dla dzieł ważnych, uniwersalnych niesie ze sobą na przykład Joyce, którego *Ulisses* jest właśnie książką o Dublinie i dublińczykach, o mieście tak dokładnie odtworzonym w tekście, że można na tej podstawie sporządzić mapę starego miasta. A jednak jest to książka o Ulisiesie, prastarym micie o człowieku poszukującym przeżyć, z których składa się uroda życia, wracającym w końcu do miejsca, skąd przybył, do swego pradziectwa, prałoża, tego, które zapowiedziane było, zanim narodził się Oskar, bohater *Blaszanego bębenka*. Na tę samą pisarską drogę wkroczyli William Faulkner, eksponując Południe USA, Kafka, zamykając się na obszarze austriackiej Pragi, Marcel Proust z Combray.

I Johannes Bobrowski — dodam już od siebie — grając na swoich *Litewskich klawikordach*, pisząc o *Balticum*, Siegfried Lenz z krajobrazem wypełnionym aurą *Muzeum ziemi ojczystej*, czyli owym nieprzekładalnym wprost Heimatmuseum. I jeszcze Czesław Miłosz z rzadka wyprawiający się poza *Dolinę Issy*, Tadeusz Konwicki tyle samo w swoich powieściach, co i w filmach przepelnionych klimatem podwileńskich stron.

U nas oczywiście — ciągnie swój wywód B. Fac — Bolesław Prus z Warszawą pod zaborem rosyjskim, Bruno Schulz z jego nieodłącznym Drohobyczem, poza który piórem nie wychynał nigdy, czy Andrzej Kuśniewicz z Galicją Franza Josefa.

Tak więc najpierw musi coś istnieć, by można to przenieść w stan pełnego, literackiego posiadania. W takich książkach realizmem jest to, że opisuje się zdarzenia między ludźmi, zdarzenia, które mogły rozegrać się tylko tam, w tych konkretnych miejscach. W książkach tych morze będzie bardziej morskie, ból bardziej bolesny, głód bardziej dotkliwy, podłość bardziej podła.

Oto na parterze domu przy Labesweg 13 mieści się sklep kolonialny prowadzony przez Helene Grass. (Na planie filmu Schlöndorffa podług *Bębenka* został on w sposób możliwie wierny odtworzony, potem zaś przemknął tylko przez ekran, bądź też wcale go tam nie było).

Mama zleżała w domu. Gdy wystąpiły bóle, stała jeszcze w sklepie, nasypywała cukier do niebieskich funtowych i półfuntowych torebek. W końcu było już za późno na przeniesienie jej do kliniki położniczej, trzeba było zawołać starą akuszerkę z pobliskiej ulicy Horty [dziś: Konrada Wallenroda — R. C.], która już tylko z rzadka sięgała po swoją walizczkę.

Gdańskie ulice, ulice Wrzeszcza, ulice Langfuhr. Ich nazwy niegdysiejsze, wydawało się raz na zawsze odeszłe w zapomnienie, pokryte kurzem historii, pod jego piórem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ożywające z nagłą na kartach jego „gdańskich” książek, choć tamte szyldy urzędnik magistracki nakazał zdjąć dość już dawno temu. Nie wszystkie zresztą, nie wszystkie, co już za chwilę się pokaże dowodnie na poszczególnych przykładach.

Glettkauer to dzisiejsza ulica Jelitkowska. I w pierwszej z tych wersji występuje na kartach jego książki, tłumacz zaś polski trudność ma dodatkową, opatrzyć musi tekst oryginalny w dopisek polski. I tak za każdym razem...

„Okazja do tego zdjęcia — napisze Grass w którymś miejscu *Bębenka* — nadarzyła się na rogu Magdeburgskiej i Poligonowej, koło polskiego domu akademickiego”. Bo tam właśnie, na rogu dzisiejszych ulic Kościuszki i Niedziałkowskiego\*, znajdowało się mieszkanie Brońskich. Tłumacz takiej książki na język polski nadto jeszcze tropicielem być musi nie lada, takim współczesnym archeologiem-toponomastą. Z łatwością wyobrazić można sobie wydanie krytyczne (pod jednym warunkiem: niechby było natchnione) Grassa gdańskich utworów, w którym naliczone przez pisarza topole doprowadzone by zostały do stanu obecnego. Gdy zaś pada określenie: „polski dom akademicki”, skrzętny poetycki komentator wie już, co z tym fantem robić; odnosi go do wielości bitew na pięści, jakie się w tym miejscu rozegrały pomiędzy polskimi, zgrupowanymi w „Korabiu”, a niemieckimi studentami z „Technische Hochschule zur Danzig”. Wie niejedno o ich przyszłych losach, o ich spotkaniach po latach w stocznjach Gdańska, Gdyni, Bremerhaven i tylu innych.

Nasza kamienica — i taki opis swej domowej kolebki Grass pozostawi — miała cztery piętra. Z parteru wspinałem się na strych i wracałem schodami na dół. Z Labesa podą-

\* Obecnie al. Legionów [R. C. — 1999 r.].

żalem na plac Maxa Halbego, stamtąd na Nowe Szkoty, ulicami Antoniego Möllera, Marii, przez park na Kuźniczках, obok browaru, nad stawem, przez łąkę Fröbela, obok szkoły Pestalozziego, Nowym Targiem i z powrotem na Labesa.

Tłumacz ma w tekście Grassa Neuschotland i pisze: „Nowe Szkoty”. Bo wiem tak dzisiaj zwie się to nieduże osiedle niewysokich czerwonych domków, ślad w nazwie pobytu i wkładu do dziejów Gdańska szkockich kupców i żeglarzy z dawnych wieków. Lecz w tej metodzie jest niekonsekwentny (z pozoru, jak się okaże, z pozoru tylko), bo placu Maxa Halbego nie sygnuje jego dzisiejszą nazwą — ks. Bronisława Komorowskiego, chcąc najwyraźniej zachować ów „langfurcki” *couleur locale* nazewniczy. Nowego Targu także nie nazywa placem Wybickiego, za wszelką cenę broniąc się przed owym *cicer cum caule*. Za to podaje nazwę szkoły Pestalozziego, tak jak to niegdyś bywało, mimo że dziś jest to Liceum Ogólnokształcące nr 2 i szkoła podstawowa pod jednym dachem przy ulicy... Pestalozziego.

A Labesa nie przedzierzgnęła się naraz w Lelewela i dobrze, że tak właśnie się nie stało.

Co innego wszelako przykuwa uwagę w wędrówce ledwo od ziemi dorosłego pętaka — trasa, którą bieży po mapie swoich wspomnień. Bo tylko Labesa i MaxHalbePlatz, i Nowe Szkoty są na jednej, logicznej, linii marszruty. Niejako lunatyczność czy rytualność towarzyszy tej drodze ku słońcu dzieciństwa, stała jest jego gotowość do wszczynania wciąż nowych i nowych wypraw z przerzucaniem się ustawicznym od Nowych Szkotów do Kuźniczek i od Brzeźna pod Zaspę i Brętowo, jakby dla wyznaczenia granic nakazanego sobie świata, dla ich dokładnego rozpoznania i oswojenia poprzez węch, zapach i dotyk, poprzez postrzeganie każdego szczegółu po drodze, jego lepsze spamiętanie. Nic więc nawet zdrożnego w tym, iż niektóre pokonywać musiał chryżym lotem ptaka bogato upierzonego, który wie, gdzie jego gniazdo i jaka trasa przelotu.

„Od Brzeźnieńskiej — jak gdzieś napisze — do osiedla przy lotnisku, a więc w całej naszej dzielnicy”.

I jakby od tego nie mogło już być odwołania. Ręką wspartą o wyobraźnię zatoczył przy tym obszernie i zamasyście, uchwycił zaś niewiele, choć w sam raz tyle, ile sobie zamierzył. I mędrca szkiełkiem i okiem może i nie warto już za tym śladem nazbyt drobiazgowo podążać, boć czy jasną smugę światła, jaką jest wyobraźnia, da się złapać i okiełznać?

A oto i elementy tego świata...

Jego epicentrum — ulica Labesa. Nieco w bok szkoła Pestalozziego (ten

szwajcarski pedagog znalazł uznanie magistratów zarówno przedwojennego, jak i powojennego)...

Szkola Pestalozziego był to nowy, ozdobiony nowocześnie sgraffitami i freskami trzy-piętrowy, podłużny gmach z płaskim dachem, wybudowany przez senat wielodzietnemu przedmieściu na usilne naleganie wówczas jeszcze bardzo aktywnych socjaldemokratów.

Grassa swoisty *genius loci* wsparty został całkiem dzisiejszą wizją tej szkoły, zda się niczym niezmienioną, tyle że posuniętą w latach, co jej zresztą niewiele ujmuje, dodaje zaś barwy szkole przynależnej.

Pomnik Gutenberga zdmuchnięty został wiatrem historii. Stał gdzieś na wysokości Jaśkowej Doliny\*, gdzie „popołudnie i spaceruje kasztanowymi alejami do Jaśkowego Lasu”. I gdzie dzisiaj, jak dawniej, wzgórze morenowe łagodnie unoszą się ku górze, lesiście, w zieloności całej, stanowiąc — to *novum* niewątpliwe — kolorystyczne tło dla rządów nowoczesnych bloków osiedla mieszkaniowego Morena, głęboko wrzynającego się w pejzaż tej okolicy.

Park Steffena z kart jego powieści nosi dziś imię komunisty Marcina Kasprzaka\*\*. A wtedy, roku dwudziestego dziewiątego w cieniu kilkusetletnich drzew spacerował mały Günterek z pamiątkowego zdjęcia w za dużej marynarskiej czapce, trzymany z obu stron za ręce przez osoby sobie najbliższe, mamę i swą kaszubską babkę. Alejki parku są bardzo starannie utrzymane, trawniki równo przystrzyżone, zadbane, klomby i kwietniki także. I babka Knoffowa z mamą uśmiechające się do obiektywu fotograficznego aparatu. I tylko nie wiadomo, kto stał po jego drugiej stronie. Poszlaki pewne poutykane są po książkach, lecz poszlaki tylko... Wyraźnie niezadowolony wydaje się z lekka naburmuszony Günterek, za to ciągnie za rączki na boki.

Bo już za chwilę... „z dwuletnią Morgą, córką Jadwigi Brońskiej, bawi się w piasku parku Steffena”.

Po sąsiedzku zaś dymiała i zapachem szeroko rozpościerającym się po okolicy dawała o sobie znać fabryka czekolady „w Jaśkowej Dolinie w górze na wzgórzach grochowych”.

Czas to był, gdy istniała w Langfuhr ulica Posadowskiego, nie można powiedzieć, z polską nazwaną. Mieszkała przy niej ciotka Kauer z *Bębenka*. Dziś w jej sztyldzie widnieje nazwisko pierwszego poety polskiego renesansu, Jana Kochanowskiego.

\* Stoi znowu w miejscu pierwotnym [R. C. — 1999 r.].

\*\* To miano zostało mu już odjęte [R. C. — 1999 r.].

Wówczas Aleja Zwycięstwa zwała się Hindenburgallee, Bolesława Chrobrego (łącząca Wrzeszcz z ościennym Brzeźnem) Brösenstrasse.

Lecz Brzeźno było już samoistne, osobne, oddzielone od Wrzeszcza całym niezamieszkanym pasmem przestrzeni, skutkiem czego nie mogło uchodzić za nadmorski cypel jego dzielnicy. Chyba gdyby ją jakim zamaszystym ruchem ręki zaanektować, wziąć w posiadanie bez reszty i nieodwołalnie. Wtedy... całym co innego.

Istniał przecież wspañiały łącznik z tym, co za rogatkami, „dziewiątka”, tramwaj z jego charakterystycznym terkotem „koło lotniska, koło starego i nowego placu ćwiczeń”, gdzie wysiadało się na mijance przy cmentarzu na Zaspie i czekało się, aż nadjedzie tramwaj z Nowego Portu i Brzeźna, by minąć wnet „Gut Saspe” (Dobrą Zaspę), „Friedhof Saspe” (Zaspę Cmentarz), tam gdzie dziś rozpościera się osiedle-gigant na 50 tysięcy mieszkańców na terenie wygospodarowanym z płyty miejskiego lotniska. Stąd i ulice tu bardziej „powietrzne”: Startowa, Pilotów i inne na podobną nutę.

Dalej było już tylko brzeźnieńskie kąpielisko, całe z ciemnozielono pomalowanego drewna, zgrzebne, własne, dzielnicowe, rzec można, nie żadne tam kurortowe, jak to sopockie, nadto jeszcze takie podręczne. I Dom Zdrojowy, i pomost, a jakże, i zakład kąpielowy.

A po sąsiedzku z Brzeźnem to już Jelitkowo, dawne Glettkau.

I owych „siedemnaście topoli pomiędzy Brösen i Glettkau”.

Bliżej zaś cmentarza oferował swe dary dom towarowy Sternfelda oraz leżał plac sportowy Heinricha Ehlersa. Za krematorium „pomiędzy cmentarzami a politechniką dymiło przy wschodnim wietrze”. Bowiem cmentarze aż dwa tu były — Zaspą, jako się rzekło, i — dużo większy — na Srebrzysku, dziś zwany Centralnym, gdzie, poza innymi, groby robotnicze z siedemdziesiątego roku. I park Uphagena (noszący imię kamienicznika z ulicy Długiej), i jeszcze hala sportowa.

W domu Helene i Wilhelma Grassów rósł zaś chłopak o szeroko na świat otwartych oczach, którymi zrazu „z poddasza można było ogarnąć ten labirynt: domy na Labesa, obu przecznicach Horty i Luizy”, dziś zresztą podmienionej na swojską Aldonę.

Nieco później odbijał się w oczach chłopca polski liniowiec „Czajka”, nadto:

dwa szare okręty liniowe ze staromodnymi wieżyczkami, pływający dok, zakłady piekarnicze „Germania”, (...) chaos stoczni Schichaua z wyjątkiem ogromnego żurawia obrotowego, starannie pielęgnowane kryte boiska sportowe, świeżo malowane bramki, na krótko strzyżona trawa, białe oznaczone pola karne, gdzie w niedzielę niebiesko-żółci (grali) przeciwko Schelmühl [Młyniska — R. C.] 98.

A klub sportowy, odnotuje Grass z precyzją sportowego kibica, był na Nowych Szkotach, w Młyniskach zaś drugi, konkurencyjny.

W oczach tego malca odbijała się dzwonnica i kościół Serca Jezusowego.

To on czterema tarczami zegarowymi pod zieloną cebulastą kopułą wskazywał całą dzielnicę od placu Maxa Halbego po katolicką kaplicę Marii Panny, która nie miała zegara, od Magdeburgskiej po Posadowskiego w pobliżu Młyniska; dzięki niemu zarówno ewangelicy, jak i katolicy robotnicy, urzędnicy, sprzedawczynie, uczniowie szkół podstawowych i gimnazjaliści, niezależnie od wyznania, mogli stawić się punktualnie do pracy czy w szkole.

Zaiste głęboko wrósł kościół w pejzaż jego miasta, ten neogotycki, zbudowany „z szybko ciemniejącej cegły”, głęboko i na zawsze zajął swe miejsce, skoro na jego okoliczność uczynił był wyznanie:

Przyznaje, że kamienne płyty w katolickich kościołach, że zapach katolickiego kościoła, że cały katolicyzm w niewytłumaczalny sposób fascynuje mnie do dziś jak, czy ja wiem, jak rudowłosa dziewczyna, chociaż rude włosy chciałbym przemalować, a katolicyzm podsuwa mi bluźnierstwa, które ujawniają raz po raz, że ja, choć nadaremnie, to jednak nieodwracalnie otrzymałem katolicki chrzest.

Jak o tym mówił w wywiadzie dla francuskiej dziennikarki Nicole Casanova? „Moja matka była katoliczką, ojciec — protestantem. Katolicyzm był mocniejszy, chowany byłem w tej wierze, choć raczej w luźny sposób”.

Katolicyzm i morze, morze i katolicyzm były tu wszechobecne, wyznaczały granice myślowego uzurpatorstwa, określały czasoprzestrzeń.

A jeśli kościół, to Serca Jezusowego we Wrzeszczu, ten „kryty miedzią (którego) hełm prędko dorobił się grynszpanu”.

I kaplica Marii Panny, choć nie miała zegara na swojej wieży.

A także ryngraf z Matką Boską znaleziony na brzeźnieńskiej krypie. „Była to, jak głosił również wypłowiały napis, słynna Matka Boska Częstochowska”.

W *Kocie i myszy* wyliczy na sposób encyklopedyczny, z zadawnionych zakamarków pamięci powyrywa, te wszystkie „Gryfy”, „Wichry”, „Bałtyki”, „Czajki”, „Mewy”, „Jaskółki”, „Czaple”, powoła się na znajomość „Błyskawicy”, „Gromu”, „Orla”, „Rysia”, „Żbika” i „Sępa”, tych wszystkich statków i okrętów polskiej floty pasażerskiej i wojennej, najwyraźniej obiektów jego młodzieńczej fascynacji. Gdy inni znaczki czy naklejki do zapalek, on kolekcjonował w pamięci te wszystkie nieduże, lecz czymś go wabiące morskie jednostki.

Polska flota nie była duża, ale ambitna — napisze. — Zналиśmy na pamięć jej nowoczesne, przeważnie w Anglii lub we Francji spuszczone na wodę jednostki i potrafilіśmy wymienić ich uzbrojenie, tonaż, szybkość w węzłach [...].

Powiedzmy, iż ułatwieniem było, że za wiele Polska ich nie miała. Coś w nich tajemnego być musiało — może miniaturowość właśnie? — iż przyciągały do siebie chłopców tamtej generacji z jelitkowsko-brzeźnieńkiego brzegu.

I inna jeszcze *idée fixe* Grassa już dorosłego: słabość do polskich nazwisk.

Pan Olschewski to obsesyjnie reformistyczny młody nauczyciel, nadto ła-  
two dający się uczniom podpuszczać do odpowiedzi na liczne pytania.

Eugen Flakowski jest właścicielem sklepu z artykułami pierwszej potrzeby.  
Jochem Witulski to po prostu kolega Eddi Amsela.

I jeszcze dziewięciolatek Helmut Lewandowski, jeden z tej sporej lang-  
fuhrckiej czeredki, do której nadto należeli sami już Matulle, Kanuthy, Ziehmowie.

W Gdańsku Wrzeszczu mieszkała nadto pewna dziewczyna, która nazy-  
wała się Tulla Pokriefke i była milcząca, tylko nie wiedział nikt dlaczego.

Już jej nazwisko było dziwaczne. Obce dla obcych, swojskie dla swoich.  
Wywodziła się zaś z rodziny pomorskich Kosznajdrów, przesiedlonych w te strony  
na południe od Chojnic (Konitz), hen w czternastym stuleciu na owe „Ritter-  
gutts”, posiadłości rycerskie, do tych wsi już w samych nazwach brzmiących od-  
miennie od choćby sąsiednich kaszubskich. Cekzin, Petzin, Osterwick, gdy spoj-  
rzeć na nie pod jednym kątem, przez jedną optykę: Cekcyn, Pecyn, Ostrowite,  
gdy z polska je odczytać.

Skąd czerpał Grass wiedzę o Kosznajdrach, czy domowo się o nich otarł,  
familijnie?

Bo Tulla, póki co, wraz ze starszym od niej bratem Konradem, osiadła  
we Wrzeszczu (w Langfuhr raczej), na skutek przeprowadzki z Ostrowitego. Z tej  
wsi tradycyjnej, a przecież już w samej nazwie poddawanej ustawicznym przecią-  
gom, podmuchom, wichrom i dziejowym zefirom.

(...) od XIV stulecia aż do Tulli narodzin w roku 1927 tak była pisana. Ostrowig, Osir-  
wick, Osterwyk, Osterwig, Osterwyk, Ostrowit, Ostrowite, Osterwieck, Ostrowitte,  
Ostrów. Kosznajdrowie mówili: Oustewick. Polski korzeń nazwy wsi Osterwick, słowo  
OSTRÓW, oznaczało rzeczną wyspę lub wyspę na jeziorze.

Była jednego razu dziewczyna o nazwisku Tulla Pokriefke, która odpłynęła w mroki hi-  
storii, ale ślad wszelaki po niej nie zaginął.



Był czas dziecięcych uciech i uniesień.  
Była radość przeżywania naprawdę i prawdziwie.  
Była gdańska synagoga spalona w trzydziestym ósmym.  
Był morski brzeg pełen wraków polskich statków.  
Były gazety o tytułach „Neuesten Nachrichten” oraz „Volkstimme”.  
Był Eddi Anselm, alumn gdańskiego „Conradinum”, chórzysta z kościoła Marii Panny.  
Były linie tramwajowe „piątki” i „dziewiątki”.  
Było też sobie raz miasto, którego przedmieście zwało się Langfuhr.  
Była więc Tulla i było Langfuhr.  
Było to wszystko i oni wszyscy, a wraz z nimi ten, który świat ten unieśmiertnił.

Padaly pod adresem Güntera Grassa pytania rozmaite. Nie na wszystkie był w stanie odpowiedzieć. W tym i na to także — o przyczynę nieopisania „polskiego” Wrzeszcza. Bo był taki w czasie jego dziecięcego wzrastania. Jaškowa Dolina i osada Strzyża, pomna jeszcze czasów panowania księcia pomorskiego Sambora I, dwunastowieczna. Z mnóstwem młynów, źródłem bogactwa miejscowej ludności. Skok do okresu międzywojnia, do czasów Wolnego Miasta Gdańska. Skupisko ludności polskiej tamtego czasu we Wrzeszczu oblicza się na trzy tysiące. Wspomina się o Towarzystwie Ludowym „Gwiazda”, założonym już w grudniu 1918 roku; o Towarzystwie Młodzieży Polskiej; Towarzystwie Polek o 3 miesiące od tamtych młodszym oraz o filii Zjednoczenia Zawodowego Polskiego z sierpnia 1919 roku. Nadto o działalności Rady Ludowej przekształconej z czasem w filię Gminy Polskiej, o Zespole Chóralnym „Cecylia”. I — już z lat 30. — o Związku Polaków, Kole Pracy Kobiet oraz — z roku 1937 — o filii Gminy Polskiej Związku Polaków, organizacji jednoczącej polskie społeczeństwo w Wolnym Mieście Gdańsku.

Czy o tym wszystkim wiedział Grass tamtą porą? Wątpić w to mocno należy. A jeśli daleko później uświadomił sobie fakt istnienia tej wielości polskich organizacji, skoro wówczas znajdowały się poza orbitą jego postrzegania, najwiodoczniej nie było powodu wprzęgać ich do twórczej alchemii.

I jeszcze ochronka polska jedna i druga. Trzy polskie klasy w senackiej szkole. Sześć klas w roku 1937.

Do kościoła św. Stanisława, kościoła polskich katolików we Wrzeszczu, już nie docierał w swych wędrówkach wyrostka. Na stadion klubu „Gedania” raczej nie zachodził. Nie mógł więc być świadkiem owych licznych wówczas festynów, pokazów Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

Może nazbyt szeroka, przelotowa, zbyt ruchliwa ulica stawała na przeszkodzie w rozpoznawaniu kształtu rzeczy po „tamtej” stronie? Kiedy indziej obszerne budynki pruskich koszar. Fabryczka jaka, kto wie — linia tramwajowa?

Choć te na ogół bywały łącznikami pomiędzy różnymi światami. Nie dotarł wszędzie i już. Takim bowiem to miasto zobaczył, takim je sobie uświadomił po latach, gdy przyszło mu piórem swym je unieśmiertelnić.

(1982)

## Wiersze polskie

A czego nie wypowiedział w prozie, czego nie dał rady opisem, narracją, to przenikało wprost do jego utworów wierszowanych. Stąd może proza jego taka poetycka, poezja zaś taka opisowa. A że niejeden z wierszy i tematycznie nazbyt od prozy nie odbiega...

Poezja nie rodzi się na ugorze. Wspiera ją myśl twórcza, ruch artystyczny, poetycka grupa. Czasami, choć dużo rzadziej, materia poetycka, owo twórcze lepszycze wydobywające się na zewnątrz pod postacią słów, metaforyki, obrazowania. Istnieje jednak jeszcze jeden rodzaj poetyckiego komponentu: temat wiersza. Ów oryginalny, składa się na jego wyraz osobny, swoisty.

W tym kontekście należy rozpatrywać, sądzę, ów szczególny fenomen poezji światowej — wiersze autorów niemieckich o Polsce. Pisane przez sąsiadów o sąsiedzie. Jakby na przekór historii, jej wbrew. Z początku — w momencie narodowego Polski bezistnienia, ekspiacyjne, dużo już później (skutek widomy drugiej ze światowych wojen), bezceremonialnie przyjazne, dociekliwe, wnikliwe u poetów generacji najmłodszych. I na tym tle dopiero samorodna twórczość poetycka Günтера Grassa, tego berlińczyka z powidokiem Gdańska pod powiekami.

A przecież miał Grass, jako się rzekło, licznych poprzedników w tym dziele. Wszedł więc niejako na przygotowaną przez nich (na sposób poetycki) ziemię. Jak bądź by się to miało komu kojarzyć, była to ziemia Polaków, kraina

Polaków, strony polskie. Od tysiąclecia wobec Niemców sąsiednia. Polacy na niej żyli, choć — wówczas, w XIX stuleciu — kilka dziesięcioleci już miało bez polskiej państwowości.

A zatem, jako się rzekło, miał Grass protagonistów wielu.

*Polenlieder* — czyli pieśni polskie. Narodziły się z odruchu solidarności i współodczuwania. Nie były czczym gestem, lecz odruchem współczucia. Niczym nie zafałszowanym wybuchem uczuć Polsce i Polakom przyjaznych. Tym bardziej rozbijające w intencjach były te wiersze (jakże liczne, zalew to był po prostu), iż płynęły znad Renu, Łaby i Sprewy. A działo się to wszystko porą listopadowego powstania („Listopad, niebezpieczna dla Polaków pora”, jak pisał poeta), na początku lat trzydziestych poprzedniego wieku.

Pieśni polskie, wiersze polskie. Zrodzone w wyniku natchnionego spotkania z polskim tułaczem, z wolnościową legendą powstańczego zrywu narodu leżącego nad Wisłą.

A było ich, tych poetów piszących o Polsce, siedemdziesięciu jeden. Nie mniej, choć być może dużo więcej, jako że wiele jest w tym zestawie wierszy podpisanych słowem „Anonim”, co znaczyło wówczas zgoła co innego, aniżeli dzisiaj znaczy. Poetów, którzy swym gęsim piórem sprzymierzali się, za pomocą owej *Polenliteratur*, z polską sprawą, z tą nagłą erupcją narodowych polskich uczuć, prowadzącą do powstania przeciwko przemożnej sile zaborcy.

Były więc wiersze o Tadeuszu Kościuszcze, mianowanym przywódcy zbrojnych chłopów polskich. Były inne utwory o Sobieskim, o Poniatowskim. I był wiersz zatytułowany: *Manifest Polaków mówiący o sprawie naszej*.

O „naszej”, a zatem o wspólnej sprawie, o sprawie bratniej.

Był także anonimowy wiersz *Finis Poloniae*. Ponad sto lat później do tego samego tytułu sięgnie jeden z największych niemieckich poetów XX wieku, Gottfried Benn, w czym pomimo różnic treści, formy i obrazowania, będzie ciągłość myśli i współodczuwania.

I było *Pożegnanie Polaków z ojczyzną*, był *Wygnaniec polski*. I jeszcze pieśń *Do Polaków* Karla Geiba zaczynająca się od słów:

Uciekają z ojczyzny. — Czy płaczesz, Polonio,  
Twoich nieszczęsnych synów? — Powstrzymaj łzy gorzkie!

Brzmiał *Mazur* Herro Haringa, ów „taniec narodowy Polaków”. Pisał Karl Harlossohn swe wiersze *W porze świąt*.

A dzisiaj lud w rozsypce.  
Z warszawskich pierzcha pól,  
By błądzić po bezdrożach.  
Smakując klęski ból.

Nadto pisze wiersz *Do Polaków*.

Były to wiersze może i o nie nazbyt skomplikowanej strukturze czy przesłaniu, pieśni raczej agitujące, przepojone patosem

Musicie wskrzesić bohaterów rody  
Kościuszki, Poniatowskich wiek!

Historia zna *Zimę 1832* Nikolausa Lenaua, *Pułk czwarty* Juliusa Mosena („Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę, Przysięga klęcząc: Naszym świadkiem Bóg!”), zna też *Kosyniera i Umierającego Polaka* Ernsta Ortleppa, *Nocną przeprawę przez Wisłę* Augusta von Platena, *Uchodźcę* Gustawa Schwabego oraz Uhlanda wiersz z roku 1833, a więc powstały w kilka lat po upadku powstania, pt. *Do Mickiewicza*:

U wiślanych tam wybrzeży  
Piorunowa huczy burza.  
W świat daleki echo bieży,  
O niemieckie trąca wzgórza.  
Tną szablice, wałą kosy,  
Zastęp męczyzn mknie do dzieła.  
Chór uderza pod niebiosy:  
— Jeszcze Polska nie zginęła!

Dynamizm tego wiersza, zawarta w nim szczerza intencja i końcowe forte brzmia tu zgola rewolucyjnie, a to za sprawą strof *Mazurka Dąbrowskiego* pióra Kaszuby Józefa Wybickiego, powstałego w 1797 roku, a od 1918 będącego polskim hymnem narodowym.

Zresztą okrzyk ów nieraz bywał wykorzystywany w utworach autorów niemieckich. Można powołać się choćby na inkantację Grassa w *Błaszanym bębenku*. Co prawda nie poetycką, za to pełną poezji, tyle w tym jego okrzyku spontanicznej emocji. Zwłaszcza iż towarzyszył tym słowom rytm uderzeń pałeczek Oskara na jego biało-czerwonym dziecięcym bębenku.

Ale to będzie później.

Mijają lata. Motywów polskich w wierszach autorów niemieckich jakby

niecو mniej. Epoka Bismarcka nie sprzyja zbytو snuciu poetyckiej refleksji na ościenne tematy. Chyba że dla pielęgnacji negatywnego wzorca Polaka. Tak, to się zdarza. Droga od wierszy-pieśni Lenaua, Uhlanda, Kellera, Grillparzera, Hebbła (jego także), Wertha, w których pełno wyobrażeń szlachetnego, rycerskiego, romantycznego Polaka (*der edele Pole*) — choć i zbiedniałego, nieszczęśliwego, wynędzniałego, wyzutego z ojczyzny, prowadząca do wierszy XX-wiecznych, jest sinusoidą dość wiernie oddającą wzajemne sąsiedzkie stosunki mające swe źródło w dramatyzmie losów dziejowych obu tych państw i narodów. Jest to droga przemierzona przez wybrańców tych narodowości, ukazująca tak relacje wzajemne, jak i przemyślenia pomazańców.

Godzi się w tym miejscu powołać na świadectwo poetyckie pozostawione przez Gottfrieda Bennę (1886—1956) oraz Güntera Grassa.

Pierwszy z nich wymieniany jest w rzędzie największych reprezentantów niemieckojęzycznej literatury XX wieku, w sąsiedztwie Kafki, Musila, Döblina, obok poetów, których chyba przewyższył, jak Trakl, Heym czy Werfel. Słowem ten, który zyskał miano „najpotężniejszego liryka od czasów Georgego”. Bohater podwójnego życia (*Doppelleben*), poeta nihilizmu, ekspresjonista, autor „narkotycznych” wierszy, liryków, refleksyjny filozof, mający znaczny wpływ na młodzież poetycką, w tym i na grono pisarzy spod znaku „Grupy 47”, w której, to chyba nie przypadek, pierwsze bądź drugie skrzypce grać będzie już niezadługo debiutujący jako poeta właśnie (tomem wierszy *Die Vorzüge der Windhühner*) Günter Grass...

W podwójnym życiu Gottfrieda Bennę było więc częściowo (*Teils-teils*) miejsce na rodzaj poetyckiego manifestu politycznego jego samego i ludzi jak on uwikłanych nie z własnej winy (nie tylko z własnej winy) w węzeł gordyjski okrucieństw wojny światowej.

Tamte dawne skończone  
Spopielale serca, posiwiałe włosy  
ogród w polskim posiadaniu  
groby też po części  
lecz wszystkie słowiańskie  
Odra—Nysa  
to bez znaczenia dla trumien  
dzieci je zapominają  
Starsi też po części  
jeszcze chwila  
i dalej czas w drogę  
Sela, kończy się psalm.

(przełożył Stefan H. Kaszyński)

Te szczyty niemieckiej XX-wiecznej liryki rozbłyskują całą paletą polskich barw. Jak w wierszu *Finis Poloniae*. Raz jeszcze pojawi się w tym wierszu listopad. I słowa końcowe: „cicho na grobie”.

A przecież i innych — dużo od Benna młodszych — poetyckich ambasadatorów Polski nad Renem nie brakuje. W przedziale roczników 1925—1930 naliczyłem sześciu takich, którzy temat polski uznali za jakoś dla siebie ważki i znaczący.

Oto Arno Reinfrank, autor *Polskiej skargi*.

Oto Johannes Poethen, piszący swój tren *Ku czci tych, którzy zmarli w obozach koncentracyjnych*.

Oto Heinz Piontek, nie trzeba się domyślać, więzami rodzinnymi powiązany ze śląską krainą historycznych przeciągów, pisze wiersz *Nad Narwią 1944* i tymi słowy go wieńczy:

O Panie z Polski, surowy pielgrzymie!  
W pyle twych stóp kościołów gaśnie słońce!  
Z ich wież spadają ptaki w czarnym dymie,  
gdy się twa krew z czerwienią ikon złączy.  
(przełożył Alfred Kowalkowski)

Pejzaż z Horsta Bienka:

Wspomnienie zimowego lasu  
zbójnickiego Pistulki  
brudnej rzeki nieskorej w swym biegu  
procesji Bożego Ciała  
pijackiego wrzasku u Mańków sąsiadów.

I nagle zgrzyt w tym sielankowym klimacie...

Później strzały prysnęły tędy  
gdy pasiaki pędzono z Oświęcimia.  
(Z *Gliwickiego dzieciństwa*)

A wszystko w imię „bezgłośnego upadku w dzieciństwo”, jak rzecz tę sam Bienek określił.

Czy dzieciństwo to wspomnienie

czy wspomnienie to dzieciństwo  
co zostaje  
gest i uśmiech i pieszczota włosów  
dzieciństwo to film  
rozwijany na siatkówce oka.

Oto zjawisko całkiem osobne w tej galerii ludzi, metafor i wierszy. Günter Grass z całym ciągiem wierszy na polskie tematy, z jakby pakietem polskich biletów wizytowych, owych nadwiślańskich *passee—partout*. Autor wierszy o wielu wątkach polskich, które w połączeniu z powieściową materią dają efekty arcydzielne, pojedynczo zaś, bez owego fabularnego kontekstu, są ich całkiem skuteczną i nieodwołalną zapowiedzią. Ich symptomem i często znakomitą introdukcją.

*Kleckerburg* jest poetyckim manifestem swoistej polskości Grassa, napisanym niegdyś na użytek antologii *Atlas*, mającej być zbiorową spowiedzią poetów na temat miejsc swego urodzenia.

Grass spowiada się tu ze swej młodości, „gdy opuścił ławę świadków, przed sąd, pod ścianę postawiony”. Czyni rachunek sumienia z przeszłości, dokonuje obrachunku to nieodrodne dziecko swego wieku przeniesione w inny wymiar z obszaru, „gdzie się granice rzekami kończą”. Urodzony w mieście, którego nazwę przeliteruje z polska w sposób dla krajanów zgoła niemożliwy do odcyfrowania: WRZESZCZ.

I dalej się potoczy ten Grassa „reportaż z poetyckiej pamięci”. Przez cmentarz, którego nazwę ukryje za słowami, że „nie istnieje już”. Zaludniony przez Hirscha Fajngolda, zjawiającego się w tym wierszu wprost z kart powieściowego *Bębenka*, jakby milczącego świadka czasu i wydarzeń. I ryczący Forster, i Motława, to „boczne ramię Wisły”.

Wiersz nurza się w polskości całej:

(...)  
zapachy, wytarte progi pod stopą,  
przedawnione długi, baterijki tylko  
szczęśliwe w lampach kieszonkowych  
i nazwiska, które są tylko nazwami:  
Elfriede Broschke, Siemoneit,  
Guschneurs, Lusch i Heinz Stankowski,  
i Chodowiecki także, Schopenhauer,  
tam się urodzili. Kiedy? Dlaczego?



„Tak, w historii zawsze byłem mocny”, przyzna autor *Kleckerburga*, może i pyszniąc się w nadmiarze. Po czym z miejsca wyklada karty historii na stół. I „pakta pokoju, mistrzów Zakonu, potopy Szwedów”, co zdradza już całkiem polską optykę, lecz na to ustawicznie się było narażonym mieszkując w mieście — integralnej, tamtą XVII-wieczną porą, częście Rzeczpospolitej. „I wszystkich Jagiellonów znam”, zaserwuje na deser ten, który ustawi się tym sposobem w jednym szeregu z dzieciarnią pochyloną nad różnobarwnym albumem królewskich obrazów Jana Matejki. „I kościoły wszystkie, od «Jana» do «Trójcy», w ciężkiej, rudej cegle”. Stąd zaś już krok zaledwie do wyznania: „Mój język na wargach jest podstępnie bałtycko-swojsko-ciepły”.

Wędruje wciąż Grass po mapie swoich wspomnień. Pamięcią (ściśłą nad podziw), wzruszeniem (o znacznej skali emocji), posiłkując się wciąż nowymi obrazami.

Nie na Siennej Grobli i łąkach podmiejskich,  
nie na Korzennej — ach, gdybym to ja  
jednak urodził się między spichrzami na wyspie! —  
obok browaru niedaleko Zaspy  
to stało się, dziś ulica ta  
zwie się po polsku Lelewela — tylko numer  
z lewej strony drzwi został, jest.

(przełożył Bolesław Fac)

A więc krajobrazy, obrazy z dzieciństwa wyjęte, z kart młodości. Wczesne powidoki jako siły sprawcze niejednej strofy, wielu poetyckich impresji. Jak i tej pochodzącej z wiersza *Adebar* (*Bociek*):

Niegdyś wiele tu było na pniu,  
na kominach stały bociany (...)  
one są dymem, białym na czerwonych nogach,  
osiadającym na wilgotnych łąkach.

Polskość jawiąca się pod barwą zdjętą z polskiego sztandaru (jak w *Adebarze*), katolickiego religijnego obrządku (jak *Boże Ciało* u Bienka czy „pył stóp kościółków” — u Piontka).

Raz jeszcze pojawia się motyw biało-czerwonej w *Polskiej chorągwi* Grasa, gdzie „krwawi chorągiew pozbawiona wzoru”.

A zatem polskość pod postacią plastycznego znaku i wyznaniowego wyróżnika.

Jaskrawości tych obrazów nie jest w stanie przyćmić, ich wyrazistości stonować, ni mgła chwili obecnej pod postacią dorosłości i dystansu w czasie i przestrzeni, ni eteryczność stanów przeszłych, zda się bezpowrotnie minionych. Lecz pokazuje się, iż zwiewność ich i ulotność nie stanowi przeszkody w ewokowaniu obrazów „na swojską nutę” stale na nowo. I, co wręcz zadziwiać może, niejednokrotnie w coraz intensywniejszym z upływem lat natężeniu. Jak gdyby materii spoistość i jednolitość nie najlepszym była poetyckim komponentem, jej rozrzedzenie natomiast i fantasmagoryczność o wiele lepszym poetyckim lepiszczem.

Okazywało się nieraz, jak wiele potrafi wyobraźnia poety, gdy siłą skojarzeń, asocjacji wszystko wiedzie ku jej uzewnętrznieniu, wydobyciu się na powierzchnię, pod postacią słów jak lawa gorących, objawiając świat fantastyczny na poły, na poły zaś zbudowany z cegieł jedna w drugą rozpoznanych, ze śladów „weryzmu uduchowionego”, reporterskiej precyzji w połączeniu z prawdą rzeczową.

Krytycy zarzucają Grassowi niejasność przesłania niektórych wątków polskich jego wierszy, takich choćby, jak *Hymne, Klappstuhle, Schreiben, Schlager im Ohr, Kinderlied*. W nich polskość nie taka znów pierwszoplanowa, intuicyjnie jedynie wyczuwalna, odcieleśniona, nienazwana po imieniu. Zawierająca się w aurze tych wierszy, zaszyfrowana w niedopowiedzeniu.

Jedno ze źródeł ich powstania: potrzeba przezwyciężenia kompleksów. A zatem lecznicza funkcja tych wierszy, terapeutyczna. Dla uleczenia bólu płynącego z rozstania i z tęsknoty za rajem utraconego bezpowrotnie dzieciństwa. Są nadto te wiersze wyzwaniem rzuconym stereotypom i wszelkiej zdawkowości.

Rekwizyty tej polskości to: wiśnie, czerwone wsypy pierzyn, śnieżne chusteczki, festyny, ślady wilka prowadzące do Warszawy, Oświęcim i Treblinka wciąż nieprzezwyciężone w myśleniu (i bez szans na to), to jakby nurt ekspiacyjny wierszy polskich, miasto oddalone o setki kilometrów, wieżycy jego kościołów, rzeka rozgraniczająca je w połowie, Stare Miasto i zabytkowe mieszczańskie kamienice, Wisła, Chopin i ks. Świętopełk, wierzba i oset, bursztyń nadbrzeżny, Piłsudski, jabłko na komodzie, ognisko w polu jesienną porą, ślepe stawy, czyli polodowcowe oczka, prom rzeczny i bosa dzieciaki nad rzeczonym brzegiem.

I w tym wszystkim wiersz Grassa *Ale także Eddi Amsel*:

Kto szuka bursztynu —  
stąpnie na oset,  
skoczy na wierzbę  
i wygrzebie mysz  
z tamy i znajdzie tam zasuszone serce dziewczyny:  
Jest to córka księcia Świętopełka,  
co w piasku szukała myszy,

gryzła dwoma siekaczami  
nie miała pończoch ni butów...  
Boso boso biegają dzieci,  
a wierzy trzęsą się,  
i Wisła ciągle płynie  
i słońce wschodzi i zachodzi  
i prom odjeżdża i wraca  
lub stoi i skrzypi.

(przełożył Stefan H. Kaszyński)

Mówi się i pisze o groteskowym charakterze wierszy Grassa, tego poety rodem z miasta, które „leży na północnym wschodzie i wciąż podnieca fotografów”. Ale dla mnie ważniejsza jest ich szczególna wizyjność, ich filozofia i światopogląd, nijak mające się do pojęć wziętych wprost ze świata zdekomponowanego, ważniejsze ich nasączenie pojedynczą, autorską ingerencją. A wszystko po to, by odnaleźć za pomocą wierszy drogę do drzewa wiadomości dobrego i złego.

(1982)

## Przygody pisarza w świecie sztuki

Cóż więc było na samym początku? W jakim wcieleniu artystycznym objawił się najsampierw? Owego drumlisty czy może obłuskującego bryłę kamienia w rzeźbiarskiej szkolnej pracowni? Piszącego wiersze czy jednoaktówki na szkolną, a później i dorosłą scenę? Piszę więc i maluje. Czyni wiele rzeczy razem i każdą z osobna. Głód wypowiedzi w wielości środków ekspresji. Jakby dla sprawdzenia, co okaże się chwilową zachcianką, a co przeznaczeniem.

Z początku mogły to być ulotne i nietrwale rysunki wykonywane palcem lub patykiem na jelitkowskiej czy brzeźnińskiej plaży. Albo dziecięce abstrakcyjne kompozycje w piaskownicy parku Steffena. Do Jelitkowa z jego Langfuhr było w końcu bardzo niedaleko. Wystarczyło wsiąść do „trójki” zdążającej z Oliwy i wysiąść na końcowej pętli, skąd do morskiego brzegu było o rzut kamieniem. Lecz mogły to być także drobne rysunczki wykonywane z namaszczeniem na marginesach szkolnych kajetów. Ot, studia głów nauczycieli, karykatury kolegów. Może też kreślił sylwetki rodziców czy starszej siostry. Bo okolicznych kaszubskich pejzaży chyba nie rysował. Lecz tego całkiem wykluczyć się nie da, jako że często bywał u swych podgdańskich krewnych, w miejscach opisanych po rozmaitych powieściach: Bysewie, Brętowie, Klukowie, Rębiechowie czy Matarni.

A jeśli, czego przecież całkiem wykluczyć się nie da, z takiego dziecięco-młodzieńczego bazgrolenia, z bohomaszów wszedł od razu w świat studiów

rzeźbiarsko-malarskich, bez typowych dla takiej drogi etapów przejściowych? Być może, choć raczej wątpić w to należy.

Sam zaś Gdańsk, owo epicentrum, środek wszechrzeczy, punkt najważniejszy na mapie życia, marzeń i wspomnień, jaką rolę odegrał w jego malarskiej edukacji? Czyż to miasto, jak żadne inne wypełnione wieżycami gotyckich, pokrzyżackich w większości, budowli, wzbijających się w niebo wysoko, czyż więc to miasto ze Starym i Głównym Miastem, z Ratuszem, jedyną w tej części miasta budowlą strzelistą, z Dworem Artusa, bogato zdobioną Zbrojownią, Złotą i Zieloną Bramą na królewskim trakcie, z dostojnym Żurawiem, jakby przymorską wizytówką tego miasta, z jego licznymi po drugiej stronie Motławy spichlerzami, nie wpłynęło w sposób zasadniczy na kształtowanie się plastycznej wyobraźni pisarza? Czyż to miasto z Domem Heweliusza (Starym Ratuszem), obrazami Hansa Memlinga, z kamieniczkami bogatych kupców i mieszczan na Długiej, Ogarnej, Mariackiej, Piwnej, Chlebnickiej, Świętego Ducha czy Szerokiej — czyż ono właśnie, jego kształt plastyczny, urbanistyczny i architektoniczny, nie miało wpływu na wykluwanie się także czysto już malarskiej wyobraźni?

I — by nie odwoływać się od razu do rzeczy największych — owa cicha Radunia w swoim przełomie przez to miasto, najbardziej kaszubska (najpracowitsza, jak ktoś powiedział; 14 elektrowni w jej niedługim biegu) z pomorskich rzek. Die Radaune, mówiło się za jego czasów. Wieniąca bieg swój w Motławie, ostatniej z deltowych wiślanych odnóg, w bezpośrednim sąsiedztwie omszałych gdańskich młynów Małego i Wielkiego, nieopodal kościołów św. św. Katarzyny i Brygidy.

Wkrótce dojść miały w życiu Güntera inne obrazy; młodzieńcze już. Budynek, pruski jeszcze, „Conradinum”, potężny, mocarny, który opíše w detalach w opowiadaniu *Kot i mysz*, drugiej części „gdańskiej trylogii”. W tym samym, w którym zbliża się do morskiego brzegu usytuowanego na wysokości Brzeźna raczej aniżeli Jelitkowa. Z wrakami starych okrętów, z młodzieńczymi harcami, psotami i przygodami w ich wnętrzu.

I, co dziwne, że wszystko co po latach wielu narysuje, a co dotyczyć będzie morskich tematów, odnosić się będzie raczej do morskiej fauny i flory. I będzie to jakby refleks po tym, co zapamiętane z tamtego czasu i z tamtego skrawka morskiego brzegu. I co wymagać już będzie precyzji i znajomości rzeczy nie byle jakiej, nadto zaś powtarzane będzie w sposób obsesyjnie powracający, ogładający się wstecz, za siebie, do tyłu.

I stare albumy. Świat starego, XVI-wiecznego atlasu gdańskiego Hogenberga, albumów z reprodukcjami rycin, „widoków” jego miasta z wszystkich moż-

liwych stron, obrazów, rysunków, grafik. Choćby Daniela Chodowieckiego, protestanta wywodzącego się z polsko-niemiecko-francuskiej rodziny, jakie zdarzały się w XVIII stuleciu na tych rubieżach, czy Antoniego Möllera rysunki typów starych gdańszczan, te wszystkie rzeczy dziś unikatowe, do których kiedyś miało się swobodny dostęp. Kartkowało się owe albumy z namaszczeniem, śliniąc przy tym obficie palec dla przewrócenia kolejnej stronicy, w zapomnieniu, że jest jakiś świat wokół, w odrętwieniu się to czyniło, w zupełnym oderwaniu się od tego co na zewnątrz.

Stawiam wszystkie pieniądze, iż czytał wtedy Grass *Jugendleben und Wanderbilder* Joanny Schopenhauer, matki gdańskiego filozofa (tytuł polskiego wydania z roku 1959: *Gdańskie wspomnienia młodości*). Na pewno więc oglądał rysunki stanowiące integralną część tej wielce urokliwej książki-dokumentu swojego czasu. Choćby te z cyklu *Podróż gdańska* Chodowieckiego z 1773 roku. Czyż jednak inspirował się nimi w latach późniejszych? Czyż odkładały się w jego plastycznej wyobraźni? Być może nie wprost, choć przecież one w nim tkwią. Choćby ów *Widok na Wrzeszcz i Gdańsk* z perspektywy traktu dojazdowego do miasta. Albo inna grafika Chodowieckiego: *Droga do Oliwy*, a na niej dwa równe rzędy drzew. Nie mówiąc już o typach szlachty polskiej, mieszczan gdańskich, o studiach obyczajów epoki rokoka itp. A przecież pozostawił ten nietuzinkowy artysta wiele rysunków z terenu Kaszub, świadczących o tym, iż bywał wcale wnikliwym obserwatorem, malarzem i reporterem w jednej osobie.

Gdy ogląda się dziś pismo obrazkowe gdańskiego miniaturzysty Z. Podkosteleskiego (1636), w tym i jego liczne ryby w wielości odmian i gatunków, nie można nie przypuszczać, iż były one Grassowi znane od dość dawna i że zagospodarowały w jakiś sposób te precyzyjne miniaturki jego plastyczną wyobraźnię. Jak cała zresztą gdańska grafika ilustracyjna druków okolicznościowych XVII stulecia.

Sama zaś technika — miedzioryt, to, jak się wydaje, u Grassa prosta spuścizna mistrzów gdańskiej sztuki rytowniczej w dawnych wiekach: Benscheimera, Podkosteleskiego, Allena, Sylviusa, Jansza, Bassa, tych największych z grona ilustratorów książek, autorów ilustracji do wierszy weselnych, owych licznych tamtą porą epitalamiów.

To miasto, jego miasto, od zawsze (jak i dziś, by wspomnieć choćby prze-flancowanego przez wojnę, hen ze wschodu na gdańsko-kaszubski grunt Ryszarda Stryjca, wyśmienitego grafika, wymienionego zresztą przez Grassa w *Turbo-cie*), nasycone było wielością prac malarskich, graficznych, pracowniami artystów rozmaitej gildii i maści, stanowiąc tym samym, jak i dzisiaj niezmiennie stanowi,

wcale nieźle łożysko dla narodzin talentów czystej wody. Jak Grass, który najpierw wszystko to niczym gąbka wchłonał, potem zaś po latach wielu z siebie wydał, już w przetworzonej postaci. Niczym samica ślimaka, która na modłę wielkiego Ryba tarli się wciąż i tarli.

Aż stało się, iż pod ulicę Labesa, w rejon MaxHalbePlatz, Nowego Targu, w ten cały pejzaż Langfuhr, podeszła historia. Z brunatnymi *Fahnami*, ze znakiem *Hackenkreuz*a pośrodku, z capstrzykami przemaszerowującymi przez miasto w tę i we w tę, z trybunami, na których panowie w mundurach unosili ku górze ręce, z orkiestrami, w których werble odgrywały rolę najbardziej istotną. To wszystko opisze starannie, lecz do jego twórczości plastycznej owa stająca się na oczach historia, złowieszcza i złowroga, nie przeniknie. Przynajmniej nie wprost. Czyżby została przez podświadomość odepchnięta, uznana za nieprzylegającą do języka sztuk plastycznych?

Natomiast odwrotna relacja była możliwa. Warsztat malarza-grafika był pomocny w operowaniu słowem, co ma dziś i ten skutek, iż proza Grassa zawierająca mnogość obrazów, tak łatwo jest przekładana na język filmu.

Wojna w swej gwałtowności i brutalizmie jest praktycznie w jego grawiurach nieobecna. Co znów nie znaczy wcale, że brakuje na kartach jego grafik aktów przemocy i gwałtu. Lecz za każdym razem w izolacji od tego, co zwie się dziejami.

I, dużo już późniejsza, fascynacja osobą Marcina Opitzta. Podległość wobec renesansowej iście postaci poety, malarza, człowieka ze śląsko-niemieckiego pogranicza.

I nowe, stale nowe albumy. Po niemiecku staranne, szykowne, gdy trzeba, wysmakowane. Skłaniające do samouctwa, ale i do postępowania po śladach poprzedników. Niedysyjszy album Dickmanna i jego zręcznych kopistów Piscatora i Meriana, widoki panoramiczne Gdańska autorstwa Willera, pochodzące z kroniki (1734 r.) Curickego. A w którym momencie wpadł Grassowi w ręce album z reprodukcjami miedziorytów Albrechta Dürera? W jaki sposób po raz pierwszy pojawiły się te prace jako refleks w jego własnych pracach? Pewne wskazówki na ten temat poutykane są w *Dzienniku ślimaka*:

Na temat odczytu zdecydowałem się już wtedy, gdy zdawałem się jeszcze poszukiwać; pustą pocztówkę miałem już przy sobie w Górnej Szwabii i Dolnej Bawarii. Zabrałem je też do Fryzji i Frankonii; lecz dopiero 28 września (gdy Willy już był podrośnięty i nie bawił się w sposób niezdecydowany zapalkami, napisałem do dr. Glasera: „W moim odczycie zajmę się miedziorytem Dürera *Melancholia I* (...).

Punkty do odczytu o Dürerze gromadzę w moim brulionie wśród notatek,

których tematem jest Hermann Ott, wzg. Zweifel, konserwujących wasze i moje okrzyki, nieprzerwanie usiłujących uchwycić sposób poruszania się krajowych ślimaków płucodysznych oraz zawierających cuchnący stenogram brudów walki wyborczej.

Tak, Dürer, co zresztą w jego pracach jest wyraźne, znaczył dlań niemało. Lecz czy na równi cykl *Rycerz, śmierć i diabeł*, co i *Św. Hieronim w celi* czy *Melancholia*?

Tak już bowiem jest u Grassa, iż pewne motywy, pewne wątki, obsesje tematyczne są jakby równoległe, to znaczy występują zarówno w jego prozie, jak i w pracach graficznych. Ów ślimak choćby, arcyczęsty w grafice, przeniknął zarazem do tytułu jednej z jego nie najmniej w końcu ważnych książek. Jest to więc przykład, by tak rzec, „symboliki wędrującej”. Czy wypływa to jednak jedynie z ilustratorskiej funkcji twórczości plastycznej, służebnej wobec pisarstwa, do prawdy nie wiadomo. Raczej wydaje się, iż z upływem czasu motywy plastyczne u Grassa zyskują na autonomii, są coraz bardziej niepodległe.

Zanim go jednak określią mianem „odnowiciela powieści niemieckiej” (Wilhelm Szewczyk w *Literaturze niemieckiej XX wieku*), zanim nazwą go tym, który „określa umysł i podniebienie” (Rolf Michaelis), zanim urządzi mu *Sąd nad wielkim Rybem* (Adam Krzemiński), zanim jeszcze zaistnieje jakikolwiek powód, by pisać o „gdańskiej alchemii Güntera Grassa” (Hansjoachim Bleyl) czy o „Güntera Grassa sarkazmie bezsilnym” (Leon Kasajew), zanim więc to wszystko, była bezsilność naprawdę i, tuż po ukończeniu (?) gdańskiego gimnazjum w czterdziestym czwartym, służba w wojskach pomocniczych Luftwaffe, rana pod Cottbus, lazaret wojskowy w Marienbadzie oraz amerykański obóz wojskowy w Bawarii, gdzie przebywał w charakterze jeńca wojennego. Potem jeszcze praca na roli oraz w fabryce, a także, już w 1947 roku, nauka kamieniarstwa w Düsseldorfie. Jest mocno zbiedniały wojną. Na zdjęciach z tamtego okresu jakby nie całkiem obecny. Odeszła gdzieś młodzieńca żywość twarzy, znaczna, przyrodzona mu ruchliwość. Otepiały perkusista gra na tarce do prania. To jest Grass tamtego czasu.

Lecz nadchodzą już lata 1948–1949, daty ważne i brzemienne w konsekwencje — lata studiów w düsseldorfskiej Kunstakademie u Magesa i Pankoka. Jeszcze nie całkiem świadom swego pisarskiego talentu. Na razie objawiła się jedynie pewna łatwość rysunku. Stając więc przed dramatycznym dla każdego młodzieńca wyborem: co dalej? Wybrał rzeźbę.

Rok 1953, to już czas, gdy osiedla się na stałe w Berlinie i składa akces do Wyższej Szkoły Sztuk Ilustracyjnych („Hochschule für Bildende Kunst”), gdzie jest uczniem znanego rzeźbiarza Karla Hartunga w jego klasie mistrzowskiej.



Czy ją kiedykolwiek ukończył? Jak długo do niej uczęszczał? Źródła, a i sam Grass również, milczą na ten temat. Może i w istocie nie ma to większego znaczenia? Liczyła się renoma mistrza i nauczyciela w jednej osobie. I fakt, że się od niego właśnie pobierało nauki w artystycznym fachu. I to jeszcze, iż przez dość długi czas miał Grass kontakt ze sztuką w formie edukacji akademickiej, zresztą jedynej na jego drodze życiowej.

Czymże więc będzie dla niego plastyka w latach już dorosłych? Formą kompensacji? Uzupelnienia pisarskich środków wyrazu? Okazją do wypowiedzenia się w nowy zupełnie sposób? Inną techniką, innym językiem, za pomocą odmiennych środków ekspresji? A może poczuje w pewnym momencie niedostatek słowa pisanego, jego zamknięcie się na coś, co istnieje jedynie w malarstwie czy w grafice? Bo chyba kryzysu słowa pisanego jeszcze nie odczuł, skoro w sposób tak systematyczny wysyłał ze swej pisarskiej pracowni książkę za książką.

Faktem istotnym w tej sprawie jest łagodna odtąd koegzystencja jego plastyki ze słowem pisanym na kartach jego książek. Układanie ich, zwłaszcza tomów wierszy, jak gdyby dwupłaszczyznowo: grafika jako przerywnik, lecz i forma artystycznie samoistna, nie tylko ilustrująca poezję. Tak właśnie narodził się ów tom wierszo-grafik (za nim pójść miała cała ich seria) — a było to w roku 1956 — *Die Vorzüge der Windhühner*. To tutaj zaczął się wcale udany mariaż poezji Grassa z jego grafiką. Potem przyszedł *Gleisdreieck* (1960) oraz *Ausgefragt* (1967). Na koniec zaś *Mariazuehren*. I tomy prozy niezmiennie z okładkami jego autorstwa.

W tym czasie przewaliła się fala zachwytów nad prozą Grassa. Ataki, owszem, też były, lecz raczej od politycznej strony. A to, że Reich-Ranicki zahaczył raz i drugi, było z początku może i jakoś bolesne, choć przecież nie dotkliwie; z tego wychodziło się raczej wzmocnionym, przekonanym o swoich racjach w stopniu jeszcze większym niż poprzednio. Owe zaś ataki od strony politycznej sam jakoś prowokował wyrazistym stanowiskiem w rozmaitych kwestiach współczesnego świata.

I nagle Grassa przygoda z plastyką przeobraziła się w coś z pogranicza zawodowstwa, w coś autonomicznego w każdym razie.

Bo były i przedtem wystawy, udziały w ekspozycjach zbiorowych, niezmiennie zresztą na terenie Republiki Federalnej i Berlina Zachodniego\*. W Stuttgarcie, Bremie, Hamburgu i Bonn. Aż nadszedł rok 1972. Tą datą sygnowane prace pomieścił jako pierwsze w tomie prac graficznych *Werkverzeichnis der Radierungen*, stanowiącym rodzaj szlachetnego i wyrafinowanego katalogu dla „Ga-

\* Oczywiście wówczas [R. C. — 1999 r.].

lerii André” Anselma Drehera, który jest kimś w rodzaju osobistego galerysty Güntera Grassa z Pfalzburger Strasse w Berlinie Zachodnim. To wtedy zatem, już na całego, rozpoczyna się w pełni artystyczna, malarska biografia Güntera Grassa. Sam Grass najwidoczniej pragnie, ażeby od tego momentu się zaczynała. Od owych miedziorytów formatu 50 na 65 cm w kolorze czarno-brązowym, odbijanych w ilości od jednego do trzydziestu (nigdy więcej) egzemplarzy, przez Grassa osobiście numerowanych, sygnowanych i datowanych (pod jego więc kontrolą i protekcją), przez trzech własnych drukarzy drukowanych.

Był to zarazem dla Grassa rok wystawy we Frankfurcie, gdzie mógł już wystąpić z pracami obfitującymi w motywy na długo potem obecnymi w jego twórczości. O niektórych da się powiedzieć: ostro erotyczne. Grass wtedy mocno ślimaczy, choć nie świntuszy. W tej serii prac jest też jedno polonicum: praca *W Polsce na drodze*, gdzie czterorogi ślimak w szpalerze wysokich przydrożnych drzew.

I jeszcze portret ze ślimakiem w oku samego Grassa. Taki jego ślimaczy autoportret zapewne z okresu powstawania *Z dziennika ślimaka*.

Jego prace zaczynają podróżować po świecie. Do Nowego Jorku („Dom Goethego”), do Gruzji i Londynu. Już wówczas motyw ryby w coraz większym stopniu wypiera ślimaka. Stąd: *Fładra wielkości stopy*. I jeszcze gęsie pióro, znak ważny, symbol pisarskich ciągów autora grafik.

Zjawiają się grzyby, na krótko wypierają je węgorze z wymionami. I postać zakonniczy z węgorzem, wylupiasta głowa flądry (studia rybich pysków w ogóle zajmują pokazną część tej kolekcji). Nadto kucharze. Jaką rolę odegrają w jego prozie kucharki, jest już dziś, po *Turbocie*, dobrze wiadome.

Lecz grafiki były pierwsze, wyprzedziły dokonania pisarskie.

I grzyb, antropomorficzny, dorodny, wyzywający, członkokstałtny, po prostu *Pimmelpilz*. I cała seria grzybów o podobnych kształtach, w podpisie żywnych bądź płodnych, jak kto woli.

Piórko Grassa jest stale i niezmiennie precyzyjne, wnikliwe, drobiazgowo, rzecz by można. W stylu starych miniatur właśnie.

Tak więc na wszelkie strony zwinęte, oślizgłe węgorze. To taka twórcza obsesja Grassa. Pamiętamy, jaką odegrały rolę w scenie z jelitkowskiej plaży w *Błaszonym bębenku*. Studium głowy okonia. A także głowa przecięta nożem. Z wybałuszonymi gałami, zastygła w bezruchu, nieżywa.

I głowa turbota. Z początku, gdy doszły do Polski odgłosy o wydanej powieści Grassa pod rybim tytułem *Der Butt*, wynikł problem translatorski, jako że ryba to — w obrębie flądrowatych — mało znana. Tłumaczono ją zatem jako pła-

stugę, co jednak nie znaczyło dokładnie to samo, co w oryginale. I tak narodził się właśnie turbot.

Rybia brzydota. Ryby wypatroszone i wylupiaсте, nagie rybie głowy z wybałuszonymi oczami, z gębami rozwartymi. I jakby tego było mało — nasadzonymi na żelazny pręt. Sam chłód i goła analiza. Wzięcie pod lupę nieodwołalne i ostateczne.

I ryby w stadzie, w rzeczy samej prezentujące się dość obrzydliwie, o co zapewne Grassowi chodziło i co mu się w pełni udało.

Turpizmu jednak ciąg dalszy. Niedopałki papierosów, porzucone pety, ogryzki jabłek. I *Portret Goldy*, wiadomo jakiej, wiadomo że też niepięknej. Raz jeszcze rekin żarłacz pluający... petami.

A więc brzydota zarówno rzeczy martwych, jak i żywych. Często również we wzajemnym tych dwóch elementów przemieszaniu.

W tym kontekście zaskakuje praca zatytułowana *Sztuka umierających*, na której znajdują się inskrypcje na ścianach wraz z dedykacją dla koleżanki po piórze z „Grupy 47”, tragicznie zmarłej, wspaniałej Ingeborgi Bachmann. Nie brakuje też miejsc na kobiecie łono otoczone rojem ślimaków, grzybów i ryb.

Znów cała seria prac. Buty tym razem. Schodzone, uznożone drogą, podniszczone czasem. Powiezie Grass cały ten swój buci antykwariat czy arsenał do paryskiej „Galerie Mazarine”, skąd też powróci jako uznany już artysta grafik; z miejsca zostanie nobilitowany. Jak gdyby nic się w porządku rzeczy nie zmieniło i Paryż nie przestał być artystyczną stolicą świata oraz miejscem najpełniej kreującym nowe indywidualności, gwiazdy i geniuszy.

To tam właśnie — był rok 1975 — padnie po raz pierwszy to porównanie do twórczości i spuścizny Albrechta Dürera. Dla precyzji, z jaką odrabia rysunek, i „surrealistycznego sposobu łączenia rzeczy i zjawisk na pozór odległych”.

On sam zaś powie z tej okazji:

Kiedy patrzę na grzyb, widzę zawsze troszkę więcej niż grzyb. Rzeczywistość usiana jest pomysłami, które wystarczy zbierać. Jedna forma przywołuje drugą, a obraz ślizga się z jednego znaczenia na drugie...

Tam go też, na paryskim bruku, spytają o relacje wzajemne pomiędzy sztuką plastyczną a polityką.

Nie myślę — odpowie — że można zmienić typ społeczeństwa obrazami. Jedną z moich idei, o które walczę, jest przestrzeń wolności, jaką daje świat sztuki. Sztuka powinna być traktowana niezależnie od sił politycznych, a jeżeli zachodzi konieczność, powinna

się im opierać. Trzeba uchronić sztukę przed wielkim żołądkiem polityki, która chce wszystko wchłonąć, tzn. sztukę, a także i artystów...

Ważkie słowa artystycznego *credo* Güntera Grassa. Bowiem w istocie wolna jest ta sztuka od wszelkiej chwilowości czy doraźności. Trudno jej postawić zarzut koniunkturalizmu czy epatowania nowinką. Jest to sztuka, rzecz możliwa, niepodległa, wolna w sposób całkowity od podobnych wulgaryzujących ją samą asocjacji. Jak, zgoła odmiennie, całe nieomal jego pisarstwo (o działalności publicznej Grassa nie wspominając wcale) nasiąknięte jest, zaimpregnowane wręcz, światem dookolnym w całym jego skomplikowaniu i zbełtaniu.

Przyszła więc pora na Zurych i Tokio, na Waszyngton, Nagoję, Sapporo, na Baltimore, Cambridge, Kopenhagę, Sztokholm i — a także — na Pekin, wreszcie na Zagrzeb, co zapoczątkowało jakby Grassa przeniknięcie w orbitę krajów słowiańskich, zwieńczone jego (i jego prac) wizytą w Sieni Gdańskiej na Długim Targu, co okazało się jakby powrotem do jego gdańskich praźródła.

Znów — tym razem w Düsseldorfie i w Berlinie Zachodnim — wystawił swe prace. 80 sztychów, 43 litografie, 96 rysunków, 27 rzeźb zgromadzono z całą hojnością na wystawie retrospektywnej w Darmstadt. Wypchnęły owe zakonnice w habitach, grube kucharki, wyschłe mumie. Raz jeszcze pojawiły się ryby i ślimaki. Albrecht Dürer rzecz tę skodyfikował w niemieckiej sztuce raz na zawsze i po wsze czasy: prawdziwy artysta potrafi wyrazić wszystko poprzez biel, czerń, odmiany szarości. „To szarość nadaje ton i stopniuje naszą rzeczywistość, ona też nadaje jej przejrzystość”, przyzna sam Grass, zwolennik priorytetu grafiki nad malarstwem.

A owe relacje wzajemne — pisarza i malarza? „Obie sztuki — powiada Grass — nie dają się od siebie oddzielić. Rysunek uczy, że pisanie wymaga mniejszej liczby słów, wiersz uczy czytania między linijkami”.

Kondensacja i ukryte sensy.

I jeszcze owe „tabliczki” Grassa. Jakby zapowiedź jego kolejnej powieści, *Szczurzycy*, znów z Oskarem Matzerathem w jednej z głównych ról. Tym razem droga artystycznego myślenia wiedzie w odwrotnym niż zazwyczaj kierunku — od narysowanego do napisanego. Jakby z plastycznego szkicownika, z wielokrotnych powtórzeń studialnych wynikały słowa, sensy, myśli. Kto więc ciekawy kształtu kolejnej książki Grassa, bieży do galerii oraz muzeum i tam niejednego w tej sprawie może się dowiedzieć.

„Rysuję zawsze, nawet kiedy nie rysuję — ponieważ wtedy piszę”, powiedział autor glinianych „tabliczek”, znanych na Kaszubach od wieków pod postacią „merek”, znaków rodowych rybaków z helskiego półwyspu.

(1983)

## Pod lirycznym przymusem

... ach, gdybym to ja  
jednak urodził się między spichrzami na wyspie!

Z taką inwokacją występuje autor poematu *Kleckerburg*. Odrzuca Sieną Groblę i łąki podmiejskie, nawet Korzenną, gdzie stary gdański ratusz. Do Motławy zbliża się w nostalgicznej wędrówce i tak właśnie jak powyżej marzenia jego, senne nieomal, na sposób poetycki mu się objawia.

Gdy więc powróci do miasta, już choćby dla sprawdzenia w nim tego i owego, ujrzy je przecież na pierwszy rzut oka niezmienione. Jakby jaki cud stał się na ziemi dotąd nienawiścią i krwią zbroczonej. Czyż więc to ono, to właśnie jego miasto być by miało?

Na początku były gruzy. Morze gruzów. Rzeki gruzów, jak ulice tej zabytkowej części miasta. Z hukiem waliły się w dół resztki murów gdańskich kamieniczek, kościołów, zabytkowych bram, stylowych wież. Wysypiska gruzów otaczały wąskie przesmyki ulic. Zdumienie tych, co przyjeżdżali w czterdziestym piątym i z okien zdążającego do Gdańska pociągu widzieli po raz pierwszy to wszystko.

Zniszczenia objęły Główne Miasto w 90 procentach. Rachuba tego, co ocalało, była jednoznaczna: 38 budynków mieszkalnych, w tym 12 o charakterze zabytkowym. Zaledwie! Szlak królewski — cały w gruzach (ocalały ledwo trzy do-

my). W gruzach wszystkie gotyckie bramy i baszty. Spalony Ratusz Głównomiejski, Zbrojownia, kościół Mariacki. Stosunkowo mało ucierpiały Kaplica Królewska i kościół św. Mikołaja.

Ruszyło myślenie projektowe.

„Należy zniwelować Główne Miasto, a w jego miejsce urządzić park zieleni!” — argumentował ktoś z grona projektantów.

„Jestem za przeniesieniem centrum miasta na teren byłej stoczni Schichaua i wyspy Holm” — ujawnił swe dość fantastyczne racje ktoś drugi.

Uważam, że Gdańsk nie powinien być w ogóle odbudowany. Nikt dziś poważnie nie myśli o odbudowie Forum Romanum do stanu pierwotnego po to, by w Basilica Julia umieścić starostwo powiatowe, a w Coloseum urządzić wyścigi motocyklowe

— pisał Mieczysław Janowski w „Skarpie Warszawskiej” z 1946 roku.

„Twierdzę, że Stare Miasto w Gdańsku trzeba zachować w formie trwałej ruiny. Niechaj stanowi o barbarzyństwie wojny, jej okrucieństwie i sile niszczącej” — suponował jeszcze ktoś inny.

Konieczności odbudowy jednego z najważniejszych miast polskich nie kwestionuje nikt, natomiast pytanie: gdzie Gdańsk ma być odbudowany — wywołuje wątpliwości i różnice zdań. Fachowcy portowi i pełni rozmachu nowocześni urbaniści (...) uważają, że — nie oglądając się na sentyment, do którego nie ma żadnych podstaw — budowę nowego polskiego Gdańska należy rozpocząć od fundamentów na rozległej płaszczynie między Nowym Portem a Wrzeszczem

— pisał Marian Brandys w „Odrodzeniu” z 1947 roku.

Na różny sposób jawiło się ludziom to miasto, jego zabytkowa część.

Zdaniem Marka Żuławskiego, polskiego malarza zamieszkałego na stałe w Londynie, ówczesny Gdańsk:

(...) wygląda jak miasto, które rozpadło się w gruzy przed wiekami. Szacowne ruiny oplata już krzew i porasta trawa nie deptana stopą człowieka. Panują tam niepodzielnie cisza i pustka. Ruiny Gdańska ogląda się jak ruiny Babilonu lub Niniwy.

Karol Małcużyński, publicysta:

Śródmieście Gdańska zniszczone zostało w 95 procentach. Gdańsk obok Warszawy i Wrocławia ustanawiał tragiczne rekordy wojennych zniszczeń. A za tymi liczbami kryło się spustoszenie miasta wzniesionego rękoma najwspanialszych mistrzów holender-

skich odrodzenia i baroku, miasta, które stanowiło jeden z najpiękniejszych zespołów zabytkowych Europy Północnej.

Aż stało się, że zabrał głos w sprawie prof. Jan Zachwatowicz. Dopiero co w stolicy, chcąc uniknąć doszczętnego zniwelowania Starówki przez domorosłych urbanistów w imię nowego, postawił mury na jednometrową wysokość na planie staromiejskich kamieniczek, by, broń Boże, ktoś nie miał innego, jak skrupulatna odbudowa, pomysłu. Teraz zaś pospieszył na odsiecz Gdańskowi.

Dokładne studia urbanistów — orzekł ówczesny generalny konserwator zabytków — wykazują, że w każdym wypadku odbudowa miasta, nawet bardzo poważnie zniszczonego, jest bardziej ekonomicznym przedsięwzięciem niż budowa nowego.

I to jakby przesądziło o wszystkim. Przecięto węzeł gordyjski sporów i dyskusji. Miało więc stać się tak, iż gdańskie Stare i Główne Miasto wzniesione zostanie od nowa. Podniesione z ruin, przywrócone miastu, a także i światu. Powstał bowiem „Plan Zachwatowicza”, plan zagospodarowania Głównego Miasta i innych dzielnic zabytkowych Gdańska.

Stąd już krok był tylko do poparcia planu uchwałą rządu z 13 listopada 1949 roku. Jasną stało się rzeczą, że Gdańsk zostanie podniesiony z ruin i będzie istnieć prawie jak dawniej.

Był rok 1975, gdy w siedzibie hamburskiej Norddeutscher Rundfunk, tamtejszej stacji telewizyjnej, dojrzewać począł i nabierał coraz realniejszych kształtów pomysł nakręcenia siedmiu filmów dokumentalnych poświęconych konserwacji miast, ze szczególnym uwzględnieniem ich starych, zabytkowych części, owych *Altstädtes* lub bardziej z polską Starówek. Pojawiły się nadto konkretne pomysły: francuski Colmar do spółki z Paryżem, szwajcarski Baden, zachodnioniemiecki Hannoversch-Münden, Regensburg (Ratyźbona), Monachium. W filmach o tych miastach funkcję *cicerone* powierzy się, postanowiono, ich burmistrzom; niechaj o nich opowiedzą, jak tylko potrafią najlepiej. Zabrakło jedynie przewodnika dla siódmego miasta, dla Gdańska. Pojawiła się wówczas idea, ażeby przewodnikiem po tym mieście niezwykłym został jego piewca i literacki kronikarz, Günter Grass. Miasta tego symbol i uosobienie.

Tak więc przyjechali. Dla zdokumentowania tematu. Grass, autor scenariusza filmu i — rzecz dość rzadka w filmowej praktyce — jego komentator na planie, rodzaj filmowego protagonisty.



Volker Petzold, dokumentalista skrzętny, racjonalista filmowego planu, reżyser tego filmu, z gotowego materiału będzie w sposób niemilosierny wycinał wszystko, co jego zdaniem nadmiernie odbiegać będzie od stylistyki całości, będzie miało nadmiernie impresyjny charakter (choćby sekwencję w pracowni gdańskiego grafika Ryszarda Stryjca).

Kiedy znaleźli się na rębiechowsko-bysewskim lotnisku, fotograf uwiecznił moment dla Grassa szczególnie, moment przylotu dokładnie w to miejsce, gdzie rozpoczyna się akcja *Blaszanego bębena*. Do Bysewa babki Koljaiczkowej. Istniejącego już tylko szczątkowo, pokrytego niemal na całej swej powierzchni betonową płytą pasów startowych w miejscu kartoflisk, miedz i zagonów rodziny Krause...

I od razu do pracy. Bez sentymentów i zbytniego rozpamiętywania. Do pracy po niemiecku precyzyjnej, dokładnej, akuratannej (Petzold), po Grassowsku zaś improwizowanej wciąż na planie, stale wzbogacanej o nowe i nowe pomysły, dialogi, kwestie jego komentarza. Cały czas twórczy, miał swoje własne pisarskie powody, ażeby odbyć tę serię rozmów i spacerów w scenerii gdańskiego Głównego Miasta; pisał powieść, w którą co rychlej powplatał reminiscencje, okruchy, glossy filmowo-gdańskie. A wszystko do swej powieści o żywocie jedenastu kucharek w historii. Pokazało się wkrótce, iż tutaj szukał sceny dla ostatniej z nich.

„Dorota, żebraczka gdańska — zwierzy się — wysiadywać będzie na skraju jednego z przedproży ulicy Mariackiej”.

Dla dokumentacji tematu należało odwiedzić lokatorów z ulicy Świętego Ducha. Spytać wstępnie, jak się tu czują, mieszkając w staromiejskiej scenerii, czym jest dla nich ta część miasta, jakich problemów im przysparza. I umówić się na następne spotkanie przed kamerą.

Złożyli wizytę w kościele św. Jana, drugim po Mariackim co do wielkości gdańskim kościele-gigancie. Kikut wieży strzelał wysoko w górę, a wewnątrz kościoła mieściło od 1965 roku lapidarium rzeźby gdańskiej, fragmenty odłupanej wojną architektury, elementy zdobnictwa. Zaraz po wojnie osądzono, że kościół nie nadaje się (podłoże bagienno-torfiane) do całkowitej rekonstrukcji i powrotu do spełniania pierwotnych swych funkcji.

Jeszcze więc cegielnia w Kadynach. Wyspecjalizowana w wypalaniu cegły gotyckiej, profilowanej, używanej przy rekonstrukcji i odbudowie Gdańska w jego zabytkowych partiach. Oryginalny wkład Grassa do scenariusza filmu. I za-dosćuczynienie dla jego rzeźbiarsko-rękodzielniczych cięt.

Dla Grassa już ta przedwstępna peregrynacja, ta wędrownica uliczkami miasta i pobrzeżem Mołtawy, była, pomimo całej znajomości rzeczy, czymś zgoła

nowym; zdarzyło się bowiem, iż jak dotąd stara część jego miasta stanowiła jedynie dalekie tło akcji pierwszoplanowej rozgrywającej się w zgoła innych rewirach tego miasta. W rejonie Heveliusplatz chociażby, gdzieś na Zaspie, w Nowym Porcie, w Oliwie, we Wrzeszczu. Wszędzie, tylko jakby nie tu. Inspirował się więc, nasycał jakby od nowa, łądował swój pisarski akumulator.

W orbicie jego zainteresowania pojawił się wkrótce miejski konserwator Romuald Chomicz, ten gdański, jak go wnet Grass nazwie, „uczuciowy terrorysta”. Z nim zatem będzie rozmowa na planie filmu, uznali zgodnie Grass z Petzoldem. I jeszcze z docentem Andrzejem Januszajtisem, fanatykiem spraw gdańskich.

Przydałoby się nadto, doszli do wniosku, spotkanie w gronie działaczy Towarzystwa Przyjaciół Gdańska.

Ze dwa miesiące minęły, gdy pojawili się tu powtórnie. Już na ostro, ze sprzętem. Z tym typowo filmowym rozgardiaszem, z którego jako pierwszy oswobodził się, już po godzinie wylatując z „Heveliusa” z kamerą w ręce, operator Max Rendez. Wybiegł przed hotel i oświadczył twardo, że idzie robić pierwsze ujęcia do filmu. „Takie piękne, złociste światło”, pokazał ręką wokół, jakby dla usprawiedliwienia.

Tak zaczął się ruch w interesie. A potem...

Ten fresk — oznajmi spec od oświetlenia — trzeba będzie sfilmować przed szóstą rano. W krótkim momencie, gdy wschodzące słońce rzuca swe migotliwe, świeże promienie wprost na to miejsce.

A słońce tu ważne, bo film ma być kolorowy. A kolor jest ważny, bo i gdańskie Stare oraz Główne Miasto wielobarwne. A wielobarwność jest istotna, bo nakazuje indywidualne, zróżnicowane podejście do odbudowy poszczególnych zabytkowych obiektów.

Już na drugi dzień wtaszczyli na sam szczyt ratusza swoje kamery i srebrzystometalowe kuferki. Omotali wąski taras (wiatr dał od północy, podwiewając włosy) wieży siatką kabli. A wszystko dla ujęć z góry. Nie z lotu ptaka, bowiem do tego celu poproszony został spec nad spece w tym fachu, operator warszawskiej filmowej kroniki, Karol Szczeciński, fachowiec od zdjęć karkołomno-akrobatycznych. Raczej już dla ujęć sponad miasta. Ponad mnóstwem czerwonych (w wielości odmian czerwieni) dachów, ponad Motławą, z kawałkiem nieba, ponad stoczną z jej dźwigami w tle, z gołębiem zrywającym się z furkotem do lotu ponad potężną bryłą kościoła Najświętszej Panny Marii.

I tutaj klaps, który rozpoczyna Grassa introdukcję (ma być: *kurz und prähise*).

Opowiada więc Grass swoje miasto. Mówi o szekspirowskim rycerzu Derby, który u boku rycerzy krzyżackich walczył przeciwko gdańszczanom, o patrycjuszce Dorocie, która trzy wieki temu przystała do cechu żebraków, rozdzieliwszy uprzednio męzowski majątek pomiędzy biedotę gdańską. O królu Stanisławie Leszczyńskim uciekającym przed stronnikami Sasa, Augusta Mocnego, do tego miasta. O Marcinie Opitzu, niemiecko-śląskim poecie, a polskim dziejopisie na dworze Władysława IV. I jeszcze prawi o Ludwiku XIV i roli carowej Anny. Gdańska Brama Wyżynna, opowie, przypomina mu bramę miejską w Antwerpii, ołtarz w kościele Mariackim, rycinę norymberczyka Albrechta Dürera. Takie to już miasto, dopowie. Miasto, którego zabytki, nieważne jakiego są pochodzenia, polskiego, flamandzkiego czy niemieckiego, po kolei, z wielkim pietyzmem odbudowano.

Zmiana planu i scenerii. W plenerze podgdańskim, gdy żółtym fiałem pojechali czarną szosą wzdłuż zielonej łąki, w oddali majaczył brązowo-czerwono-brunatny Gdańsk. Bliżej zaś rzędem leżały białe gipsowe rzeźby i gzymsy. Pełny kolor w pełnym słońcu, które najwyraźniej służyło realizacji tego filmu — *Teuere Geschichte (Drogocenna przeszłość)*, jak miał się on nazywać. Operator w przepoconej i przyklejonej do grzbietu koszuli zlął wreszcie z nagrzanego do niemożliwości dachu.

Dalej mieli już kręcić w kuźni. Jakby mało było kąpeli w słońcu. Z rozpalonego do białości żelaza chudy, żyłasty kowal wyklepał cierpliwie pojedyncze ćwieczki. Gdyby tak zliczyć, ile gwoździ potrzeba do jednej bramy, ile bram jest na każdej staromiejskiej ulicy...

„To materialny wyraz polskiej romantyki” skomentował Grass. Potem zaś, już na świat cały, powiedział wprost do kamery słowa ważkie:

Na Zachodzie ludzie uciekają z wielkich nowoczesnych osiedli do starych, skromnych kamieniczek, takich z sąsiadem, z podwórkiem. Jest w tym poszukiwanie ludzkiej skali, ucieczka przed wyobcowaniem. Dlatego każde miasto pozbawione Starówki wydaje się puste i nieprzyjazne. Zabytkowa architektura wnosi pewien niepowtarzalny nastrój, który jest ludziom potrzebny. A jeśli tego nastroju brakuje, należy go stworzyć. Rekonstrukcja zabytkowych budowli jest zarazem rekonstrukcją historii. Można jeszcze próbować od historii uciekać, ale całkowita ucieczka jest i tak niemożliwa.

Na archiwalnych fotografiach [napisał potem Grass w *Turbocie*, tej „książce kucharskiej dla liryków i pasjonatów historii”, której kształt ostateczny nadał po dwukrotnych wizytach w Gdańsku w związku z realizacją filmu Petzolda — R. C.] wygląda to na zniszczenie totalne. Ujęcia lotnicze pozwalają rozpoznać odbudowany fragment wczesnośredniowiecznego planu miasta. Jedynie przy Lagetor, w pobliżu kościoła św. Jana, po-

między Targiem Rybnym a Kipiącą Wodą, niedaleko św. Katarzyny, przypadkiem pozostało jeszcze coś niekruchoego, co stoi. Lecz już z następnej fotografii tej wystawy pamięci w Ratuszu, po prawej stronie miasta, obtłukuje się właśnie cegły, odgruzowuje się akurat Mariacką, resztki fasad na Chlebnickiej, które zostaną podparte, a tępa wieża Ratusza zostanie wzniesiona. W trzydzieści lat po spaleniu zrównującym miasto z ziemią pewien młody człowiek mówi do telewizyjnego mikrofonu Północnoniemieckiej Rozgłośni Trzeciego Programu o 80 procentach zburzenia miasta wewnętrznego; jako konserwator miasta Danzig, jako polskiego miasta Gdańsk.

Grass, co na planie filmu widać bardzo wyraźnie, nigdy nie przestał być gdańszczaninem, obywatelem tego niegdyś hanzeatyckiego miasta — obiektu westchnień kupców z całego ówczesnego świata. Nadto miasta, do którego aspirowali jeszcze cesarz Prus i król polski. A gdy zdarzyło się z wyroku historii, że popadło w ruinę, witalne siły narodu wzniosły na nowo jego część najstarszą, najznamienitszą, Stare i Główne Miasto, miasta tego — z koroną w herbie — koronę. I wówczas on, Günter Grass, pospieszył je opiewać w kształcie odzyskanym, odnalezionym. Gdy jego korona znów zaczęła błyszczeć.

I właśnie wówczas doszło do powtórnego spotkania ich obu — 37-letniego gdańskiego konserwatora z zachodnioniemieckim pisarzem o gdańskim rodowodzie. Choć na dobrą sprawę ich spotkanie do przypadkowych zaliczyć trudno; dla jednego z nich miejsce urodzenia oraz twórczej, myślowej i wizyjnej inspiracji, dla drugiego zaś miejsce pracy zawodowej. Dla jednego i drugiego to samo miasto: nad Motławą, u zwieńczenia szlaku wodnego znajdującego ujście w Bałtyku.

Konserwator, najwidoczniej otrzaskany, patrzył wprost w kamerę. Nigdy jedną czy drugą ręką nie szukał ratunku w kieszeni. Oszczędnie gestykując nazwał malowidło Möllera dokumentem ważnym dla odbudowy centrum zniszczonego miasta, porównywalnym do malowideł Canaletta, które były pomocne przy odbudowie warszawskiej Starówki. Mianem zdumiewającego określił przekazany w obrazie dowód, że jeszcze w początkach siedemnastego wieku prawie wszystkie patrycjuszowskie kamienice przy Długim Targu miały charakter gotycki i były zakończone szczytami — z wyjątkiem Dworu Artusa i szerokiej kamienicy w stylu renesansowym naprzeciwko ratusza.

Uśmiechając się konserwator wyjaśniał, dlaczego to w odbudowie nie bacząc na wydatki wzięto wzór nie z gotyckiej, mniej kosztownej, wczesnej formy, lecz z barokowych fasad [...].

Tak napisał Grass w części poetycko-reportażowej swojego *Turbota*, który poza tym, że miał być zapisem życiowych dziejów iluś tam kucharek (zadając zyniąc jego własnym kulinarnym chuciom i ciągotkom), zawrzeć miał nadto

wcale znaczne opisy kręcenia filmu o gdańskiej Starówce. Filmu, w którym niepoślednia rola Romualda Chomicza, tak jak i w powieści (już wkrótce), wcale wyrazista. Służy on bowiem za przekaźnik informacji o mieście i interpretatora dynamicznej przeszłości i dramatyzmu jego dziejowych losów. Nadto łatwo identyfikuje się z wszystkim, co dawne i cenne w tym mieście, co trwałe i ponadczasowe, co uniwersalne. Poprzez rolę, jaką tu spełnia na co dzień, koordynatora prac rekonstrukcyjnych (dzieło odbudowy Starówki wcale skończone nie jest), gdy trzeba także prac ratowniczych, opiekuńczych i pielęgnacyjnych, wszelkich w ogóle robót wykonywanych, jak sam Grass to określił: „pod lirycznym przymusem”. Właśnie jego, Chomicza.

Kiedy ustawialiśmy naszą kamerę w ruinach, konserwator miejski podał nam koszty dodatkowego zabetonowania wciąż jeszcze — mimo uszkodzeń od pożaru — dźwigających sklepienie filarów: osiemset tysięcy złotych od sztuki. Koszty sukcesji. Historię trzeba spłacać. Stałem koło tak kosztownie obsuniętej podpory, pomiędzy nieposortowanymi fragmentami fasad i przedproży. — Kamera start. Klaps dwanaście siedem: gruz w kościele Świętego Jana.

Owego lata, gdy kręcono ten film, wędrowali obaj uliczkami, zachodzili do licznych kościołów w tej części miasta, studiowali stare sztychy gdańskie, pamiętające czasy królów polskich i Zakonu Krzyżackiego. Grass, zazwyczaj powściągliwy, teraz jakby stale czymś na nowo ożywiony, w ciągłym zdziwieniu nowym kształtem miasta, które dopiero Chomicz przed nim odsłaniał wraz z jego zakamarkami, miejscami nieprzystępnymi dla niewprawnego oka. Chomicz — rzeczowy, kompetentny, świadomy dokonania w dziele odbudowy i przywrócenia Staremu i Głównemu Miastu dawnej świetności, nie skrywający więc wcale niedoróbek pojawiających się to tu, to tam, ujawniający, co zamierzono na jutro i pojutrze.

Grass pierwszy sięgał po archiwalia, których zwiózł tu z sobą całą furę, po liczne dokumenty gotykami pisane, które przywiózł tu na plan „swojego” filmu. Okazywał zainteresowanie dla przeszłości, poświęcając niemało uwagi sprawom zwyczajnym, zda się, codziennym. Choćby temu, co opowiadały przepisy gdańskie o porządkach na ulicy. Informował go Chomicz o sposobach wypalania cegły, o tym, jak należało układać dachówki na spadzistych starówkowych dachach. A przy tym okazywał Grass znaczną biegłość w posługiwaniu się dokumentami, niemałą intuicję i wiedzę. Objawiał fascynację gdańskim tematem — słynnymi rodami. Ferberami na przykład.

O mecenatach wspominał. I o tradycyjnej tego miasta tolerancyjności, trwającej wiekami. Tego miasta, siedliszczą na równi protestantów, katolików, kalwinów, anglikanów. „Jako literata — powiedział — szczególnie interesują mnie te sprawy”.

Wędrowali wciąż. Grass mówił o swojej podległości wobec postaci wspólnych w historii Niemiec i Polski. Do kościoła Najświętszej Panny Marii szli, by odszukać płytę nagrobną Marcina Opitza. Żywy stosunek Grassa do historii sprawiał, że odbudowa klasztorów Brygidek i Dominikanów jawiła mu się jako przejaw wspaniałomyślności Polski Ludowej. Podkreślał:

Niejedno w historii ucierpiała Polska od Zakonu Krzyżackiego, a teraz podnosi jego budowlę z wojennych zniszczeń, utrwała pamięć o tamtej epoce. Tego nie ma nigdzie na świecie.

Dociekliwy, wścibski niemal, z wyraźnymi *idées fixe*.

„A cegła, jak ją kładziono?” — pytał Grass-przewodnik swojego *cicerone*. I tak właśnie dowiedział się o istnieniu gdańskiej wytwórni cegieł w Kadynach. Od razu chciał tam jechać. Wydało mu się czymś niezwykle otwieranie warsztatu na potrzeby li tylko zabytkowe, li tylko rekonstrukcyjne.

Zaprowadzić się kazał do pracowni konserwatorskiej, by przyjrzeć się z bliska tej czarodziejskiej robocie. Kamieniom, gładom, okrucinom gzymsów walającym się wszędzie w pozorowanym nieładzie. Usiadł przy jednym z nich, on, rzeźbiarz z przeszłości, pokazał, że ma pojęcie o kuciu kamienia.

— „A czy pan wie — spytał znieścacka Chomicza — gdzie znajdował się dom Pawła Beneke?”

Rzecz o tyle istotna, że ów Beneke wzbogacił był niegdyś zbiory gdańskie o obraz Hansa Memlinga *Sąd Ostateczny*, dzieło ołtarzowe tego Niderlandczyka. Beneke złupił po prostu angielską korwetę płynącą z Brugii do Florencji. I tak obraz trafił do Gdańska, a ratując się z wojennej pożogi — tą zaś drogą do gdańskiego Muzeum Pomorskiego.

Szli tak. Dla Grassa Gdańsk, jego Stare i Główne Miasto, jest miejscem, do którego lubi powracać myślą, refleksją, wspomnieniem, uprawiając przy okazji coś na kształt „artystycznej turystyki tęsknoty”. Z tego powstaje za każdym razem coś w rodzaju twórczego amalgamatu, stopu barw i myśli. Dla Chomicza inaczej — to miasto codziennej pracy przywracającej mu dawną świetność. Już za to samo okazuje mu Grass swoją wdzięczność. Za to mają się ku sobie. A fascynacje obu dotyczą miasta o historii w szczegółach niezwykle...

Ostatnio całkiem. W ścianie domu na rogu staromiejskich ulic Tkackiej i Świętego Ducha, Chomicz odkrył w gipsowej kuli (taka była, okazuje się, praktyka gdańskich patrycjuszów) stare dokumenty, datujące wszelkie przebudowy kamienicy. Ziarnko do ziarnka...

Grass, wrażliwy na urodę gdańskiej panoramy, gdy już znalazł się w rejonie Wielkiego Młyna, nie krył wcale objawów radości, że do całkowitego porządku wraz z przyległościami został doprowadzony dopiero po wojnie; bo oto znów strzelają w niebo zewsząd wieżycy kościołów niskie i wysokie, smukłe i tępe w zakończeniu. Jakże liczne, pokryte blachą miedzianą, gdzieniegdzie pięknie skorodowane zielonym grzynszpanem.

Na kościołach Brygidy i Katarzyny ustawiano właśnie ostrosłupy wież. Dodało to dynamicznego kolorytu filmowej relacji. Mijali cieśli szykujących się do ich wzniesienia. W skupieniu i z uwagą patrzył Grass na ten zwyczajny dziś w Gdańsku obrazek, gdzie nic nie jest skończone w sposób definitywny, gdzie wszystko staje się na oczach w procesie pracy nad miastem tego ciągłą komplecją, uzupełnianiem luk, leczeniem ran.

Już i dnia nie wystarczyło. Wędrowali więc pod osłoną nocy. Znów inne zdawało się to miasto. W odbłasku starówkowych lamp ulicznych, w dyskretnym ich oświetleniu. Ujawniała przed nimi Starówka swą drugą twarz.

„Każdy powinien mieć swoje Stare Miasto — powiedział jednego razu Grass dość nieoczekiwanie. — Takie, po którym może pochodzić, pomedytować, na uliczkach którego może odpocząć”.

Znali obaj dobrze — pisarz i gdański konserwator — stare części miast zachodnich: Brukseli, Antwerpii czy Brugii. Zgodzili się więc prędko, iż ta ich gdańska także żyć powinna. Uniknąć winna losu tamtych, martwych od środka. Żyć powinno to miasto nie tylko do trzeciej po południu, gdy biura kończą swą pracę. Niech więc na Długim Targu będzie hotel, niechaj Stare Miasto opuszczają biura zakładów mięsnych czy inne tego typu urzędy i instytucje. I niechaj ludzie tu ściągają, całymi rodzinami. Do, być może, nie komfortowych od razu warunków, za to jakże innych od dzielnic składających się z rzędów bloków. I co nie najmniej ważne: niechby światła rozbłyskiwały tu w oknach do późnych godzin nocnych. Komfortu tu może ludzie mieć i nie będą, za to klimat osobny zapewniony.

Grass chodzi po Starym Mieście trochę też jak po dzielnicy niegdysiejszych jego tęsknych westchnień. Jego, mieszkańca podgdańskiego Langfuhr. Czuje się więc trochę jak intruz, który raptem przeniósł się do ekskluzywnej części miasta, niegdys dłań odświętnej, z gruntu nieprzystępnej.

Podejdą do kościoła św. Jana. Jego ogrom, jego potęga zrazu może porazić. I wypalone wnętrza, obluzowane witraże gotyckich okien, wyzierające ze-

wsząd szczeliny i świszczący, dujący przez nie wiatr. Ślady podmurówki też są już tu i tam widoczne. I fury piasku, kręcący się robotnicy. Po *Popiele i diamencie* oraz *Krajobrazie po bitwie*, filmach Wajdy, raz jeszcze monumentalne wnętrza gościć będą ekipę filmowców. Tyle że tym razem służyć będą jako tło nie wyimaginowane, jak u Wajdy, ale rzeczowe, to właśnie, a nie inne.

Chomicz zwierza się z wielości istniejących projektów wykorzystania tego kościoła. Ostatni z nich, którego realizacja najbardziej prawdopodobna: Muzeum Scenografii Polskiej. Już się więc wydaje, iż tylko w realiach gdańskiego Starego i Głównego Miasta możliwe są tak niebanalne pomysły, tak niewołące wyobraźnię.

Bo u Chomicza zapowiedzieli się już realizatorzy filmowych, telewizyjnych *Buddenbrooków*. Akcja powieści Manna rozgrywa się, co powszechnie wiadomo, w Lubece z początku wieku. Aliści powstało pewne utrudnienie: stara część tego miasta została w czasie wojny zniszczona i nie odbudowano jej w sposób wystarczająco skrupulatny; lepszy więc plener, zwłaszcza dla scen ulicznych, będzie na Mariackiej.

Zgadało się o panoramie Gdańska. O jej zbliżeniu się do zakończenia, do pełnej kompletacji. Z wieżą kościoła św. Barbary, wieżą Piotra i Pawła. Gdy gotowy będzie już hełm na zespole przedbramia. I Wieża Więzienna także.

A zaczęło się wszystko w początkach lat pięćdziesiątych, gdy wzniesiono wieżę ratuszową (co rychlej przetransportowano ku górze kilkumetrową statuetkę króla Zygmunta Augusta pokrytą dwa i pół kilograma wążącą warstwą złota), przyszła kolej na kościół Mariacki, gigant o światowej skali, kościoły Mikołaja i Katarzyny, po sąsiedzku względem siebie położone.

I zespół Domu Angielskiego przy Chlebnickiej (jego oryginał znajduje się na Wyspie Pawiej w Poczdamie) będzie już wtedy gotowy. A nazwy ulic w swej kolejnej książce pomieści Grass — ten „poetycki reporter”, dwujęzyczne. Zjawi się więc na kartach *Turbota* Długi Targ w sąsiedztwie Lange Markt, Langgasse tuż obok Długiej, Mäkergasse wespół ze Straganiarską, Chlebnicka wraz z Brotbengkengasse, Jopengasse z Piwną, Motlau zaś z Motławą. A jeszcze parę lat wcześniej sterczał w miejscu, gdzie dziś Dom Angielski, kikut muru jednej z kamieniczek. Trzeba było zgromadzić detale, kamieniarskie autentyki. Te elementy wystroju posłużyły do rekonstrukcji całej elewacji. Musiały dorównać bogactwem wystroju tamtym, wznoszonym przed wiekami przez starających się gdańskich patrycjuszów, dla których — wprost przeciwnie do ciasnoty podwórzy — stanowić miały o napuszonej przewadze nad sąsiadującym z nimi gdańskim mieszczaninem. I stąd potem mocno niepiękny kształt elewacji tylnych, całych oficyn, nabudowu-



jących się wzajemnie, dotykających, z racji bliskości położenia równoległych, a sąsiadujących z sobą — o podwórze i oficynę właśnie — uliczek.

Co robić z takim fantem? Kamieniczki upiększać od rewersowej strony? Czynić je piękniejszymi, aniżeli były w istocie? Celowo je zbrzydzać? Istny węzeł gordyjski.

Znów portale tych wszystkich domów... Czy dorównają tym wywiezionym na Wyspę Pawią, hen, w XIX wieku? Może kopia choć w części odda urodę tego miejsca.

Ostatnio zgłosiła się do Chomicza Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych z propozycją użytkowania tego zespołu kamieniczek. Oferta została przyjęta: będą tu domy studenckie.

I o taki właśnie model użytkowania Starego Miasta nam chodzi, objaśnia na konkretnym przykładzie miejski konserwator.

„W parę lat cała Chlebnicka zostanie zwieńczona przedprozami, tak jak już się to stało z Mariacką” — utrzymuje mgr Chomicz i trudno mu nie ufać w tym względzie, jako że niejednego terminu i przyrzeczenia w życiu swoim dotrzymał. „Przecież te przedproza — wymieniali z Grassem uwagi — zawsze stanowiły o odmienności Gdańska. Dużo obszerniejsze od znanych skądkolwiek, do żadnych innych niepodobne”.

I swoiste rozbuchanie się gdańszczan (choćby wygląd ich posesji), ich tradycyjna tolerancyjność (przejawiająca się w wystroju). O, tak, z kształtu urbanistycznego i architektonicznego starych miast niejeden wniosek można wyciągnąć ogólnej natury, rzec można obyczajowo-filozoficznej. Tak, nawet etycznej (pruderia) i filozoficznej.

A otwartość mieszkańców — wtórował temu głosowi drugi z rozmówców — na światowe nowinki, jakie przywozili z sobą wygnani kontrreformacją przybysze z Holandii, Flandrii, Anglii, Szkocji nawet.

Śladem po bytności tych ostatnich są choćby Stare i Nowe Szkoty na Oruni (Ohra dla Grassa) i we Wrzeszczu.

Patrzył Grass w skupieniu. Przypatrywał się odbudowie ciągu trzech domów na Długim Pobrzeżu. (Jego opis znalazł się później na kartach *Turbota*). Słuchał objaśnienia, że Muzeum Archeologiczne przeniesie tutaj część swoich zbiorów pochodzących z wykopalisk przedsięwziętych stale na terenie Gdańska od powojnia. „Mnóstwo zabytków, mnóstwo eksponatów”, dopowie konserwator.

Gra idzie teraz o model funkcji Starego Miasta. O to, jak lunaparku uniknąć, wprowadzając gastronomię, turystów, sklepy, usługi do parterów i stylo-

wych podpiwniczeń. O to też idzie, by ze skutkiem obronić się przed miastem-muzeum, czego tu i tam, na Zachodzie, uniknąć się nie zawsze dało.

Zatem — miasto na równi artystów, co i robotników, wszelkiego rękodzieła. Z Mariacką pozostającą domeną artystów w sposób wyraźny. Dla odmiany ciąg domów przy Powroźniczej ma już swego inwestora — Stocznę Gdańską. Partery już pomieściły usługi oraz „Lastadię”, rodzaj nocnego klubu.

Przyczynę do niezwykłości gdańskich planów.

W Domu Uphagena na Długiej — po wykwaterowaniu stamtąd Biblioteki Wojewódzkiej — powstanie muzeum gdańskiej kamienicy mieszczańskiej, w podziemiach Dworu Artusa — stylowa restauracja. Powyżej zaś — coś w rodzaju sali posiedzeń rady miejskiej, miejsce na jej uroczyste sesje, jak dawnymi wiekami tu bywało, muzeum, bądź też sale recepcyjne.

Rośnie u zwykłych ludzi przekonanie o wartości starej zabudowy, która przecież *de facto* nie jest taka stara...

— Proszę pana — dzwoni ktoś z budki telefonicznej do gabinetu konserwatora — na Długiej mażą ściany domu wodą.

— Wiem, bo ja ich tam posłałem — oświadcza mgr Chomicz w odpowiedzi, nie ukrywając swojego zadowolenia z gospodarskiej troski mieszkańców Trójmiasta, a i z tego, że rodzi mu się coś na kształt policji budowlanej.

— Ach, jak źle, że jej nie mamy naprawdę — wzdycha przy tym sam do siebie na głos.

Konserwatora niepokoi to, że rusztowanie przy Złotej Bramie nie może być zdjęte. Powiadają: kropla drąży kamień. A przecież czas działa jeszcze bardziej destrukcyjnie.

Aż poszli raz nad Motławę. W rozmowie z Grassem Chomicz zakresił ramieniem łuk szeroki ponad rzeką, objął nim niemal całą Wyspę Spichrzów, elewator zbożowy z lat dwudziestych naszego wieku, dziś już w swej brzydocie prawie stylowy, bo zdążył wrosnąć w okoliczny pejzaż, „uładnić się” niejako. Zwierzył się pisarzowi z projektu urządzenia w odbudowanych spichrzach hoteli o wysokim standardzie, czym ożywiona zostanie i Motława. Po drugiej zaś stronie kanału rzeki i wyspy powstanie klub żeglarski, tak by i tamta jej część ożyła.

Grass pisał:

Wychodzę z założenia i twierdzę, że wysiłek narodu polskiego w wiernej historycznie odbudowie całkowicie zniszczonych miast, jak Warszawa, Wrocław, Gdańsk, i to mimo ogromu ofiar, jakie ten naród poniósł, jest niepowtarzalny.

Tymczasem podczas rozmowy z konserwatorem zwierzył mi się:

Wie pan, gdy jestem w Niemczech, mówią mi, że Gdańsk to niemieckie miasto, gdy jestem tutaj, słyszę, że ono jest polskie. Myślę, że jest po prostu europejskie.

Mgr Chomicz:

Rzeczywiście, ono jest polskie. I już nie chodzi mi o polskie orły, herby, symbole królów polskich, jakich tu nie brakuje. Za krzyżackiego panowania to miasto mocno podupadło, budowle skarłały. Obowiązywał zakaz budowy wysokich obiektów; mogły przecież pełnić funkcje strategiczne. Dopiero pokój toruński sprawił, że gotyk gdański wyładniał, wyszlachetniał, nabrał lekkości. Mieszczanie gdańscy uwolnili się od gnębiącego ich feudała. Znow można było robić to, na co miało się ochotę, bez ograniczeń. Czas trwogi skończył się, miasto wyszło z protestanckiego przygnębienia, nabrało w architekturze i kształcie urbanistycznym swoistej słowiańskiej finezji.

Grass: „Człowiek musi się tu inaczej poczuć”.

Chomicz: „Mamy ustawę o ochronie dóbr kultury. Możemy żądać, nie tylko prosić”.

Zapytany przez Grassa, czy ludzie chcą tutaj mieszkać, Chomicz udzielił lakonicznej odpowiedzi. „W kolejce się ustawiają”.

Zjeżdżają tu Niemcy. Zrazu nieufni, popatrzą, pochodzą, zdjęć trochę popstrykają. Co któryś odnajdzie tutaj swój ślad. Inni powrócą wnet do swoich miast nad Renem, Łabą i Dunajem. Zdjęcia Gdańska wykładają na stół. We wnętrzu domowego epidiaskopu umieszczają slajdy „stamtąd”. Rodzina, znajomi zbiorą się, żeby wspominać, pomedytować. Jeden powie wzgardliwie: *Scheisse*, że niby wszystko to propaganda, drugi zastanowi się, a trzeci, kto wie, podejmie decyzję o podróży za rok, by na własne oczy sprawdzić, jak to naprawdę wygląda.

Aż razu jednego Grass nie wytrzymał: „Tyle mówimy o odbudowie Starego i Głównego Miasta — zwrócił się w stronę Chomicza — weźmy plany z sobą i w terenie porównajmy sztychy z tym, co zostało zrobione i jest dzisiaj w tym miejscu”.

I poszli. Na Mariacką. Stanęli przed jedną z kamieniczek. Porównali. Znow sięgnęli do planu. Niemal równocześnie wzniesli głowy ku górze. Tam gdzie lśniła w słońcu attyka fasady kolejnej kamieniczki. Studiowali detale, wyważali proporcje. Wszystko zdawało się być odrobione starannie.

To krótko potem napisał Grass o „historycznym wysiłku narodu polskiego w dziele odbudowy całkowicie zniszczonych miast”.

Zdarzyło się, iż zaszli któregoś razu pod kościół św. Katarzyny, który dopiero niedawno pokrył nowy hełm, poszycie dachowe tej świątyni. W rozmowie gdański konserwator napomknął o sprawie dzwonów tegoż kościoła. „Trzydzieści sześć dzwonów z tego kościoła jest teraz w RFN — informował swego rozmówcę. — Nie ma więc ten kościół swego *carillonu*, swojej «gry dzwonowej»” [w oryginale *Glockenspiele* — R. C.].

Mocno poruszyła Grassa ta sprawa. Nie dziwota więc, iż skomentował ją naprędce i na żywo na planie *Drogocennej przeszłości*, wprost do milionów rodaków w swoim kraju. I zabrzmiało to jak apel głębokiego humanisty.

Zwłaszcza iż, jak się rychło okazało, na tych dzwonach sprawa się nie kończy; dużo więcej byłych gdańskich zabytków znajduje się w Republice Federalnej po dziś dzień\*. Ot, choćby w hamburskiej Kunsthalle oglądać można skrzydło ołtarza z kaplicy św. Baltazara, w Hildesheim wieżę tamtejszego kościoła św. Andrzeja zdobi dzwon „Osanna”, pochodzący z wieży gdańskiej bazyliki. W kościele Mariackim w Lubece czynna jest wciąż wystawa stu gdańskich paramentów. I mają się tam całkiem dobrze. Podobnie zresztą jak karylion czy, jak kto woli, owa *Glockenspiele* z gdańskiego kościoła św. Katarzyny. Zespół 37 dzwonów i dzwoneczków zdemontowanych porą wojny (1944) — oznaka niemieckiej przeczności — przez grupę ówczesnych gdańskich konserwatorów i wywieziony w głąb Rzeszy.

Jak o tej sprawie wypowiedział się Grass do kamery? Rzekł ni mniej, ni więcej: „Byłoby dobrze, ażeby w poczuciu dobrze rozumianego sojuszu miast hanzeatyckich «gra dzwonowa» z kościoła św. Katarzyny w Gdańsku powróciła na swoje dawne miejsce”.

No i zaczęło się. Pierwszy odezwał się Herr Guttkuhn, prezes Związku Ojczystych Miast RFN:

Pana propozycja zwrócenia dzwonów i „gry dzwonowej” z St. Marien do kościoła św. Katarzyny w Gdańsku, jako gest i symbol pojednania z Polską, spowodowała wielką dyskusję w Lubece. Bardzo niekorzystne jest to, że nikt dobrze nie wie, w jakiej formie pan tę propozycję wysunął i przedstawił. Uprzejmie proszę o napisanie dla naszego piśma czegoś bliższego w tej sprawie.

Peter Guttkuhn

Tu informacja, czym jest owa „gra dzwonowa” z kościoła św. Katarzyny. Po raz pierwszy została zainstalowana w r. 1575, po sprowadzeniu jej z Holandii.

\* Ta sytuacja, niestety, trwa do dzisiaj [R. C. — 1999 r.].

Składała się wówczas z 14 dzwonów służących do wygrywania kościelnych (był to już wówczas kościół wyznania augsburskoewangelickiego) melodii. W pół wieku później budowany hełm wieży kościoła rychło zyskał sobie miano „polskiej kopuły” albo „hełmu polskiego”, było to dzieło wybitnego budowniczego Jakuba von den Blocka. Rok 1738 zaznaczył się w dziejach kościoła faktem sprowadzenia nowego carillonu, liczącego tym razem 35 dzwonów, wydzwaniającego chorały. Przetrwał on do 1905 roku, kiedy to, w wyniku uderzenia pioruna, spłonął barokowy hełm wieży, a carillon uległ zniszczeniu. W pięć lat później zaci gdańscy mieszczanie podjęli się rekonstrukcji hełmu oraz zafundowali sobie carillon o 37 dzwonach, który przeszedł przez wojenny demontaż i wędrowkę do Wilhelmsburga pod Hamburgiem, gdzie złożony został na cmentarzysku dzwonów i skąd, już po wojnie, przetransportowano go do Lubeki dla zainstalowania w tamtejszym kościele Mariackim.

Wielce Szanowny Panie Guttkuhn

Niestety, nie mam czasu, aby napisać jakiś artykuł dla Waszego pisma, dlatego podaję tylko kilka uwag do nakręconego przeze mnie filmu *Drogocenna przeszłość*. Film ten nakręciłem na zlecenie Norddeutscher Rundfunk. Wychodzę z założenia i twierdzę, że wysiłek narodu polskiego w wiernej historycznie odbudowie całkowicie zniszczonych zabytkowych starych miast, jak Warszawa, Wrocław, Gdańsk i inne, jest niepowtarzalny i to mimo politycznych sprzeczności, które miały narodem i ogromu ofiar, jakie ten naród poniósł.

Na zachodzie nic podobnego się nie wydarzyło. Wręcz odwrotnie, chęć szybkiego wzbogacenia się była przyczyną przebudowy resztek starych miast i budowli na banki i domy towarowe, a to, co jeszcze zostało, wyburzono. To samo dotyczy również NRD. Stosunek Niemców do historii polega na proklamacjach i niedzielnych przemówieniach, tego nam nigdy nie brakowało.

Po tym, jak w dawnym Danzigu, a obecnym Gdańsku niemal wszystkie kościoły odbudowano, jak św. Katarzynę znowu zwieńczono pięknym hełmem i jeszcze piękniejszymi wieżyczkami, jestem zdania, że ten kościół sąsiadujący z odbudowanym Wielkim Młynem (budowlą Zakonu Krzyżackiego) prosi się o zwrot „gry dzwonowej”. A „gra dzwonowa” wisi w Lubece — w Lubece, która wysłała obronną ręką z pożarów i zniszczeń. Przyszedł więc czas, żeby zwrócić wypożyczony skarb. Mówić jedynie o pojednaniu z narodem polskim to jedna rzecz, a dać konkretne dowody, to druga rzecz, trudniejsza. Miasta hanzeatyckie zawsze były miastami światowymi. Ciasny nacjonalistyczny sposób myślenia był tym miastom obcy. Oznaką hanzeatyckiej tolerancji byłby fakt, gdyby pewnego dnia powieszono „grę dzwonową” św. Katarzyny tam, gdzie było jej pierwsze miejsce.

Z przyjaznymi pozdrowieniami  
Günter Grass

Urodę tej części „korony miasta” wyznacza kanał Raduni, który przed wiekami przekopali Krzyżacy, by mieć wodę na swój młyn. Już bowiem za kanałem rozłożyło się miasto krzyżackie z częścią portu im przynależną. To od północnej strony. Od północno-zachodniej okala św. Katarzynę Wielki Młyn, od południowej — ciąg zabytkowych kamieniczek przy ul. Katarzynki, zaś od wschodniej — ulica Profesorska. *Matrona loci* zwał się ten kościół w przeszłości. Ten zbudowany na zrębach kościoła Sobiesława, pomnego czasów ks. Świętopełka (tu wystawiono niegdyś jego zwłoki, zanim został pochowany w grobowcach książąt pomorskich w Oliwie) i ks. Włodzimierza.

Wielce Szanowny Panie Grass

Dziękuję za list z 12 stycznia. Po zasięgnięciu i wysondowaniu opinii sporej rzeszy mieszkańców pragnę ją panu przekazać.

Mieszkańcy miasta hanzeatyckiego Lubeki są jeszcze dzisiaj światowymi, pełnymi tradycji i tolerancyjnymi członkami swego narodu. Są tak samo zainteresowani pojednaniem, współlistnieniem i pokojem z narodem polskim, jak i ze wszystkimi narodami skandynawskimi. I to mimo zasadniczych zmian, jakie nastąpiły w randze miasta, spowodowanych wydarzeniami historyczno-politycznymi. Lubeka, miasto Hanzy, kiedyś było ważnym miastem przygranicznym, położonym gdzieś w kącie północno-wschodnim wolnych Niemiec. (...) Muszę powiedzieć, że obok mieszkańców Berlina właśnie lubeczanie pragną kontaktów, normalizacji stosunków, porozumienia i pojednania i w tym duchu działają, a nie tylko w formie proklamacji. I tu również zgadzamy się z panem, Szanowny Panie Grass — nie chodzi nam absolutnie o nowe niedzielne przemówienia, ale chodzi o wyraźne, orientujące na przyszłość oznaki w duchu niemiecko-polskiego pojednania i przyjaźni.

Jednakże „gra dzwonowa” wisząca obecnie w St. Marien nie może być obiektem, który miałby służyć jako symbol lub gest tego pojednania. Wszystkie dzwony gdańskie w ilości 30 sztuk są własnością ewangelickiego kościoła staropruskiego Unii w Zachodnim Berlinie. Kościół w Lubece, zgodnie z zawartą umową, nie może nic zmienić ani wypowiadać się co do zwrotu. Mechanizm „gry dzwonowej” wiele zawdzięcza ofiarności mieszkańców Lubeki. Nie można go zdemontować ani przenieść w inne miejsce. Dla tysięcy byłych gdańszczan, żyjących obecnie w Lubece, „gra dzwonowa” jest kawałkiem stron rodzinnych. Oni nie chcą z tej pamiątki zrezygnować. Poza tym dzwony te wiszą w Lubece prawie tak długo, jak poprzednio w Gdańsku. Polskich mieszkańców Gdańska nie łączą przecież uczuciowe więzy z dzwonami, zatem duch przewodni tego gestu nie byłby symboliczny ani praktyczny. Z drugiej strony jesteśmy zdania, że można znaleźć inną drogę oraz środki, żeby pomóc św. Katarzynie w zdobyciu nowego karylionu. Do takiego czynu powinniśmy zjednać mieszkańców, a ojcowie miasta z pewnością też się włączą, a nasz Związek Miast Ojczystych w Lubece natychmiast stanie w służbie tej dobrej sprawy. Co pan o tym sądzi?

Z przyjaznym pozdrowieniem

Peter Guttkuhn

Płonął ten kościół w roku czterdziestym piątym. Płonęła tamtą pamiętną zimą św. Katarzyna, podobnie jak bazylika Mariacka, jak św. Jan, św. Brygida, św. Trójca i kościół pod wezwaniem Piotra i Pawła. Spłonął raz jeszcze barokowy hełm św. Katarzyny, zniszczone zostało jego sklepienie. W dwa lata później kuria biskupia przekazała ten kościół krakowskim ojcom karmelitom, oni zaś wzięli się energicznie do jego odbudowy (hamowanej w latach 50. i 60.) tak, iż w 1979 r. zakończone zostały prace przy rekonstrukcji hełmu barokowego.

Nie zgadzam się z wywodami Pana — pisał w odpowiedzi Günter Grass — tyczącymi przeszkód w kwestii zwrotu „gry dzwonowej” do Gdańska. Co można było przetransportować z Gdańska do Lubeki i co można było zainstalować, można tak samo dobrze zdemontować i przetransportować do Gdańska. Jest to sprawa czysto techniczna i finansowa.

Respektować mogę jedynie wywód na temat dość długiego czasu oraz przyzwyczajenia do tych dzwonów. Pozwolę więc sobie zaproponować Panu, aby nawiązał Pan kontakt z konserwatorem miasta Gdańska, p. Romualdem Chomiczem, Gdańsk, ul. Piwna 36/39, i aby Pan jemu przedstawił swoje propozycje i możliwości w tym zakresie. Fakt ufundowania przez mieszkańców Lubeki „gry dzwonowej”, która znalazłaby się w św. Katarzynie, byłby gestem koniecznym i dawno wymaganym. Na moją współpracę w tym zakresie może Pan z pewnością liczyć.

Przyjazne pozdrowienia  
Günter Grass

Wkrótce nadszedł w odpowiedzi kolejny list z Lubeki:

Wielce Szanowny Panie Grass!

Cieszę się, że przystał Pan na moją propozycję oraz pragnie Pan mi pomóc w znalezieniu możliwości dopomożenia św. Katarzynie w otrzymaniu „gry dzwonowej”. Uważam, że moim zadaniem będzie przeprowadzenie rozmów i to różnorodnych, aby zacząć praktyczne działania w tym kierunku. Pan jednak pozwoli, że jeszcze raz poruszę sprawę przeszkód. Na cmentarzysku dzwonów w Hamburgu odnaleziono z 36 dzwonów św. Katarzyny tylko 30 dzwonów i to w różnym stanie, często zupełnie nagich. Zostały one przetransportowane do Lubeki. Dodatkowo odlano 5 dzwonów. Trzeba było wykonać bardzo kosztowny mechanizm — i to specjalnie do tych dzwonów i do tej wieży, i tak ten mechanizm wbudowano. Pragnę Pana przekonać, że mechanizmu tego nie można tak sobie zdemontować i gdzie indziej umieścić. To jest specyficzna, lubecka, „gra dzwonowa”. Dlatego św. Katarzyna potrzebuje nowego karylionu.

Jeżeli Pan to zrozumie i uczuciowo będzie Pan przekonany o naszej słuszności, to wówczas ułatwi Pan nam realizację naszych zamierzeń. Nie ma nikogo w Lubecie, kto by się podjął bezmyślnie zniszczyć piękną „grę dzwonową”. Z p. Chomiczem niezwłocznie się skontaktuję.

Uwieńczył całą tę sprawę list Güntera Grassa:

Szanowny Panie Guttkuhn

Bardzo dziękuję za list oraz bardzo ważne wiadomości o karylionie w St. Marien.

W tym wypadku istotnie byłoby bezmyślnością demontować gdańską „grę dzwonową”. Jestem zadowolony, że pragnie Pan nawiązać kontakt z p. Chomiczem, gdyż moim zdaniem trzeba będzie dowiedzieć się, jaka będzie reakcja strony polskiej, tak aby nasze szczerze zamiary w drugiej fazie nie rozbiły się o ciasnotę biurokratycznych przeszkód. Tymczasem dowiedziałem się od przyjaciół, że w listopadzie zamontowano pięknie zrekonstruowany hełm wieży św. Katarzyny i że kościół ma znowu swoją piękną wieżę. Oczywiście jestem gotów uczestniczyć w przedsięwzięciu zorganizowanym na rzecz nowego karylionu dla św. Katarzyny — rzecz jasna po nawiązaniu kontaktu z p. Chomiczem oraz po uzyskaniu zrozumienia i jego aprobaty.

Przyjacielskie pozdrowienia  
Günter Grass

Na tym urywa się korespondencja. Po wiadomości o dalszym ciągu spraw udałem się do przełożonego gdańskich oo. Karmelitów, który opowiedział mi o tarapatach z odbudową kościoła w przeszłości, o jego kompletnej dewastacji, o braku dachu, o licznych przypadkach kradzieży surowców, o kłopotach kompetencyjnych na linii urząd—konserwator—architekt. O trwających pomimo tych trudności pracach nad wykończeniem dachu, odmalowaniem obiektu i uzupełnieniem wystroju kościoła. („Przydałby nam się bardzo obraz Matki Boskiej, zabrany po wojnie przez Muzeum Narodowe w Warszawie”). Dzwony?

— Ostał nam się jeden dzwonek, pewno w wojnę był rozbity, więc go nie zabrali. A nam służy. Nie ma już także drewnianego bębna, na który nagrane były rozmaite melodie.

— A co z karylionem?

— Zakazano nam wszelkiej korespondencji w tej sprawie. A moglibyśmy interweniować, choćby przez naszych braci w Moguncji. Podobno są przetargi w tej sprawie pomiędzy konserwatorem, resortem a Lubeką... Owszem, była, pamiętam, propozycja rekonstrukcji karylionu — powie mi Romuald Chomicz. — Przesłałem całą dokumentację w tej sprawie dokąd się dało, do władz wojewódzkich i centralnych.

— I co?

— Cisza zapadła kompletna. Wygląda, iż uznano za niegodne prosić stronę RFN-owską o gest wspaniałomyślności...



Z pomieszczenia na piętrze Zielonej Bramy znajdującej się w sercu Gdańska, z siedziby Pracowni Konserwacji Zabytków, której wiceszefem jest Romuald Chomicz, rzut oka wystarczy, by rozpoznać niespieszny w tym miejscu nurt Motławy, najbardziej gdańskiej z wiślanych odnóg, spichrze zbożowe po drugiej stronie kanału, dwa gdańskie mosty, historyczny Krowi i zgoła powojennie się zwący — Leningradzki, wytyczający dziś południową flankę Głównego Miasta. W tej scenerii łatwiej jakby wieść nasz „wątek rozhoworu”. O zabytkach i ich ochronie, o potrzebie osłaniania ich przed złowrogim czasem, o przepisach, które zamiast chronić zabytkową substancję, bywa że działają na jej niekorzyść. Trudności obiektywnych przy tym nie pomijając, jak choćby owych sakramentkich mocy przerobowych brygad remontowych, braku dewiz, trudności w zaopatrzeniu w sprzęt.

— Od wielu lat — zauważy gdański konserwator — nie ma sposobu na przekazanie zabytkowego budyneczku nieopodal kościoła św. Brygidy indywidualnemu właścicielowi. Zgłaszali się już do mnie i konserwatorzy, i architekci, i plastycy; chcieli wyremontować na własny koszt ten niegdyś spalony budyneczek. Lecz obiekt jest własnością państwową i nie ma siły, która mogłaby go przekazać osobie prywatnej. Nawet szansa przywrócenia mu dawnej świetności nie jest argumentem dla urzędników.

I westchnie przy tym: — Ile się Penderecki nachodzić musiał, zanim mu dali pałacyk w Lusławicach pod Krakowem...

Bo tak już jest, że instytucję, gdy już weźmie się za taki remont, z miejsca osaczają limity, ograniczenia, a konserwator w takim gorsecie czuje się dość nieswojo. Kto w końcu, jak nie on, wie (i boleje nad tym), że cenny, często unikatowy obiekt niszczy w oczach, kruszy się i kurczy, degraduje po prostu, traci na swej pierwotnej wartości. Obiekt przyniesiony nam w spadku przez czas i minione epoki, wiano wielu generacji projektantów, dekoratorów, sztukatorów. Konserwator bowiem, jak nikt inny, dostrzega zaniedbanie każde w pracach remontowych, nedoróbkę, robotę pod sznurek, niedostatecznie wierną epoce, jej stylistyce, jej aurze szczególnej i niepowtarzalnej. Więc — bywa — obok zgromadzonej przed stylowym frontem wycieczki idzie prędko, jakby nie chciał widzieć jej reakcji na — nierzadko pozorne — piękno.

A więc cena, jaką płaci każdy, kto wszystko przeniknął w swoim fachu i poznał wszelkie jego tajniki. Cena wysoka: utrata entuzjazmu twórczego. Niestety, nieuchronna.

Ów konserwatorski *horror vacui* — strach przed pustką. Zabytkowych wnętrz, ogołoconych z piękna ścian, całych pomieszczeń, ba, obiektów. Ten lęk

objawiony choćby niechęcią do przekazywania obiektów zabytkowych osobom prywatnym.

— A czy instytucjom także?

— Małych obiektów instytucja nie przejmie, to jej się nie opłaca.

I pomyśleć, iż powiada się, że małe jest piękne.

Bowiem jest zapisane w górze, że wszystkie obiekty zabytkowe są wartością narodową i że tego, co ładne, nie powinno się chować zbyt głęboko; chwalić się tym trzeba. Tymczasem dziwnym trafem niejeden obiekt wykreślany był z bedekerowych zapisów.

Konserwatorski impas. Wyrażający się w słowach:

— Jeśli jest instytucja, która chce zająć się zabytkiem, ułatwiamy jej to.

Wygląda na to, że zabytek wciąż szuka swego właściciela, nie zaś na odwrót. Czyli zgoła inaczej niż w szerokim świecie, gdzie pan na zamku to jest ktoś.

„Żywe zabytki” — to była niegdyś *idée fixe* Chomicza, odkąd go pamiętam na jego urzędzie.

— Główne Miasto ma już gotowy projekt przekształceń funkcjonalnych do roku 1990 — zezna na tę okoliczność. — Założyliśmy sobie wyprowadzenie instytucji państwowych tych z gatunku „do szesnastej” z obszaru staromiejskiego.

Ze wspólnego pochylenia nad mapą wyniknie, że częściowo już tak jest. W pasie Droga Królewska—Długie Pobrzeże—Mariacka. Bo już na boki, gdzie Ogarna, Chlebnicka, Szeroka, Świętego Ducha, rozmaicie z tym bywa; martwoty więcej aniżeli ruchu i ożywienia. A tam właśnie winno się nas żywić, coś nam zaoferować do sprzedaży, zaspokoić głód pamiątek, ułatwiając wtopienie się przechodnia w ten dookolny pejzaż.

Gra warta jest świeczki. Wszystko tu trąci eksperymentem. Jak na nowo tchnąć życie w to, co niegdyś, zdawało się, bezpowrotnie zamarło w śmiertelnym skurczu, porażone zostało nieodwołalnie językami ognia i wojny. A że eksperyment ten objął 40 hektarów miejskiej powierzchni...

— Zróbmy jak w Antwerpii czy w Brugii — zapali się. — Puśćmy łódki Radunią i Motławą, tymi głównomiejskimi tętnicami, zamulonymi teraz, zarzuconymi kamieniami, porośniętymi zielskiem. Ulokalnijmy nadto hałaśliwą Motławę, czyniąc z niej składową gdańskiego organizmu. Wykonajmy przepusty na rzece, blokady, podnosząc zarazem poziom lustra wody, przywróćmy temu miastu charakter „miasta nad wodą”, o czym na razie, od środka, nie całkiem jest przekonane. Tak bardzo bokiem jest do wody ustawione. Wyprowadźmy te łodzie z miasta, hen, pod Żuławy, krainę niegdyś w sposób naturalny sprzężoną z miastem. A nad brzegami niechby kawiarnie, kafejki, bistra. Spod Katarzyny, od Wielkiego

Młyna i Korzennej ze starym Ratuszem, niech zacznie się ten szlak jedyny w swoim rodzaju i niech uniknie się przekształceń w lunapark, w zbyt wielki gwar, Głównemu Miastu zgoła niepotrzebny.

A owe gdańskie „szczyby w koronie”? Kościół Jana i Straganiarska. Po dziś dzień noszące na sobie piętno wojny, długo nietknięte ni kielnią, ni łopata, ni — co gorsza — konserwatorską opieką. Lecz też tchnące niepodrobionym autentyzmem, prawdą dawności, zetknięciem z rzeczywistym, wielowiekowym Gdańskiem.

*Z Turbota:*

Na polecenie konserwatora dwaj robotnicy budowlani zaczęli pospiesznie zbierać ludzkie kości walające się po rumowisku. To dla telewizji zbyt jest makabryczne. Takie przebitki do fałszywych wniosków mogłyby prowadzić. Tu nie o poniemieckie szczątki z ostatniej wojny chodzi, lecz o średniowieczne kości, które pod rozwalonymi płytami posadzkiowymi wiecznego spokoju nie znalazły. Wnętrze kościoła z ukośnym światłem, w którym tańczy kurz, lotem spłoszonych gołębi i wykrzywionymi twarzami rozbitych rzeźb fasadowych wystarczającą stwarza atmosferę. Toteż w swoim czasie reżyser Andrzej Wajda w kościele Świętego Jana kręcił sceny do swego filmu *Popiół i diament*. Ale w filmach dokumentarnych z kości, bardzo proszę, wypada zrezygnować.

— W tej części Starego Miasta — powtórzy mgr Chomicz sprowadzony z kart powieści Güntera Grassa, w której pojawia się jako jedna z głównych postaci — budynki wymagające remontu ostały się nietknięte ręką budowniczego czy konserwatora; zabrakło dla nich pieniędzy. I dla Jana także.

U Jana nawet jakieś roboty trwają, choć ślamazarne, niespieszne. Przyglądając im się z bliska, trudno wprost uwierzyć, iż przyjdzie czas, gdy jak to sobie niegdyś zamierzano, powstanie tutaj Centrum Scenografii Polskiej. Taka bowiem będzie jego dokładna nazwa.

„Widział kto kiedy, żeby takie wnętrza przeznaczać na dziwadła Szajny!” — grzmiał z łamów prasy Jerzy Waldorff, krytyk muzyczny, optując za urządzeniem u Jana sali koncertowej muzyki oratoryjnej.

Konserwator wsłuchuje się w te swary, trwając przy swoim: „Každy remont obiektu zabytkowego tej skali musi być kompletny. Niezależnie zgoła od jego przyszłej funkcji, roli i znaczenia”. Wypadnie więc Janowi sklepienie wzmocnić, dach na nim położyć, wykonać konserwację detali. A cegła spalona wojną niechby została. I tynki z okresu wojny. Jak scenografia to w każdym calu.

Ja tymczasem aż w kolano biję się z żalości, iż zaraz po wojnie władze kościelne odstąpiły Jana państwu. Inaczej pewno już od dawna byłby uszykowany.

I Janowe organy bogato rzeźbione w drewnie, a zalegające jedną z bocznych naw Bazyliki Mariackiej, byłyby już na swoim miejscu, im tylko należnym.

Co? Że nazbyt wielkie nasycenie kościołami w tej części miasta? A jakież to, na Boga, argument. Jak powrót miasta do dawnej świetności, to naprawdę i do końca. A że gminy ewangelickie odeszły z miasta? Na ich miejsce wejść mogą parafie katolickie.

— Już dziś nie pamiętamy — wzdycha Chomicz usprawiedliwiająco — jak długo trwał remont Katarzyny. Ile czasu trzeba było, aby charakterystyczny w gdańskiej panoramie hełm barokowy pojawił się znowu na szczycie kościoła.

Ci zaś, co zwiedzają to miasto, jego starą część, po latach wielu, przystaną, bywa, na krótką chwilę. Zastanowią się, najwyraźniej coś w sobie rozpamiętując, przestępując z nogi na nogę. Aż któryś z nich niespodziewanie zakrzyknie:

— W tym domu mieszkałem przed wojną! A tam, za rogiem, chodziło się na dziewczyny!

Dokładnie tak, jak zachował się Herr Kleppel, absolwent przedwojenny wydziału architektury „Technische Hochschule zur Danzig”, autor książki o Gdańsku, na widok „swojej” kamieniczki. Jakby nie pamiętał (a może tylko nie chciał pamiętać?), że zaraz po wojnie strzaskana była do szczętu, cała legła w gruzach i należało wpierv wznieść ją na powrót, by po latach, gdy już nieco omszeje, wzbudzać mogła takie dziecięce nieledwie reakcje.

W rozmowie z Chomiczem zawsze ciśnie się na usta całe mnóstwo pytań. Choćby takie:

— Jaki procent zabudowy Głównego Miasta w ogóle nie został odbudowany?

Odpowiedź tego, który w swojej pracy, jak rzecz tę określił Günter Grass, posiłkuje się metodami „lirycznego przymusu”, brzmi wówczas:

— Osiemnaście.

Poszerzono ulicę o nazwie Grobla, tak ażeby stworzyć lepszą perspektywę na Kaplicę Królewską. Jest taka fotografia Marka Walczewskiego — Schugger Leo — i małego Oskara z *Blaszanego bębenka*, z jego filmowej wersji, gdy idą Groblą, Leo Hyś cały w czerni, w cylindrze, i Oskar ze swoim bębenkiem w białoczerwone płomyki, a w głębi widnieje zarys Kaplicy Królewskiej. Niejedno uległo zmianie w zabudowie wewnętrznej, w układzie głębokich oficyn. W niektórych przypadkach, jak choćby przy Długiej 12, na tyłach Domu Uphagena, zostawiło się zarys murku, dla rozpoznania, jak wyglądała niegdyś zabudowa idąca w głąb. Niejedno zmieniło się w kształcie Długiego Pobrzeża, zwłaszcza zaś w ciągu od Bramy Mariackiej przez Bramę św. Ducha do Żurawia. Jednej z pierzei uli-

cy Szerokiej też już nie odbudowano. I niektórych plomb przy Piwnej, jednej z pierzei ulicy Świętego Ducha. I jeszcze zmieniło się to i owo w kształcie bocznych niedużych uliczek — Ławniczej, Powroźników i Krowiej.

Aż korciło spytać, czy mimochodem nie dokonało się przenosin zabytkowego obiektu z jednego miejsca w drugie.

— Organy św. Jana są tego jedynym przykładem.

Też mi przykład...

Tak więc w trakcie odbudowy dokonało się odwrócenie miasta od Motławy. I element tej sprawy — wciąż niepewny los Wyspy Spichrzów, pozostający stale w ogniu dyskusji fanatyków gdańskiej sprawy, działaczy, konserwatorów, społeczników różnej maści. O tyle istotny, że Motława wraz z wyspą Oławianką zamyka urbanistycznie kompleks Głównego Miasta, czyniąc ze Starego Portu i z Motławy główny szlak prowadzący do placu Wałowego oraz zespołu pofranciszkańskiego, obecnej siedziby Muzeum Narodowego.

I do spichlerzy na prawym brzegu.

Nazajutrz kręciliśmy Marię Pannę widzianą ze wszystkich stron: sterczącą wysoko, gdy się patrzy z Długiej przez kiszkę Kaletniczej. Z miejsca, gdzie ulica Świętego Ducha dochodzi do Motławy i Długiego Pobrzeża, można było w całości uchwycić gotycką kwokę z wypalanej cegły. Dwa kolejne dalekie ujęcia z Podwała Staromiejskiego przez Groblę, tak że polska Kaplica Królewska, przytulona do Marii Panny, wyolbrzymiała jej rozmiary. I z Podwała Przedmiejskiego, róg Żabiego Kruka, skąd za szczytami Ogarnej ogromna wieża bazyliki i smukła wieża ratusza wydają się zaślubione na wieczność.

Jest Romuald Chomicz absolwentem Liceum Plastycznego w Orłowie oraz Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, tym niegdyś wojewódzkim dla Pomorza mieście. A także autorem pracy magisterskiej *O gotyckich bramach fortyfikacji miejskich terenu Polski Północnej*. Co dnia prawie przyjmuje u siebie gości z zagranicy ciekawych stale i na nowo fenomenowi odbudowy tego miasta. (Jedno ze zdziwień z tej okazji: obszerne jak nigdzie na świecie przedproża; objaśnia je wpływem niderlandzkim z dodatkiem słowiańskiej fantazji). Sam też często bywa w świecie z seriami odczytów. We Francji, Włoszech (zapamiętał szczególnie spotkanie z hr. Hutten-Czapskim), RFN, w Holandii. A swych podwładnych posyła do Bremy i Otterbergu, do Bańskiej Szczawnicy i Tallina, a nawet do Deir-Eir-Bachari w Egipcie. Naturalną więc rzeczą kolejną trafili jego ludzie także na Zamek Królewski w Warszawie.

Co mu przyszło do głowy całkiem ostatnio? A to, że na terenie Oliwy, w rejonie ulicy Kwietnej, istnieje wyśmienity zespół XVIII-wiecznego budownic-

twa robotniczego. Jakby załazek przyszłego Skansenu Robotniczego. Jako że kuźnia już jest. Współ z dworkiem stanowi to pewną zgraną całość. Gdyby tak jeszcze przenieść w to miejsce parę lamp ulicznych, słupy ogłoszeniowe sprzed lat, latarnie gazowe. Kto wie, może by coś z tego wyszło w miarę kompletnego...

Wygląda więc na to, że metoda „lirycznego przymusu” już mu w krew weszła.

„Tą odbudową zdobyliście Gdańsk po raz drugi” — powiedział, oprowadzany po zabytkowym centrum Gdańska, prof. arch. Wilhelm Hubotter z Hanoweru.

Wtórował mu zaś sam Richard Neutra, jeden z najsłynniejszych XX-wiecznych urbanistów:

Macie zupełną rację, odbudowując w waszym mieście zabytki. Każdy człowiek musi umiejscowić siebie gdzieś na linii czasu. Zabytki ułatwiają jednostkom i całym narodom tę operację i ponadto ułatwiają identyfikację narodu.

(1981)

## Spotkania trzech stopni

A zatem *cicerone*. I ambasador spraw swego miasta. Bowiem książki i cała agitacyjna wokół spraw tego miasta robota, są rodzajem wręczonych samemu sobie i innym listów uwierzytelniających. Oto bowiem przyjechał raz jeszcze, wezwany tutaj kolejną miasta swego potrzebą. A niedługo wyniknie z tego blichtr i rozgłos hollywoodzki. Lecz najpierw odbyło się owo...

Pisze jak stary Goethe — zauważono niegdyś o Günterze Grassie — stojąc przy pulpicie. Od czasu do czasu pulpit zamienia na mównicę i zwraca się do narodu niemieckiego niczym stary Fichte. Swe codzienne myśli zapisuje w brulionie, jak stary Lichtenberg, uprawia codzienną politykę felietonową, jak stary Heine — ale w przeciwieństwie do niego stał się na cały świat znaną wizytówką niemieckiej polityki kulturalnej: on — Günter Grass.

W wierszu *Pan Kichot* tak pisał:

Ciągle to mówię: Polacy są zdolni  
nazbyt zdolni i do czego zdolni  
o zdolnych rękach, ustach do całowania  
zdolni także w melancholii, w kawalerii.

(przełożył Jan Koprowski)

O sobie zaś tak pisał: „Mam pedantyczny stosunek do geografii i czasu”.

Może więc ów stosunek właśnie spowodował jego kolejny przyjazd w te strony. Tamte poprzednie odbywał w skupieniu, z namaszczeniem, w pewnym emocjonalnym napięciu, które dopomóc miało w spełnieniu twórczym, gdy formalnie, po wierzchu, szło o jakieś doraźne sprawy, lecz dla niego samego jakby drugorzędne. Natchnienia szukał w tych stronach nadmorskich, lesistych, pagórkowatych. W końcu sam zostawał w rozgwarze dnia. I wyglądało to na podróż humanisty do źródeł czasu i przestrzeni. Wędrowkę nomady, wiecznego tułacza, przez ruiny i zgliszcza, przez ludzkie cierpienie, mozaikę spraw przeszłych i tych nie całkiem minionych. Tych, z których on — samotnik, gdy odjadą telewizyjne i filmowe ekipy, układać będzie w pojedynkę mozaikę z kamyków porozrzucanych na wszystkie światła strony. Bowiem: „rzeczywistość jest za ciasna, zbyt prozaiczna, linearna. Rola artysty polega na tym, aby tłukąc dany przedmiot, ujawniać to, co się w nim kryje”.

Przedmiotów rozbił już całe mnóstwo, wiele też z nich złożyć już zdołał ten „strażnik geografii i czasu”.

Aż zdarzyło się, iż to, co misternie poskładał, rozbić postanowili raz jeszcze filmowcy, biorąc się za bary z gęstą materią największej jego powieści — *Błazanego bębenka*. I z tej okazji przyjechał raz jeszcze.

### Spotkanie pierwszego stopnia

Hotel „Posejdon” w Jelitkowie. Gdzieś tam w głębi osiedle Żabianka, ostatnie gdańskie od zachodniej strony, bo dalej rozpoczyna się już teren przysopocki, sam kurort i dalej w północno-zachodnim kierunku, już pod Gdynią, majątek Kolibki, niegdyś własność Jewelowskiego (dziś gospodarstwo warzywno-kwiaciarskie). Kamienny Potok i Sopot, ten wyścigowy, sąsiedni wobec kurortowego. Sam hotel zaś zdołał już wrosnąć w okoliczny pejzaż i przyłgnąć do tej dzielnicy na gdańskim przedmieściu, usytuowanej tuż obok morskiego brzegu, w pół drogi pomiędzy Gdańskiem a Sopotem.

Jelitkowo jest dziś i za jego czasów też było wczasowo-urlopową częścią Oliwy i Gdańska. I spełnia, jak i spełniało, funkcję podobną do tej, jaką przed wielu laty odgrywało Brzeźno dla jego Langfuhr, a dziś odgrywa dla mieszkańców Wrzeszcza.

Od Wzgórz Oliwskich, od pocysterskiego oliwskiego klasztoru i katedry, od ulicy Różanej (Rosengasse) jest ono dość odległe. Jego Jelitkowo nazywało



się Glettkau i było czymś pomiędzy *Badem* a osadą docenianą już wtedy przez co ruchliwszych gdańszczyzan, poprawmy się prędko — przez obywateli Wolnego Miasta i licznych, zwłaszcza letnią porą (ale i zimową, jak zaraz się okaże), kuracjuszy i spacerowiczów.

Niejeden raz był tu z ojcem, mamą i starszą siostrą. Przyzna to później w rozmowie w hotelu prowadzonej. W tym, który położony jest dokładnie w połowie drogi od pętli tramwajowej do miejscowego kościółka z niewysoką wieżyczką na szczycie.

W pobliżu tych wszystkich miejsc, gdzie uczniowie z gimnazjum im. Horsta Wessela (pisze o tym w *Psich latach*) byli szkoleni w baterii nadbrzeżnej Brösen-Glettkau.

O samym zaś Glettkau taki sąd wydał niegdys:

Mój ojciec prowadził nas wszystkich do Oliwy. Tam wsiadaliśmy do tramwaju jadącego w stronę Jelitkowa. Aż po najdalszy horyzont zatoka była zmrożona. Jelitkowskie moło błyszczało dziwacznie zlodowaciałe. Dlatego musiał mój ojciec wyjąć aparat fotograficzny ze skórzanego futerału, my zaś musieliśmy przed tym fantastycznym cukrowym arcydziełem grupowo się ustawić. Wiele czasu potrzebował mój ojciec, zanim uzyskał prawidłową blendę i oświetlenie. Sześć razy musieliśmy cichnąć, zanim ojciec był z tym gotowy. Potem dopiero miało się okazać, że z sześciu ustawień cztery były prześwietlone, to lód tak blikował. Z Jelitkowa szło się przez trzeszczące morze do Brzeźna. Wiele ludzi mijano się po drodze. Mewy nie musiały głodować.

A więc w Jelitkowie, tylko, bagatela, jakieś czterdzieści lat później, zainstalowała się zachodnioniemiecka ekipa filmowa *Blaszanego bębenka*.

Grass odwiedził więc, poproszony przez filmowców, swój Gdańsk raz jeszcze. Zatrzymał się w części miasta dość już dobrze przez siebie uprzednio rozpoznanej. Tej, która wciągnięta została przezeń już dawno do katalogu spraw ważnych. Za plecami ma ten sam odległy horyzont, z boku pętlę oliwskiej „trójki”, identycznej jak tamta, zgrzytliwie przymilnej. Jest więc tu u siebie. Tak jak gdyby nigdy stąd nie wyjeżdżał.

O filmie same tylko przecieki, konkretów niewiele.

Było więc tak z początku, iż Andrzej Wajda interesował się filmową adaptacją tej powieści i przeniesieniem jej na ekran. Zapytałem więc Wajdę, co sprawiło, że zrezygnował z tego filmowego tematu. (A miało to miejsce już po wprowadzeniu *Bębenka* na ekran, po jego tryumfalnym marszu, choć w sieci kin komercyjnych nie utrzymał się zbyt długo, przez festiwale Europy i Ameryki, po Zło-

tej Palmie w Cannes, do spółki z *Czasem apokalipsy* Coppoli, i Oscarze, nagrodzie Amerykańskiej Akademii Filmowej).

Rozbiło się wszystko — odpowie Wajda na moją indagację — o scenariusz; nie było go komu napisać. Ponadto, co już wiem dzisiaj, nigdy nie odważyłbym się na obsadzenie roli Oskara (*nomen omen*) przez dziecko, jak zrobił to Schlöndorff. Myślę, że siedzi ten film mocno w tradycji niemieckiej kultury, w ekspresjonizmie jej filmów. Myślę — skończył swój wywód Andrzej Wajda — iż dobrze się stało, że zrobił ten film Schlöndorff, nie zaś ja.

Stało się więc, iż niemiecki Alzatzczyk Volker Schlöndorff (*Niepokoje wychowanka Törlessa* według Musila, *Utracona cześć Katarzyny Blum* według Bölla) podjął się realizacji tego filmu. I jak to filmowcy, wiecznie spieszący się, wyznał, że *Bębenek* miał okazję przeczytać dokładnie dopiero na krótko przed opracowaniem scenariusza.

Z tej okazji w Trójmieście szeptem podawana jest anegdota o reżyserze, który dla relaksu wybrał się na dancing w „Posejdonie”. Dostrzegł ładną dziewczynę, ona jego, zatańczyli.

— *Are you an Cassubian girl also?* — spytał Schlöndorff swą partnerkę w tańcu.

— *You, bloody...* — rzuciła mu wściekle, z miejsca rezygnując z tańca z dociekliwym cudzoziemcem.

Grass miga mi w hotelowym holu. Już w chwilę później rozmawiamy przy śniadaniowym stoliku, przy którym siedzi wraz z Ute i najstarszym synem, długowłosym Raulem. Mówimy o tym i owym, rzucamy luźne uwagi dla lepszego rozpoznania się. Zwierzam mu się między innymi z peregrynacji śladem jego kaszubskiej familii. Przy sąsiednich stolikach w tym czasie rozsiadła się niemal cała ekipa filmowa z producentem panem Seitzem i krępyim ciemnowłosym aktorem, włoskim Niemcem Mario Adorfem, kreującym jedną z głównych postaci — Matzeratha. Jest on po swojemu żywiołowy, gadatliwy, przyodziany w jakiś, co w jego stylu, przybrudzony dres, odbijający od elegancji choćby producenta filmu.

— Gdzie zbierał pan materiały dotyczące mojej kaszubskiej rodziny? — pyta mnie autor *Blaszanego bębenka*..

Mówię o Bysewie, o Janie i Agnieszce, o jego wuju i ciotce, o Grassa babce ciotecznej...

— Jak się ona nazywała? — przerywa mi ten wątek.

— Anna Hoppe — podrzucam.

Po czym Grass wyjaśnia tę sprawę Ute, jeszcze widać niewyciągniętej we wszystkie jego rodzinne parantele.

Ciągnę po chwili o Matarni i tamtejszym księdzu proboszczu, źródle mej wiedzy na temat stosunków agrarnych przed wojną w tamtych kaszubskich stronach jego rodziny. Mówię o Klukowie i córce Franciszka, z którą w jej domu rozmawiałem, rodzonej córce jego wuja drugiego stopnia, obrońcy Poczty Polskiej. O innym jeszcze domu z nim spokrewnionym mówię, tym kartuskim, gdzie na jednej ze ścian dostrzegłem fotografię sporych rozmiarów, na której uwieczniona została rodzina Krause z dziewięciorgiem swych, jak Bóg przykazał, dzieci.

Wreszcie o Marcie Krause napomknę i fakcie poślubienia przez nią gdańskiego Kaszuby Giseli.

— Prawda, że to kaszubskie nazwisko? — zagadnie mnie w tym momencie o dość odległą w czasie, a przecież znaną mi rodzinną parantelę. Potwierdzą ten jego domysł.

I od tego, zda mi się, momentu uzna moją znajomość faktów i zdarzeń, jakie się przed laty na tym niełatwym pograniczu rozgrywały.

W powieści wuj jego, tragiczny obrońca Poczty Polskiej w Gdańsku, nazywa się Jan Broński, o wiele bardziej z polską od rzeczywistego — Franciszka Krause. W filmie Schlöndorffa gra tę postać polski aktor filmowy i teatralny Daniel Olbrychski, znany już w świecie z wielu znaczących ról w filmach Wajdy, Miłkosa Jancso, z norweskiego filmu *Dagny*, w którym zagrał rolę pisarza Stanisława Przybyszewskiego.

— Wiem — zwierzy mi się Grass — że Olbrychski jest w Polsce bardzo popularny. Mogła mu się wydać rola, jaką tu gra, dosyć szara. Gdy spotkamy się w Berlinie podczas zdjęć atelierowych, spróbuję mu objaśnić, iż cała niezwykłość tej postaci polega na jej pozornej zwykłości.

Sam zaś Olbrychski tak powiedział (w miesięczniku „Radar”, ukazującym się w dwóch edycjach, polskiej i zachodniemieckiej) o swej roli:

Jan Broński wydaje się na pierwszy rzut oka postacią odległą od Polaków-romantyków, których grałem u Wajdy (*Krajobraz po bitwie* według opowiadań Tadeusza Borowskiego, *Popioły* według Stefana Żeromskiego). Reżyser przekonał mnie jednak o tym, że bohater Grassa jest spokrewniony w jakimś sensie z moimi poprzednikami mocującymi się ze światem i jego przeciwnościami. Tylko objawia się to w innej formie. Jest delikatny i słaby. Ale taka słabość może być siłą wobec brutalności, która wokół niego szaleje. Jego strach nie jest komiczny, żalony. Jest to głęboki strach, jaki powinien odczuwać każdy, gdy widzi zagrożenie, strach doprowadzający ludzi do iluminacji, do zrozumienia spraw, które są ponad ludzkie wyobrażenie, doprowadzają do obłędu. W takiej postacię poprowadziłem razem z reżyserem tę postać.

Ciekawy jest proces myślenia aktora o roli, jego uwiarygodniania postaci przez próbę zrozumienia intencji autora *Bębenka*.

Mogę chyba powiedzieć — wypowie się Olbrychski w tej materii — że byłem dobrym czytelnikiem Grassa. Ale teraz wdarłem się znacznie głębiej w jego tok myślenia. Tak się dzieje z każdym utworem, z którym chcę się zmierzyć na scenie lub ekranie. Nie wystarcza mi wtedy spotkanie pierwszego stopnia, kiedy to przeczytało się w sposób wrażliwy powieść, sztukę, wiersz. Musi nastąpić spotkanie drugiego stopnia, podczas którego zaczyna podążać się za poetą, pisarzem, odkrywać w sobie sprawy przez niego poruszane, mieć własne poglądy na ten temat. Potem przychodzi trzeci stopień. Jest to jakby odbicie od książki. Tekst staje się pretekstem do zrobienia czegoś własnego, korzystając z cudzych słów, we własnym imieniu, mówienia o sobie z całą siłą przekonania. Jest jeden warunek. Aby tak bezczelnie poczynać sobie z literaturą, trzeba się najpierw w niej zakochać.

W prasie RFN ukazały się już pierwsze reportaże z planu filmu. Na początek z tego jugosłowiańskiego, z kręcenia zdjęć w Zagrzebiu. W „Sternie” dużych rozmiarów zdjęcie hitlerowskiego *parteitagu* w... Gdańsku. (Czyżby obawa przed niechętną reakcją obecnych mieszkańców Gdańska nakazała przenieść ten plener, hen, na południe Europy?). Na tej fotografii funkcjonariusze partyjni sprężyście unoszą ręce na znak *Heil Hitler!*, mały zaś Oskar ze swoim bębenkiem w białoczerwone płomyki siedzi u ich stóp i palczkami wybija, wystukuje, wybębnia, wieści te swoje dziecięco—niedziecięce rytmy.

— Ile masz teraz lat? — pytam Raoula, nie wiedząc czemu noszącego to hiszpańskie imię.

— Dwadzieścia jeden — słyszę w odpowiedzi, co wzbudza refleksję nad przemijalnością czasu, bowiem w swoim domowym archiwum przechowuję fotografię Güntera wraz z pierwszą żoną i czwórką dzieci — Raoulem właśnie, Franzem, Laurą i Brunonem.

— On jest najstarszy?

— Z Franzem są bliźniakami.

— Tato — teraz Raoul ma pytanie — czy Franz został tak nazwany od imienia wuja Franciszka? — I pytanie to ma w sobie coś z charakteru rozmów, jakie wiodł Grass ze swymi dziećmi na kartach *Z dziennika ślimaka*, będącego rodzajem rekapitulacji myślowej Grassa-polityka i Grassa-pisarza.

— Wczoraj we trójkę — mówi Grass — objechaliśmy Kaszuby. Byliśmy w Chmielnie (gdzie warsztat ceramiki kaszubskiej od dziewięciu pokoleń prowadzony przez rodzinę Neclów) i w Kartuzach, gdzie obejrzelśmy kościół w kształcie trumny.

Wspominam więc, że urodziłem się i wychowałem w tym mieście.

— O Kartuzach piszę w *Dzienniku ślimaka* — dodał od siebie.

Czyżby więc to była ta książka, o której napomykał w trakcie pracy nad nią w liście do mnie? A może był to jakiś inny zamiar pisarski, zaczęty i nieukończony? Nie będąc tego wiedział, aż sam go o to kiedyś nie zapytam.

Potem zaś, już po śniadaniu w hotelowej restauracji, w hallu wręczył mi Grass swoje *Psie lata*, trzecią część „gdańskiej trylogii”, w czym będzie jakby chęć zaszczepienia głębszej wiedzy o zawartych w niej treściach, jakże w Polsce mało dotąd znanych.

### Spotkanie drugiego stopnia

Na planie filmu Volkera Schlöndorffa *Blaszany bębenek*.

*Mass media* z tamtej strony informują starannie: 6,1 miliona marek wynoszą koszty realizacji filmu. Przymiarki do zdjęć trwały już od dość dawna. Wpierw Grass zamierzeniu nie sprzyjał; niewielką widział szansę na znalezienie wizyjnego ekwiwalentu dla jego słów, metafor i obrazów. Tak bardzo *Blaszany bębenek* zdawał się być literacki. Nie byłby jednak sobą, gdyby on — rzeźbiarz, grafik, poeta, dramaturg i prozaik, nie chciał zaryzykować przełożenia swojej prozy (nie pierwszy raz w końcu) na klatki, kadry i sekwencje obrazów filmowych.

Kluczowym momentem dla całej sprawy było odszukanie wykonawcy postaci Oskara. Gdy niemożliwe stało się realne, wiadomo już było, że film powstanie.

Oto więc on — David Bennent. Lat 12, z wyglądu chłopiec 7-letni. Pochodzi z aktorskiej rodziny Bennentów, dobrze znanej w Republice Federalnej (jego ojciec też zagra jedną z bardziej znaczących ról w tym filmie). Sam zresztą David także już grał w pięciu filmach, co wydaje się czymś wręcz niewiarygodnym.

Problemy były wciąż dwa: pieniądze i scenariusz. Te pierwsze zapewnił — od Amerykanów — monachijski producent, pan Seitz. Przy pisaniu scenariusza dopomógł Schlöndorffowi i całą prawie wstępną piekielną robotę wykonał wieloletni współpracownik Buñuela, spec nad spece w swym rzemiośle Jean Claude Carrière.

A sam Schlöndorff? Dostrzegł w materii powieści „spektakularne obrazy”, „typowe dla tamtego czasu objawy protestu”.

Energicznie i zdecydowanie zabrali się za tę robotę ludzie, którzy prozę Grassa traktują jako rodzaj trampoliny do własnych celów artystycznych. Może i tak być powinno...

— Żądam stu dni zdjęciowych! — zdeklarował się Schlöndorff krótko po lekturze scenariusza. I zabrzmiało to w jego ustach jak *passus* o stu dniach Napoleona.

Znaczyło to bowiem ni mniej, ni więcej, tylko że film będzie trzykrotnie droższy od wszystkich dotychczas kręconych w Republice Federalnej.

Stało się. Z rachunku wynikało, że plenerem dla 83 dni zdjęciowych będzie Gdańsk. I że prócz Angeli Winkler, znanej choćby z roli Katarzyny Blum z poprzedniego filmu Schlöndorffa, prócz Adorfa (Matzeratha), zagra w nim także rolę Sigismunda Markusa Charles Aznavour. No i niemała liczba polskich aktorów. A to, prócz Olbrychskiego, Zygmunt Hübner ze swoją ascetyczną twarzą grać będzie Michonia, dyrektora Poczty Polskiej w Gdańsku, Mieczysław Czechowicz rubasznego (inaczej niż w życiu) woźnego tej poczty — Kobiele, Marek Walczewski wcieli się zaś w postać Schugger Leo, czyli Leo Hysia, owego pomyleńca z Langfuhr, ekskteryka, uczestnika wszystkich pogrzebów na Zaspie.

Jedziemy więc teraz, po tym jak Grass zaprosił mnie do środka, w trzy wozy ekipy filmowej na plan filmu. Cel nasz: tereny położone na nadmorskich, niemal bezludnych krańcach Gdańska. Droga nasza wieść będzie w pobliżu Westerplatte, w przedłużeniu gdańskich Stogów, gdzie zainscenizowano cmentarz katolicki na Zaspie, w jego kształcie sprzed wielu lat. Filmować się tam będzie scenę, gdy Schugger Leo wręcza Oskarowi łuskę naboju.

Od Grunwaldzkiej skręcamy w lewo, w Aleję Leningradzką, gdzie rezyduje zespół filmowy. Samochód z Grassem przystaje na moment. Grass wysiada, po minucie wraca, zastaje kilka osób, w tym i mnie, wpatrzonych w zarys Starego Miasta od jego południowej strony. Ulica Ogarna widoczna jak na dłoni, w głębi akcenty wertykalne, smukła wieża gdańskiego ratusza, ciężka winieta kościoła Panny Marii. Mówię, że ta flankująca Stare Miasto ulica Ogarna przez to, że jest położona obok turystycznych traktów, zdaje mi się najbardziej staromiejska w klasycznym sensie. Grass kiwa ze zrozumieniem głową. Niejedną przecież kwestię w swych książkach tej Hundegasse poświęcił.

— Na tej ulicy jeszcze przed I wojną światową — informuję go — mieściła się w latach 1908—1912 redakcja „Gryfa Kaszubskiego” Aleksandra Majkowskiego. Po „Skôrbie Kaszebsko-Słowińskiej Mowë” Ceynowy i „Družbie” tegoż Majkowskiego z 1905 roku była to trzecia gazeta w dziejach kaszubskiego czasopiśmiennictwa.

Nie wiem, czy znane mu były te fakty. Jego Gdańsk był przecież w zgoła innym miejscu.

Dopiero co, przed dwoma laty, schodził do szczytu uliczki, kościoły i kamienice gdańskiego Starego i Głównego Miasta. Z planu wyobraźni naniósł je na

plan filmowy, gdy zdarzyło się, że Grass-narrator filmu opowiedział swój Gdańsk.

Na Ogarnej zaś ekipa *Bębenka* nakręciła sekwencję z udziałem Aznavo-ura jako Sigismunda Markusa, żydowskiego sklepikarza z pasażu gdańskiej Zbrojowni, drobnego kupca objawiającego raz za razem słabość do mamy Oskara i zazdrosnego o jej miłość do Brońskiego. Współuczestniczył w nakręcaniu tej sekwencji Daniel Olbrychski. Zdumienie przygodnych widzów budził jego wygląd zewnętrzny, jakże odmienny od tego, który zna polska widownia z filmów z udziałem tego aktora.

Mijamy więc Przeróbkę, Stogi, pojawia się las po obu stronach szosy, zresztą mocno już przerzedzony, taki sobie miejski las. Dalej są przystanie jachtowe gdańskich klubów (zza drzew srebrzy się gdańska rafineria). Przed nami Górki Zachodnie, gdzie, nieopodal Wisły Śmiałej, nad samym brzegiem gdańskiej zatoki, plener tego sprowadzającego nas tutaj filmu.

Filmowego Oskara widać już z daleka. Żywo porusza się w swoich wydłużonych porciętach na szelkach, w białych podkolanówkach. Biega tu i tam ze swoim dziecięcym, z marzeń wyniesionym bębenkiem (drugi, zapasowy, leży w wielkich rozmiarów pudle). Dzień jest chłodny. Gdy powieje od morza, charakteryzatorka i Angela Winkler podbiegają do chłopca, opatulając go czym się da lub porywają do cyrkowego wozu służącego całej ekipie za swoistą filmową bazę.

Tak jak literacki Oskar jest postacią wiodącą książki, rodzajem jej naiwnie mądrego narratora, tak i ten filmowy spełnia niezwykle ważką rolę; jego bowiem oczami oglądać będziemy akcję całego filmu. Nie dziwota więc, że David (Oskar) z filmowego planu niemal nie schodzi. To o nim rzekł raz Schlöndorff:

— Jeśli chłopcu coś się stanie, cały film będzie można do kubła wrzucić.

I chłopiec zdaje się wiedzieć o tym, bo bryka, ile tylko się da. Co chwila pada na trawę i woła przeraźliwie: *Fuss ist gebrochen! Fuss ist gebrochen!* I wtedy cała ekipa wydaje z siebie okrzyk grozy. A gdy David śmieje się z kawału, słychać zewsząd głębokie i donośne westchnienia ulgi.

Lecz niech no tylko Schlöndorff zakrzyknie: „Kamera!”, wówczas twarz chłopca poważnieje z miejsca, tężeje w skupieniu. Niczym wytrawny aktor sprawuje się w sekwencji wręczania mu przez Schugger Leo łuski naboju. Kolejny dubel, następny, i jeszcze następny. Już jest ich około dziesięciu. Na oko widać, że nikt tu taśmy i pieniędzy nie żałuje.

Niczym rasowy aktor umie David zafiksować każdy ruch, każdą jego wersję, bo przecież żadna do poprzedniej całkiem nie jest podobna. Umie zachować uprzednio przyjęty wyraz twarzy, w chwili gdy Marek Walczewski, przez ekipę zwany po prostu Markiem, wypowiada owo sakramentalne, trochę zwariowane *Requiescat in pace*. Po czym gwizdże na łusce naboju jakby dla zachęty. W spo-

sób przeciągły, z kieszonki czarnej kamizelki (nałożonej na białą plastikową koszulę) wyjmując jedną kartę z talii, odrzuca ją daleko od siebie, w stronę poszczerbionego czasem murku, okalającego katolicki cmentarz na Zaspie. Gra Walczewskiego wzbudza szept podziwu całej ekipy, a i ze strony samego Grassa, jest bowiem Walczewski w tej roli tyle samo zwariowany, co i demoniczny. Łysa głowa, wielkie oczy jeszcze potęgują to wrażenie.

Przez te dwie filmowe godziny, pośród szumu wód gdańskiej zatoki, Grass jest uważny. Nieraz ustawia się za statywem kamery (operatorem filmu jest Czech), chce na filmową scenę spoglądać tak, jak ją ogląda sama kamera, często zagląda w wizjer, nierzadko przy tym się pochyla. Widać już na oko, że ten film w miarę postępu prac nad nim, coraz bardziej staje się i jego filmem. I że identyfikuje się z jego twórcami.

Po jakimś dwunastym ujęciu widać, że Schlöndorff, napięty jak tygrys przed skokiem, decyduje się uznać tę sekwencję za zakończoną. I tak się staje.

Jeszcze więc tylko obiad z filmowej garkuchni. Na jutro zapowiada się Malbork (Marienburg) i tamże sekwencja pożaru. Gdy Grass szykuje się już do drogi powrotnej, jest sposobność, by zaprosić go na jedno z kolejnych corocznych spotkań pisarzy kaszubskich we Wdzydzach.

— Gdzie to jest? Wdzydze... — miętosi w ustach to słowo.

— Niedaleko Kościerzyny. Jakżeż się ta wieś nazywała po niemiecku?... Nie przypomnę sobie.

— Proszę więc narysować mi drogę — mówi.

Co też i robię na skrawku papieru, nanosząc nań trasę przez Żukowo, Kościerzynę i dalej nieco na południowy-zachód od tego miasta.

### **Spotkanie trzeciego stopnia**

Zgodnie z daną obietnicą przyjechał. Z Ute, swą przyszłą żoną, z zawodu solistką gry na organach, i z dwojgiem kaszubskiego kuzynostwa, dziećmi Jana Krause, niegdyś rolnika z Bysewa, dziś po prostu emerytowanego mieszkańca podgdańskiego Brzeźna, Zygmuntem i Marią. Tą, której rysy twarzy i charakteru przekaże Marii Kuczorze z powieściowego *Turbota*. Chłopaka, teraz mężczyznę na schwał, pamiętam jeszcze z wizyty w ich kaszubskim, bysewskim domu, dziewczynę, wówczas uczennicę, poznałem dopiero teraz.

W tych podkościerskich stronach nie był Grass, co się niebawem wyjaśni, ni razu. Południowych Kaszub całkiem więc sobie nie oswoił. Pozory, tylko pozory.



ry. Boć o Konitz, o Chojnicach, a i o starości z leżącej nieopodal Tucholi niejedną stronę w swych powieściach (choćby w *Psich latach*) zapisał. Nie mówiąc już o bardziej na południe od Chojnic położonej Kosznajderii.

Jedyna luka to właśnie ów Behrend, czyli kaszubska Kościerzyna. Piaszczysta, bielnicowa okolica, za to bogata w jeziora, jakich gdzie indziej nie uświadczysz. W samych Wdzydzach rozlewiska okolone zewsząd pagórkowato rozkładającym się iglastym lasem, pełne wysp („wdzydzkie morze”) i zabudowań chłopskich o charakterze rustykalnym, niemal pierwotnym.

Zatem i Wdzydz jak dotąd nie znał jeszcze. O istnieniu skansenu budownictwa drewnianego z terenu Kaszub wieść go jakoś nie doszła. I o wyspie Głonek słynnej jako legendarne siedliszcze pary kochanków z powieści Majkowskiego *Życie i przygody Remusa*. Słynnej i tym także, iż mieszkała na niej Weronika, ukochana Floriana Ceynowy z powieści Franciszka Fenikowskiego *Zapadły zamek*. Nie mógł też wiedzieć, że to w scenerii Wdzydz właśnie rozgrywała się miłość Moniki z powieści *Wyspa*, autorstwa wileńskiej Kaszubki, Róży Ostrowskiej. To „jezioro miłości” omywa wzgórze, na których rozpostarł się wdzydzki skansen, liczący już blisko 30 zgromadzonych z terenu całych Kaszub obiektów wiejskiego budownictwa drewnianego.

Trafił więc Grass na spotkanie pisarzy kaszubsko—pomorskiego kręgu kulturowego chyba nie całkiem przypadkiem, skoro miała być na nim mowa o literaturze wyrosłej z kaszubskiego pnia. A taką jest również proza autora *Blaszanego bębenka*. Ta, która nie jest dlań, jak chcą tego niektórzy krytycy zachodnioniemieccy, jedynie sentymentalną podróżą do krainy dzieciństwa (choć niewykluczone, że tak właśnie odbiera je nadłabsko-nadreński czytelnik), do własnych wspomnień, do miejsc i spraw dobrze znanych.

Czyż więc są jego książki rodzajem powrotu do owych proto-Polaków, jakimi zobaczył Kaszubów Volker Schlöndorff, zwierzający się z tego w którymś ze swoich polskich wywiadów prasowych?

To po części miało się tu właśnie wyjaśnić. Jako że o nowoczesnym, udającym swojskie, będzie się mówić tutaj we Wdzydzach. O kalkomanii będącej zabawą dzieci o ubogiej wyobraźni. O pojedynczych wypadkach pisarskiego trafienia w powszechny system odczuwania i jego — o ironio — degradacji tą drogą. O manowcach pisarskiej popularności. O niebezpieczeństwie sytuacji istnienia ludu bez literatury i nie mniej srogiego — istnienia literatury bez ludu. Wreszcie o tego ludu dzisiejszej odmienności. A jednak tylko swojskość — padną tu i takie słowa — jest w stanie obronić swoją integralność psychiczną i społeczną w sytuacjach, które jej zagrażają.

Dalej zaś było już o samym Grassie. O jego kaszubskim rodowodzie, o roli przeżyć z młodości autora „gdańskiej trylogii”, o znaczeniu tego, co lokalne i co do rangi ogólnego podniesione być może. Siłą autorskiej kreacji, wizją i osobistym talentem autora.

— To wszystko istnieje w rzeczywistości? Te wszystkie miejsca i postaci z powieści? — dziwił się niemożliwie reżyser *Błaszanego bębenka*, Volker Schlöndorff. — Sądziłem, że to wszystko zostało wymyślone. — I zaraz dodał: — Jak to poeta z małej sprawy potrafi stworzyć wielką metaforę, w której zawarty jest jego świat, który potem czytelnicy przyjmują za własny, *ergo*: uniwersalny.

I nagle tu we Wdzydzach mówi się o fenomenie gdańsko-kaszubskich tematów w pisarstwie Günтера Grassa. Pisarstwie, w dużych fragmentach wręcz kaszubskim, choć funkcjonującym dotąd poza obrębem kaszubskiej kultury. I mówi się o fenomenie literatury funkcjonującej poza obszarem czysto kaszubskiego piśmiennictwa, niejako od zewnątrz. Jeśli zaś od środka, od wewnątrz, to raczej jądra sprawy kaszubskiej, tego, co w jego tradycji archaiczne, pierwotne, bo blisko ludzi i ich spraw.

Jak to więc jest, wyrazi ktoś swą wątpliwość, iż Grass opisujący swą ojczyznę w języku niemieckim, mieszkający stale w Berlinie Zachodnim, będący lojalnym obywatelem RFN, kocha Kaszuby i lud kaszubski, i ani na moment nie przestaje się czuć Niemcem i na głos deklaruje się ze swoją przynależnością do niemieckiej cywilizacji. Co więcej, powiada się — choćby Schlöndorff tak twierdzi — że odwiecznie na pograniczu niemieckim było tak (on wie coś o tym, bo 10 lat mieszkał we Francji), iż trzeba było wyostrzyć swoje poczucie niemieckości, swojej przynależności. Skąd więc ta nagle objawiona słabość do kaszubskiego tematu, wielość polskich (pod postacią kaszubską, lecz nie tylko) wątków w jego pisarstwie? Pytania mnożą się i już tak jest, że pozostaną w zawieszeniu.

Jedno jest pewne: Grass umie — i chce — powiedzieć więcej o tym ludzie od niejednego naszego, własnego, telewizyjnego oleodruku. A powołując się niezmiennie na swoje kaszubskie pochodzenie, orzeka, iż jest z tego dumny. Bo, jak mówi o tym Jan Broński, jego powieściowy Kaszuba: „Kaszubi byli tu zawsze, jeszcze przed Polakami, daleko wcześniej niż Niemcy”.

To trochę tak, jak w tej anegdocie, ponoć autentycznej, opowiedzianej przez innego pisarza z Kaszub rodem, Aleksandra Jantę-Półczyńskiego. Indagowani przezeń Kaszubi, zatrudnieni w chicagowskiej rzeźni, o to, ilu tu pracuje rodaków, odrzekli mu: „Są tu dwaj Ruski (z zaboru rosyjskiego), dwaj Galoni (z Galicji) i my, trzech Poloki”.

Przerwa w sesji na literackie kaszubskie tematy zostać ma wykorzystana na odsłonięcie we wdzydzkim skansenie pomnika jego założycieli, Izydora i Teodory Gulgowskich. Podjeżdżamy niedużym mikrobusem, jest więc okazja objaśnić gościowi, kim byli oni oboje. Izydor, autor wiekopomnego, jeszcze po niemiecku pisanego, dzieła o etnografii Kaszub *Von einem unbekantem Volke*, z zawodu wdzydzki nauczyciel (tacy tu niegdyś nauczyciele na kaszubskich rubieżach bywali). Z reakcji Grassa wnoszę, iż chyba znana mu jest ta praca naukowa, jedyna w swoim rodzaju. I o Teodorze mówię mu słów kilka, o niej, *de domo* Fethke, siostrze proboszcza z pobliskiego Wiela, wywodzącej się — tak, tak — z rodziny Kosznajdrów. O niej opowiadam, rychło żonie Izydora, nauczycielce i założycielce wdzydzkiej szkoły haftu dla miejscowych dziewcząt (dzięki niej także jest możliwy obecny renesans haftu, i pojawienie się tego haftu na młodzieżowych *blue jeans*, jego wzorów na elewacjach domów i w ich wnętrzach). I o tym, iż to właśnie Teodora zakupiła w 1906 roku chatę od miejscowego gospodarza Hinca i uczyniła z niej zaczątek skansenu budownictwa kaszubskiego.

Władze miejscowe już są. Trwają przemówienia. Za chwilę odbędzie się uroczystość odsłonięcia pomnika. Dokonają jej trzy drobne staruszcзки, jak się okazuje, ostatnie z pozostałych przy życiu uczennic Teodory Gulgowskiej. Drżące ręce tych wdzydzanek trzymają biało-czerwone goździki. Szepcą coś między sobą. Najwyraźniej ustalają kolejność, w jakiej mają wystąpić. Widocznie nie ma w tej sprawie zupełnej zgodności, bowiem jedna z nich w pewnym momencie występuje przed pozostałe, co wzbudza gwałtowną reakcję jej towarzyszek.

— Ja byłam pierwsza! — próbuje przeszkodzić tamtej w rychlejszym podejściu do pomnika druga z ekshafciarek. Szarpią się z sobą nieco, co wzbudza wesolość zebranych oficjeli i gości. Grass, wyczulony na komizm sytuacyjny i groteskę, również mruży oczy w uśmiechu na swój własny sposób.

Po chwili, co ważne, pomnik dłuta Wawrzyńca Sampa jest definitywnie odsłonięty. Osadzony jest na wysokim cokole przybranym w złote liście, które zewsząd go okalają. U szczytu zaś zwrócone ku sobie twarze ich obojga — Teodory i Izydora.

Pora najwyższa na zwiedzenie skansenu. Roli przewodnika po nim podejmuje się jego kustosz, przybyły tu przed kilkunastu laty po studiach etnografii na Uniwersytecie Warszawskim, magister Tadeusz Sadkowski. Prowadzi po terenie, na którym stoją chaty podcieniowe i te z częściowym podcieniem, należące niegdyś do nieco uboższych kaszubskich wieśniaków. Wskaże na zagrodę kompletną, taką jaką niegdyś być mogła, gdy prócz domu mieszkalnego była w niej stodoła i stajnie. „To piec do wypiekania chleba?”, upewnia się Grass

w pewnym momencie, zdradzając niemalże rozeznanie w wyżywieniowej materii. („Jedzenie to również smakowanie kawałka sera, kawałka chleba...”, jak powiedział Adamowi Krzemińskiemu w wywiadzie dla „Polityki”). W obręb murków z kamienia zaprowadzi zwiedzających kustosz tego skansenu. Pokaże chatę mieszczącą pod jednym dachem i mieszkanie, i stodołę, i oborę. W następnej kolejności wskaże tę, która jakby z dwóch części jest zbudowana, jednej wyższej i dłuższej, drugiej zaś o jakiś metr niższej, za to krótszej i wyprowadzonej jakby z tej pierwszej.

— Zamieszkiwał ją niegdyś — objaśni fachowo przewodnik — kaszubski „drzymalita” (nazwany tak od nazwiska Michała Drzymały), Jan Pelpliński, do czasu eksmisji przez władze pruskie, w wyniku czego był zmuszony zamieszkać w zbudowanym przez siebie naprędce wozie na kołach, na co już przepisy ówczesnych władz zezwalały.

Zaprosi do byłej szkółki wiejskiej, jeszcze zaciemnionej, ale już na powrót sposobionej do pełnienia swej dawnej funkcji.

— Będzie się w niej uczyć dzieci kaszubskie ludowych obyczajów, historii tego regionu, jego kultury materialnej. W ten sposób skansen ożywi się, tchnie się weń życie.

Na koniec pokaże nam typowo kaszubską chatę od środka.

W tym momencie Zyga, kaszubski pociotek Grassa, nie wytrzyma.

— Tutaj są te prawdziwe Kaszuby — szepnie mi na boku. — Od nas z Bysewa za blisko było do miasta.

A słowa te wypowie w czystej, rdzennej kaszubszczyźnie. To chyba więc jego mając na myśli, gdy już opuścimy skansen, Grass powie: „Czasami mi się zdaje, że na Kaszubach już tylko moi krewni mówią po kaszubsku”. I zdając sobie sprawę z całej przewrotności tych słów, uśmiechnie się szelmowsko.

Jeszcze odwiedziny w chacie pani Wiśniewskiej, czołowej wdzydzkiej hafciarki. Pani Władysława rozkłada na stole swoje cudowności w siedmiu kaszubskich kolorach. Zyga aż zapał z zachwytu na widok tych wszystkich obrusów, kilimów i serwetek w wielości kształtów i deseni.

A przy okazji wyjaśniona została kwestia niemieckiej nazwy Wdzydz. Sanddorf, tak nazywały się wtedy, gdy należały do pruskiego zaboru...

Aż wreszcie nadeszła pora poszukiwania grzybów — prawdziwków, maślaków i gąsek. Przypomnę słowa Grassa: „Kiedy patrzę na grzyb, widzę zawsze trochę więcej niż grzyb”. Potem był powrót na uroczystą wieczerzę, podczas której doszło do wręczenia nagród młodemu kaszubskiemu poetom wyróżnionym w konkursie na twórczość w gwarze kaszubskiej. Grass przez cały czas z uwagą słuchał wierszy recytowanych przez samych autorów, z łatwością poddawał się

ich melodii oraz rytmowi. A szczególną uwagą obdarzył twórczość Krystyny Muzy, czarnowłosej poetki wywodzącej się ze sławnego rybackiego rodu z helskiego półwyspu.

To wtedy także, gdy nad Wielką wodą wdzydzkiego jeziora zapadł zmierzch wieczorny, Lech Bądkowski wręczył Grassowi pamiątkowy medal z brązu wybity z okazji setnej rocznicy urodzin Aleksandra Majkowskiego, medal z gryfem pomorskim na rewersie, przyznawany za zasługi w dziele twórczej popularyzacji Kaszub i Pomorza w świecie.

Podczas zaś zaimprovizowanej z Grassem konferencji spytano go o ocenę niemieckiego przekładu *Życia i przygód Remusa* pani Brehmer. Okazało się, iż jest mu on znany i że jego zdaniem nie w pełni oddaje walory oryginału.

— A co by się stało — spytałem Grassa wprost — gdyby pańscy rodzice miast do Niemiec, jak to się stało w czterdziestym piątym, wyjechali za miejskie rogatki, nieopodal, powiedzmy do Bysewa?

— Napisałbym *Blaszany bębenek* po polsku — odrzekł mi po prostu.

Minął rok z niedużym okładem. Filmowy *Blaszany bębenek* przeszedł przez ekrany co bardziej reprezentacyjnych kin zachodniej Europy, gdy znalazłem się w Paryżu. Przez miesiąc pobytu w departamentalnym Tours śledziłem paryską prasę i wciąż znajdowałem w niej anonse, że w niedużym kinie „Eppé de Bois” wyświetlają nieprzerwanie film o skądś mi znajomym tytule: *Le tambour*. Wrzawa czyniona przeze mnie wokół filmu Schlöndorffa najwyraźniej zrobiła swoje, bowiem tego dnia, na jedynym zresztą seansie o siedemnastej, stawili się przed kinem niemal wszyscy uczestnicy niedawnego kursu językowego w Tours. Jak się okazało, nie bez pewnych trudności odnaleźliśmy interesujące nas kino w piątym *arrondissement*, nieopodal kościoła Świętego Michała i rozmaitych targowisk, gdzie obok oświetlonego neonem napisu *cinéma*, wisiał nieduży, za to jakże wdzięczny plakat reklamujący film, na którym mały Oskar siedzi zadumany na schodach domu, trzymając przed sobą bębenek w biało-czerwone płomyki.

Liczącą ledwo kilka rzędów salkę zapełnili w jednej trzeciej Niemcy, jakiś Japończyk i piątka Polaków.

Poszły napisy czołowe i lista aktorów, gdzie obok Angeli Winkler, Mario Adorfa i Aznavoura, także nazwisko Daniela Olbrychskiego. I zaraz potem pojawiło się na ekranie Bysewo z babką i jej siedmioma spódnicami, z żandarmami i uciekającym przed nimi Koljaiczkiem. Scena na gdańskim *Fischmarku* z gorącymi ceglami dla ogrzania, ze skrzynkami pełnymi ryb, i deklaracja Brońskiego o tym, że Kaszubi byli tu zawsze, Niemcy odchodzili i przychodzili, Polacy przy-

chodzili i odchodzili, a oni tu trwali. Deklaracja, która powoduje, że jest mi cieplej koło serca. Potem następuje coś jakby zarysowanie miejsca i czasu akcji. A więc Gdańsk międzywojnia. Dom Matzeratha i jego sklep kolonialny, jak się niegdyś mówiło. Wuj Oskara, jego Poczta Polska. Miłość pokątna, acz namiętna, wuja z mamą Oskara. W książce jak gdyby bardziej przez chłopca akceptowana aniżeli w filmie. Znakomity epizod Markusa, żydowskiego sprzedawcy z pasażu gdańskiej Zbrojowni; grany przez Aznavoura w taki sposób, iż epizod urasta do jednej z najbardziej wyrazistych ról w całym filmie. Aznavour jest pięknie prosty w scenie rozmowy z mamą Oskara, niezrównany w sekwencji na kartuskim cmentarzu, skąd go, Żyda przecież, dwóch drabów naprędce wyprowadza. Tak oto i mój kartuski cmentarz podszedł do mnie, hen, do Paryża.

Film ma znakomite tempo, znać robotę wytrawnego scenarzysty. Wiele w nim scen bardzo ekspresyjnych, jak choćby ta z węgorzami na jelitkowskim brzegu morskim i z Matzerathem, nie brakuje scen naturalistycznych.

A wokół rozciąga się świat widziany oczami dziecka. Na tyle okropny i nie do zaakceptowania, iż dziecko odmawia rośnięcia, w czym jest ukryty protest i niezgoda na to, co wokół. Na capstrzyki i *hackenkreuze*, na *parteitagi* i Forstera, na pochodnie i chóralne śpiewy, na klęskę Poczty Polskiej (doprawdy, to szczyt filmowej roboty) i rozstrzelanie ukochanego wuja.

Daniel Olbrychski bardzo się podobał całej polskiej części widowni. Podobała się jego rezygnacja z min i grymasów, prostota i krwistość postaci, lecz i pewna dezynwoltura uzyskana przez użycie wyrafinowanie prostych środków wyrazu.

Mnie zaś osobiście przypadły do gustu obrazy starego kartuskiego cmentarza i służąca im za tło czasza trumienna parafialnego dolnego kościoła. Rezerwą nappełniło mnie zaś usytuowanie sceny stypy po śmierci mamy Oskara w... sąsiedku, w stodole po prostu, z Gustawem Holoubkiem w roli księdza.

Oto mały Oskar objawia swój nieoczekiwany talent: rozbija w odruchu protestu witryny sklepowe, okna przy Tartacznej i Rycerskiej, okulary, pojemniki anatomopatologiczne w lekarskim gabinecie. To, co w powieści metaforyczne, niedookreślone, w filmie z konieczności staje się dosłowne, na co wypada przystać, bowiem taka jest uroda sztuki filmowej.

Następuje cała seria scen z karłami. W cyrku i poza nim, po cywilnemu i w hitlerowskich mundurach. Bebra szaleje wprost na ekranie. Wkrótce w ten mundur wbija się także najmłodsza, na pewno zaś najmniejsza, ofiara tej wojny, która znaczną cenę zapłaci za tę nie przez siebie rozpętaną wojnę: cenę rozstania z babcią, uosobieniem ciepła domowego, pożegnania z Kaszubami i z Polską.

Scena z Oskarem, wyciągającym z wagonu swe szczupłe rączki i wołającym z rozpaczą w głosie (po polsku): „babciu!”, choć odbiega nieco od literackiego pierwowzoru, przecież nie klóci się całkiem z prawdą zarówno literacką, jak i życiową, co już samo w sobie uzasadnia w pełni takie właśnie jej skonstruowanie.

Bo ktoś już kiedyś w bardzo podobnych okolicznościach tak właśnie odjeżdżał...

A potem sięgnąłem po *Bębenek*, by sprawdzić zakończenie książki.

Jest-jest-jest, mówił pociąg, który uciekającego Oskara wioził do Paryża. (...) Zamierzałem dojechać metrem do Porte d'Italie, a stamtąd wziąć taksówkę na lotnisko Orly. (...) Wysiadłem jedną stację przed Porte, na Maison Blanche. (...) Oskar nie chciał już jechać na lotnisko, uznał, że Maison Blanche jest dużo bardziej oryginalny niż lotnisko Orly i — jak się okazało — nie omylił się; na tej stacji znajdują się bowiem ruchome schody, które miały wzbudzić we mnie trochę wzniosłych uczuć.

(1978—1980)

## Okno zostawione w Gdańsku

4 czerwca roku 1981. Tego by żaden pisarz nie wymyślił. Owego przyjazdu tych dwóch ludzi, Litwina i Niemca, do Polski jak do siebie. Obaj z zachodniej strony świata przyjechali. Autor *Ocalenia* drogą powietrzną, autor „gdańskiej trylogii” autostradą. Przyjechali jeden do Warszawy, drugi do Gdańska. Oba powroty odbyły się w chwale i sławie, po latach pomijania i przemilczania. Obaj uzyskali złote runo akceptacji oficjalnej i entuzjazm czytelników zbudowany na nie-małej znajomości ich dorobku twórczego — dorobku Czesława Miłosza i Güntera Grassa.

O drugim wieść niosła, że miał niespodziewane kłopoty wizowe; wyłoniły się niemal w momencie wsiadania do samochodu. „Gdańsk nie jest przygotowany na pana wizytę”, miał usłyszeć autor *Blaszanego bębenka* niemal w przeddzień swojego wyjazdu do miasta nad Motławą.

W Gdańsku tymczasem, w tym jego Gdańsku, gdzie się urodził, chodził do szkół, gdzie wychodził nad morski brzeg, jeździł tramwajem do Jelitkowa, skąd wybierał się nieraz do Bysewa na pobliskie Kaszuby, gdzie świadcował historii i gdzie został wcielony do Hitlerjugend; skąd wyjechał na front w mundurze oddziałów pomocniczych Luftwaffe pod sam już koniec wojny, w chwili gdy liczył sobie siedemnaście wiosen, otóż w tym jego Gdańsku pojawiły się nagle plakaty z jego podobizną. A na jednym z nich jego autoportret ze ślimakiem win-



niczkiem zamiast lewego oka, autoportret nawiązujący do *Dziennika ślimaka*, z dwóch fragmentów jedynie w Polsce znanego. I inny jeszcze plakat z jego podobizną na planie pierwszym, w karminowej obwódce, gdzie w pochyleniu, z okularami nasuniętymi na czubek nosa pisze coś, może kolejne zdanie *Turbo-ta*, powieści-giganta, której akcja w dużej części toczy się w Gdańsku, na Starym i Głównym Mieście, lecz i w kantine stoczni gdańskiej, gdzie umiejscowił Marię, swoją rzeczywistą krewniaczkę.

— Już jest, już minął granicę kraju (po dwugodzinnym na niej postoju) — oznajmił mi z wyraźnym podnieceniem w głosie zarządca Sieni Gdańskiej z Długiego Targu, który niejedną wystawę w życiu przeżył, lecz, kto to wie, w podobnych okolicznościach żadnej jeszcze nie szykował. I sięgnął do biurka po zaproszenie na wystawę grafik, której otwarcie miało odbyć się nazajutrz, po uprzednim całonocnym jej montowaniu.

— Już minął Lębork — usłyszy w słuchawce swojego telefonicznego aparatu wiceszef gdańskiego Wojewódzkiego Ośrodka Kultury, mgr Barbara Madajczyk.

— Zbliża się do Wejherowa — jak refren piosenki zabrzmiały te słowa dyktowane przez telefon redaktorowi naczelnemu kaszubskiego pisma „Pomerania” Wojciechowi Kiedrowskiemu. „Już jest, już przyjechał”, odetchną z ulgą w głosie gdańszczanie, w chwili gdy dojdzie ich uszu wieść, iż zatrzymał się we Wrzeszczu przy Grunwaldkiej. W domu należącym do Urzędu Wojewódzkiego, o charakterze rezydencjonalnym, o czym mogłaby stanowić sama już jego nazwa — Dom Francuski. Na stół wyłożone zostały arkusze grafik sporych rozmiarów. Grass zasiadł do ich zamasztywego, jak to jest w jego stylu, podpisywania, co już na drugi dzień uwieczni gdańska popołudniówka „Wieczór Wybrzeża”.

Po raz pierwszy Grass został zaproszony do Gdańska całkiem oficjalnie, przez: Prezydenta Miasta Gdańska, Oddział Gdański Związku Literatów Polskich, Związek Polskich Artystów Plastyków z siedzibą w Gdańsku, Wojewódzki Ośrodek Kultury i Międzyuczelniany Klub Studentów „Żak”.

I ten jego orszak wcale długi i żwawo teraz za nim postępujący. Żona Ute, smukła, o pół głowy od Güntera wyższa, płowowłosa, z włosami misternie pospinanymi w tyle i z boków głowy. *Orgelspielerin*, taki Feliks Rączkowski w spódnicy, nadto zaś Grassa osobisty sekretarz i straż przyboczna w jednej osobie. I jego muza kwiecień-grzybowa, jeszcze z Wdzydz sprzed dwóch lat i wspólnych po kaszubskim lesie wędrówek. Nadto rosły Anselm Dreher, właściciel galerii, z tych najbardziej ambitnych, jakich miałem dotąd sposobność poznać. Nadto z rodziców, co okaże się już później, wywodzących się z Grudziądza i Chełm-

ży. Wysoki, z nieodłącznym czarnym beretem na głowie. I równie jak on wysoki, nie mniej sympatyczny, drugi z berlińczyków, Fritze Margull, wydawca przepięknego, opasłego katalogu grafik autora *Turbota*. I jeszcze Leonard Bąk-Leszczyński, współorganizator — obok Związku Polskich Artystów Plastyków w Gdańsku i jego prezesa Wiesława Kobylińskiego — wystawy tych grafik w Sieni Gdańskiej, w miejscu pamiętnym z przemówień Forstera i samego Hitlera, z *parteitagów*. To tam nazajutrz odbędzie się wernisaż prac graficznych Grassa. O dziesięć metrów od sikającego strumieniami wody Neptuna, symbolu miasta nad Motławą.

Grass zatrzymał się w hotelu „Hevelius”. Stąd jest tylko ze sto metrów do domu, w którym ten gdański astronom mieszkał i pracował za życia, blisko jest też na Korzenną do Ratusza Staromiejskiego, w swoim wnętrzu kryjącego jakże stylową Salę Mieszczańską, miejsce spotkania Güntera Grassa z czytelnikami.

W ciężkiej marynarce, z którą Grass nie rozstaje się w największy nawet upał, w koszuli bez krawata, za to z kołnierzem wysoko postawionym, zasiądzie za stołem z tłumaczem i prowadzącym to spotkanie, pierwsze oficjalne w mieście jego urodzenia i młodości, prezesem Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich, Bolesławem Facem. A wszędzie wokół, na krzesłach, na parapetach okien, na podłodze i w drzwiach wejściowych, tłumy jego czytelników, wiernych wyznawców i tropiciele każdego jego słowa, każdego niuanse i szczegółu z map jego wspomnień z dzieciństwa. Zwolennicy wszystkiego, co pograniczne, co nietuzinkowe, co wielowarstwowe. Miłośnicy wszystkiego, co gdańskie i co pomorskie, co kaszubskie i co przymorskie, co kąpie się w lokalnym kolorycie, mając zarazem walor uniwersalności, co bogate wyobrażeniowo i co wreszcie jest po prostu dobrą literaturą o światowym sznycie.

— Na wstępie, ludziom młodym zwłaszcza, chciałbym przypomnieć kilka szczegółów z biografii naszego gościa — powie w swoim wprowadzeniu autor *Rzeźni Heroda*, Bolesław Fac. — Jego niewolę amerykańską, jego przynależność do Związku Postępowych Pisarzy Zachodnioniemieckich, jego 20 książek (6 powieści, 2 duże opowiadania, 2 sztuki, 4 tomy wierszy, 4 tomy esejów), powiedziec chciałbym o pięciomilionowym nakładzie jego książek w świecie, o przekładzie *Blaszanego bębenka* na 21 języków, wskazać chciałbym na jego „czułe faworyzowanie wszystkiego co polskie”, na jego spotkanie z robotnikami Gdyni w siedemdziesiątym pierwszym (jest taka fotografia — on przemawiający i taki smutny pan w ciemnych okularach stojący tuż za nim), o jego liście otwartym do Gierka pisany w pięć lat później, już po czerwcu. „Apelujemy do I Sekretarza, aby dotrzymał obietnicy reform, a odpowiedzialności za czerwiec szukał wokół siebie”, pisali intelektualiści wówczas, jego zaś podpis widniał pomiędzy innymi.

— Przeczytam państwu poemat *Kleckerburg* — zaproponował Grass.

I popłynęły strofy tego poematu wypowiedziane głosem mocnym i nawykłym do publicznego mówienia i czytania. Słowa trafione, bo o Wrzeszczu, o jego domu, o cmentarzu, który już nie istnieje, o czasie „gdym w Brętowie znalazł płytę z grobu, kiedy papiery poruszał w archiwum i w pięciu mowach w hotelu pytanie: Urodzony kiedy i gdzie, dlaczego?”.

To było w czasach rentmarki.  
Tu, przy Motławie, która jest dopływem.  
Gdzie Forster ryczał i Hirsch Fajngold milczał,  
tu gdzie swe pierwsze buty  
zdzierałem, a gdy umiałem mówić,  
uczyłem jąkać się: piasek, lejąca się bryja,  
do ulepienia zamków, aż mój dziecięcy pałac  
gotykiem się spiętrzał i rozpadał. (...)  
Nie na Siennej Grobli i łąkach podmiejskich,  
nie na Korzennej — ach, gdybym to ja  
jednak urodził się między spichrzami na wyspie!  
obok browaru, niedaleko Zaspy  
to stało się, dziś ulica ta  
zwie się po polsku Lelewela — tylko numer  
z lewej strony drzwi został, jest.

Ładnie i stosownie do miejsca zabrzmiały wersety tego gdańskiego poematu. Zapachniały Hanzą, Kaszubami, Pomorzem i Polską.

— Chciałbym ostrzec państwa przed traktowaniem Oskara Matzeratha jako postaci autobiograficznej — powie na wstępie. — W jego infantyлизmie i w niechęci do wzrastania, widziałem symptom czasów naszego wieku. Oskar jest moim okiem pozostawionym w Gdańsku, nie jest natomiast mną, Günterem Grassem.

— Jest pan autorem noweli *Kot i mysz*. Proszę powiedzieć, czy jest ona całkowitą fikcją literacką, czy może raczej oparł ją pan na konkretnym zdarzeniu?

— Nowela *Kot i mysz* oparta jest oczywiście na faktach. Faktem było np. wychowanie młodzieży w duchu ideologii faszystowskiej. Innym realnym podłożem jest dla przykładu los polskiej małej floty we wrześniu i październiku 1939 roku. Akcja *Kota i myszy* rozgrywa się w większości na zatopionej u wejściu do Nowego Portu jednostce polskiej. Ponieważ wszyscy chłopcy w moim wieku, także i ja, zarażeni byliśmy militaryzmem, znaliśmy wszystkie jednostki, nie tylko

polskie, ale i obce, rozpoznaliśmy, że zatopioną jednostką jest stawiacz min „Jaskółka”.

— Jest w *Blaszonym bębenku* moment, kiedy Oskar próbuje narysować, określić to magicznie, punkty na swoim rodzinnym zdjęciu. Kończy się to niepowodzeniem. Jednocześnie książki pana utkane są z faktów, takich jak obrona Poczty Polskiej czy cytowany w powieści autentyczny numer dokumentu — numer wyroku śmierci, czy też nazwy polskich okrętów wojennych. Jednak w pewnym momencie ten dokumentalizm się rozwiewa. Na przykład w *Kocie i myszy* podana jest wersja propagandy niemieckiej, która podawała, że polskie okręty wojenne zostały wcielone do angielskiej floty, co nie jest zgodne z prawdą, bowiem polska marynarka zachowała swoją niezależność. Takich ucieczek w książkach pana jest więcej. Czy jest to zabieg świadomy? Czy odwoływanie się do gazetowych wersji jest celowe? Czy może pan zdradzić powody takich zabiegów?

— Uważam się za pisarza realistycznego, ale uważam też, że fantazja i wyobraźnia pisarza muszą wzbogacać fakty, zanim zostaną one przeniesione na papier. Na przykład w *Blaszonym bębenku* jest fragment, w którym akcja zaczyna się zupełnie realistycznie: jazdą tramwajem. Po średniku jazda ta przeradza się w fantastyczną, nadrealną podróż, by po kolejnym średniku, w trzeciej części wypowiedzi, obie te wersje: naturalistyczno-realistyczną i fantastyczno-nadrealną połączyć ze sobą tak, aby stworzyć nową wartość narracji.

— Czy widział pan film Stanisława Różewicza *Wolne miasto*?

— Nie, nie widziałem tego filmu. Ale opowiem wam, jak robiłem w Gdańsku studia nad *Blaszonym bębenkiem*. Było to w roku 1958. Byłem wówczas w Gdańsku po raz pierwszy od czasu wojny. Dokumentowałem swoją przyszłą książkę. Oprawadzała mnie po mieście pani redaktor Anna Górna z „Głosu Wybrzeża”. Zacząłem też szukać śladów po obrońcach Poczty Polskiej. Oficjalne materiały mówiły, iż wszyscy jej obrońcy zginęli. W Warszawie otrzymałem kilka nazwisk tych, którzy przeżyli, z dwoma z nich rozmawiałem. I tę wersję zdarzeń uznałem za prawdziwą, wbrew temu, co się wówczas oficjalnie mówiło. Chciałbym jeszcze powiedzieć, że miałem osobisty powód, aby zająć się sprawą obrony Poczty Polskiej. Mój wujek, Franciszek Krause, należał bowiem do obrońców poczty i wraz z innymi został rozstrzelany na Zaspie. Był to fakt, który mną wstrząsnął i stanowił motor napędowy do napisania *Blaszanego bębenka*.

— Czym jest dla pana Gdańsk?

— Osobistym doświadczeniem. Mam sentyment do tego miasta i wszystko, co się w nim dzieje. Byłem dumny z walki polskich robotników w Gdańsku w roku 1970. I z tego, że w sierpniu 1980 wszystko odbyło się bez walki i bro-

ni. Spontaniczność tego ruchu oporu, jego nieprzystawalność do centralistycznych koncepcji widzenia pewnych spraw, jego oddolność, wszystko to zyskiwało moją głęboką sympatię. I to, że robotnicy chcieli wreszcie sami o sobie stanować. Mnie się wydaje, że ten ruch potwierdza intencje Róży Luksemburg.

— Jaka jest pana definicja Gdańska? Co to jest takiego gdańskość? Kto jest gdańszczaninem?

— Jest oczywiście pewną kontynuacją w historii tego miasta, że gdańszczanie często byli przepędzani przez innych uciekinierami. Tu się przybywało i stąd się bardzo często odchodziło. Ostatnio przybyli tutaj w 1945 roku osadnicy z okolic Wilna i Białegostoku. Może to znajomość historii jest powodem, że to miasto cechuje zawsze pewna tolerancja.

— Chciałbym zapytać, na ile czuje się pan Kaszubą?

— Myślę, że kultura w malarstwie, literaturze czy w handlu powstaje z przemieszania się różnych kultur. Czyste rasy są zdegenerowane. Kaszubi, którzy musieli przeżyć te wszystkie pochody przez ich ziemie, przetrwali. Ten rodzaj witalizmu jest mi bardzo bliski. Część jego tkwi także i we mnie. Ze strony mojej matki cała rodzina pochodzi z Kaszub. Kaszubi zawsze cierpieli, ponieważ silniejsze narody zawsze chciały narzucić im, kim są lub kim powinni się stać. Dla Polaków zawsze byli niedostatecznie polscy, dla Niemców — niemieccy, i zawsze dostawali lanie zarówno od Niemców, jak i Polaków. Jeżeli teraz jest lepiej, to znaczy, że Polacy zrozumieli, że można być dobrym Polakiem, będąc Kaszubą.

— Czy pan nie jest za mało niemiecki dla Niemców?

— Dla tych Niemców, którzy dokładnie wiedzą, co jest niemieckie, na pewno. Ale wychodząc z założenia, że Niemcy to fantastyczna mieszanka ludności germańsko-słowiańsko-celtyckiej, zdefiniowanie się jako Niemiec nie przychodzi mi z trudem, ponieważ czuję się mocno związany z niemiecką mową, także z literaturą i zależność tę przenoszę na mój stosunek do narodu i jego historii. Ale wciąż otrzymuje listy następującej treści: „Te Pańskie książki o Gdańsku są straszne, co się w nich zgadza, to numery linii tramwajowych”.

— Czy wierzy pan w charakter narodowy?

— Charakter narodowy to napuszone słowo. Naród polski ma szczególną historię, związaną z tym, że Polacy żyli w kraju podzielonym przez zaborców. Na wygnaniu, na emigracji, musieli żyć, tworzyć, kształtować swoją kulturę, naukę, wiedzę i to właśnie zaważyło na charakterze Polaków, w odróżnieniu od Niemców, którzy ciągle żyli w podzielonych na księstwa Niemczech, nie mając nigdy pełnej świadomości narodowego kompleksu i dlatego uważam, że każdy demagog i krzykacz, który stawał na czele mas i proponował Niemcom organizowa-

nie ruchów zjednoczeniowych, znajdował łatwy posłuch. Natomiast jeżeli mówimy o szowinizmach narodowych, są one wszędzie, także i w Polsce.

— Gdy spotykałem Niemców z Republiki Federalnej i rozmawiałem z nimi o panu, słyszałem: „Może to i dobry pisarz, ale on sprzedał Gdańsk Polakom”.

— W Niemczech jest oczywiście wielu błaznów, którzy nie wyciągnęli żadnych wniosków z lekcji historii. Od dawna jestem za to atakowany. Uważam, że Niemcy rozpętali wojnę i ją przegrali, a oddanie Gdańska jest jednym z ustępstw, na które w wyniku tego musieli pójść. Zwłaszcza że Polska straciła swoje ziemie na wschodzie i przesunęła się w kierunku zachodnim. Bardzo często muszę się spierać z polskimi i niemieckimi szowinistami, którzy zawsze chcieli mi wytłumaczyć, jakie germańskie lub niemieckie szczepy zamieszkiwały w VIII i w IX wieku tę czy tamtą stronę Odry. Ludzie ci najchętniej chcieliby przeprowadzić granice na podstawie tych dowodów czy przesłanek. Oczywiście ten głupi spór niesie tylko nienawiść. Trzeba uświadomić sobie, że naród, który z własnej woli rozpoczyna wojnę, ściągając na inne narody krew, łzy i zbrodnię, musi za tę wojnę zapłacić. Takie jest moje przekonanie. Dziesięć lat temu uczestniczyłem w zażartej dyskusji, czy Kopernik był Polakiem, czy też Niemcem. Rozstrzygnąłem ten spór stwierdzając: Kopernik był Kaszubą.

— Chciałem zapytać o pańską miłość do Gdańska, do jego architektury, jego atmosfery. Opisuje pan Gdańsk — miasto kościołów, miasto wież. Gdy pan miał szesnaście lat, musiał się pan rozstać z Gdańskiem. Jak pan dziś odnajduje to miasto, tzn., co w architekturze miasta, w jego urodzie pan akceptuje, a co pana drażni?

— Zawsze doceniałem wysiłek Polaków w tak wiernej historycznie odbudowie Gdańska i innych zniszczonych wojną miast. Dla porównania: w RFN i NRD więcej substancji miejskich zniszczono po wojnie aniżeli podczas jej trwania. Te akty barbarzyństwa trwają jeszcze do dzisiaj. Naturalnie, jeśli chodzi o Gdańsk pewne rzeczy można widzieć krytycznie. Choćby nowe osiedla między Wrzeszczem i Oliwą, gdzie powtórzone grzechy zachodniego nowoczesnego budownictwa miejskiego. No i ta przepaść w jakości życia. Czytałem w gazetach, że plaża i cała zatoka zostały zamknięte i nie tylko nie można się kąpać, ale nawet i opalać się na piasku.

— Chciałbym zaproponować panu tworzywo do jednej z kolejnych pańskich książek. Pod Kartuzami jest wieś o nazwie Goręczyno. Z niej to pochodzą: zastępca dowódcy obrony Poczty Polskiej w Gdańsku, Flisykowski, tam jest pochowany i stamtąd wywodzi się jedna z ofiar grudnia, nadto w tej wsi urodził się ojciec gdańskich pięcioraczków. Lecz co innego mnie interesuje: relacja wzajem-

na pomiędzy pisarzem i grafikiem. Znane są przykłady wielu pisarzy i poetów uprawiających twórczość malarską czy graficzną. W Polsce choćby Kraszewski, w Niemczech Goethe. Jak pan traktuje swoją grafikę? Czy nie obawia się pan, iż pana twórczość literacka stanowi pewien rodzaj protezy dla jego twórczości graficznej? Bo przecież dopiero po wystawie w Paryżu niemiecka krytyka plastyczna szerzej zajęła się panem jako grafikiem.

— Wystawa, którą jutro będą mogli państwo poznać, udowodni chyba, że grafikę traktuję na równi z literaturą. Grafika może być autonomicznym uzupełnieniem, a nie ilustracją mojej literatury.

— Czytałem pięć lat temu, że zajmuje się pan również rzeźbą, czy nadal ją pan uprawia?

— Po osiemnastu latach przerwy znowu zacząłem rzeźbić. Chciałem odpuścić od literatury. Ale przy tym pozostanę: przy pisaniu, grafice i rzeźbieniu. Obiecuję, że muzyki komponować nie będę...

Na koniec zaś powiedział od siebie:

— Trzeba chyba wpieryć utracić swoje miasto, by być w nim z takimi honorami przyjmowanym.

Następnie odczytano oświadczenie Rady Programowej Klubu Studentów Wybrzeża „Żak” o przyznaniu Günterowi Grassowi Nagrody Czerwonej Róży. Moment to był szczególny, gdyż niejako tym samym autor *Blaszanego bębena* włączony został ostatecznie w krwiobieg kulturowy Gdańska, Pomorza i tego wszystkiego, co było i jest ważne w tym mieście. Dalej zaś zostały wypowiedziane słowa nadziei, iż wszystkie książki laureata zostaną w Polsce wydane przez gdańskiego edytora, Wydawnictwo Morskie.

Godzina 18.00, Sień Gdańska na Długim Targu. Grafiki już zawieszono w liczbie sztuk 34. Sporych rozmiarów plansze, na których uczeń berlińskiego rzeźbiarza Hansa Hartunga, niegdysiejszy student Akademii Sztuk Pięknych w Düsseldorfie, wystawia prace w mieście swojego urodzenia. W chwili gdy do czekał się już pewnego uznania w tym fachu, własnej galerii i sztabu techniczno-edytorskiego.

Tylko rzeczy najstarsze, najpierwsze, tutaj pominął. Ale są rysunki ślimaków. Grzyby też są. I buty... Te wszystkie prace pod względem precyzji rysunku przyrównywane są często do dokonań graficznych samego Albrechta Dürera.

Więc buty. Mocno schodzone, zmęczone, zużyte, przenoszone.

Są i ryby. Oślizgłe, wijące się na wszystkie strony węgorze. Głowy rybnie na prętach, z wytrzeszczem oczu, brutalne. *My dwoje*, tak tytułuje swoją pracę,

na której kraby i twarz kobieca. *Als das Märchen niemals war*, tym podpisem sygnuje rysunek ości rybich z okularami w drucianej oprawie na pierwszym planie. *Turbot z nożem*. Turbot jeszcze w pięciu innych wersjach, rodzaj szczegółowego studium tej ryby znanej z jego sławnej powieści. Pojawia się głowa rybia z ościami, obraz rybiej destrukcji. I jeszcze *Polnische Ganz*. A także autoportret Grassa w kucharskiej czapie.

— Te wszystkie moje prace daruję Gdańskowi z życzeniem, ażeby były ogólnodostępne — powie na tym wernisażu.

Seria medali dla Grassa. Od zarządu Głównego ZPAP wręczony Grasso wi osobiście przez jego szefa, Jerzego Puciatę. A także medal upamiętniający układ w Kępnie, wybity przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Ten układ, w czym Grassa objaśniam już osobiście, który przesądził przed sześciuset laty o złączeniu Pomorza z Wielkopolską. Przemówią jeszcze prezydent miasta, docent Jerzy Młynarczyk, oraz Lech Kobyliński, szef gdańskich plastyków.

Nazajutrz wizyta u gdańskiego wydawcy na Szerokiej, jego Breitgasse. Grass jest serdeczny. Widać, że czuje się tu dobrze, swojsko. Rozmowa schodzi z miejsca na temat wydań książek oraz opcji wydawniczych. Ktoś wspomina o już istniejących umowach. „Uważam, że wszystkie dotychczasowe wygasły — powie Grass — i życzyłbym sobie, ażeby wszystkie moje książki ukazywały się w Wydawnictwie Morskim i w Gdańsku”.

Piątkowe popołudnie 6 czerwca. W trzy auta jedziemy spod „Heveliusa” pod gdański uniwersytet. Przy hali „Olivii” skręcamy w lewo pod morenowe wzgórze w głębi. Jeszcze jeden skręt w lewo i przed nami nowoczesna zabudowa gdańskiej uczelni. Grass wie, że humanistycznej uczelni nigdy w jego mieście nie było. „Technische Hochschule”, owszem, tak. Lecz za chwilę dojdzie do punktu kulminacyjnego w prowadzonym od dłuższego czasu na tej uczelni przez profesor Marię Janion konwersatorium „grassowskim”.

— Witamy pana Güntera Grassa — powie pani profesor. — Jesteśmy szczęśliwi, myśleliśmy o panu wielokrotnie. Opowiadaliśmy o panu. Odbyły się u nas cztery wielogodzinne konwersatoria w ciągu dwóch ostatnich lat. Uświadomiliśmy sobie, że Gdańsk to pana „trójkąt bermudzki”. Ma pan tutaj swoje grono znawców i wyznawców, teraz mamy pana, na kilka godzin, żywego. Trudno sobie wyobrazić stan entuzjazmu, w jakim się znajdujemy od momentu, kiedy dowiedzieliśmy się, że pan wreszcie do nas przyjeżdża. Mamy do pana wiele spraw, dużo zapytań. Będziemy prosili o wiele odpowiedzi na wiele kwestii. Sam pan powiedział, że *Błaszany bębenek* został napisany dla dwóch spo-



leczności — polskiej i niemieckiej. Będzie więc zapewne cieszyło pana, że przywłaszczamy sobie jego arcydzieło, że czytamy je, że zadajemy mu swoje pytania, gdyż sprowadzamy je, jak całą znaną nam jego twórczość, w całość naszej odrębnej, a zarazem tak powiązanej z Europą kultury. Już od Arystotelesa tak się rzeczy mają, że każda wielka teoria bytu zawiera również literaturę. Nie ma bowiem bytu bez literatury i w takim właśnie porządku pan nas interesuje. Myśmy już od dawna z panem współżyli, mamy nadzieję, że pańska cielesna obecność będzie się wiecznie odnawiała. To jest początek naszego obcowania z panem. I że już nikt inny nie przeszkodzi, ażeby był pan duchowo i cielesnie obecny z nami i byśmy mogli być z panem tak, jak tego naprawdę chcemy.

A potem padną liczne pytania. O historiozofię *Turbota*. O stosunek do „filozofii historii” Hegla. O sposoby kontaktowania się z przeszłością (wywodzenie z siebie, dopuszczenie do głosu kucharki), o sposoby dochodzenia do przeszłości (rekonstrukcja). O apologię Schopenhauera (gdańszczanina jak i Grass) w *Dzienniku ślimaka* i przeciwstawienie go Heglowi (opozycja trwała to czy tylko przejściowa?), o różnicę pomiędzy doświadczeniem historycznym i egzystencjalnym, z których to pytań Grass poweźmie wniosek o zaproszenie do wielogodzinnego wykładu. Po czym opowie się za niejednołitą interpretacją jego książek, wieloznaczną i wielowątkową (przykład obrazu Picassa oglądanego przez dziesięć osób zda mu się czymś podobnym w tym względzie). „Wszystkie interpretacje są możliwe, każda reakcja jest w pełni uprawomocniona, nawet najbardziej nieprawdopodobna, bo i ona została wyprowadzona z dzieła sztuki”, tak rzecz tę ujmie. Po czym lojalnie ostrzeże przed interpretacją jego książek wedle modelu: „Co autor chciał przez to powiedzieć?”. Co do zachwiania w chronologii zdarzeń... W ludzkiej świadomości też pojawiają się one w sposób wielce chaotyczny i niekonsekwentny, nie w chronologicznej kolejności. „Historycy — dopowie — winni wiedzieć, że dokumenty są pisane z reguły przez zwycięzców. Ci pokonani, zniewoleni, ci, którzy stanowią mniejszość, są pozbawieni głosu”.

I o średniowieczu napomknie. O jego historii zapisanej przez jeden procent umiejących pisać. Stąd u niego pisarska chęć oddania głosu tym pozostałym. I antynomia z Heglem: „Dla mnie historia jest pozbawiona wszelkich reguł, Hegel zaś twierdził, iż ma sens sama w sobie”. W ten sposób każda zbrodnia polityczna może być wytłumaczona procesem historycznym. I Stalin, i Hitler, i epoka kolektywizacji.

Dalej będzie o pojęciu „zniesienia”, o fascynacji, językowej czysto, Heideggerem. Profesor Maria Żmigrodzka zwierzy się z traktowania przez siebie „gdańskiej trylogii” jako tej, którą da się zatytułować wspólnie *Kot i mysz*. Ponieważ problemy jednostki i władzy totalitarnej wszędzie tu są obecne. Stąd taka

rola protestu, odmowy i odosobnienia w tym proteście. I nagle to pisarskie przyznanie się do nurtu plebejskiego. Do Opitza, Griemshausena, w imię czynienia porządków we własnym domu. „Niemniej chciałabym zauważyć, że potępienie tradycyjnej kultury niemieckiej jest u pana za ostre”. Po czym zwierzy się pani profesor, czym w czasie okupacji była ta kultura dla ludzi kraju okupowanego, który przecież nie utożsamiał hord hitlerowskich z Goethem czy Mannem.

Rola ironii w utworach Grassa to kolejny temat rozważań. Zerwanie z metafizyczną ironią romantyczną. Unoszenie się pisarza ponad koncepcjami (Stern, Rabelais) w imię pisarskiej wolności. Grass zaś w odpowiedzi przyzna, iż świadomie przeciwstawił, zwłaszcza w *Blaszany bębenku*, problemy polskie niemieckim.

Zastanawiające w stereotypach jest to, że pozorują rzeczywistość i w ten sposób literatura staje się „sprawozdaniem z pomyłek”. Potrzeba Polakom prawdopodobnie zwrócenia się ku własnej tragicznej historii pisanej przez gangsterów, do których zaliczamy zarówno polskich królów, jak i Krzyżaków, pruskich władców itp. Przecież wielki dorobek kulturalny nie powstrzymał Niemców przed Oświeceniem, cała ta XIX-wieczna wielka kultura z jej filozofią. Także w tej chwili zaczyna się chwiać pojęcie idealizmu XIX wieku. Czyżby proces oświecenia europejskiego uległ całkowitemu załamaniu? Czyż nie wierzyliśmy przez wieki, że przez przyswojenie dorobku kultury będziemy wszyscy mądrzejsi? Czyż to nie była straszna omyłka? Czyż ten szok, którym był Oświecenie, czyżby miał on tak rozległe działanie na świecie, że to już nigdy się nie powtórzy? A tych 15 milionów ludzi, którzy co roku umierają z głodu? Liczba, która w przyszłym roku ma jeszcze wzrosnąć. Co zaś ironii się tyczy: Tomasza Manna w Niemczech się czyta, podziwia, delektuje się jego sztuką słowa, ale zawsze przy tym się powie: „On jest nazbyt ironiczny”. Przeplatanie się wydarzeń jest w *Kandydzie* i u Döblina.

Profesor Janion: „Dobrze, że pan wspomniał Döblina, bo nigdy nie potrafiłam zrozumieć pańskiej fascynacji tym pisarzem”.

Spytają go tu jeszcze o *Turbota*, jako o książkę kucharską i o obsesję kulinarną wyrażoną wcześniej już w *Dzienniku ślimaka*.

Profesor Janion: „Jak by Grass odpowiedział na pytanie: jak żyć w totalitaryzmie?”.

Państwo wymagacie ode mnie zbyt wiele. Istnieje wielu pisarzy zarówno w polskiej, jak i niemieckiej literaturze, którzy nie przeżyli totalitaryzmu. Ironia jest formą oporu wobec totalitaryzmu. Tam gdzie istnieje tylko jedna ideologia, ironia jest niedopuszczalna. Kiedyś chciałem napisać książkę o tym, co by się stało, gdyby Hitler został przyjęty do akademii malarskiej w Wiedniu. Ile by światu zostało przez to oszczędzone. Gdyby na egzaminie ktoś orzekł: nie jest to malarz zbyt zdolny, ale jeden więcej niezdolny ma-

larz świata nie zaszkodzi. I wówczas obecny na tym egzaminie prof. Zygmunt Freud dostrzegłby, że ten młodzieniec w przyszłości może zechcieć mścić się na świecie za swą porażkę egzaminacyjną. I wówczas, już w 1933 roku, byłby profesorem, za rządów Hitlera nie miałby żadnych trudności.

Będzie jeszcze o Camusie i jego *Micie Syzyfa*. O *Melancholii* Dürera i szoku Oskara z *Blaszanego bębenka*. O epizodycznym charakterze naszego pobytu na ziemi, o oddemonizowywaniu faszyzmu i książce pani Hannah Arendt o Erichu Eichmannie. O tendencji, bezpośrednio po wojnie w Niemczech pojawiającej się (to słowa Grassa), do przedstawiania faszyzmu jako pomyłki, okresu opętania, uwiedzenia, które zaciemniało obraz w sposób całkowity. Rozmawiało się o heideggerowskim „człowieku jako nicości” i pesymizmie Artura Schopenhauera i Fryderyka Nietzschego.

— Wolę napisać jeszcze jedną książkę, aniżeli samemu interpretować swoje już napisane książki — uznał Grass pod koniec tej dysputy. — Aniżeli samemu się szufladkować. — Te słowa wypowie zresztą nie bez uśmiechu.

— Czy przewiduje pan możliwość sfilmowania *Turbota*?

— Chyba tak. Trudność jedyna to problem obsadzenia głównej roli. Być może Herbert Wehner nadawałby się do tej roli?

I tak oto dopełnił się jakby ów nadto teoretyczny dyskurs na temat roli ironii w literaturze, a także w jej opłotkach.

Profesor Janion: „Jesteśmy bardzo wymagający. Kiedy pan znowu do nas przyjedzie?”

Grass: Chciałbym dużo i często, choć zależy to nie tylko ode mnie. Jako wróg centralizmu nie idę do Warszawy, co mi zbytnio sprawy nie ułatwia. Ze swoimi książkami też ciągnę do gdańskiego wydawcy.

(1981)

## W miejsce zakończenia

A przecież poszedł i do stołecznego wydawcy także. Oto na początku roku 1983, w cztery lata po edycji w tzw. drugim obiegu, ukazał się w Państwowym Instytucie Wydawniczym *Blaszany bębenek* w cytowanym tu po wielekroć przedkładzie Sławomira Błauta. W dwudziestotysięcznym nakładzie, daleko niedostatecznym jak na powstałe w tym czasie czytelnicze zapotrzebowanie. Dobre i to na początek, jako że — odpukać w niemalowane — szykują się wydania kolejne tej książki.

I sypnęło recenzjami, glosami, dyskusjami redakcyjnymi. O tej książce i o fenomenie pisarstwa Güntera Grassa w ogólności.

*Garbate życie Oskara Matzeratha* — zauważył z tej okazji w tytule wielostronicowej recenzji Bohdan Czeszko na łamach „Nowych Książek”. „O dziejach książki *Blaszany bębenek*, pisał autor *Pokolenia*, można by napisać bardzo ciekawą i bardzo pouczającą opowieść z czasów najnowszych w historii Polski. Cukrowała się ta książka i ulegiwała lat kilkanaście. Doczekała się także wydania w wydawnictwie nieoficjalnym, obrosła legendą, by wreszcie w chwale odbyła się jej oficjalna inkarnacja. Nie pamiętam, by jakiegokolwiek inne dzieło literackie miało podobne przyjęcie i rozgłos”.

W „Polityce” — co nie było niczym niezwykłym — zabrał głos jeden z pierwszych admiratorów pisarstwa Güntera Grassa na polskim gruncie, Adam

Krzemiński. *Krzyk gówniarza z bębniem na brzuchu*, tytułuje swój esej w numerze ze stycznia 1984 roku. Tekst ten nadto opatrzony jest listem Grassa do autora artykułu:

Tę książkę zacząłem pisać, gdy miałem 26 lat. Gdy pięć lat później ukończyłem rękopis, byłem świadomy, że ten temat — Danzig, Gdańsk, Niemcy i Polacy — nigdy mnie nie opuści, będę zmuszony wciąż na nowo i w zmieniających się kwestiach zmagać się z nim. Dobrze, że teraz polscy czytelnicy sami mogą sobie wyrobić pogląd na tę książkę, ponieważ napisałem ją przede wszystkim dla niemieckiego i polskiego czytelnika.

Elementy rewindykacyjne. Trudno, ażeby było inaczej w sytuacji, gdy czołowa powieść pisarza ukazuje się w ćwierć wieku od jej pojawienia się na niemieckim rynku wydawniczym. Ktoś wypomni krytykowi X, że przed laty wielu potraktował *Błaszany bębenek* jak „kamień narodowej obrazy”. Przypomnienie niegdysiejszej opinii pisarzy Y, Z na odległość tchnących, jak napiszą z obecnej okazji, „zaściankową parafiańszczyzną i zemocjonalizowanym patriotyzmem”. Są to słowa Stefana H. Kaszyńskiego pomieszczone w poznańskim „Nurcie” z kwietnia 1984 roku. Niechaj krytycy krytykami będą, pisarze zaś pisarzami... Taka też płynnie nauka ze sporów niegdyś wysoko ponad czytelniczymi głowami toczonych.

Dokonał się przeto „Güntera Grassa powrót do źródeł”, do Gdańska, na jego Kaszuby, co też skwapliwie odnotowało pismo *Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego* „Pomerania”. A także „Głos Wybrzeża” w sporej rozprawce zamieszczonej w numerze z 10-11 marca 1984 roku. Jej tytuł: *Świat podglądany*. A tak jeszcze niedawno w innym trójmiejskim dzienniku ukazał się ów kryptoartykuł *Günter Grass — och, ach*. Rewindykacje, rewindykacje...

Tymczasem, w charakterze jeszcze jednej namiastki, krąży po naszych domach wideokasetowa wersja filmu Volkera Schlöndorffa podług powieści Grassa. Od czegoż inwencja rozmaitych firm polonijno-ajencyjno-prywatnych? Odbywają się nadto pokazy publiczne tego filmu w ramach działań Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Smak zakazanego owocu utrzymuje się więc w najlepsze.

Szykuje się pierwsze polskie wydanie wierszy Grassa, mające zapoczątkować serię pozostałych edycji wraz z *Psimi latami* i powieścią *Z dziennika ślimaka*.

Zdarzają się nadto edycje elitarne, traktujące o pisarstwie Güntera Grassa. Jak praca Zbigniewa Światłowskiego *Gdańska trylogia Güntera Grassa*, Wrocław 1982. Tom studiów poznańskiej germanistyki (Studia Germanica Posnaniensia XII, Poznań 1983). Prócz prac autorów z Ratzbony, Kopenhagi i Amsterdamu zawierający szkic Edyty Połczyńskiej *Günter Grass w Polsce*. A także, wcale

skrupulatną, bibliografię polskich tłumaczeń Grassa i prac o Grassie z lat 1959—1981, autorstwa Marii Wojtczak.

A wszystko na polskim gruncie zaczęło się za sprawą obszernej babcinej spódnicy i niejakiego Koljaiczka ściganego przez kartofliska kaszubskiej wsi Bysewo. W miejscu, gdzie dziś znajduje się podgdańskie lotnisko Rębiechowo. Gdyby wówczas ów Koljaiczek, mężczyzna wzrostu niezbyt słusznego, został przez pruskich żandarmów doścignięty, być może w ogóle nie zaistniałby *Blaszany bębenek*.

W kilka dni po ukazaniu się w tygodniku „Forum” polskiego przekładu wywiadu, jakiego włoskiej „Panoramie” udzielił Günter Grass, a ponad miesiąc od momentu wydrukowania fotografii z Waldheide, gdzie mieści się amerykańska baza wojskowa, jako ilustracji do rozmowy z czołowym w RFN krytykiem literackim, Fritzem J. Raddatzem, w grudniu 1984 roku w śródmieściu Warszawy, w bezpośrednim sąsiedztwie domów towarowych „Centrum” oraz Ściany Wschodniej, w oczy przechodniów zaglądał z plakatów Oskar Matzerath o twarzy dwunastoletniego aktora Davida Bennenta z filmu Volkera Schlöndorffa. Wszystkie plakaty reklamowały dwudniowe seminarium Centralnego Klubu Studentów Warszawy „Hybrydy”, poświęcone osobie i dziełu autora *Blaszanego bębenka*.

Już zaś wewnątrz — sceneria nieomal studia telewizyjnego, z mnóstwem monitorów, ze starannie zaaranżowaną scenografią, na którą składają się dużych rozmiarów fotografie Gdańska oraz Wrzeszcza. Na równi tego dawnego, jak i poddanego procesowi powojennej rekonstrukcji.

Jest pośród tych zdjęć także i jedno z Grassem u wejścia do jego dawnego domu, miejsca narodzin i dzieciństwa przy obecnej ulicy Lelewela, niegdysiejszej Labesweg.

Sam zaś temat seminarium mógłby wydać się komuś nieco anachroniczny. Oto bowiem w licznych prasowych enuncjacjach Grass wypowiada takie słowa: „Współczesny świat znajduje się w rękach aferzystów”. I dalej ciągnie: „Wspólnotą europejską rządzi masa głupców, którzy mają pstro w głowie”. Mało mu tego, więc dorzuca: „A sytuacja współczesnego świata na tyle się ustabilizowała, w sensie negatywnym, że przed sobą widzimy tylko ciemność, a nawet — negujemy samo pojęcie przyszłości: jest to sytuacja całkiem nowa. Pierwszy raz bowiem zdarza się, że wypowiedź pisarza traci rację bytu. Pracujemy nad przyszłością, która nie istnieje”.

Oto skrajnemu pisarskiemu pesymizmowi towarzyszy niemały optymizm organizatorów seminarium — grupki studentów z Warszawy — Romana Gutka, Sławomira Rogowskiego, Andrzeja Wójtowicza — oraz profesor Marii Janion

z Uniwersytetu Gdańskiego. Jak gdyby najważniejszy był tu fakt reedycji *Kota i myszy*, dwukrotnego wydania *Blaszanego bębenka*, zapowiedź rychłego pojawienia się na półkach księgarskich *Wierszy wybranych* Grassa. Nadto jeszcze *Psich lat*, *Z dziennika ślimaka* oraz *Spotkań w Telgte*. A zatem zapowiedź przyszłego wysypu książek Grassa?

Tutaj liczy się nade wszystko polska recepcja dzieła Grassa. Wysoka fala zainteresowania pisarstwem i fenomenem jego twórczości. Skoro więc tak, uznano zapewne, warto pokusić się o rodzaj dwudniowego seminarium i wydanie pięciu książek poświęconych osobie pisarza z kaszubsko-gdańsko-polsko-niemieckiego pogranicza.

Na pierwszy ogień poszła projekcja dwóch filmów podług utworów Grassa. Tego sprzed wielu lat, z roku 1967 — *Kota i myszy* w reżyserii Hansajürgena Pohlanda z Larsem oraz Peterem Brandtami, synami ówczesnego burmistrza Berlina Zachodniego, Willy'ego Brandta, w rolach Mahlkego (młodszy i starszy). Zrealizowany on został w koprodukcji z polskim zespołem filmowym „Rytm”. Zaraz zaś po nim *Blaszanego bębenka* Schlöndorffa, dla ilustracji i niejako dla wizualnego wprowadzenia w temat. Dla łatwiejszego pojęcia i zrozumienia oraz dla rozjaśnienia mroków, jeżeli takowe istniały. Dla uatrakcyjnienia po prostu, boć nie dla wyręczenia samej literatury z jej naczelnych powinności — wzruszania słowem i myślą. Skoro sam Grass objawił spore zainteresowania tym, w jaki sposób adaptują go dla potrzeb sztuki tak bardzo masowej, jaką stało się kino w ostatnich dziesięciokilku latach. Ta zresztą fascynacja kinowym ekranem zaprowadzi Grassa aż do przewodniczenia obradom jury festiwalu filmowego w Cannes.

Trzeciego filmu według Grassa, z nim samym w roli *cicerone* po gdańskim Starym i Głównym Mieście, zabrakło. Co się odwlecze... Ważne, iż został niegdyś, dzięki rekomendacji redaktora Jerzego Ambroziewicza, pokazany w II programie polskiej telewizji.

Tymczasem obecność swą na seminarium zgłosili profesorowie Maria Janion i Franciszek Ryszka. Literaturoznawca i komparatystka w jednej osobie, oraz historyk dziejów III Rzeszy. Maria Janion znów ujawniła swą ogromną fascynację dziełem Günтера Grassa i spróbowała umieścić je w ciągu rozwojowym literatury i filozofii (Jaspers i Adorno) XX wieku.

Z Ryszką inna całkiem sprawa. Od lat należał do najwcześniejszych admiratorów dzieła Grassa. To on na łamach stołecznej „Współczesności” publikował, w chwilę po ukazaniu się w RFN *Psich lat*, pierwsze szkice na temat tej niezwykłej książki. Niewiele ustępował w tym względzie Andrzejowi Wirthowi, któ-

ry z racji przebywania na Zachodzie był wówczas najbliżej fenomenowi twórczości Güntera Grassa.

Punkty odniesienia prozy Grassa — powiada Maria Janion — do problemu niemieckiej winy. Do tego, jak pisać po Oświęcimiu. Dylemat niegdyś przedstawiony przez Tadeusza Różewicza, trapiący w równym, jeśli nie w jeszcze większym, stopniu Tadeusza Borowskiego. Myśl filozoficzna Karla Jaspersa jako zaplecze intelektualne dla pisarstwa Grassa. Proza Tomasza Manna i jawna chęć przewalczenia owego „niemieckiego ducha”, tkwiącego immanentnie w prozie autora *Czarodziejskiej góry* oraz *Doktora Faustusa*.

Franciszek Ryszka po wygłoszeniu zachwyty nad *Psimi latami*, a także nad samym Grassem („Największy pisarz drugiej połowy XX wieku”), skoncentruje się w swej wypowiedzi na teoretykach faszyzmu, czyli swych kolegach po historycznym piórze — Jaecklu oraz Joachimie Fescie, autorze monografii Hitlera.

Tymczasem Leszek Szaruga, krytyk średniego pokolenia, zabierając głos w dyskusji wyrazi swój sprzeciw wobec odbywających się na sali niebezpiecznych — jego zdaniem — prób stratyfikacji literatury.

I raz jeszcze film — telewizyjny tym razem. Zatem jak gdyby w sam raz pasujący do owych licznych monitorów. Wywiad, jakiego udzielił Grass jednej z zachodnioniemieckich stacji telewizyjnych. Słowa o ponurych latach pięćdziesiątych, sportretowanych przezeń w drugim tomie *Blaszanego bębenka*, wobec którego pewne filmowe plany posiada Volker Schlöndorff. Słowa oceny filmu zrealizowanego podług tomu pierwszego. „Ma on swoje braki. Rola Kościoła nie została właściwie przez Schlöndorffa odczytana. A przecież była znaczna na tym protestancko-katolickim pograniczu”. Przyzna Grass nadto:

Z początku myślałem, iż ten film może zrobić tylko ktoś „stamtąd”. Obojętne, Niemiec czy Polak, Kaszub-Polak czy też Kaszub-Niemiec. Potem jednak zmieniłem zdanie. Bo też trzeba było kogoś, kto powiedział o sobie, iż we Francji mają go za Niemca, w Niemczech zaś za Francuza, aby owej pogranicznej problematyce był on w stanie sprostać.

O *Psich latach* wyrazi swój sąd, że najbardziej sobie ceni właśnie tę książkę. Bo też i najwięcej spraw, które go najżywiej obchodzą, pomieścił w tej właśnie książce. Opowiada o latach sześćdziesiątych. O swej agitacji za SPD, dużo większej wówczas aniżeli dziś, gdy przystał do tej partii jako jej członek. Mówi o swym żalu z powodu rozpadnięcia się koalicji SPD-FDP. O nadziejach związanych z partią „Zielonych” — której aktywnym członkiem aż do śmierci był inny pisarz, Heinrich Böll — i przyszłej, kto wie, koalicji SPD z tą właśnie partią. Mówi



o Bundeswehrze. Jak zwykle niezbyt przychylnie. O dwóch państwach niemieckich. O potrzebie ostatecznego uregulowania i uznania polskiej granicy zachodniej, jako elementu odkupienia niemieckiej winy. O degrengoladzie współrzędzącej w RFN partii CDU.

W tym momencie telewizyjny obraz z lekka zafaluje, po chwili całkiem się urwie, na wizji pojawi się przeurocza spikerka oświadczając, iż tak oto wywiad z panem Grassem się zakończył.

Seminarium grassowskie — jego pierwsza część — też zbliżało się do swego końca, a dowiodło paru rzeczy: tego, że niemożliwe jest jednak możliwe. I że można wyjść naprzeciwko społecznemu zainteresowaniu — zwłaszcza ludzi młodych, studentów — fenomenem twórczości Güntera Grassa, jego inspiratorską funkcją dla sztuki filmowej, lecz także dla myślenia historycznego i filozoficznego, którego za sprawą swych książek jest kontynuatorem.

Już wkrótce — w maju roku 1985 — nastąpi powrót do Grassa w drugiej części seminarium „Hybryd”. Wypełnią ją dywagacje Bolesława Faca na temat wielości wątków kaszubskich w powieściach Güntera Grassa. Po nich nastąpią rozważania tłumacza książek Grassa na polski, pana Sławomira Błauta, który niejedno ujawni ze swej alchemii „natchnionego *Übersetzera*”.

Fizyczną nieobecność samego Grassa częściowo zastąpiła wystawa prac fotograficznych poświęconych życiu i osobie „berlińczyka z gdańskiego przeczepu”. Od najstarszych, wziętych z kronik i albumów rodzinnych, jak to zdjęcie, gdy półtoraroczny Günterek prowadzony za rączki przez matkę i babkę, w marynarskiej czapeczce oraz kurteczce, spaceruje po jednym z parków Langfuhr, poprzez rodzinny portret na plaży. Reprodukowała je berlinianka, Maria Rama, stale już odtąd towarzysząca z fotograficznym aparatem Grassowi.

A oto jego zdjęcia już powojenne. Gdy gra na tarce w orkiestrze usiłującej być grupą skiflową. Ujęcie z pracowni rzeźbiarskiej u Pankoka, gdy szuka swego miejsca na ziemi. A tu w łóżku, czytający „Die Zeit” w czasach nagłej popularności *Blaszanego bębenka* i gdy fotografii jego autora stale przybywa.

Do Gdańska wraz z Grassem wybierze się inny jego fotograf nadworny — Uwe Rau. Od polskiej strony przywitają go swymi fotograficznymi aparatami — czemu osobiście będę świadkował, kreacyjna Nina Smolarz oraz portretujący Krzysztof Gierałowski. Nie zabraknie więc zarówno zdjęć berlińskiej pracowni Grassa w wielości ujęć, jak też z planu *Blaszanego bębenka* na gdańskich Stogach czy też z kąpieli w gdańskiej zatoce w Sobieszewie, nadto jeszcze podczas jego spotkań z czytelnikami w gdańskim Ratuszu Staromiejskim na Korzennej, gdzie w drugim tle ujrzę i swoją twarz w kilku wersjach.

A jeszcze Grass przed domem przy Lelewela 13. Z czwórką swych dzieci oraz pierwszą żoną, Anną, w tymże samym miejscu. Ze ślimaczą skorupą w oku. Wreszcie widziany na szczycie wieży Bazyliki Mariackiej w Gdańsku, wyraźnie podekscytowany możliwością ujrzenia Gdańska z tak dla siebie nieoczekiwanej perspektywy.

Te właśnie zdjęcia stanowiły rodzaj *corpus delicti* dla słów wypowiedzianych po sąsiedzku w ramach grassowskiego seminarium...

Już kilka lat temu wojażował do Nikaragui. W wyniku kilkutygodniowego w tym kraju pobytu stał się zdeklarowanym zwolennikiem nowej formy ustrojowej panującej po rewolucji w tym kraju. Nie krył się z tym zresztą wobec masowych środków przekazu nad Renem i Łabą. A także i wobec tych obcojęzycznych, którym siebie udziela raz za razem. Jego fotografie, wędrującego po wsiach nikaraguańskich, rozmawiającego z przywódcami tego kraju, były wówczas publikowane na pierwszych stronach gazet zachodniemieckich. Nie minęło wiele czasu i autor *Blaszanego bębenka* po raz kolejny udał się za ocean. Tym razem do USA, a to na osobiste zaproszenie Normana Mailera — w Polsce znani są jego *Nadzy i martwi* oraz reportaż o lądowaniu na Księżycu — prezydenta międzynarodowej sekcji związku pisarzy. W Nowym Jorku odbył się bowiem w początkach roku 1986 kongres Pen Clubu. Grassa nie mogło, rzecz jasna, na nim zabraknąć. A był to dla gospodarzy kongres ważny, gdyż od roku 1966 nie był on organizowany na terenie ich kraju. Oddajmy głos hamburskiemu tygodnikowi „Der Spiegel”, który w numerze z 20 stycznia 1986 roku zauważył już na samym wstępie, tuż pod winiętą tytułową zawierającą te słowa — „Grass atakuje Amerykę”:

Norman Mailer, prezydent międzynarodowej sekcji związku pisarzy, miał pecha ze swymi gośćmi. Na urządzony po raz pierwszy od 1966 roku kongres Pen Clubu w Stanach Zjednoczonych zaprosił gości ze wszystkich systemów społecznych i politycznych. Na liście zaproszonych gości widniało też nazwisko sekretarza stanu USA, George’a Schultza, a także członka Pen Clubu, Güntera Grassa. Pierwszy konflikt miał miejsce, gdy tylko o obecności Schultza dowiedziała się sala obrad. Temat kongresu: *Wyobraźnia pisarzy a państwo*.

Już pod adresem tego hasła sformułował Grass, na samym wstępie kongresu, kilka złośliwych komentarzy. „Kto jeszcze dzisiaj podnieca się ową *american way of life*, nie może nie ignorować milionów głodnych ludzi w tym kraju” — powiedział.

Potem głos zabrał czołowy pisarz amerykański Saul Bellow, syn — jak napisze „Der Spiegel” — rosyjsko-żydowskich rodziców, który mówił, a sala przyj-

mowała jego słowa z aplauzem, o wolności, jaką cieszą się w USA intelektualiści. Wówczas do mikrofonu, już po raz drugi, podszedł Günter Grass.

Niech no Bellow tak bardzo się nie zachwycą amerykańską demokracją — powiedział. — Nie daje ona bowiem amerykańskim obywatelom jedynie wolności. Powinna nadto dawać żywność oraz miejsce zamieszkania. Tymczasem w nowojorskiej dzielnicy Bronx, najbardziej z nowojorskich pięciu dzielnic, mieszkają „trędowaci” tego wielonarodowościowego miasta. Chętnie chciałbym kiedyś usłyszeć, oświadczył Grass, jak się w południowym Bronksie realizuje hasła wolności i demokracji.

Na sali obrad kongresu zawrzało. Bellow zirytował się wystąpieniem Grassa. Miał on, Bellow, na myśli ogólne uwarunkowania, nie zaś wyjątki od reguły. Nigdy nie wątpił w to, iż w jego kraju popełnia się błędy czy grzechy. Oczywiście istnieją rewiry biedy i są też popełniane błędy.

Ripostował Wasilij Aksjonow: „Jest rzeczą arcyciekawą, że pisarze zachodnioniemieccy z taką łatwością krytykują wszystko co amerykańskie”.

Wsparł Grassa pisarz południowoafrykański Breytane Breytenbach, mówiący o systemie apartheidu panującym w jego kraju i o tym, że wolność i dobrobyt żyją z braku wolności i z wyzysku przeważającej części ludności świata.

Próbowała przywołać do opamiętania Güntera Grassa południowoafrykańska pisarka Nadine Gordimer, przypominając, że niemiecka mowa — nie przeszkadzało jej, iż Grass mówi po angielsku — nazbyt jest obciążona erą Hitlera.

„Na koniec — komentuje tygodnik «Der Spiegel» — powiedzieli oni to, co zawsze mówią przy podobnych okazjach”.

Upolitycznienie kongresu Pen Clubu stało się już jednak nieodwołalnym faktem. Polip polityki zrobił swoje. Literatura została zepchnięta na plan drugi.

Grassowi było jednak tego mało. W kwietniu wziął udział w kongresie intelektualistów w Budapeszcie. W stolicy kraju, który jako pierwszy w gronie krajów Europy Wschodniej wydał u siebie *Blaszany bębenek*. Znów stanął przy mikrofonie, raz jeszcze przemawiał. Jak zawsze z emocją w głosie, dając się porwać swemu politycznemu instynktowi.

Powrócił do kraju, gdy rozpoczynała się organizowana przez Luchterhand Verlag promocja jego najnowszej książki — *Die Rättin (Szczurzyca)*. Z miejsca odbył się „sąd nad *Szczurycą*”. Po dwóch powieściach z lat 1979—1980 — *Das Treffen in Telgte (Spotkanie w Telgte)* oraz *Kopfgebirten oder die Deutschen sterben aus (Płody umysłu, czyli Niemcy wymierają)*, przyjętych dość spokojnie przez krytykę i czytelników, właśnie licząca 512 stron druku *Szczurzyca* miała być powrotem Grassa do wątków z poprzednich, zwłaszcza zaś gdańskich, powieści.

Obsiedli go z miejsca. Marcel Reich-Ranicki, niegdyś nasz rodak, bard nadwiślańskiej krytyki lat pięćdziesiątych, po wyemigrowaniu do RFN „papierz zachodniemieckiej krytyki”, jak się o nim zwykle mówiło, a i pomniejsi krytycy poczęli sobie na Grassie używać do woli. Wolfram Schlutter na łamach „Frankfurter Rundschau” przyzna łaskawie: „Günter Grass znalazł się w dobrym towarzystwie wśród tych, którzy ponieśli klęskę”. I powołuje się na Heinricha Bölla *Frauen vor Flusslandschaft* — (*Kobiety przed rzeczonym pejzażem*). A przecież Joachim Kaiser z życzliwej Grassowi „Süddeutsche Zeitung” główny akcent pochwalny kładzie na języku Grassa. „Grass pisze tutaj, oświadcza Kaiser, ręką cudownie lekką, pozbawioną skurczów. Jego język nie jest przy tym tanią zadyszka, nie jest też modny, lecz rzetelny, żywy i bogaty”.

Grass trafnie odczytał te i im podobne słowa, to jest ukryte w nich szyderstwo. Zdumiał się z tego powodu, wydawał się być tym obrotem sprawy mocno rozgoryczony.

Dla nas zaś jest ważne, iż pomimo częściowego tylko umieszczenia akcji tej powieści w „bałtyckim bajorku”, wiele jej wątków powraca raz jeszcze do miejsca dla Grassa magicznych.

Oto sześćdziesięcioletni bębniarz z *Blaszanego bębna*, Oskar Matzerath. Jego 104-letnia babka Anna Koljaiczek obchodzi właśnie w Gdańsku swoje kolejne, nadnaturalne jakby, urodziny. Oskar wybiera się na nie także. „W niedzielę przypadają urodziny babki Oskara, w niedzielę upadnie Wineta”, pisze Grass. Rysuje obraz *Kaszuby w śmierci*. Tej atomowej. Gdy ocaleją jedynie szczury, wędrujące swobodnie po wnętrzach najbardziej zabytkowych gdańskich kościołów.

I jak się to u Grassa stało już pewną tradycją, wystawa grafik towarzyszy promocji jego nowej książki. W czasopismach wielkonakładowych ukaże się z tej okazji fotografia Grassa na tle najnowszych jego prac z wernisażową szklanką wina w rękę i ze skrętem pomiędzy palcami. Na ścianie w bliskim tle wiszą jego prace. Jak zwykle perfekcyjne technicznie, znakomite pod względem użytych środków wyrazu artystycznego. Oto spostrzegamy panoramę gdańskiego Starego i Głównego Miasta z wielością gotyckich i pogotyckich wieżyc, na pierwszym zaś planie owa szczurzyca z finezyjnie podwiniętym ogonkiem. Podpis pod zdjęciem: *Spojrzenie po zimowych jabłkach*.

Krytyk „Rheinischer Merkur”, Paul Reitze, powoła się na mowę narratorka powieści wygłoszoną przed Bundestagiem, której kluczową partią jest wniosek, ażeby w drodze porozumień międzynarodowych ocalić w czasie przyszłej,

atomowej wojny, choćby jedno jedyne miasto — mianowicie Gdańsk. „Makabryczne to i wzruszające zarazem” — pisze krytyk Paul Reitze.

W czerwcu natomiast roku 1986 obradował w Hamburgu 49 Międzynarodowy Kongres Pen Clubu. Przypomniano z tej okazji Johna Galsworthy’ego, który jako przewodniczący prezydium Pen Clubu przez dziesięć lat usiłował nie dopuszczać spraw politycznych pod obrady kolejnych kongresów. I Hermanna Hesse, który zalecał pisarzom abstynencję polityczną. Ale też i Tomasza Manna, który uważał, iż wszystko to samooszukiwanie się: „Nie ucieknie się w ten sposób od polityki, najwyżej umknie się w fałszywą stronę”.

Grassowi, jakby w przeczuciu, że to i tak mu nie wystarczy, wyznaczono limit dziesięciu minut na jego przemówienie. I stało się. Zaatakował on z miejsca Peruwiańczyka Mario Vargasa Llose, zresztą prezydenta Pen Clubu w latach 1976—1979, za to, że rozpowszechnia o nim wierutne kłamstwa, podczas gdy on, Grass, dlatego między innymi naskoczył na Llose, że ten nazwał Kolumbijczyka Gabriela Garcíę Marqueza „kurtyzaną Fidela Castro”. Przybyła też do Hamburga intelektualistka amerykańska — gościła w naszym kraju w roku 1981 — Susan Sontag. Wyraziła ona solidarność z Günterem Grassem, chwając go zarazem za jego agresywność wobec każdego konformizmu.

Sensacją tych obrad było jednak zgoła co innego. Otóż Grass złożył godność prezydenta zachodnioniemieckiej Akademii Sztuk. Powód? Wybiera się on na rok, może dłużej, do Indii. Złośliwi łączą tę decyzję z nieprzychylnym przyjęciem przez krytykę jego *Szczurzycy*. Nie wygląda na to, ażeby tak właśnie było. Boć przecież nie brakło z tej okazji krytyk tyle samo sążnistych — jak ta Güntera Schable w „Spieglu” — co i napastliwych.

Sam zaś Grass powołuje się z tej okazji na potrzebę stosownego dystansu do wielu spraw. Żał wobec tego, iż na miejsce swego rocznego exodusu nie wybrał on... Gdańska oraz Kaszub, gdzie zapewne zostałby równie serdecznie, jeżeli nie bardziej aniżeli w Kalkucie, przyjęty. Bądź, co bądź znalazłby się wówczas jak najbardziej u siebie.

Zarzekał się, iż w Indiach pozostanie przez rok. Pożegnał się z przyjaciółmi i pojechał — jak z miejsca to określono — na ów gigantyczny światowy śmietnik. Rozeźlony na krytykę literacką, chyba też trochę zmęczony dość hałaśliwym rynkiem wydawniczym RFN. Pisał stamtąd: „Mam bruliony pełne notatek i rysunków. Z tego może powstać książka o człowieku na śmietniku świata...”

Na dobrą sprawę już powstała. Zwierzył się z tego pół roku później — tylko przez sześć miesięcy wytrzymał w klimacie niełatwym dla Europejczyka — na zaimprovizowanym (którym to już z rzędu?) grassowskim seminarium w... Karpaczu. Były więc pytania o *Szczurzycę*, o rynek wydawniczy w Republice Federalnej, o ruch pozorny, jaki wzniesła swą hałaśliwością, o nową książkę złożoną, jak się okazuje, z notatek, rysunków i wierszy. Skoro więc mógł już przybyć do Polski osobiście — na dwukrotne zaproszenie stołecznych „Hybryd” nie mógł zareagować, tak jak sobie tego życzył, przybyciem na nie — i to w asyście krytyków zachodniemieckich, nie mógł Grass tej sposobności przegapić, ażeby się nieco nie podroczyć, odrobinę nie rozmazać. Wszystko to miało zaś miejsce w kraju, gdzie choć twórczość Grassa jest wciąż dość mocno zapoznana, przecież stale może liczyć na niezmiennie żywy odbiór czytelniczy.

Jak zaś niedawno się okazało, także i teatralny. Bo oto na deskach toruńskiego Teatru im. Wilama Horzycy odbyła się na wiosnę roku 1987 premiera sztuki Günтера Grassa *Powódź* (*Hochwasser*), w przekładzie docenta Karola Toeplitza z Uniwersytetu Gdańskiego. Nieobecność sceniczna Grassa — autora dramatycznego, pomimo istnienia wielu jego sztuk (w swoim czasie istniał projekt opublikowania jednej z nich w przekładzie Bolesława Faca na łamach miesięcznika „Dialog”, niestety nie doszło do tego) — zastanawiała od wielu lat krytykę, nie tylko zresztą teatralną. Toruniacy to, jak wiadomo, twarde pierniki. Nie tylko poważyli się na inscenizację napisanej w dwóch wersjach w latach 1957 oraz 1963 sztuki, ale też wybrali się z nią na tournée do RFN. Miejscem jej prezentacji była leżąca nad Morzem Północnym Brema.

Nie da się powiedzieć, ażeby widzowie walili na spektakl w Toruniu drzwiami i oknami. A przecież liczy się, iż w teatrze Krystyny Meissner pozostają na bakier z wszelką zaściankowością, ważą się nawet na współczesny repertuar RFN-owski. W dodatku wcale trafny, bo korespondujący z epoką elektrowni atomowych Czarnobyla i Żarnowca. Tamto grassowskie zagrożenie jest chwilowe, wkrótce przemija, ludzie zaś powracają do uprzednich przyzwyczajęń i... narowów. Pobył na „śmietniku świata” uświadomił autorowi *Szczurzycy*, że jego wizje literackie znajdują potwierdzenie w rzeczywistości. I właśnie na te tematy wiedzie z Günterem Grassem dialog polski słuchacz — jak w Karpaczu w maju roku 1987 — czy widz teatralny oglądający spektakl w reżyserii Józefa Skwarka, w scenografii Józefa Pankiewicza.

(1984—1987)



## **Część II**

*Uznany i nagrodzony*





## Polowanie z nagonką, czyli bębnienie po blasze

Fenomen recepcji pisarstwa Günтера Grassa w Polsce polega na widocznym rozżewie, jaki od początku, tj. od ukazania się w roku 1959 na rynku zachodnioniemieckim powieści *Blaszany bębenek*, istniał w odbiorze społecznym i, by tak rzec, oficjalnym. Ten pierwszy, już od razu pełen rewerencji, objawów nieskrywanego entuzjazmu, ten drugi — pełen pomruków niezadowolenia, zasadzający się na wybudowaniu wysokiego muru niechęci dla pisarstwa tego gdańszczanina z berlińsko-hamburskiego przeszczepu.

Dziś, po latach wielu, które minęły od tamtej pory, można domyślać się jedynie, jakie zabiegi szczegółowe towarzyszyły zakładaniu licznych blokad, barier, utrudnień w dostępie do pisarstwa Grassa na polskim gruncie. Niejedno w tym względzie mogą mieć do powiedzenia tłumacze jego utworów, dokonujący translacji w sposób często heroiczny, pozostawieni nieomal samym sobie. Niejedno wiedzą także redaktorzy pism literackich z tamtego czasu. A już dyrektorzy wydawnictw, takich jak Czytelnik, PIW czy Wydawnictwo Morskie mogą uchodzić za prawdziwe autorytety w tym względzie.

Przypomnijmy, niejako dla równowagi, jaki to był czas. Schyłek lat 50., bo na nie to przypadła wykwit talentu, wręcz geniuszu pisarskiego Güntera Gras-

sa, cechowała pewna odwilż w stosunkach ludzie kultury — politycy. Przy czym miarą polityka tamtego czasu był status pracownika aparatu partyjnego co najmniej wojewódzkiego szczebla. Jednak o dostępności dóbr kultury zachodniej na polski rynek decydował nade wszystko wydział kultury KC. Ministerstwo Kultury i Sztuki było wobec niego jedynie kornym sługą. To z białego partyjnego domu szły wszelkie dyspozycje w kwestii, co naród może oglądać w kinie, czytać do poduszki, jakie malarstwo ma prawo kontemplować w Gdańsku. Polski Październik dał pewien oddech w tym względzie. To wówczas było możliwe wydanie dwóch książek Gombrowicza (tomu opowiadań *Bakakaj* oraz powieści *Ferdydurke*). Także i z zachodu transmitowano co nieco literatury z gatunku tej „awangardowej”. Upřednio możliwy był druk oraz wydanie dzieł Sartre’a, Simone de Beauvoir, André Malraux, wyraźnie sympatyzujących z komunizmem, bądź — jak Roger Gaurady, Henri Barbusse — będących członkami partii komunistycznych w swoich krajach.

Z Grassem wszelako była zupełnie inna historia. Zdeklarowany sympatyk zachodnioniemieckiej socjaldemokracji, dopokąd ta pozostawała w opozycji do kolejnych rządów chrześcijańskich partii w kraju nad Renem, a zatem opozycyjnie usposobiony do kolejnych kanclerzy Adenauera, Kiesingera, Erharda (ten nazwał go wręcz kiedyś „szczekającym pinczerkiem”), a także takich postaci życia politycznego w swoim kraju, jak Franz Josef Strauss. Osobisty przyjaciel Willy’ego Brandta, jeszcze jako burmistrza Berlina Zachodniego, mimo to w kraju nad Wisłą nie było mu lekko. Mniejszy miało to jednak związek z jego własnymi poglądami (oraz partii z którą sympatyzował), większy ze stanem umysłów, nade wszystko tych partyjnych, w PRL-u. Ten zaś stawał się, w miarę odchodzenia od zdobyczy Października (polskiego) coraz bardziej dogmatyczny, by nie rzec wsteczny. Cechowała go kompletna blokada na świat, orientacja wschodnia była zalecana nade wszystko. Panowała pełna nieufność wobec wszelkich nowinek nadchodzących z zachodu. Jeśli nadto przychodziły one w lewicującym z lekka opakowaniu, tym bardziej wymagały czujności ze strony ewentualnych partnerów do rozmów w Polsce zwanej Ludową.

Pamiętamy charakterystyczny dyszkant Władysława Gomułki z kolejnych partyjnych mównic. Jego słowa rzucane w stronę audytorium, tak ażeby z należytą uwagą odbierane były o wiele dalej. Owi „rewizjoniści zachodnioniemieccy...” zdawali się być główną groźbą dla systemu panującego wówczas w PRL-u, choć przecież socjaldemokracja zachodnioniemiecka nieraz dawała sygnały, nazwijmy je, postępowe. List biskupów polskich do niemieckich pełen był tonów pojednawczych, wręcz przepraszających. Tym większą wzbudzało to wściekłość oficjalnych czynników. Miało nie być wówczas jakiegokolwiek alternatywy dla pomysłów

i realizacji biegnących z domu na skrzyżowaniu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich.

Wyobrazić sobie jedynie można, jakim szokiem dla polskiej polityki międzynarodowej i stosunków wzajemnych PRL-u z RFN-em musiało być objęcie steru rządów nad Renem przez SPD. Zanim jednak do tego doszło, w sferze spraw kulturalnych zabierali głos owi partyjni luminarze literatury w osobach Jana Dobraczyńskiego oraz Wojciecha Żukrowskiego.

Obaj mocno niegdyś związani z enkawoidalnym PAX-em, którego rodowód wprost od gen. Sierowa nie podlega już dziś żadnym wątpliwościom. Wydający kolejne swe książki w stołecznej oficynie z ulicy, na równi Mokotowskiej i Chocimskiej. Wręcz zawdzięczający swój arcywysoki literacki status osobie Bolesława Piaseckiego o falangistowskiej linii rodowodu. Stale pozostający w orbicie działań stosownego wydziału w KC. Uczestniczący w kolejnych naradach najwyższego szczebla, mimo że — a może właśnie dlatego? — iż nigdy nie splamili się członkostwem w PZPR-ze. Obaj zdeklarowani katolicy. Jeden wykonał rozbiłjacki numer, iście mafijny, w momencie zawieszenia „Tygodnika Powszechnego”, drugi, wykorzystujący swe wątpliwe narratorskie usposobienie, był stałym gościem telewizyjnego okienka. Obaj spotkają się, by odtąd ramię w ramię podążać ku tylko im obu wiadomemu celowi w porze stanu wojennego.

Póki co jednak rzucają się z impetem godnym lepszej sprawy na... debiutancką powieść Güntera Grassa. Dlaczego jednak czynią to dopiero w roku 1963, nie zaś zaraz po ukazaniu się *Die Blechtrommel* w Luchterhandverlag? Jeszcze jedna z tajemnic partyjnej alkowy. Zapewne wtedy dopiero wyszły odnośne dyspozycje z partyjnego „białego domu”. A było to w dwa lata po tym, jak podczas berlińskiego kongresu pisarzy 34-letni wówczas Günter Grass zaatakował ludzi z bezpośredniego otoczenia Waltera Ulbrichta. Po 13 sierpnia 1961 roku, gdy stanął Grass w obronie Anny Seghers w jej otwartym proteście przeciwko wybudowaniu muru berlińskiego.

Fragmety powieści *Błaszany bębenek*, w przekładzie Teresy Jętkiewicz, znane już były w kraju z łamów „Nowej Kultury”. Nie mogły owe fragmenty ująć uwadze czynników partyjnych. Przełknęły je. Czekwały jedynie stosownego momentu — i właściwych piór — ażeby zaatakować. Okazja nadarzyła się już wkrótce. Z odporem wobec Grassa wyrusza — na łamach „Kierunków” (a jakże, PAX-owskich; nr 36 z 1963 r.) Jan Dobraczyński...

Mamy więc do czynienia z postacią arealną, umieszczoną w świecie naturalistycznym, skąpanym w skatologii i erotyce. Na dobitkę erotyzm Grassa wciąż kołuje wokół spraw religijnych. Kilka stron książki — stron, a nie scen, gdyż w tej przegadanej książce ciągle się mówi, a mało pokazuje — ma charakter obrzydliwie bluźnierczy.

W tym miejscu przywołuje Dobraczyński cytat z Grassa — zaiste przepiękny. Zaczyna się on od słów:

W całych Prusach Wschodnich tartaki i warsztaty obróbki drewna służyły za materiał dla płomieni uczuć narodowych. Jak zawsze w przeszłości, postać Panny Marii łączyła się z tymi pożarami i byli świadkowie, którzy twierdzili, że widzieli nad dachami płonących tartaków Matkę Boską, ubraną w koronę Królestwa Polskiego.

Pełen obaw o nie dość „ohydne” dla polskiego ucha brzmienie tych słów Dobraczyński flekuje powieść Grassa...

Nie ludźmy się jednak, że Grass patrzy zyczliwie na polskość Gdańska. W jego książce nade wszystko jest jakaś nihilistyczna drwina ze wszystkiego: nie szczędzi on jej ani swoim, niezależnie od tego czy są hitlerowcami, czy nimi nie są, ani Polakom. Idealem Grassa wydaje się dziś absolutne zobojętnienie dla jakichkolwiek ideałów. Hitlerowcy drażnią Grassa swym okrucieństwem, Polacy — głupotą i skłonnością do walczenia o prawo do polskości. [...] Ten dziecięcy poemat o polskiej głupocie najlepiej, jak się zdaje, ilustruje postawę Grassa. [...] Trudno się dziwić, że książka Grassa spotkała się z gorącymi pochwałami ze strony paryskiej „Kultury”.

To ostatnie zdanie miało zapewne być przysłowiowym gwoździem do trumny pisarza, szykowanej mu przez luminarzy PRL-owskiej literatury spod znaku pseudokatolickiego, z dawien dawna z moskiewską centralą NKWD sprzysiężonego PAX-u. Jerzy Giedroyc i paryski Maison-Laffitte to była naówczas sama, jak wiadomo, ohyda i renegactwo. Niejako upodmiotowienie wszelkiego zła. Kto kumał się z tym wrażym wydawnictwem, lubo też z kim owo wydawnictwo się kumało, choćby w formie przychyłnej recenzji jego książki, ten był trupem już za życia.

I Grass miał zostać pogrzebany zawczasu. Zanim jeszcze zaistnieje w sposób oficjalny na polskim rynku. Bo przecież ukazała się, i to w tym samym 1963 roku, nakładem wydawnictwa „Czytelnik” minipowieść Grassa *Kot i mysz* w przekładzie Ireny oraz Egona Naganowskich. I wówczas zabrał głos — któżby inny? — Wojciech Żukrowski...

Zgrabnie, w kieszonkowym formacie — pisał na łamach „Kultury”, liberalizującej, pragnącej uchodzić za zwierciadło myślenia grona polskich intelektualistów tamtego czasu, lecz zapewne przymuszonej decyzją najwyższych czynników do druku tej elukubracji — wydano u nas najślabszą z książek Grassa *Kot i mysz* [Dwie zaledwie powieści wydał Grass do tej pory, a już Żukrowski wie, że druga z nich jest tą najślabszą, skąd czerpie tyle wiedzy i przekonania w tej materii? — R.C.]. Powtórzenie obsesyjnego motywu ucieczki w świat chłopiący znany nam z *Błaszanego bębenka*. Skoro naszych cmokierów tak przyparło i Grass mimo trudności z papierem musiał być przyswojony, to trzeba było mieć odwagę wydać jego pierwszą nagrodzoną książkę. No pewnie, że byłaby

niedużo kłopotliwa i nie pasowała do układnych pochwał zawartych we wstępie do *Kota i myszy*, ale można by jakiś sensowny komentarz napisać, który by książkę ustawił.

„Przyparło”, „ustawił”, to była stylistyka tamtych, pragnących uchodzić za wszechwładnie liberalne, czasów. Pora jeszcze nie była stosowna do świętowania okrągłej rocznicy urodzin autora *Kamiennych tablic* w akompaniamencie generalskich toastów, skrzynek wódki zakąszanych kwaszonymi ogórkami w mieszkaniu przy ul. Karowej. Jeszcze red. Zenona Macużanka nie spędzała *in corpore* redakcji „Nowych Książek” na te pijatyki. Jeszcze Tadeusz Kijonka, jedyny sprawiedliwy w tym gronie, nie leżał pijany jak bela pod stołem dla skuteczniejszego niepamiętania o swej w tym gronie obecności. Już jednak był czas jak najbardziej stosowny po temu, ażeby przykładać, sekować, zdawało się wówczas na zawsze odsądzać od wszelkiej czci oraz wiary pisarstwo Günтера Grassa. A że kiedykolwiek zapadną decyzje krajowego, w pełni legalnego, bez poprawek cenzorskich, wydania *Blaszanego bębenka*, również nie był Wojciech Żukrowski w stanie wówczas w najtajniejszych snach przypuścić. Jednak na wszelki wypadek wyrokował, gromił, przesądzał...

Żeby mnie nikt nie posądzał o gołosłowność i stronniczość, spróbuję dokonać małej konfrontacji. Andrzej Wirth [jak pamiętamy, przymuszony w roku 1968 do emigracji z kraju — R.C.] pisze o „pomysłowości konstrukcyjnej w wynajdywaniu fabuł u Grassa”, hm... Chłopak, bohater powieści, ma wystającą grdykę i ten mankament fizyczny determinuje jego postępowanie. Żeby odwrócić uwagę od szyi, chłopak wiesza sobie na piersi medalik, śrubokręt, a potem jak autor poetycznie nazywa — „metaliczną koni-czynkę” — hitlerowski żelazny krzyż. Prawda, że to niezwykle świeże i odkrywcz?

Śladu poczucia humoru, nadmiar za to poczucia honoru u autora *Piórkim flaminga* oraz *Lotnej*...

Nie dajmy sobie zabełtać w głowie — całkowicie pewien swego wali na odlew Wojciech Żukrowski. — Próbujmy sami myśleć — agituje. — Ostra walka o zysk w krajach kapitalistycznych, konkurencja między wydawnictwami zmusza do wylansowania przynajmniej raz do roku jakiejś nowej gwiazdy. Czytelnika trzeba zaskoczyć, bo skoro wszystko już zostało opisane, no to zabawmy się w odwracanie ustalonych pojęć, niechże książka będzie jak wyzwanie, możliwie drastyczna. Żeby się dobrze sprzedawała, powinna kopać czytelnika, pluć mu w twarz, szydzić z jego uczuć. [...]

Polacy u Grassa — wali z obu rurek swego krytycznego sztucera — są godni litości, głupcy niezdolni do sensownego działania, obłąkani podpalacze, taki rodzaj podludzi, którymi naród panów z samego powołania w ciągu lat okupacji życzliwie się opiekował. Nawet jak Niemcy wyjeżdżają, wysiedleni z Gdańska, jeszcze im Polacy gwałcą kobiety i rabują walizki. To *Blaszany bębenek*, a w *Kocie i myszy* jak z tymi ciagotkami do polskości?

Bohater chce mieć trofeja z zatopionego polskiego minowca, więc nurkuje ze śrubokrętem, wyrwa co tylko się da. Dziewczyna obiecuje się oddać temu, kto wyłowi dla niej zbutwiałe zwłoki poległego polskiego marynarza... Grdykę — zwornik fabularnej narracji — w końcu przysłania żelazny krzyż, który bohater dostaje za strzelanie do partyzantów w Borach Tucholskich i palenie radzieckich czołgów.

I pomyśleć, iż karykatura, widoczna gołym okiem, scen zabaw na jelitkowskiej plaży w gronie 10-12-latków miała przywieść Żukrowskiego do podobnych konstatacji, sięgających aż mordowania partyzantów oraz niszczenia radzieckich tanków. Trzeba stężenia szczególnie złej woli ażeby takimi oczami te sprawy, tak ową scenę, jedną z wielu w tej książce bardzo pięknych, bo kreatywnych, ujrzyć.

Dochodzi do sfilmowania w RFN *Kota i myszy*. W rolach chłopców w tym filmie występują dwaj synowie burmistrza Berlina, późniejszego kanclerza Willy'ego Brandta. Koproducentem tego filmu jest, kierowany naówczas przez Jana Rybkowskiego, zespół filmowy „Rytm”. Są więc jakieś próby kontrakcji. Nie wszyscy w Polsce dali się wówczas zwariować. Nie dał na pewno duet tłumaczy *Kota i myszy*, nie dało wydawnictwo Czytelnik. Nie dali gospodarze Gdańska, udzielający gdańskich plenerów dla nakręcenia scen odwiedzin Wrzeszcza przez narratora tego filmu. Sam jednak film Pohlanda przeleciał przez polskie peryferyjne ekrany kinowe i przepadł gdzieś w niepamięci. Od czasu do czasu bywa wygrzebany przez rozmaitych hobbystów ze stołecznymi „Hybrydami” na czele.

Gwoli sprawiedliwości: istniało już w tamtych latach grono publicystów, w tym i z kręgów zbliżonych do tych oficjalnych, gorących orędowników twórczości Günтера Grassa. Do nich należał autor znakomitej *Historii literatury niemieckiej XX wieku* Wilhelm Szewczyk, Franciszek Ryszka, pierwszy admirałor powieści *Psie lata* na polskim gruncie, Jan Koprowski, a także Michał Misiorny, publicysta „Trybuny Ludu”, lecz także tłumacz rozdziału *Blaszanego bębenka* (ukazał się na łamach „Życia Literackiego”) oraz M.(arian) P.(odkowiński) w tejże samej „Trybunie Ludu”. Ci ludzie, wielce znaczący w polskim pejzażu literackim tamtych niełatwych lat, stanowili rodzaj nieformalnej grupy kontrnacisku wobec rozjuszonych dążeń sekciarskich duetu Dobraczyński—Żukrowski.

Już jednak wielkimi krokami zbliżał się czas odsłonięcia partyjnej przyłbicy — wydarzenia marcowe. A także — o paradoksie — moment podpisania w grudniu 1970 roku traktatu pokojowego pomiędzy RFN a PRL. W polityce wewnętrznej Władysław Gomułka ponosi klęskę za klęską. Jest krańcowo skonfliktowany z ludźmi kultury. W polityce zagranicznej natomiast dochodzi do wzniesienia toastu za pomyślność stosunków wzajemnych. Na pierwszym planie wid-

nieją sylwetki Willy'ego Brandta, Władysława Gomułki, Waltera Scheela oraz Józefa Cyrankiewicza. Uważne oko dostrzeże jednak w tłumie ich okalającym wąsistą sylwetkę autora *Blaszanego bębena*.

Andrzej Kuśniewicz oprowadzał wówczas pisarza po Warszawie, z czego po latach zwierzał się w swej prelekcji w ZLP na Krakowskim Przedmieściu. Wraz z Grassem przybył wówczas w delegacji kulturalnej inny „przesiedleńca ze wschodu”, Siegfried Lenz rodem z Elku.

Należało zatem przynajmniej zamówić przekład *Blaszanego bębena* na język polski. Dzieła tego na rzecz PIW-u podjął się Sławomir Błaut. W młodości stał na czele nieopisanego dotąd buntu młodzieży lubelskiej przeciwko postanowieniom referendum roku 1947. On, przyszły redaktor „Po prostu” Ryszard Turcki, a także przyszły rektor UMCS w Lublinie prof. Leszek Skrzydło byli wówczas trzema z grona czterech aresztowanych uczniów lubelskich szkół. Błaut ukończył, choć z trudem, studia i zatrudnił się w... „Kierunkach”. Pisywał recenzje, krytyki, by wreszcie, po swych przenosinach do pracy w telewizyjnej „Kobrze”, gdzie też poznaliśmy się przed laty już wielu, przystąpił do tłumaczenia *Blaszanego bębena*.

Czynił to jak gdyby na przekór wszystkiemu oraz wszystkim, jednak na wyraźnie odczuwane zapotrzebowanie oddolne na tę genialną debiutancką powieść Grassa. Cóż, w szeregach partyjnych tamtego czasu nie brakowało ludzi światłych, wykształconych. Zapewne Andrzej Wasilewski, dyrektor PIW-u, należał do ludzi tego rodzaju. Zamówił wstęp do krajowego wydania powieści *Die Blechtrommel* u... Romana Bratnego. I jest to szkic, co tu kryć, znakomity! Linia oporu wobec twórczości Grassa nie przebiega więc teraz wcale pomiędzy partią a czytelnikami, lecz pomiędzy ludźmi z PZPR-em po cichu sprzymierzonymi, bez owej czerwonej legitymacji za pazuchą, oraz częścią najbardziej dogmatycznych członków KC a całą resztą.

Rozpoczyna się twardy, często prowadzony w głębokim utajeniu, bój o polskie wydanie arcydziełnego utworu Grassa. Po recenzji wewnętrznej pióra Franciszka Ryszki rzecz cała nie jest jeszcze przesądzona, choć zezwała się na dokonanie zoficjalizowanego przekładu tej powieści na rzecz PIW-u. Dochodzi do wymiany listów pomiędzy Andrzejem Wasilewskim a Günterem Grassem. Gdy już przekład jest na ukończeniu, Wasilewski, nie w ciemni bity, zamawia ów wstęp u „zaufanego człowieka partii” Romana Bratnego. Chce w ten sposób jak gdyby ubezpieczyć swoje, wielce ryzykowne od samego początku, redaktorskie działanie. Posyła do Franciszka Mamuszki, historyka, znawcy spraw gdańskich, prośby o swoiste skolacjonowanie niemieckiego nazewnictwa ulic, placów Gdańska



z obecnie istniejącym. Słowem: czyni się wszystko, ażeby jednak powieść ta, z różnych zresztą względów, także i tych dyplomatycznych, w Polsce nareszcie się ukazała.

„Daremne żale, próżny trud, bezsilne zlorzeczenia”, chciałoby się użyć w tym miejscu słów Poety. Rząd Gomułki zostaje zmieciony protestem robotników Gdańska, Gdyni, Szczecina. Nadchodzi, pełna powierzchownego optymizmu, era rządów ekipy Gierka.

Głos, nie całkiem nieoczekiwanie, zabiera Stefan Lichański, jeszcze jeden z krytyków literackich z kręgu PAX-owskiego. Radzi on wydawnictwu wszcząć rozmowy z Grassem o wprowadzenie, zdaniem krytyka niezbędnych, korekt w jego powieści, tak ażeby nie zostały zranione uczucia religijne oraz patriotyczne (sceny obrony Poczty Polskiej w Gdańsku) Polaków. Ripostują nadto niektórzy członkowie wysokich gremiów kulturalnych KC, jak dla przykładu tow. Edward Makuch. Działania ich wszystkich mają decydujący wpływ na wstrzymanie edycji *Blazanego bębenka ad Kalendas Graecas*. Jeszcze list swój do PIW-u śle Anna Stolz, podobnie czyni Ferdynand Michoń, syn bohaterskiego obrońcy Poczty Polskiej. To wszystko wspiera oficjalne czynniki w ich uprzednio podjętych decyzjach.

Rutynowany strateg kompromisu — pisze Martin Sander w swej pracy *Der andere Blick — Deutsche Schriftsteller aus polnischer Sicht (1945-1986)* — odpowiada synowi dyrektora Poczty Polskiej w Gdańsku w formie listownej: „Raz jeszcze przejrzelśmy fragmenty powieści dotyczące w jakimś stopniu osoby Pańskiego ojca i nie znaleźliśmy w nich niczego uwłaczającego jego czci...”.

Taki był ton, na takim pięttrze rozgrywały się w latach 1970-72 zabiegi redaktorskie wokół krajowego wydania *Blazanego bębenka*. Następujące po nich miały zostać wypełnione jedynie, można tak wnioskować, przesądzającą rzeczą całą na „nie” krytyką Michała Misiornego w jego artykule *Problemy moralności, szeroki wybór i kodeks wymagań* na łamach „Trybuny Ludu”, nr 306 z 1976 roku. Powiada w nim o pewnych fragmentach tejże powieści, które stawiają polskiego wydawcę w arcytrudnej sytuacji. „Należy liczyć się, utrzymuje Misiorny, ze swoimi czytelnikami (?), z ich uczuciami. Nadto jeszcze z katolicyścią Polaków, z kultem Maryi”.

Pomyśleć tylko: „Trybuna Ludu”, w przymierzu z Wydziałem Kultury KC, strzegą katolickich Okopów Św. Trójcy. Ustalają też, co z tradycji Polski przedwrześniowej i tej wrześniowej winno być i w jakiej formie pokazane. Te same siły sprawcze, które przez blisko półwiecze nie interesowały się materialnymi

szczętkami obrońców Poczty Polskiej (zanim spychacz tego za nich nie załatwił), domagają się klarownych osądów na temat przebiegu działań obrończych we wrześniu roku 1939. Taki to jednak był wówczas czas. Jeszcze niezbyt odległy, przeto pamiętamy go aż nadto dobrze. Na straży moralności stawali ludzie z gruntu amoralni, na straży katolicyzmu notoryczni ateści, wręcz uczestniczący na co dzień w procesie aktywnej ateizacji kraju, prowadzący bardziej lub mniej utajnioną wojnę z Kościołem. Ci ludzie chcieli mieć jednak naówczas rząd polskich dusz, przeto uzurpowali sobie prawo do współdecydowania o wszystkich istotnych dla Polaków sprawach. W tym — *last but not least* — o tym co im czytać wolno i należy.

I stało się, iż w chwili zaistnienia drugiego wydawniczego obiegu możliwa była podziemna edycja *Blaszanego bębenka* z zaznaczeniem: „bez zgody i wiedzy tłumacza”. Wiadomą było rzeczą, iż tłumacz nie tylko wiedział, ale i wyrażał pełną swą zgodę na tę — poprzedzoną wstępem Lecha Bądkowskiego — edycję w NOWEJ.

Potem była pierwsza „solidarnościowa” odnowa. Wznowione zostało — w Wydawnictwie Morskim — opowiadanie *Kot i mysz*. Przez światowe ekrany w triumfalnym pochodzie przeszła ekranizacja *Blaszanego bębenka* dokonana przez Volkera Schlöndorffa. Wzięli w niej liczny udział wybitni polscy aktorzy (z Gustawem Holoubkiem, Danielem Olbrychskim, Markiem Walczewskim, Mieczysławem Czechowiczem, Wojciechem Pszoniakiem, Zygmuntem Hübnerem). W międzyczasie wybucha jednak w Polsce stan wojenny. Film Schlöndorffa odłożony zostaje z kretesem na polskie archiwalne półki. Długo, bardzo długo zdjęty z nich nie zostanie. Stanie się to dopiero w połowie roku 1992, kiedy to na jego uroczystą premierę do Gdańska przybędzie realizator tego obrazu. Już w latach 70. i 80. odbywały się liczne pokątnie — w tym i dla gremiów partyjnych, lubujących się w szykowaniu sobie rozmaitych perwersyjnych widowisk — pokazy. Kilka z nich odbyło się w gmachu KW w Gdańsku. Podobny sukces „podziemny” spotka jedynie film Jerzego Skolimowskiego *Ręce do góry* oraz *Przesłuchanie* Ryszarda Bugajskiego. Rzecz ciekawa: oba wejdą w kilka lat później na polskie ekrany, film Schlöndorffa natomiast jako ostatni z tego grona.

Za to ukazało się — w roku 1982 — PIW-owskie, okrojone, ocenzurowane (o wesz za kołnierzem żołnierza radzieckiego) wydanie *Blaszanego bębenka*. Ma ono świadczyć o liberalizmie polityki kulturalnej tamtego czasu. Tak samo, jak uprzednio emisja — w drugim programie TV — filmu pt. *Drogocenna przeszłość*, w którym Grass wystąpił w roli *cicerone* po swoim mieście.

Na łamach prasy wybrzeżowej, piórami zakamuflowanych za pseudonimami publicystów (jeden o nazwisku „Zwarra”, drugi „Derdowski”), ukazują się

paszkwile na osobę oraz dzieło Günтера Grassa. Przytoczę jedynie fragment artykułu „Edwarda Derdowskiego” (Kazimierza Kretowicza), jaki ukazał się w „Dzienniku Bałtyckim” z dn. 30-31.07.1982 roku... Artykuł ów zatytułowany był *Günter Grass — och, ach!*. Jego końcowy fragment brzmiał w ten oto sposób: „Najpierw przybył Got i spółkował z Kaszubem. Dziś przyjeżdża do Gdańska Günter Grass i przesyfia się ze swoją kaszubską krewniaczką”. Pod osłoną stanu wojennego w Polsce wychynęły upiory głupoty oraz prostactwa.

Na łamach nieodrodzonego dziecka tamtej, nie odeszłej całkowicie w niepamięć, epoki, tygodnika „Tu i teraz” kierowanego, co warto przypomnieć, przez Kazimierza Koźniewskiego, przedwojennego harcerza, po dziś dzień wziętego publicysty tygodnika „Polityka” oraz „Nie”, ukazuje się rozprawa niejkiej Zofii Rybickiej (nigdy uprzednio a i później również nieznaney) pt. *Polskie echa „Błaszanego bębenka”*.

Raz jeszcze na łamach tygodnika „Rzeczywistość” objawia się Jan Dobraczyński. Tym razem pisze on list do redakcji, będący rodzajem polemiki z artykułem A. Godlewskiej na temat *Błaszanego bębenka*. „To tyle — dla przypomnienia, że nie tylko Żukrowski dostrzegwał antypolskość książki Grassa” — pisze Dobraczyński.

Ileż, swoją drogą, dobrego samopoczucia było w ówczesnym szefie PRON-u, świeżo awansowanym do stopnia... generała.

Polska druga odnowa nie we wszystkim sprzyjać będzie osobie — bo dziełu już zaszkodzić nie będzie w stanie, wobec nawału książek Grassa na polskim rynku wydawniczym — autora *Błaszanego bębenka*. Oto w porze czynionej przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przymiarki do wręczenia Grassowi doktoratu *honoris causa* tegoż uniwersytetu, ozwą się rozmaite młodzieżowe przyczółki organizacji katolickiej w naszym kraju. Zarzucą mu, w odolnym studenckim proteście, nadmierną lewicowość, wręcz sprzyjanie Nikaragui, Kuby oraz... Związkowi Radzieckiemu. Otrzyma Grass tym sposobem cios w podbródek ze strony tych samych nieomal sił, które przez tyle lat, choć pod nieco inną przykrywką, sekowały jego osobę oraz dzieło.

„Poznańska wojna o Grassa” zakończy się jego zwycięstwem. Przyjmie honorowy doktorat osobiście w Polsce Wolnej i Niepodległej. Choć nie we wszystkim wolnej od głupoty i ograniczoności. Z tą jednakowoż, z niezłym skutkiem, sam dawał sobie radę przez dziesiątki lat. Do tego przywykł niejako. I przywykli wraz z nim adherenci jego, we wszystkim niepodległego, pisarstwa...

(1992)

## Grass na śmietniku świata

Tą podróżą zaskoczył wszystkich. Do Indii, on klasyczny Europejczyk ze skłonnością do przyglądania się światu ze wszelkich możliwych stron, zwłaszcza zaś od podszewki (tak jak gdyby wierzchnia strona zjawisk daleko mu nie wystarczała), wybrał się w sierpniu 1986 roku. Mało tego. Wciągnął do całej sprawy swą żonę Ute. I jak dzieje się to zazwyczaj w podobnych sytuacjach w jego kraju — wszelkie możliwe i niemożliwe *mass media*. Z początku urwał im się z uwięzi. Nie było tak, jak w przypadku bohatera opowieści o 80-dniowej podróży dookoła świata, o której zawczasu wiedzieli wszyscy, którzy powinni byli wiedzieć. Nie, tak jednak nie było. Mimo że na osobę Grassa ostrzą sobie zęby nad Renem reporterzy wszelkiej maści, kamery telewizyjne, agencyjni sprawozdawcy, specjaliści od tzw. *special interviews*.

Było to wkrótce po ukazaniu się w Niemczech powieści *Szczurzyca*. Grass, najwyraźniej z lekką zdegustowany sposobem jej przyjęcia przez krytykę, w pewnym stopniu także i przez czytelników (bo jedno z drugim ma jednak, co by o tym nie rzec, pewien związek), rozczarowany do wszystkiego wokół, postanowił zmienić coś w swoim bezpośrednim otoczeniu. Najprościej było w tej sytuacji zmienić miejsce stałego pobytu.

Że jednakowoż wybierze odległe Indie, tego doprawdy nikt nie mógł się spodziewać. Choć gdy uprzednio odwiedzał Daleki Wschód czy Nikaragę, zdra-

dzał swą fascynację tzw. trzecim oraz czwartym światem. Było więc tak, jak gdyby zapragnął nagle odetchnąć, oderwać się od europejskiego zgiełku. Tylko czemu w takim razie zamienił go na zgiełk i tumult zgoła innego rodzaju, bo południowoazjatycki? A to już zapewne pozostanie tajemnicą samego Grassa i może mieć swe rzeczywiste prazródło w niezagasłej żądzy poznania, w nieledwie młodzieńczej potrzebie sycenia się wciąż nowymi doznaniem.

Osiadł na dłużej w Kalkucie. Choć przewędrował wraz z żoną całe Indie wzdłuż i wszerz, na dłużej postanowił zamieszkać właśnie w tym mieście. Wytrwał w nim do stycznia roku 1987...

Miał przy tym przez cały czas oczy szeroko otwarte. Pod ręką zaś aż dwa, w pełni koegzystujące z sobą, twórcze warsztaty. Oba opanowane w stopniu wręcz wyśmienitym. Ten pisarski i ten plastyczny. Graficzny nade wszystko, jako że warsztat grafika okaże się Grassowi podczas tego jego pobytu nieomal niezbędnym.

Zajęcia miał więc co niemiara. I tak oto powstał Grassa poemat *Zunge zeigen* (*Pokazywanie języka*) wspólnie z dziennikiem, na równi tym słownym, jak i obrazowym. Przede wszystkim jednak duży cykl rysunków zatytułowany *Calcutta*. Grass szkicuje bowiem samo miasto. To parterowe, co najwyżej kilkupiętrowe o odrapanych, nierzadko zmurszałych murach.

Na pierwszym planie leżą uznożone, utyłane w ulicznym kurzu postaci. Osłabione z głodu, z wyczerpania, z osłabienia na skutek doskwierającego im, wprost bijącego z wysokiego nieba, upału. Leżą w okoleniu stert beczek, jakichś porzuconych, z gruntu niechcianych przedmiotów. Ludzie w skuleniu, w zgęszczeniu. Ludzie niepotrzebni, odrzuceni, ze społecznego i państwowego marginesu.

Grass stosuje nagle zbliżenia. Niczym kamerą filmową, niczym za pomocą transfokatora podchodzi do nich nie na bezpieczną, a na bezpośrednią odległość. Jak choćby do owych rąk z kastowego ulicznego tramwajowego wagonu.

I notuje, stale notuje, notuje bez przerwy, jak gdyby nie chciał uronić ni słowa z własnych przemyśleń, dotyczących tego, co właśnie ogląda, co atakuje jego oczy i wyobraźnię. Na równi tę pisarską i plastyczną. „Dziękujemy Bogu – zapisuje – że w naszym klimacie mamy dość powietrza”. Co znaczą te jego słowa? Jakaś przewagę europejskiej rzeczywistości wynikającą z różnic kulturowo-cywilizacyjnych? Być może...

Oto więc ludzie-żaby, ludzie-kraby. I co gorsza: ludzie-hieny. Żerujące, poszukujące, penetrujące, ledwo egzystujące. To wcale nie jest piekło świata. To również nie jego odbyty (*anus mundi*). To „tylko” śmietnik świata. Jego gigantyczne odpadowisko. A zatem ludzkie szkielety w mnogości postaci. Znamy je, my

Europejczycy, z gett oraz z za krat obozów koncentracyjnych. Teraz rozpoznajemy je w realiach zwyczajnych, po prostu codziennych. W scenerii niczym nieudrapowanej, będącej nieledwie folklorem ulicy. Lecz i folklorem one nie są. Folklor bowiem zakłada jednak pewną odświętność. Tu zaś ma się do czynienia — Grass ma — z przeciętnością, z pewną normą obyczajową.

A zatem po podróży na Daleki Wschód, do Nikaragui, po podróżach do Portugalii, ta jest najbardziej bodaj ekspiacyjna. I najmniej zarazem turystyczna. Najbardziej zarazem twórcza. To właśnie Kalkuta ma się znajdować na Grassa linii współczucia, współrozumienia i współodczuwania. Paryż, Rzym, Madryt, Nowy Jork. Wszystkie te miasta i wiele innych, na rozmaitych kontynentach, odwiedzał po wielokroć. Miast było w życiu Grassa zawsze bardzo wiele. I co do jednego były to gigantyczne miejskie metropolie. Z Berlinem oraz Gdańskiem na czele. I jeszcze z Hamburgiem, pod którym pomieszkuje dziś również.

A teraz jakby je wszystkie zapragnął nagle odrzucić. Jak gdyby czerpał jakąś przewrotną wręcz radość ze zbliżenia się do światowego *infernium* symbolizowanego przez miasto-cierpienie. Miasto-ludzką Golgotę.

Gdzieś tam mignie święta krowa, zaraz jednak rzuci na kolana obrazem wegetujących w rurze kanalizacyjnej. Ukáže wrony w sąsiedztwie stosów ludzkich czaszek. Kazimierz Brandys pisał niegdyś — w *Listach do pani Z.* — o tym, że obraz nabitej ludzkimi nagimi ciałami plaży dziwnie mu się nakłada na obraz obozu koncentracyjnego. „Zamienić, droga pani Z. — pisał Brandys — to że chcą, na to że muszą”... W Kalkucie jednakowoż ci ludzie „muszą”. W ten sposób żyć. I w ten sposób odpoczywać. W ten sposób poddawać się zmęczeniu i spowolnieniu. Bo w ten właśnie sposób bronią się przed zbędną utratą energii.

Chwilami te rysunki Grassa bywają jakoś podobne do indyjskich rysunków Tadeusza Kulisiewicza czy Andrzeja Strumiłły. Tamte jednak, gdy je sobie przypomnieć, różniły się od Grassowskich nade wszystko sposobem postrzegania i dostrzegania, sposobem patrzenia, oglądu pewnych spraw, zawczasu uznanych za jedynie ważne. Nawet bowiem, gdy staje się Grass na krótką chwilę reporterem, z miejsca powraca do w pełni turpistycznej (pełnej objawów odczuwanej brzydoty) stylistyki. Choć nie czyni tego bynajmniej gwoli epatowania. Czuć w nich po prostu prawdę.

Szkicował tam, na miejscu. Odręcznie. Z niewielkiego oddalenia. Nierzadko z hotelowego balkonu. Naga rzeczywistość bowiem kreowała mu się tuż obok tych wszystkich na europejską miarę pomyślanych luksusów. Sąsiadowała ze zgoła innymi cywilizacyjnymi światami. Dopiero po powrocie do domu z tych odręcznie czynionych w Kalkucie rysunków tworzył owe malowidła-olbrzymy.

Chwilami pojawia się w nich Grass dawny. Wtedy zwłaszcza, gdy swą głowę, uprzednio zdekapitowaną, swój autoportret sytuuje na kalkuckim śmietniku. Czy też wówczas, gdy nasadę nosa na swej twarzy przekłuwa łydąga liścia. Z miejsca pojawia się ten dawny Grass z cykli ślimaczych, butowych, rybich, niedopałkowych, w których naturalizmów wszelkiej maści nie brakowało. Rysunki z Kalkuty zdają się pozostawać na przedłużeniu tamtych. Ich nieledwie prostą konsekwencją. Te z Indii nastąpić musiały, jeżeli Grass pragnął być w porządku z samym sobą, z trapiącym go ciągle od wewnątrz niepokojem. Z jego całym warsztatem twórczym. Z jego wręcz twórczą alchemią.

Zaledwie dwa lata minęły od jego pobytu tam, hen, w Azji, gdy zawitał ów zbiór, ów cykl rysunków, do „jego” Gdańska, gdzie w jednej z sal Ratusza Głównomiejskiego odbył się wernisaż wystawy jego — bagatela — 77 prac. Organizatorem okazało się być hanzeatyckie, niejedną więzią historyczną powiązane z Gdańskiem, miasto Brema. Bo to Brema właśnie zakupiła od Grassa w akcie niewczesnej ekspiacji wszystkie te prace, po czym postanowiła uczynić samemu Grassowi przyjemność nie byle jaką, wystawiając je wszystkie w mieście jego urodzin oraz młodzieńczego wzrastania. W mieście, któremu nieomal całą swoją twórczość — w każdym bądź razie okazała jej część — poświęcił.

10 października 1989 roku. Ratusz Głównomiejski w Gdańsku. Jego reprezentacyjne wnętrza zdają się pozostawać w dziwnym stylistycznym kontraście z naturalizmem rysunków Grassa. Z ich niejednokrotną dosłownością.

Günter Grass jako pochodzący z Gdańska — powiedział w swoim wprowadzeniu do gdańskiej wystawy w Ratuszu Głównomiejskim szef bremeńskiej Kunsthalle Hans Joachim Maske — powinien powrócić do tego miasta ze swymi rysunkami. Tym bardziej że w roku 1959, tuż po ukazaniu się *Blazanego bębenka* w dużym stopniu dziejącego się w Gdańsku, Senat Miasta Bremy podjął skandaliczną decyzję o niewręczeniu, uprzednio mu przyznanej, swej literackiej nagrody. Byliśmy szczególnie radzi, gdyśmy mogli zakupić ten cykl rysunków [za sumę 70 tys. marek — R.C.]. Ten absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Düsseldorfie, krytyczny europejski intelektualista, problemy tego świata potraktował jako rodzaj wyzwania. W miejsce aparatu fotograficznego trzyma w ręku szkicownik. Krótkie teksty dopełniają jego wrażenia. Tam na miejscu był dokumentalista. Po powrocie artystą. Posługując się ekspresywnością, dąży jednak do estetyzacji. Te rozmaite drastyczne sceny wynikają nie tyle może z charakteru ukazywanych postaci, ile z przestrzeni, w jakiej zostały osadzone. O wiele bardziej znany jako pisarz aniżeli jako plastyk, właśnie w cyklu kalkuckim po raz pierwszy wydaje się konkurować ze swoimi tekstami literackimi.

Kalkuta  
absurdalne miasto,  
w którym nic tylko nędza  
krzycząca do nieba.

(1990)

## Powrót do wolnego miasta

Gdańsk dwukrotnie bywał „wolnym” z nazwy w swej bujnej historii: po raz pierwszy w epoce wojen napoleońskich (1807-1815), po raz drugi z woli postanowień Ligi Narodów i traktatu wersalskiego po I wojnie światowej, w wyniku układu sił, jaki narodził się skutkiem klęski Prus w tej wojnie. Współ więc z odzyskaniem przez Polskę niepodległości w 1918 roku — po 123 latach trwającej nocy zaborów — u ujścia Wisły do morza, w jej dorzeczu znaczonej Motławą, rodził się twór od samych swych początków niedoskonały. Grass historyk — sporo w nim dziejopisarskiej formacji — też zapewne jest zdania, iż groziło to samemu miastu. Jego pełna nazwa: Wolne Miasto Gdańsk. Z niemiecka: *Freie Stadt Danzig*. Groziło to jemu oraz jego bezpośrednim okolicom, a miało się okazać, że i światu całemu, wielością konfliktów, wszczęciem niemałych burz dziejowych. Ile jednak w tym sądzie wiedzy późniejszej, nakładanej na uprzednią, ile zaś chłodnego dystansu do spraw — zdawałoby się odległych — trudno już dziś powiedzieć.

Samo zaś słowo: „wolne”. Na ile ulegało się jego urodzie? Na ile było ono „uwodliwe” dla takiego gdańskiego patrioty, jakim Günter Grass, rocznik 1927, był — czy chciał tego czy też nie — na dobrą sprawę od chwili swych narodzin. Nie darmo powstały w przeszłości miasta terminy takie, jak „Danziger”, „Danzi-



gerzy”. O swojej rodzonej babce rodem ze Świętego Wojciecha spod Gdańska ja sam opowiadam mym rozmówcom znad Łaby i Renu nie inaczej, jak o „eine Danzigin”. O „gdańszczance” po prostu, co w moich ustach znaczy o wiele więcej, aniżeli gdy myślę o warszawiance, krakowiance czy poznaniance.

I oto zjechał Grass do Gdańska w to jesienne dżdżyste popołudnie, niedłwie w listopadowy wieczór roku 1989. Zawczasu wiadomym też było, iż, jak zwykł to być czynić od zawsze, przybędzie nie sam, lecz w towarzystwie córki noszącej imię Helena (zapewne od imienia matki Grassa), dziecka poczętego w jego związku z tajemniczą — o której w Gdańsku wiadomo najmniej — panią architekt. A także w asyście jego nieodłącznego, przy podobnych okazjach, kompana Fritze Margulla, jednocześnie wykładowcy berlińskiej *Hochschule der Kunst* i osobistego drukarza Grassa. Nadto zaś w orszaku nie mogło zabraknąć Gerharda Steidla, wydawcy rodem z Getyngi. Pisarz, stroniący od wszelkich samochodów, wyręczał się obu panami w dziele prowadzenia samochodu na trasie Berlin—Gdańsk.

Przyjechał Grass na zaproszenie Prezydenta Miasta Gdańska oraz Muzeum Historii Miasta Gdańska. Do miasta — kto wie? — po raz trzeci w swej historii „wolnego”. Choć on zapewne uzna, iż najbardziej wolnym było ono wówczas, gdy wcale w szyldzie słowa tego nie nosiło. Gdy uprawiało handel z całym nieomal światem, nade wszystko zaś, bo byli najbliższej, z kolejnymi królami państwa polskiego. Lecz i z Holendrami, z Flamandami, ze Szkotami, z całą bez mała Skandynawią.

Objawem jednym z pierwszych tej „wolności” było tak bardzo otwarte potraktowanie osoby Güntera Grassa przez władze „jego” miasta. Odkąd bowiem zajaśniała na literackim firmamencie gwiazda autora *Blaszanego bębenka*, tak się zawsze jakoś składało, że ilekroć gdański ratusz wraz z przyległościami, przybudówkami kulturalnymi okazywał nieco żywsze zainteresowanie jego osobą, tylekroć pachniało wokół kulturalno-społeczną, a i polityczną także, odnową. Zgoła nieerenburgowską odwilżą. I na odwrót: gdy tylko atmosfera wokół jego osoby robiła się nieco bardziej duszna, tyle razy było to wynikiem ogólnych, nierzadko o polityczno-społecznym kontekście, klimatów.

I nagle teraz, na równi pragną Go w ratuszu całkiem współczesnym — w Urzędzie Miasta — jak i w tym historycznym: Głównomiejskim. Kryjącym w swym wnętrzu owe precudnej urody sale. Jak tę Czerwoną z jej *clou*, obrazem pędzla Izaaka van den Blocka w części plafonowej. Tę Białą, pełną znaków po wspaniałej miasta tego przeszłości. W jeszcze innych salach Ratusza Głównego Miasta — bo i taką nosi on nazwę — otwarto przed niespełna miesiącem wystawę rysunków tego „przybysza z Kalkuty”.

Na wernisaż swej wystawy Grass już nie zdążył. Były zaś wówczas obecne najważniejsze tamtą porą gdańskie persony, co już kazało przypuszczać, iż wszystkie lody na linii autor *Blaszanego bębena*—władze miasta skruszały bez reszty, z kretesem stopniały i spływały raz na zawsze Motławą do Bałtyku. I — kto wie? — przyjdzie niebawem czas, iż współczesny Gdańsk szczyścić się będzie swym honorowym obywatelem Günterem Grassem. Już marzyć nie śmiem: ufunduje mu też może za jego liczne literackie, i nie tylko, zasługi... jedną ze staromiejskich kamieniczek. Restaurując ją uprzednio jako, bo ja wiem, Dom Literatury im. Güntera Grassa? Owo miejsce, gdzie pamięć o historycznej i całkiem współczesnej tradycji tego miasta w sposób szczególny byłaby kultywowana. Pomarzyć zawsze wolno...

Oto więc na Długiej, wsparty o stelaże, napis dużych rozmiarów „Günter Grass — Calcutta” zachęca licznych w tym miejscu przechodniów do odwiedzin zabytkowych ratuszowych wnętrz. W zaledwie siedem lat po owych — lecz nie wypominajmy —prasowych gdańskich napaściach na osobę oraz dzieło Grassa, taka odmiana. Kto cierpliwy, ten doczeka. Gdy autora owych napaści, jednego z kilku, już bodaj nie ma pośród nas, Grass, jego osoba oraz dzieło są pośród gdańszczyzn ciągle żywe.

Pani księgowa po raz pierwszy mnie pochwaliła — przyzna w rozmowie szef Muzeum Historii Miasta Gdańska mgr Adam Koperkiewicz. — Za frekwencję oraz dochody, które przynosi wystawa rysunków Grassa. Nawet wojskowi się na nią pchają gromadnie drzwiami i oknami. Co nazwisko, to nazwisko...

Pan dyrektor szefuje muzeum od całkiem niedawna. Pragnie się przeto wykazać inicjatywą i pomysłami. Grass zaś natatoczył mu się w jak najbardziej stosownym momencie. Nie ma zaś, jak wiadomo, niczego bardziej korzystnego od interesu obu stron.

Zakontraktowano, za jednym zamachem, aż trzy spotkania z autorem „gdańskiej trylogii”. Konferencję prasową — z samego rana w dniu 6 listopada — i uroczysty wieczór z udziałem specjalnie zaproszonych gości. Obie odbyły się w Sali Białej Ratusza Głównomiejskiego. I trzecie — z młodzieżą studencką. Zwłaszcza z tą spod znaku wielce w latach 80. zasłużonego Niezależnego Zrzeszenia Studentów. To spotkanie miało miejsce na terenie, jakże dla Grassa sympatycznego z poprzednich w nim odwiedzin, Uniwersytetu Gdańskiego.

— Jak pan ocenia ostatnią wypowiedź Wałęsy? — strzeli z miejsca pytaniem o jednoznacznie politycznej wymowie Mariusz Wilk, jeden ze współauto-

rów podziemnej „Konspiry”, jako pierwszy wyrrywający się do głosu w trakcie konferencji prasowej.

Grass nie da się zbić z pantaląku. Zaprawiony w odpowiedziach na pytania-strzały, odpowie tym samym: — Którą z wypowiedzi pana Wałęsa mam ocenić, jako że w ostatnim czasie pan Wałęsa wypowiadał się bardzo często?

— Tę na temat NRD i tego, że lepiej byłoby, ażeby zmiany w kraju nad Sprewą nie zachodziły zbyt szybko.

— Uważam pojęcie „zjednoczenia” za fałszywe — odrzeknie Grass w przeddzień otwarcia przez rząd NRD swej zachodniej granicy. — Oba państwa niemieckie, które egzystują po sąsiedzku, nigdy tak naprawdę nie były zjednoczone. Nie wiem, czy ktokolwiek w Europie życzyłby sobie, po doświadczeniach historycznych, zjednoczenia Niemiec. Niemcy były już kiedyś silne i zrzeszone, i dobrze wiemy co z tego wynikało dla świata. Z drugiej jednak strony jest oczywiście wbrew naturze, że pośrodku Europy istnieje państwo podzielone, należące do dwu różnych bloków militarnych oraz gospodarczych. Od wielu lat popieram politykę Willy'ego Brandta zbliżenia obu państw niemieckich. A więc gdyby udało się owo zbliżenie NRD do modelu polsko-węgierskiego, mógłbym sobie wyobrazić, że za 10-20 lat zaistnieje jakiś rodzaj konfederacji obu państw niemieckich. Nie byłoby to pełne zjednoczenie, a tylko federacja obejmująca państwa niemieckie w zakresie, powiedzmy, ochrony środowiska.

I wówczas padnie z kąta sali, w którym w skłębieniu pozostawało grono młodych ludzi, to sakramentalne pytanie:

— Jaki jest pana stosunek do nikaraguańskiej lewicy katolickiej?

— Poznałem na własne oczy ruch sandinistowski. Wszystkie różnice jakie istnieją pomiędzy katolicyzmem nikaraguańskim a, powiedzmy, tym polskim spod znaku „Solidarności”. Tam, za oceanem, dominującą tendencją jest ruch lewicowochrześcijański, właśnie katolicki. W Polsce ma on charakter prawicowonarodowego.

— Co Pan jednak sądzi na temat rodowodu „Solidarności”? Nie kryjmy, że u jego narodzin była pierwsza wizyta w Polsce Jana Pawła II w roku 1979.

— Jest to jawne ideologiczne fałszerstwo — odpowie Grass głosem pełnym publicystycznej pasji. — „Solidarność” w Polsce narodziła się dużo wcześniej, bo w Grudniu 1970 roku, o czym zresztą pisałem, że tu przypomnę, w mojej powieści *Turbot*. To ofiary gdańskiego Grudnia złożyły się na powstanie tego ruchu. Co zaś Nikaragui się tyczy... Wielka woda Atlantyku oddziela kontynent europejski od amerykańskiego. Trzeba ją najpierw przemierzyć, jak ja to zrobiłem. Sądzenie na odległość w tej sprawie prowadzić musi do pewnego osłepie-

nia i jawnej niejednoznaczności. I tylko jeżeli zada się sobie trochę trudu spojrzenia na ten kraj bez zbytnej emocji, można dojść do jakichś sensownych wniosków. Życzyłbym sobie jedynie znaku solidarności pomiędzy sandinistami a polską „Solidarnością”.

W tych słowach Grassa ukryte było polemiczne żądło. Tamci młodzi z kręgu „Młodej Polski” wychwycają je i przeniosą już niebawem na zgoła inny grunt...

— Jak środowiska intelektualne w RFN przyjęły wypowiedź kanclerza Helmuta Kohla na temat jego spotkania podczas wizyty w Polsce, na Górze św. Anny, z przywódcami polskiego państwa i narodu?

— W RFN jesteśmy przyzwyczajeni, że kanclerz Kohl co pewien czas w jakimś miejscu powie coś nieodpowiedniego. W przypadku kanclerza Kohla jest to może szczególnie nieprzyjemne. Z drugiej znów strony pełna jednomysłność nie zawsze jest osiągalna, a może nawet pożądana, jak tego dowodzi praktyka koegzystencji „Solidarności” i PZPR. Jeden aspekt całej tej sprawy był korzystny. Oto młodzież w RFN zaczęła pytać, co też takiego wydarzyło się na tej Annaberg? A trzeba tu zaznaczyć, iż to co dla młodzieży w Polsce jest często oczywiste, gdyż rozumie ona znaczenie historii i zna ją, młodzież w moim kraju wie o niej całkiem niedużo. Później znów padła nazwa „Krzyżowa”. I raz jeszcze młodzież pytała: „Kim też był hrabia von Moltke?”. Dowiedziała się wówczas, że został on zamordowany za swą działalność opozycyjną wobec Hitlera.

— Wiele, dokładnie 30 lat, musiało minąć zanim miasto Brema uznało Pana zasługi dla literatury...

— Były pomiędzy nami napięte stosunki, lecz ten czas należy już do szczęśliwie przewyciężonej przeszłości — odpowie Grass z uśmiechem na twarzy.

— Czy ma Pan poczucie bycia Niemcem?

— *Ich glaube schon* — odpowie. [Ja zaś, nie chcąc niczego uronić z brzmienia oryginału jego wypowiedzi, pozwolę ją sobie w tym miejscu zacytować dosłownie tak, jak została sformułowana].

— Pisz Pan nieraz w taki sposób, jak gdyby Pana celem była nadrzędna chęć przewyciężenia dookolnej nudy...

— Jeżeli prawda nie jest nudna, to wówczas się jej poddaję. Czasami jednak odbiegam od prawdy, aby nie być nudnym.

— Barbara Madajczyk z Gdańskiej Agencji Informacyjnej. Czy pisarz powinien aż tak bardzo angażować się politycznie? Mówię o tym w związku z dzisiejszym przyjęciem przez Lecha Wałęsę wieloletniego (22 lata) więźnia Fidela Castro. Julio Cortazar, gdy przed kilku laty był w Gdańsku, stwierdził, że Kuba

jest krajem wszelkiej szczęśliwości. Być może miał prawo tak uważać. Czy jednak nie powinien był się przed podobnymi sądami powstrzymać?

— Jestem bardzo krytyczny wobec nadmiernego zbliżenia pisarza z jakąkolwiek partią polityczną. Odkąd zapisałem się do SPD, a uczyniłem to, jak wiadomo, dopiero wówczas, gdy znalazła się ona w opozycji do koalicji partii rządzących w RFN, oświadczam wszem i wobec, że jestem w niej i z nią dlatego, że nie reprezentuje ona żadnej doktryny. Jest otwarta na wszelkie wpływy. Mogę więc sobie pozwolić na to, ażeby być — surowym nieraz — krytykiem mojej partii. Z pozycji socjaldemokratycznych mam, dla przykładu, prawo krytyki doktryny socjalistycznej, bowiem w swym dotychczasowym wcieleniu mało mi ona odpowiada. Myślę, że dziś właśnie przychodzi pora na partie socjaldemokratyczne i może dlatego właśnie popieram istniejącą w Polsce Polską Partię Socjalistyczną Jana Józefa Lipskiego. To właśnie do niej, jak mi się wydaje, należy przyszłość.

— Co sądzi Pan na temat konieczności zmian w łonie partii komunistycznych w krajach bloku wschodniego?

— Przejawy tych zmian obserwujemy obecnie w NRD. Oto zarówno Kranz [ówczesny szef SED — R.C.], jak i Schabowski zachowują się tak, jakby całe życie byli reformatorami. Trzeba to ocenić jako zjawisko pozytywne. Jest to zarazem dowód na istnienie boskiej opatrności, w momencie, gdy wiatr historii dmie tam już w żagle. Nie da się wykluczyć, iż w partiach komunistycznych dojdą teraz do głosu młodzi ludzie, których obecność w tych partiach podyktowana była dotąd względami innymi aniżeli czysty oportunizm. Którzy byli w niej dla ideowej przynależności. Taki krok naprzód uczyniła partia węgierska.

— Czy popiera Pan pogląd, że najlepszą drogą dla Polski jest ta socjaldemokratyczna?

— Nie mówiłem o kierunku socjaldemokratycznym jako najlepszym dla Polski. Chciałbym widzieć w Polsce bardzo silną partię socjaldemokratyczną, jednak rozwijającą się na polskiej drodze ku przyszłości. Nie jestem ideologicznym fanatykiem. Jestem na przykład, za grą wolnorynkową. Interesującym wydaje mi się być model socjalny Szwecji. Jest dla mnie rzeczą komiczną, tragicomiczną wręcz, że Lech Wałęsa przyjmuje u siebie i rozmawia z panią premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher, która, jak wiadomo, w swoim kraju jest największym wrogiem związków zawodowych. Całkowicie zniszczyła siatkę ochronną, jaka istniała uprzednio nad słabymi socjalnie grupami zawodowymi. Skutkiem tego istnieją obecnie w Anglii całe grupy społeczne wczesnokapitalistyczne.

— Wałęsa przyjął panią Thatcher w określonej sytuacji, gdy „Solidarność” była zdelegalizowana. Wówczas zaś przyjmował wszystkich, pragnących sprawie legalizacji dopomóc.

— Tym niemniej zastanawiał mnie transparent głoszący: „Witamy panią Thatcher w Stoczni Gdańskiej”.

— Jednak nie odpowiedział Pan na moje pytanie: „Jaka Polska leży w interesie Niemiec?”.

— Demokratyczna, z wielością poglądów, praworządna. Polska, w której bardzo wyraźne będą granice pomiędzy władzą wykonawczą a ustawodawczą. I co bardzo leży mi na sercu — z całkowicie oddzielnym od Kościoła państwem. Historia poucza nas, że Kościół zawsze odgrywał w dziejach państw oraz narodów rolę konserwatywną.

— Od ostatniego pobytu Günтера Grassa w Polsce niejedno się zmieniło. Można usłyszeć w Gdańsku dźwięki carillonu dochodzące z kościoła św. Katarzyny, być może z inną melodią aniżeli ta, którą pan Grass zapamiętał sobie z czasów jego młodości. Polacy odwiedzają Wilno, szukając w tym mieście źródeł swojej państwowości oraz polskości...

— Mam wrażenie, że korzystny dla Polski obrót sytuacji ma swą faktyczną genezę w sytuacji panującej obecnie w ZSRR. Przed kilku laty to, co się dzieje tu obecnie, byłoby nie do wyobrażenia. Zakodowana w Polakach antyrosyjskość będzie musiała w tej sytuacji ulec gruntownej przemianie. Politycznie utraciłem niegdyś moją ojczyznę. Jednak jako rodowity gdańszczanin, od wielu lat regularnie przyjeżdżający do Gdańska, szukający w nim śladów miasta Danzig, mam ją nadal. Będę jednak przeciw wszystkim tym ludziom, którzy podważać będą trwałość granic w Europie.

— A rola Gdańska w tym wszystkim?

— Dla mnie jest rzeczą całkiem zrozumiałą, iż to właśnie w Gdańsku został zapoczątkowany ruch „Solidarność”. Już niegdyś, przed wiekami, w XIV stuleciu, był Gdańsk rodzajem małego, lecz autonomicznego państwa rzemieślników. W tym też mieście rozkwitał barok w literaturze, w rzeźbie czy w architekturze.

— Czy wyobraża Pan sobie oba nasze kraje koegzystujące w atmosferze wzajemnego zaufania, gdy ta ogromna energia społeczna, klimat niechęci, pogardy, lekceważenia zostaną przełożone na energię współpracy i wzajemnego uzupełniania się? Czy też może oba narody nadal będą liczyły na dalsze postępy „piestrojki”?

— Jest to temat na godzinny referat. Nie bardzo obecnie wiemy, w jakim kierunku pójdzie Europa. Toku wydarzeń, które nastąpią, nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Przed laty powstała EWG, ograniczając się do tzw. Europy Zachodniej. Ten proces otorbiana się został przez to, co ostatnimi czasy stało się w Eu-

ropie Środkowej, powstrzymany. Wiem, że Węgrzy pragną obecnie przyłączenia się do tego bloku państw. Z tym jednak trzeba uważać. W takiej Portugalii koncerny z RFN, Szwajcarii, Skandynawii wykorzystują istnienie taniej siły roboczej. Do Polski również koncerny z zachodniej Europy mogą zechcieć wejść, niby czyniąc to dla dobra Polski, faktycznie jednak licząc na tanią siłę roboczą. Te problemy dotyczą całej Europy, choć może Polski w szczególności. Nie tylko politycznie, ale również ekologicznie, jako że Polska leży pod tym względem do najbardziej zniszczonych krajów Europy.

— Czy nie jest Pan zdziwiony politycznym charakterem stawianych Panu pytań?

— Oczywiście, przywykłem do tego rodzaju pytań w RFN. Chciałbym jednak skorzystać z obecności Państwa, nakłaniając Gdańsk do organizacji sesji naukowej poświęconej roli i znaczeniu gdańskiego baroku w literaturze XVII wieku. Wtedy jej czołowym reprezentantem był Martin (Marcin) Opitz, ten śląski poeta, sekretarz osobisty króla polskiego Władysława IV, lecz także Andreas Gryphius czy też Christian Hofmannswaldau. W Polsce, we Wrocławiu, mieszka i tworzy [niestety, zmarł w roku 1989 — R.C.] najwybitniejszy znawca tego tematu prof. Marian Szyrocki.

Druga sprawa to osoba i dzieło Daniela Chodowieckiego, który żył i tworzył w Gdańsku. Był on znakomitym rysownikiem, mającym, tak jak i ja, polsko-niemiecki rodowód. Pragnąłbym unieśmiertelnienia tej postaci przez miasto Gdańsk w jakiej bądź postaci. Czy to poprzez pomnik, czy choćby tablicę pamiątkową. Nie może też być tak, żeby ten wybitny rysownik był całkowicie usunięty z historii polskiej sztuki.

Trzecie moje życzenie dotyczy gdańskich spichrzów położonych na jednym z brzegów Motławy. Nie może owa wyspa spełniać jedynie funkcji dekoracyjnych. Ona musi żyć naprawdę. Przeto życzyłbym sobie i miastu, by przywrócona mu została Wyspa Spichrzów w jej dawnym, handlowym kształcie. Było to bowiem niegdyś prawdziwe centrum handlowe tej części miasta. Centrum, jakiego, o ile wiem, Gdańsk do dziś nie ma. Ponadto tam, w rejonie Münchgasse, znajdowało się ostatnie getto żydowskie w Gdańsku i stamtąd jeszcze w ostatnim roku wojny wywożono Żydów do Teresina, co upamiętniłem w swojej książce *Z dnia nika ślimaka*.

Od pewnego czasu Grassa uważnie wysłuchuje się w tym mieście. W mieście do którego, jak mało kto, ma stosunek osobisty. Wie o tym, zwłaszcza odkąd na szczycie wieży kościoła pod wezwaniem św. Katarzyny zawisł ów

karylion. Odlany w całości przez holenderskich ludwisarzy na wyraźne życzenie i zamówienie władz miasta Lubeki, posiadacza oryginalnego gdańskiego karylionu. Liczy on 32 dzwony. Ich nazwy upamiętniają wielkich Gdańszczan, Polaków, ofiary nazistowskiego ludobójstwa (ojca prof. Andrzeja Januszajtisa, zamordowanego w Oświęcimiu przez hitlerowców), papieża Jana Pawła II, prezydenta Weizsäckera, kardynała Stefana Wyszyńskiego, ludzi zasłużonych dla polsko—niemieckiego pojednania nad Renem. I tylko osobę Grassa pominięto. W końcu głównego inspiratora, współautora (wraz z Romualdem Chomiczem, gdańskim konserwatorem zabytków) tego pomysłu.

Wielce skutecznie pomógł Grass nagłośnić tę sprawę w Republice Federalnej. Potem zaś potrafił ukryć się w cieniu innych, młodszych od siebie ludzi. A to z chwilą, gdy przyszło do realizacji pomysłu, do obleczenia go w czyn. Już więcej nie pchał się na afisz. Jak gdyby uznał, że wykonanie zadania to już nie jego domena. Tak więc inni ludzie, nie Grass osobiście, podjęli się po latach tego dzieła — przywrócenia Gdańskowi jego carillonu. Następnie zaś jego transportu i ponownego po latach wielu zawieszenia.

Hans Eggebrecht, też gdańszczanin zamieszkały po wojnie w Hamburgu, może czuć obecnie pełną satysfakcję. Jego praca, liczne zabiegi wokół usytuowania gdańskiego carillonu w kościele św. Katarzyny, zostały przez autora „gdańskiej trylogii” w pełni docenione. Starania wszystkich tych ludzi, którzy po drodze niejako, przyłożyli rękę do tej sprawy. A byli wśród nich Horst Werner Franke — bremeński senator, i pastor Bersbach z tejsze hanzeatycznej Bremy. I pastor Schulze z Lubeki, gdzie po dziś dzień w Marienkirche wisi ta oryginalna gdańska „gra dzwonowa”.

*Oda do radości*, skomponowana przez Ludwiga van Beethovena, zainaugurowała w dniu 1 września 1989 roku, na 50-lecie wybuchu wojny, pracę gdańskiego karylionu. Grass nie był na niej obecny. Nie lubi okrągłych rocznic, stroni od nich, ile się tylko da. Ma on własne szlaki, własne drogi, które przemierza w sposób tyle samo natchniony, co i nierzadko twórczy.

Nadejdzie przecież tak długo oczekiwana chwila, gdy będzie mógł swą córkę Helenę podprowadzić pod masywną budowę Katarzyny — w międzyczasie starannie odnowioną, z poszerzonym prezbiterium. Posłuchają o jednej z pełnych godzin dźwięków kościelnych psalmów dobywających się z dzwonów. Wizja pisarza-kreacjonisty spotka się w ten sposób z wizją natchnionego *cicerone* po swoim mieście. Nie tylko takiego, który oprowadza, lecz i takiego, który oprowadzanie owo czyni, na ile się tylko da, atrakcyjnym.

Zajdzie Grass na ulicę Straganiarską, gdzie dokonuje się właśnie dzieło podniesienia z powojennych ruin czterech kamieniczek na potrzeby czującego



się w tym mieście jak najbardziej u siebie Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Jedną z licznych gdańskich bram wyjdą wraz z Helenką nad bulwar Motławy. Grass powiedzie wzrokiem szeroko po całym przeciwnym nabrzeżu, przez tyle lat po wojnie sennym, zdawało się popadającym w trwałą ruinę. Tymczasem... Po latach na ukończeniu są już rzędy domów na Wyspie Spichrzów, zyskującej całkiem nowe dla siebie znaczenie. Siedzibę znajdzie tu Akademia Muzyczna, Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. Właśnie rozpoczęło się w tych wnętrzach światowe seminarium dotyczące spraw architektury i rekonstrukcji zabudowy starych części wielkich miast. Głównemu i Staremu Miastu przyda się przetrwanie pewnej części jego działań na drugi brzeg Motławy. Ot, choćby gwoli odciążenia tej pierwszej. I dla przydania miastu dodatkowych barw, akcentów oraz odcieni. Dla wzbogacenia go o wciąż nowe wartości. A wszystko dla powrotu do niegdysiejszej tego miasta sławy oraz chwały.

Na wieczorne spotkanie z Grassem w Sali Białej Ratusza Głównomijskiego przybyło kilkuset, specjalnie na tę okazję zaproszonych, gości. Od początku było dużo bardziej literacko aniżeli z rana. Na początek ceniony gdański aktor Jerzy Kiszkiś odczytał spory fragment *Turbota* w tłumaczeniu Bolesława Faca, ten o rozmowie, niegdysiejszych gdańskich pisarzy, Opitza i Gryphiusa. O wizji gdańskiego XVII stulecia, bogatego w myśl prawdziwie europejską, szczęśliwego we współpracy, dostatniego. O Gdańsku harmonijnie współpracującym z całym niemal światem. W czasie gdy w Niemczech toczyła się wojna trzydziestoletnia, tutaj, u ujścia Wisły do Bałtyku, panował spokój, a miasto było jego oazą. To właśnie o tym opowiada ów rozdział książki Grassa pięknie interpretowany przez wziętego gdańskiego aktora.

— Jako dziesięcioletni uczeń nie mogłem nawet marzyć, że kiedyś będę z takimi honorami witany w tym mieście. Że moje grafiki będą w nim wystawiane. I że mój *Heimatstadt* mnie do siebie zaprosi, nie pierwszy już raz zresztą. Myślę, że gdyby Gdańsk obecny pozostał dawnym Danzig, wszystko to by się nie stało — oświadcza Grass we wstępie do dyskusji. — Rano niemal wszystkie pytania dotyczyły polityki. Mam nadzieję, że stugłowa hydra polityki nie pożre tego wieczora całego czasu Państwa oraz mojego...

Dalej zaś opowie Grass o niegdysiejszej europejskości swego miasta. O jego otwartości na świat cały. O owym światowym polarze, jaki zyskało na powrót i jaki posiada obecnie pomimo przewalania się tyłu wojennych frontów, wędrówek ludów, na skutek stawania się dziejów. „Polska nie jest pępkiem świata”,

zaznaczy Grass w sposób czupurny. „I to wbrew temu co się powszechnie wydaje”.

Porą zatem, gdy „bałtyckie babie lato stało za oknami”, gdy „Dobro nie znajduje się samo, ono musi być wielokrotnie odsiewane” — jak napisał w *Turbocie*, gdy „To wszystko — rozkosz i boleść — muszą być wielokrotnie spożywane”, trwa w Sali Białej gdańskiego Ratusza Głównego dyskurs na temat „kompleksu polskiego” Güntera Grassa.

*Nemo propheta pro domo sua*, powiada Grass z odcieniem melancholii w głosie. I z miejsca powoła się na przykład swego przyjaciela po piórze Salmana Rushdiego, jak i on sam pisarza epickiego.

— Niczym opętany piszę wciąż o Gdańsku — zaznaczy. — Podobnie jak Rushdie o Bombaju, z którego został wypędzony i teraz grozi mu ukrywanie się do ostatnich dni jego żywota. Obaj — stwierdzi Grass — doszliśmy do wniosku, iż posiadanie ojczyzny to dla pisarza coś wspaniałego, bo gdy nawet nagle zostało się z niej ekspulsowanym, można nadal pisać o niej na jakże różne sposoby. Jeżeli Polacy są podmiotem mojego pisarstwa, to nade wszystko są nimi Kaszubi. Ci interesują mnie w stopniu największym. Gdy w jakiejś dyskusji na temat tego, czy Kopernik był Polakiem czy też Niemcem uznałem, iż z całą pewnością był on... Kaszubą, zarówno Niemcy, jak i Polacy z miejsca zwrócili się przeciwko mnie.

Widownia reaguje na te słowa znakomitego pisarza salwą śmiechu.

Spytany o język niemiecki, o rolę, jaką w jego pisarstwie odgrywa, odrzeknie Grass, iż chciałby, taki cel zawczasu przyjął, ukazać światu całe jego bogactwo.

— Czemu jednak *Turbot* do dziś nie ukazał się w Polsce? — zostanie Grass zapytany przez głos z sali.

— Kto pisze tak bardzo opasłe książki, jak właśnie *Turbot*, ten musi uzbroić się w cierpliwość.

— Czytał Pan powieść Andrzeja Szczypiorskiego wydaną po niemiecku w szwajcarskim wydawnictwie Diogenes?

— Czytałem ją, jak najbardziej. Zresztą, całkiem niedawno porozmawialiśmy sobie o niej z jej autorem w rozgłośni radiowej w Hanowerze. Nasza rozmowa przedrukowana została później przez tygodnik „Die Zeit”. Tam, przed mikrofonami NordWestphalische Rundfunk Szczypiorski opowiedział mi, jak toczyły się jego pisarskie losy. Co porabia dzisiaj, gdy jest już senatorem. Jak mało ma czasu na pisanie. Mogłem go bardzo dobrze zrozumieć, ponieważ i ja również angażuję się często w działalność polityczną w moim kraju. Nie muszę dodawać, że

książkę Szczypiorskiego [mowa tu o powieści *Początek*, w Niemczech znanej pod nazwą *Schöne Frau Seidenmann*] bardzo sobie cenię. W pewnych szczegółach przypomina mi ona powieść *Rondo* Kazimierza Brandysa.

Nagle, ni stąd ni zowąd, pada pytanie o warunki życiowe „przesiedleńców”...

— Niechaj nikt zarówno w Polsce, jak i w NRD nie wyobraża sobie życia nad Renem wyłącznie w jasnych barwach. To co się głosi o tej sprawie w gazetach, nie jest wyłącznym wytworem komunistycznej propagandy. Moja kaszubska babka cioteczna, gdy ją w roku 1958, jak tylko po raz pierwszy po wojnie przyjechałem w te strony, zapytałem: „Nie chciałabyś na stałe wyjechać do RFN?”, odpowiedziała mi: „Wiesz, Günterku, w Niemczech jest na pewno lepiej, ale w Polsce jest piękniej...”.

I raz jeszcze na sali rozległ się przyjazny szmer pod adresem pisarza.

Zapytany o swe dotąd niewydane książki, i czy są takie, odrzekł Grass, iż takich nie ma. Były jedynie kłopoty z ich wydaniem w niektórych krajach socjalistycznych lub faszystowskich. Zaczęły się one także od pewnego czasu ukazywać na terenie NRD.

Czy pisze? O czym pisze? — Podróżował ostatnio trochę ze szkicownikiem po swoim kraju. Prawdopodobnie wyniknie mu z tego album na temat krajobrazu naturalnego. Epicka książka również znajduje się w jego polu widzenia.

W chwilę później, niczym bumerang, powraca sprawa małych kultur. Grass posłużył się w odpowiedzi przykładem stymulującej roli narodowości żydowskiej w łonie państwa polskiego czy niemieckiego. Tego, co wnieśli Irlandczycy do cywilizacji oraz kultury Królestwa Brytyjskiego.

Uważam, że wielką głupotą jest w sposób nacjonalistyczny oceniać dorobek kultury narodowej. Jedyne co mogę zrobić, to wezwać Kaszubów, żeby czytali te, istniejące ciągle, książki wywodzące się z nurtu literatury kaszubskiej.

Zapytają go jeszcze o „kategorie interpretacyjne sztuki”. O Gdańsk — miasto z charakterem. Przyzna, iż z całą pewnością w swych powieściach bywa realistą. „Tak naprawdę nie biorę udziału w dyskusjach na temat tego czym jest realizm magiczny, czym zaś nie jest”.

Do restauracji „Kubickiego”, położonej nad samym brzegiem Motławy, zaproszeni na uroczystą kolację goście udadzą się spacerem bulwarem nadrzecznym. Grass z miejsca dobrze poczuje się w towarzystwie Jerzego Afanasjewa [zmarłego w roku 1992 — R.C.], Bolesława Faca, Pawła Huelle — trójki gdańskich

pisarzy rozmaitych pokoleń. Fac wystąpi w rok później ze swą powieścią o Wrzeszczu. O dzielnicy, z którą obaj z Grassem niejedno mają wspólne. Huelle zrobił swoistą furorę krytyczno-czytelniczą powieścią — postgrassowską w charakterze — *Weiser Dawidek*, w całości rozgrywającą się w gdańskich realiach.

Już nad restauracyjnym stołem Jerzy Afanasjew spyta Grassa o stopień przydatności języka niemieckiego dla pisania utworów o charakterze surrealistycznym. Marysia natomiast, Grassa kuzynka, *porte parole* postaci Marii Kuczorry z powieści *Turbot* (jest na jej kartach ostatnią, tą jedenastą, kucharką gdańską, pracującą w kantynie Stoczni Gdańskiej podczas grudniowego, z roku 1970, strajku), nie da się gościom nazbyt długo prosić o recytację wiersza kaszubskiego, niepozbowionego pewnych akcentów rubaszości, tak bardzo pozostających na linii artystycznych zainteresowań Grassa.

W kilka zaledwie dni po wyjeździe Grassa z Gdańska runął z kretesem berliński mur. W jego mieście z przeszczepu runął Mur-symbol zimnej wojny. Mur-granica ustrojów, społeczeństwa, państw, choć nie narodów. Nie minęło kilka tygodni, gdy w liście do swego gdańskiego przyjaciela napisał:

Jak wiesz, obawiam się tzw. „ponownego zjednoczenia Niemiec”, niczym diabeł święconej wody, a także tego, ażeby wulgarna siła RFN nie zyskała w ciągu niewielu lat nagłego przyspieszenia. Wówczas to, gdyby NRD dodała do tego swój wkład kapitału, pozostałaby zawsze jeszcze możliwość poproszenia w Polsce o azyl; ponownego niemieckiego szaleństwa potęgi nie mógłbym znieść. Wizyta Kohla u was, jak było do przewidzenia, była ciągiem nietaktów. Lecz dla mnie było jeszcze bardziej okropne, że nowy polski rząd, z powodu rozpaczliwej sytuacji gospodarczej, zrezygnował z okazji odpowiedzi na Kohla nędzne zagadywanie problemu granic: już teraz rysuje się zależność od siły finansowej RFN i przez to nowa bieda w polskiej historii.

Grass emigrujący do Polski premiera Tadeusza Mazowieckiego? Fac podsuwał myśl, by już wówczas poszukać Grassowi w Warszawie jakiej intratnej posady. Poczynilem w tej sprawie pierwsze, na razie dyskretne, kroki...

(1991)

## Poznańska wojna o Grassa

Przed kilku laty nad Renem ukazała się książka niemieckiego germanisty Martina Sandera *Der andere Blick — deutsche Schriftsteller aus polnischer Sicht (1945-1986)*. Jest w niej rozdział zatytułowany *Fascynacja i obrona — Günter Grass*. Powstał ten rozdział ni mniej ni więcej tylko ze studiów nad korespondencją w sprawie PIW-owskiego wydania *Blaszanego bębenka*. Z pochylenia się Sandera nad korespondencją, jaką wiódł był z Grassem ówczesny dyrektor tej oficyny Andrzej Wasilewski, z propozycjami licznych poprawek, skrótów, retuszów. Nadto nad listem znawcy gdańskiego tematu Franciszka Mamuszki, domagającego się dwujęzycznych nazw miejscowości w powieści Grassa. Nie ulega więc wątpliwości, iż był szef PIW-u już wówczas rodzajem medium, rodzajem pasa transmisyjnego obiekcji, które wzbudzone zostały uprzednio, choćby działaniami pp. Żukrowskiego i Dobraczyńskiego w partyjnym białym domu.

Jakaś wesz za kołnierzem kałmuckiego żołnierza radzieckiego, wyzwoliciela Gdańska w roku 1945? Do skreślenia! Ten fragment *Blaszanego bębenka* nie mógł spodobać się PZPR-owskiemu „strażnikom świętego ognia”. Gra w skata podczas boju o Poczta Polską w Gdańsku? Toż to narusza jedną z narodowych relikwii! Do wyretuszowania! Takiego zdania był Dobraczyński oburzający się na równi na erotyzm Grassa i na jego naturalizm, na skąpanie wszystkiego, jak rzecz tę ujął, w „skatologii”, na pokazanie „erotyzmu w kontekście spraw religijnych”.

Wniosek: powieść ma charakter obrzydliwie bluźnierczy i do legalnego wydania się nie nadaje.

Aż doszło — pod koniec lat 70., gdy już istniał KOR oraz wydawnictwo NOWA — do zawarcia umowy z Grassem na drugoobiegowe wydanie *Blaszanego bębenka*. Podpisywali ją Mirosław Chojecki, szef NOWEJ oraz Adam Michnik, obecny był nadto zaprzysięgły sojusznik Grassa w Polsce Bolesław Fac. Zresztą to w jego wrzeszczańskim mieszkaniu do podpisania tej umowy doszło.

Tym oto sposobem Grass stał się w Polsce pisarzem drugoobiegowym. Jak uprzednio Tadeusz Konwicki za sprawą *Malej apokalipsy* i *Kompleksu polskiego*, jak Kazimierz Orłoś, autor *Cudownej meliny*, jak Marek Hłasko z *Pięknymi dwudziestoletnimi*. Rzecz jednak w tym, iż Grass był już wówczas wydawany na całym niemal świecie (z Japonią oraz... Węgrami włącznie). Kandydował do literackiej Nagrody Nobla. Fortunnie dla jego przeciwników owej nagrody nie otrzymał. Wtedy, gdy w Polsce z całą mocą toczył się pierwszy — wcale nie zwycięski — bój o Grassa.

Dla samej literatury jednakowoż taka sytuacja wcale korzystna nie była. Lata mijały, polski czytelnik zaś nadal niewiele o Grassie wiedział. Drugoobiegowe — dwa bodaj, jedno ze wstępem Lecha Bądkowskiego, drugie wstępu tego pozbawione — wydania *Blaszanego bębenka* ukazały się w łącznym nakładzie 4 tys. egzemplarzy. I to w sytuacji, gdy w świecie edytorzy sypali wydaniem kieszonkowymi spod znaku „Pingwina”.

Stan wojenny. W październiku roku 1982 na łamach „Die Zeit” ukazuje się artykuł Grassa, w którym autor *Blaszanego bębenka* opowiada o swych odwiedzinach w Ameryce Środkowej, o swej reakcji na zaproszenie Ernesto Cardenała, w jednej osobie ministra kultury, poety i katolickiego kapłana w rządzie nikaraguańskich sandinistów. O swej sympatii do sandinistowskiej rewolucji.

A w ogóle bliższa mi była Polska — napisał wówczas. — Nie przypuszczałem jednak, jak bardzo zbliżony jest zawodowy ruch „Solidarności” do sandinistów z Nikaragui. Że nieuchronna zależność Polski od ZSRR jest odbiciem równie groźnej zależności Ameryki Środkowej od USA.

I dalej ciągnął:

Zbliżenie między sandinistami i „Solidarnością” byłoby jednak trudne, bowiem jedni i drudzy wiedzą o sobie niewiele lub też mają zgola fałszywe o sobie wyobrażenie. Mocarstwo, które zagraża sandinistom, chce być uważane za obrońcę „Solidarności” — tak jest zresztą w Polsce (przez nieświadomość) odbierane. Natomiast imperium u wschodnich granic Polski, gotowe w każdej chwili do interwencji, mieni się patronem wszystkich ruchów wolnościowych w Trzecim Świecie. Tam rozpowszechniane są fałszywe

doniesienia agencji TASS: „«Solidarność», to kontrrewolucja”, tu zaś wierzy się temu co mówi „Głos Ameryki”: „Nikaragua już wkrótce znajdzie się w rękach kubańsko-sowieckich”.

I kończy swój wywód w artykule publikowanym na łamach „Die Zeit”:

Kiedy wróciliśmy, w Polsce przy pomocy armatek wodnych i gazów łzawiących rozpoczęto kolejne demonstracje. Staromodne i pogrzebane w XIX w. słowo „solidarność” na nowo zmartwychwstało. Spotkałem je w Polsce i w Nikaragui. Odżywa ono na przedpolach i zapleczach wielkich mocarstw. Oby i nam stało się znów bliskie.

Wkrótce znów przyjechał do Polski. Mimo stanu wojennego, na zaimprovizowanym spotkaniu w jednej z willi w Gdyni Orłowie obecni byli podziemni działacze, pośród nich zaś grupka gdańskich liberałów zgrupowanych wokół swego teoretycznego organu „Przeglądu Politycznego”. Pokłosem tego spotkania był obszerny wywiad, który ukazał się w piśmie. Autorzy odnieśli się do „karłowatego” ich zdaniem porównania ruchu sandinistowskiego oraz „Solidarności”. „Genezy tego typu porównań — prowokują Grassa — doszukać się można w Pańskim przekonaniu, że świat ma obecnie tylko jednego wspólnego wroga. Wrogiem tym jest imperializm — niezależnie od jego zabarwienia”. Nawiązują do faktu odtrącenia przez Papieża-Polaka swej dłoni Ernesto Cardenalowi przy powitaniu. Wskazują na różnicę, ich zdaniem istotną. Oto bowiem sandiniści rządzą. „Solidarność” natomiast — nie.

Grass w odpowiedzi podkreśla „tendencje antydemokratyczne” Kościoła w przeszłości i powiada, że ścisły związek „Solidarności” z Kościołem może w przyszłości doprowadzić do ujawnienia się owych niedemokratycznych tendencji.

Na tym jednak Grass nie poprzestaje. Dostrzega i taką perspektywę, iż w przyszłości „Solidarność” może zostać wykorzystana przez ruchy prawicowe, które posłużą się nią dla celów antykomunistycznych. „Solidarność” jako ruch wyłącznie związkowy jest dla Zachodu niezbyt atrakcyjna. Zachodem rządzą bowiem konserwatyści i prawicowcy. „Solidarność” wstrząsa podstawami leninizmu, stanowiąc dla ZSRR zasadnicze niebezpieczeństwo. Pisarz podkreśla socjaldemokratyczny charakter wielu działań „Solidarności”.

Także i styl myślenia polskiej opozycji jest tą tradycją napiętnowany. Np. wszystkie propozycje Adama Michnika, z którymi się zetknąłem, to radykalne tezy socjaldemokratyczne. To, że jest on przy tym Polakiem i myśli w sposób narodowy, jest dla mnie oczywiste.

Rzuca ponadto: „Uważałem, że społeczeństwa zachodnie powinny brać przykład z „Solidarności», gdyż same zrobiły się tłuste i gnuśne”. Przypomina nieodległe fakty z przeszłości:

...żądania [„Solidarności” — R.C.] były w gruncie rzeczy socjalistyczne — żądania rad robotniczych, decentralizacji gospodarki, kontroli nad zakładami pracy. I to, co na Zachodzie rzuciło nam się w oczy, to fakt, że kiedy Kościół katolicki usiłował te żądania ograniczyć i złagodzić, na bramie Stoczni Gdańskiej ukazał się napis: „Madonna strajkuje!”. Wielu, w tym także i mnie, uspokoił wtedy ten fakt, dowodzący, że potęga Kościoła jest także ograniczona.

W odpowiedziach na kolejne pytania przechodzi Grass do oceny „Solidarności” jako ruchu związkowo-społecznego.

To co mnie zaskoczyło i przyciągnęło — to siła idei i jednocześnie zachowanie pragmatyczne. Pokazał to właściwie Wałęsa — wszystkie żądania zostały doprowadzone do określonego punktu i to, co nas tak zdziwiło, że wówczas nagle dały się słyszeć tony nacjonalistyczne. I przypominam sobie dokładnie, że ostatnie wybory na zjeździe „Solidarności” zostały wygrane właśnie przez na wskroś robotnicze skrzydło związku, eksponujące żądania socjalne. Oczywiście, istniało także skrzydło narodowe, reprezentowane przez liczne grupy nacjonalistyczne, które na mnie zrobiły wrażenie wprost szowinistycznych, ale zostały one chyba odrzucone przez większość „Solidarności”. Należałoby do tego wszystkiego dodać jeszcze, że w Polsce nigdy nie doszło do tego, aby robotnicy byli razem z intelektualistami (z wyjątkiem roku 1956, ale to inna sprawa). W marcu 1968 robotnicy uderzyli w studentów, którzy opuścili ich za to w roku siedemdziesiątym. Dopiero „Solidarności” udało się dokonać integracji całego społeczeństwa. Niebezpieczeństwo wyizolowania się jest jednak zawsze aktualne.

Zrelacjonowałem tak obszernie tamten wywiad z roku 1983, udzielony przez Grassa drugoobiegowemu periodykowi „Przegląd Polityczny”, nie bez kozery. Oto bowiem w styczniu roku 1990 z poznańskiej strony rozlegnie się głos tyle samo niespodziewany, co donośny. Z miejsca został on wzmocniony przez mass media. Otóż za podstawę i uzasadnienie miał on, między innymi, tamten wywiad sprzed lat...

W tym miejscu kilka zdań o kulisach całej sprawy. W Polsce istnieje kilka znaczących instytutów filologii germańskiej. Do najbardziej dynamicznych spośród nich zaliczał się wrocławski z prof. Marianem Szyrockim, znakomitym znawcą niemieckiego baroku, i prof. Norbertem Honszą, wybitnym znawcą literatury niemieckojęzycznej XIX i XX wieku. Równie ceniony był instytut poznański z prof. Hubertem Orłowskim, prof. Stefanem H. Kaszyńskim, doc. Edytą Połczyńską. Za sprawą tego właśnie grona osób — z okazji Tygodnia Kultury RFN w Polsce, jaki odbył się w październiku 1988 roku — znaczna część jego obchodów



przypadła wówczas na stolicę Wielkopolski. Rodzajem *clou* było publiczne spotkanie Güntera Grassa z czytelnikami urządzone w Poznaniu.

I, jak to już jest tradycyjnie w przypadku spotkań z człowiekiem obdarzonym niemałym temperamentem politycznym, wręcz agitatorskim, miast o literaturę w sali poznańskiego kina (aula uniwersytecka akurat była zajęta) pytano Grassa o stosunek do krajów Trzeciego Świata, o Związek Radziecki i pierestrojkę, o NRD i o RFN, o praską wiosnę i Dubczeka, o Indie, które niedawno był odwiedził (enigmatycznie tłumacząc się z faktu przyspieszonego z nich powrotu). „Byłem sceptykiem”, powiedział. „Jako Europejczyk chciałem odwiedzić Indie. Chciałem bowiem wiedzieć o tym kraju, o tym narodzie to, co jest dla niego istotne”. Mówił też: „W Polsce nie wszyscy chcą się pogodzić z tym, co dzieje się w Związku Radzieckim”.

Trochę prowokował, jak to w jego stylu, drażniąc widownię w jednym czy dwóch momentach. Nie nazbyt jednak. „Byłem w Moskwie” dopowie, „dotknąłem przeobrażeń w tym kraju niejako osobiście...”. I po chwili: „Byłem w NRD na spotkaniu z czytelnikami. Spotkałem się z nimi w Magdeburgu, w Halle, w Erfurcie. Marzy mi się Europa z otwartymi granicami, w której każdy mieszka tam, gdzie ma na to ochotę”.

Poza, trochę rążącym w swej formie i retoryce, wystąpieniem pewnego niemieckiego Polaka z Münster, nic szczególnego, co uzasadniałoby późniejsze poznańskie reakcje, na tym spotkaniu się nie wydarzyło. Rzecz by można, iż przebiegło ono w atmosferze obustronnej polsko-niemieckiej, czy jak kto woli gdańsko-berlińsko-poznańskiej serdeczności.

Poznańscy germaniści zwierali się w sobie. Szykowali się (w roku 1983 ukazał się 12. tom pisma „*Studia Germanica Posnania*”) w dużej części poświęcony dziełu i recepcji dzieł Grassa w Polsce) do całkiem już oficjalnego wystąpienia w sprawie przyznania autorowi *Blaszanego bębenka* doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Poznańskiego im. Adama Mickiewicza. Rada w radę postanowili, by korzystając z pobytu Grassa w mieście nad Wartą, zapytać go o wstępne zdanie w tej sprawie.

Grass pochylił, jak to w jego stałym zwyczaju, głowę w stronę swych interlokutorów, zapalił skręta i poprosił o... 24 godziny do namysłu. Pragnął porządzić się w tej kwestii żony, akurat nieobecnej w tej chwili. Zagadnięty nazajutrz odpowiedział z rewerencją: „Będzie to dla mnie wielki zaszczyt...”.

Wszczęto przeto działania organizatorskie towarzyszące zazwyczaj przyznaniu honorowego doktoratu. Przede wszystkim sporządzony został ów *Wniosek Instytutu Filologii Germańskiej o nadanie Günterowi Grassowi godności*

*Doktora Honoris Causa UAM.* Nosi on datę 11 stycznia 1989 roku. Zaczyna się od słów adresowanych do Rady Wydziału Neofilologii z prośbą o poparcie wniosku Instytutu Germanistyki. Dalej podpisana pod dokumentem doc. Połczyńska wspomina światowy charakter pisarstwa Grassa, okoliczność, iż jego książki są przełożone na wiele języków świata, w tym również na język polski. „Znaczącym wątkiem przewijającym się przez całą jego twórczość jest tematyzacja problematyki polsko-niemieckiego pogranicza kulturowego”. Przypomina o społecznym i politycznym zaangażowaniu Grassa w sprawy własnego kraju, Europy i Trzeciego Świata.

Swym pasjom politycznym — zauważa doc. Połczyńska — daje wyraz zarówno poprzez twórczość literacką, eseistyczną, jak i przez bezpośredni udział w życiu publicznym. Godzi się przypomnieć jego pełne temperamentu opowiedzenie się po stronie zachodnioniemieckiej socjaldemokracji na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, jego czynny udział w kampanii Willy'ego Brandta. Günter Grass — píše doc. Połczyńska w swym uzasadnieniu — należy do architektów porozumienia polsko-niemieckiego [...]. Konkludując: wniosek o nadanie doktoratu uzasadniamy głęboką wymową humanistyczną całej jego twórczości oraz pełną zaangażowania postawą społeczną.

Mijały miesiące. Do powyższego wniosku swój, o wiele bardziej szczegółowy, dołączył prof. Marian Szyrocki z Uniwersytetu Wrocławskiego. Pisał o „formule wrażliwości na zło społeczne”, o „potępieniu zła politycznego we własnej ojczyźnie”. O tym, że Grassa „oburzenie na tragedię Czechosłowacji przybiera konkretny kształt, podobnie jak w dziejach współkształtujących profil nowej lewicy”. I dalej: „Nie zgubił się w swym stosunku wobec Trzeciego Świata, ale i również wobec siebie, budując własne odruchy Europejczyka krajów dobrobytu w konfrontacji z Kalkutą — symbolem skrajnej nędzy”. O sprawach polskich również pisał prof. Szyrocki niejedno...

Temat polski, mitologia polska, likwidacja mitów, w których tkwimy do dziś, ciepła sympatyka dla polsko-kaszubskich korzeni, słowem Polska i sprawy polskie w systemie medium nowoczesnego państwa, oto wkład Grassa do stosunków kulturalnych polsko-niemieckich, wkład być może istotniejszy od wszelkich delegacji oficjalnych.

22 maja 1989 roku Ministerstwo Edukacji Narodowej wyraziło zgodę na wszczęcie doktorskiej promocji, czyniąc jej promotorem prof. Huberta Orłowskiego.

Nie tak dawno tytuł ten poznański uniwersytet przyznał — tak, tak — „zasłużonemu dla stosunków polsko-brytyjskich londyńskiemu wydawcy”, jak napisano w uzasadnieniu (opublikował m.in. tom przemówień Wojciecha Jaruzelskiego), Robertowi Maxwellowi. Szykował podobny doktorat znakomitemu me-

diewięć prof. Aleksandrowi Gieysztorowi (wręczony mu został w styczniu 1990 roku). Wiele więc zdawało się wskazywać na to, że także proces wręczenia tej nominacji Grassowi zakończy się rychło i bezboleśnie.

4 czerwca 1989 roku Polacy poszli do urn wyborczych, głosując na Polskę demokratyczną, pluralistyczną, Polskę jaką Grass tak w swej prozie, jak w publicystyce, a także w wystąpieniach publicznych pragnął ujrzeć, której pragnął doczekać i której narodziny na swój sposób, choć z oddali, stymulował. Nie mógł wówczas, w tamte dni czerwcowe polskich wyborów, spodziewać się, iż ponieważ rykoszetem Polska wielogłosowa przeciwko niemu samemu się obróci i raz jeszcze stanie się tak, jak w porzekadle o „rewolucji, która zjada własne dzieci”.

Można rzec krótko i lakonicznie, iż to nie Grass pchał się na afisz, że bardziej może uniwersytetowi w Poznaniu powinno było zależeć na mianowaniu doktorem honorowym swej uczelni kogoś o niepodważalnym światowym autorytecie. Tymczasem...

Kilka słów o samej procedurze. Doktorat honorowy przyznawany jest na posiedzeniu Senatu uczelni. Stało się, iż w wyniku czerwcowych wyborów, w procesie przemian demokratycznych w naszym kraju, w skład tego ciała, prócz pracowników rektoratu, a także osób wnioskujących, weszli nadto reprezentanci organizacji studenckich, już nie formalni jak dawniej bywało. Niegdyś o osobach delegatów stanowili ci spod znaku ZSP i było po sprawie. Studenci statystowali w wyborach zawczasu dokonanych przez ludzi od nich starszych, a zatem mądrzejszych. To jednak zmieniło się. Oto w skład uniwersyteckiego Senatu weszli przedstawiciele Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NSZ), organizacji o nazwie „Młoda Polska”, przedstawiciele Związku Harcerstwa Polskiego, reprezentant samorządu studenckiego, PZPR, SD, ZNP, a także związku zawodowego „Solidarność”. Słowem — wszystkich organizacji afiliowanych przy uczelni. Wkrótce uznano, iż „czynnik polityczny” w ogóle nie będzie brał udziału w posiedzeniach Senatu. Rzecz jednak w tym, że owe organizacje studenckie i młodzieżowe właśnie takie polityczne aspiracje prezentowały w tamte, co by o nich nie rzec, rewolucyjne dni... Nie inaczej było podczas owego posiedzenia Senatu Uniwersytetu Poznańskiego w styczniu roku 1990 w sprawie przyznania doktoratu honorowego Günterowi Grassowi.

Oto w punkcie: „Kto jest przeciwko?” wstał ze swego senackiego fotela przedstawiciel Związku Akademickiego „Młoda Polska” Jacek Turczyński i na głos odczytał, zawczasu przez siebie oraz przewodniczącego Koła Akademickiego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego Macieja Srebro spreparowany dokument...

Nadanie tytułu doktora honoris causa uniwersytetu jest tradycyjnym publicznym wyrazem potwierdzenia wartości dzieła wyróżnionej osoby oraz szacunku, uznania a także poniekąd podziwu dla tej osoby. Uważamy, że Günter Grass nie zasługuje na takie wyróżnienie.

1. Günter Grass publicznie, konsekwentnie i aktywnie angażował swoją osobę i twórczość w popieranie komunizmu. I czynił to bynajmniej nie wtedy, kiedy komunizm był mało groźnym zjawiskiem intelektualnym, ale wówczas, gdy realizował masowe ludobójstwo. Popierał on komunizm w czasie, gdy jego ceną były potworne i niespotykane zbrodnie w Chinach i Kambodży. Oceny swojego zaangażowania nigdy nie zmienił.

2. Mimo tragicznych doświadczeń historii G. Grass stał się współodpowiedzialny za konsekwencje rewolucji komunistycznej, którym udzielił swego poparcia na Kubie, w Nikaragui, w Afganistanie.

3. W swojej twórczości literackiej, publicystycznej i w publicznych wystąpieniach G. Grass jest kontestatorem tradycyjnych wartości kultury europejskiej — rodziny, własności, ojczyzny, szacunku dla świętości i wolności religii.

4. Kultura europejska wypracowała uniwersalne kryteria piękna i prawdy. Dlatego m.in. pisarze popierający nazizm, których cechował dobry i interesujący styl (np. Bracillach, Hamsun) pozbawili się swoim wyborem publicznego uznania i szacunku. Ta zasada w równym stopniu dotyczy G. Grassa.

Uważamy, że pozytywne podjęcie wniosku o nadanie Günterowi Grassowi tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu im. A. Mickiewicza będzie wyraźnym opowiedzeniem się po stronie antywartości, których Grass swoim dziełem i życiem broni nie od dzisiaj. Dobre imię naszej uczelni zostanie wówczas splamione. Poznań 16.01.1990 r.

Konsternacja. Wkrótce posiedzenie Senatu w tej sprawie zostanie przełożone na inny termin, do czasu szczegółowego uzasadnienia — w postaci dowodów na wszystkie powyższe stwierdzenia — ze strony dwóch młodzieżowych organizacji. Organizacji, z których *notabene* tylko jedna — „Młoda Polska” — jest afiliowana przy uniwersytecie, druga — Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, choć formalnie jest partią polityczną (szefuje jej prof. Wiesław Chrzanowski), praw takich nie posiada.

Poznańska germanistyka formułuje odpowiedź na postawione zarzuty:

Był Günter Grass w naszym kraju — piszą germaniści z Poznania — przez przeszło dwadzieścia lat obiektem zabiegów dyscyplinujących niektórych instytucji, udanych, niestety, ingerencji cenzury oraz niewybrednych ataków części krytyki literackiej. Niepokoić musi fakt, że dzisiaj dzieło i postawa Grassa nie mogą się bronić same, że potrzebują w naszym kraju obiektywnej obrony. W przedmowie do tomu *Polskie pytania o Grassa* wydany w roku 1989 pod redakcją Marii Janion przez Klub Studencki „Hybrydy” czytamy m.in. na temat niedosłej w roku 1985 wizyty Grassa w Warszawie: „Trwało nasze oczekiwanie na Godota. Zadawaliśmy sobie pytanie, kto nie lubi Grassa w Polsce, człowieka który stał w pierwszym rzędzie za Willym Brandtem kłęczącym

przed Pomnikiem Pamięci Pomordowanych Żydów w Warszawie. Seminarium odbyło się bez Grassa, filozofa pokuty i pojednania”. Dlaczego nie ceni się serdecznego przyjaciela Polski, przeciwnika wszelkich — niezależnie od ich proveniencji — totalitarnych tendencji, autentycznie wspierającego demokratyczne przemiany w Polsce? Dawał temu Grass wyraz nieraz; w swoich dziełach literackich, w swej publicystyce oraz w swych publicznych wystąpieniach. Przypomnijmy choćby to ostatnie, z września ubiegłego roku, w gronie polskich intelektualistów: Tadeusza Różewicza, Krzysztofa Zanussiego czy Andrzeja Szczypiorskiego.

Nie sposób polemizować z zarzutami, zawartymi w piśmie przedstawicieli Związku Akademickiego „Młoda Polska” oraz Koła Akademickiego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego do J.M. Rektora i Senatu UAM. Zarzuty pod adresem G. Grassa są bowiem gołosłowne, są pomówieniami pozbawionymi wszelkiej tkanki dowodowej. Zarzut, iżby Günter Grass kontestował „tradycyjne wartości kultury europejskiej” natomiast należałoby — wedle rozumienia autorów polemicznego pisma — odnieść do wszystkich wybitnych współczesnych pisarzy europejskich. Żaden z trzech powojennych niemieckojęzycznych laureatów literackiej Nagrody Nobla na przykład, a więc Hermann Hesse, Elias Canetti czy Heinrich Böll, nie byłby wówczas godzien tytułu doktora honoris causa jakiegokolwiek polskiej uczelni.

Przyznając tytuł doktora honoris causa można narazić się na wstyd publiczny. Są tego przykłady. Ale na wstyd i szyderczy śmiech we „wspólnym europejskim domu” można się też narazić nie przyznając niekiedy tego tytułu.

Burza w szklance wody? Zasadnicza dyskusja światopoglądowa? Próba poważnego — nie tylko od strony racji artystycznych, lecz również myślowych, światopoglądowych — spojrzenia na literaturę? Nigdy dotąd owi młodzi ludzie z akademickich kręgów poznańskich nie objawili się ze swoimi zainteresowaniami literackimi. Trudno byłoby gdziekolwiek znaleźć choćby jakiś fragment ich sądu w tej sprawie. I nagle oto taka bomba, jak się zdaje podłożona przez zupełnie kogo innego...

Lecz oto swoją ocenę „sporu o Grassa” wyjawiała inna grupa poznańskiej młodzieży, skupiona, dla odmiany, w organizacji — także niedawno założonej — o nazwie „Wolność sumienia”...

Wyrażamy głębokie ubolewanie — piszą w swoim inseracie — wynikające z powodu stanowiska Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, Związku Akademickiego „Młoda Polska” w sprawie wniosku o nadanie Günterowi Grassowi doktoratu honoris causa.

Powody, dla których zdaniem powyższych organizacji Günter Grass nie zasługuje na to wyróżnienie, nie mają nic wspólnego z merytoryczną argumentacją, są natomiast jaskrawym przejawem katolicko-narodowego szowinizmu, a także pospolitej demagogii.

Zarzut jakoby Günter Grass publicznie, konsekwentnie i aktywnie angażował swoją osobę i twórczość w popieranie komunizmu, gdy jego ceną były potworne i niespo-

tykane zbrodnie, jest nie tylko bezzasadny, w żaden sposób nie dający się obronić, ale także obraźliwy dla człowieka, który swój autorytet zaangażował w demaskowanie prawdziwego oblicza totalitaryzmu i przemocy, zwłaszcza zaś hitleryzmu. Pomysł, by tego intelektualistę obarczać odpowiedzialnością za zbrodnie ludobójczych reżimów, jest absurdalny.

Nie po raz pierwszy organizacje takie, jak „Młoda Polska” i ZChN dają do zrozumienia, że tylko one wiedzą najlepiej, co stanowi wartość w kulturze. Stanowisko przez nie przedstawione swoją arbitralnością i nietolerancją przypomina do złudzenia doktrynę „jedynie słusznego światopoglądu”, jakby się zdawało dostatecznie już skompromitowaną. Nie przewidują one tolerancji dla odmiennych poglądów, domagają się m.in. kastracji literatury w imię rzekomo niepodważalnych „tradycyjnych wartości kultury europejskiej”. W ich oświadczeniu pobrzmiewają tony stalinowskiej propagandy lat pięćdziesiątych.

Zdecydowanie protestujemy przeciwko żądaniu ZChN i „Młodej Polski”, które przez swój brutalny napad na Günтера Grassa postawiły się w jednym szeregu z tymi, od których oficjalnie się odcinają.

Uważamy wystąpienie to za część bezsensownego, rozpętanego ostatnio przez niektóre siły politycznego „polowania na czarownice”. Sądzymy, że uległość wobec ich żądań doprowadzić może w konsekwencji do ukształtowania się w Polsce ustroju dyktatury światopoglądowej.

Telewizyjny „Teleexpress” już nazajutrz po ukazaniu się tego oświadczenia — a jest to audycja oglądana w Polsce przez miliony widzów — skonstatował lakonicznie, jak to w jego stylu:

W Poznaniu trwa spór o Güntera Grassa. Młodzież spod znaku „Młodej Polski” oraz Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego uważa Grassa za zwolennika ustrojów totalitarnych. Inna część młodzieży poznańskiej jest zdania, że Grass jest uosobieniem antytotalitaryzmu...

Postanowiłem pojechać do Poznania, ażeby na miejscu zapoznać się z istotą tego „sporu o Grassa”. Udałem się bezpośrednio do samych zainteresowanych.

- Pan Maciej Srebro? — spytałem przez telefon.
- Słucham pana.
- Chciałbym umówić się na spotkanie w sprawie doktoratu Grassa.
- Zaraz wyjeżdżam.
- Może więc porozmawiamy przez telefon?
- Proszę bardzo.
- Co pan studiuje?
- Prawo. Jestem studentem V roku. Pracuję na uczelni.

— Dwa słowa o organizacji, którą pan reprezentuje.

— Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe jest partią polityczną. Taki posiada status formalny. Ja jestem szefem koła akademickiego tej partii, której władzami naczelnymi kieruje pan prof. Wiesław Chrzanowski.

— Co wywołało waszą reakcję na propozycję przyznania doktoratu Günterowi Grassowi?

— Bezpośrednią przyczyną były publiczne wypowiedzi Grassa na łamach zbliżonego do Kongresu Liberalów drugoobiegowego „Przeglądu Politycznego”, jego poglądy polityczne tam prezentowane. Tam oraz na jednym z ostatnich publicznych spotkań, jakie Grass odbył na jesieni w Gdańsku [chodzi o konferencję prasową, która odbyła się w Ratuszu Głównomiejskim w Gdańsku, na którą przybyła także gromadka gdańskich „młodych wściekłych”, indagująca wówczas Grassa o sprawę Nikaragui — R.C.].

— Jego poglądy na co?

— Na wiele dziedzin. Odróżnienia wymaga tutaj sfera spraw literackich od politycznych.

— Jeżeli literackich, to w których czy do których utworów i jakie macie panowie uwagi?

— Uważamy, że pisarz powinien strzec pewnego etosu. Dla mnie ów etos, z którym się utożsamiam, wyrasta na podłożu etyki katolickiej. Na gruncie wartości rodziny, uznania własności, sacrum. Nie uważamy, że burzycielom tych wartości należy dawać doktoraty.

— Z na ile dokładnej znajomości utworów Grassa wyprowadzacie panowie swoje wnioski?

— Nie przeczytałem, rzecz jasna, wszystkich książek Grassa. Znam jedynie *Kota i mysz* oraz *Błaszany bębenek*. Już jednak w tych jego książkach dostrzegam pewnego rodzaju atak, próbę obrażania wartości, które są bliskie w moim i kolegów życiu. My w swoim myśleniu o literaturze obracamy się w sferze wartości sformułowanych przez książki Jean Francois Revela oraz Ernsta Jüngera. Stoimy na gruncie wartości przez tych pisarzy sformułowanych.

Druga sfera spraw to polityka. Jest taki mit, że Grass, zakazany przez komunistyczną cenzurę, tym samym niejako otoczony być powinien nimbem niemal świętości. O ileż bardziej od Grassa przemawia do nas w swym myśleniu Henryk Krzeczkowski, autor książki *Po namyśle*. Postawę Grassa utożsamiamy z wyborami Jean Paul Sartre'a, który jechał zachwycać się Związkiem Radzieckim. To nie jest bez znaczenia, że pisarz o światowej sławie wypowiada się publicznie, i to przychylnie, o rewolucji w Nikaragui. Nie mam jednak nic przeciwko temu, ażebyśmy umówili się na bardziej akurataną rozmowę w tej sprawie.

Wyraziłem zgodę. Do spotkania w pierwszym umówionym terminie nie doszło. Mego interlokutora zatrzymała awaria samochodu, którym miał na nie przybyć. Doszło zaś do spotkania w kawiarni „Sukiennicza” na poznańskim rynku. Z duetu Srebro—Turczyński przybył jedynie ten pierwszy. Stały korespondent pisma „Młoda Polska”, ukazującego się wówczas w Gdańsku, na to spotkanie się nie stawiał.

— Bardzo jestem zaniepokojony nieobecnością mego kolegi — zauważył już na wstępie naszej rozmowy, która z konieczności musiała być powtórzeniem racji przekazanych już uprzednio przez telefon — szef akademickiego ZChN.

— Osoba Grassa — usłyszałem — jest to przykład na to, że angażowanie się w popieranie komunizmu wpływa w jakimś stopniu na ocenę działalności pisarskiej danego człowieka, w tym przypadku Grassa. Pisarz po prostu ponosi w takich wypadkach większe od innych ryzyko. Jest też dla mnie jasne z lektury jego książek, iż kontestuje on model rodziny chrześcijańskiej. Rolę małżeństwa, powołanie do życia. Prosiłbym jednak, ażeby moje sądy tu wygłaszane traktowane były w sposób wyłącznie opisowy. Nie chciałbym wnikać w życie osobiste Grassa, mnie ono nie interesuje, za to bardzo obchodzi mnie, jaki model rodziny wspiera on pisarskim talentem w swoich książkach. Otóż uważam, że nie jest to model, który z mego punktu widzenia wart jest poparcia i upowszechnienia.

— Jak jednak rozumie pan ową „własność”, o której mowa jest w waszym dokumencie?

— Z punktu widzenia metafizycznego jest to coś, co kształtuje osobowość, co pozwala dzieciom stawać wobec historii przy wyposażeniu ich w świat pewnych wartości.

— Pada też w waszym dokumencie pojęcie „ojczyzny”...

— Grass jest zdecydowanym internacjonalistą, z czym również się nie zgadzamy.

— „Szacunek dla świętości”...

— Kiedy właśnie Grass nie wykazuje owego szacunku.

— „Wolność religii”...

— Jesteśmy zdania, że Grass jest przeciwnikiem wolności religii.

— Jedno już tylko na koniec pytanie: czy uważa pan, że wniosek organizacji studenckich ZChN i „Młodej Polski” Senat UAM uwzględni?

— Nie. Uważam, że zostanie on odrzucony. Wierzę jednak, iż w wyniku tej sprawy, jej zaistnienia, zacznie się jakiś ruch myśli, jakaś publiczna dyskusja — a tak bardzo nam ich brakuje — wokół wartości w życiu oraz w literaturze zasadniczych. Tak, byśmy w swym zachwycie dla literatury jako takiej tych zasadni-



czych wartości z oczu nie stracili. Nie tylko bowiem politykom, także i pisarzom, zwłaszcza tym o światowej sławie, należy patrzeć na ręce, zaglądać na karty ich książek bez owego cięłego zachwyty, towarzyszącego zazwyczaj odbiorowi literatury.

W niecałe dwa tygodnie później, co może nie ma zbyt istotnego znaczenia dla poznańskiego sporu o Grassa, w Nikaragui, którą niegdyś w gronie kilkorga intelektualistów europejskich odwiedził był Günter Grass, dokonała się swoista pokojowa rewolucja wyborcza, w wyniku której sandiniści z Ortegą na czele w demokratycznych wyborach oddali władzę — już występując po cywilnemu — ugrupowaniom opozycyjnym pani Chamorro. Owe wydarzenia mimowiednie uczyniły pokazną część polemiki wokół osoby Grassa nieaktualną. Żywa pozostała część druga. Tak zwana „sprawa Grassa”. Wstydliva, żenująca, groteskowa. Odsyłająca do jak najbardziej historycznych, zdawałoby się, polemik Boya sprzed ponad pół wieku. Świadcząca, że polski zaścianek jest nieśmiertelny. Co zaś tyczy się samego honorowego doktoratu, to został on jednak Grassowi przyznany.

(1993)

## Grass i Rushdie

To już drugi list Güntera Grassa do autora *Szatańskich wersetów*. Pierwszy opublikowały swego czasu „Zeszyty Literackie”. Już wówczas Grass składał hołd męstwu, odwadze, bezkompromisowości swego kolegi po piórze. Teraz — fragmenty drugiego listu, wolno mniemać spore, opublikowała „Gazeta Wyborcza” z 11-12 kwietnia 1992 r. — uczynił podobnie. Znów w jego słowach po-brzmiewała nutka patosu. Najwyraźniej ulubił ją sobie odkąd pióro prozaika oraz poety, rylec grafika, dłuto rzeźbiarza zastąpiło mu pióro publicysty. A że i w tym warsztacie czuje się nad wyraz swobodnie, jego słowa zaciekawiają, intrygują, wręcz porywają. Dokąd?

Przyjrzyjmy się fragmentom tego listu do przyjaciela od lat paru pozostającego w odosobnieniu, w ukryciu, w czymś w rodzaju balonu ochronnego, jaki nad Salmanem Rushdiiem rozciągnęli Brytyjczycy. Rząd Jego Królewskiej Mości, który poczuł się w obowiązku chronić swego niegdyś podopiecznego.

My, Niemcy, dobrze wiemy, czego należy się wystrzegać, a co w danej chwili jest dla nas korzystne — zaczyna Grass swą epistołę, rodzaj listu otwartego, który zapewne ma być i jest słyszalny, co tu kryć, w całym cywilizowanym świecie. — Nasza pozycja to Europa — ciągnie Grass tonem, jak to w jego stylu, z lekka prześmiewczym. — [...] Jak więc mogą być traktowane w oczach naszych faryzeuszy skargi jakiegoś hinduskiego pisarza, który w dodatku sam się wpakował w sytuację, trzeba przyznać, fatalną?

Dalej jest już całkiem poważnie. Padają słowa: „Mimo wszystko, Salmana, nie jesteś sam”. W ten sposób wspiera Grass swego bodaj nie tylko kolegę, bo przyjaciela, po niekonwencjonalnym piórze.

Z pewną dezynwolturą poczyną sobie Grass z osobą Jezusa. Dla wydobycia efektu porównawczego o skali wręcz niewyobrażalnej, konfrontuje postawę Rushdiego z „młodym, trzydziestokilkuletnim człowiekiem z Nazaretu”, z „łagodnym buntownikiem”, z „rozsierdzonym wykidajłą ze świątyni”, z „opozycjonistą uczonym w pismach”, z „rewolucyjnym podżegaczem zamkniętym w kościołach”.

Posuwa się Grass do opisu konfliktu irackiego jako zjawiska oswobodzonego z historycznego i militarnego kontekstu, tak jakby ktoś uprzednio podpalwszy kuwejskie szyby naftowe nie miał zamiaru podpalić świata całego. Wypreparowuje swoje myśli. Epatuje obrazem żołnierza chorwackiego, wieszającego bombki (tak naprawdę granaty) na świątecznej przyfrontowej choince. Nazywa go wręcz swoim i Salmana Rushdiego bratem. W czymże to? W niewczesnym pacyfizmie o co od dawna Grassa podejrzewaliśmy? W anarchizmie? Zapewne również.

Bo oto Salman Rushdie napisał rodzaj skargi pt. *Tysiąc dni w balonie*. Grass zaś przychodzi, stara się przyjść, autorowi *Szatańskich werwetów* w sukurs. I czyni to, jak zawsze, z pasją, z wyobraźnią.

Cóż, nie przyjechał Günter Grass do Gdańska na moment ekshumacji zwłok oraz pogrzebu ofiar hitlerowskiego szaleństwa w tamtym pamiętnym wrześniu. Nie przyjechał do swojego Gdańska, mimo że był w nim oczekiwany tego dnia jak mało kto. Zawarł wszak na kartach swojej powieści arcydzieła *Błazanego bębenka* obraz, jakże sugestywny, obrony Poczty Polskiej w Gdańsku. Tego zaś wczesnokwietniowego dnia roku 1992 grzebano 38 rozstrzelanych przed ponad półwieczem na Zaspie. Zaś pośród tych pocztowców był także wuj Grassa, Franciszek Krause, poczmistrz rodem z podgdańskiego, kaszubskiego Klukowa oraz Bysewa.

Dlaczego nie przyjechał? Nie było mu po drodze? Wątpić należy. Do Gdańska jest Grassowi po drodze zawsze. Jak po wielokroć było uprzednio. Rzecz w tym, iż na kartach swojej powieści Grass zawarł obraz obrony tejże Poczty dość swoisty, metaforyczny, wręcz obrazoburczy dla wielu. W każdym razie naruszający ich poczucie dobrego smaku czy wręcz osobistej godności. Otóż kazał pocztowcom w trakcie jej obrony grać — ni mniej ni więcej — w skata. Patos historii przełamał — zdawało Mu się, iż miał do tego prawo jako artysta — zwykłością, rodzącą skojarzenia iście surrealistyczne. A gdy się to ujrzało w sposób zmaterializowany na filmie Volkera Schlöndorffa, odnosiło się wrażenie obrazoburczości bodaj jeszcze bardziej wyrazistej.

Tyle że Grass upodobał sobie nakluwanie rozmaitych balonów. Balonu nazistowskiego chamstwa, próżności i podległości. Balonu hitlerowskiej buty. Balonu domowego prostactwa, w jakim sam był się wychował w scenerii *Heil Hitler* i hitlerowskich ubiorów na odświętne okazje.

Bywa, co tu kryć, blasfemiczny, świętokradczy. Lekceważąco poczyna sobie z kultem Matki Boskiej Częstochowskiej. Nic dziwnego, iż pisarz, który podobnie poczynał sobie z Mahometem, jest mu jakoś tam bliski. Czuje się z nim intelektualnie spokrewniony. Skłonny jest wizję świata wyobrażoną przez innych — wielomilionowe rzesze Arabów — nazywać „ograniczoną” i „absolutną”. Sugeruje, iż światopogląd tego rodzaju był Salmanowi Rushdieemu narzucony i podany do wierzenia, a gdy ten przeciwko temu zaprotestował w sposób, w jaki uznał za stosowny — piórem śmigłym, błyskotliwym — staje, po raz kolejny, w obronie pisarza.

Zapewne jest to rodzaj „pokrewieństwa z wyboru”, jak zatytułowano w „Gazecie Wyborczej” głosy dyskusyjne w sprawie Salmana Rushdiego.

Twierdzę, iż nie można nie czytać *Szatańskich wersetów*. Nieznajomość tej książki niczego nie usprawiedliwia. Nie można też nie czytać *Błaszanego bębenka czy Turbota*, przed tłumaczeniem którego w całości na język polski — właśnie z powodu owych akcentów anty-Maryjnych — wzbraniają się dziś, gdy już można Grassa przekładać oraz wydawać, czołowi polscy tłumacze. Nie chcą, nie chcieli już przed paru laty, i bodaj poglądów swoich w tej materii nie zmienili i jeszcze długo nie zmienią.

Pomiędzy uczuciami religijnymi a religijnym fanatyzmem istnieje głęboka przepaść. Pierwsze — zrodzone są z arcydelikatnej tkanki uczuć intymnych, z obcowania z Bogiem, z prawdą objawioną. Drugie — mają swoje źródło w zachowaniach fanatycznych, stadnych, mających na podporządkowaniu aparat przemocy i represji, policję, wojsko, zastępy zwykłych bandziorów przebranych w sędziowskie togi.

Czytam, że Günter Grass wystąpił w roku 1978 z Kościoła katolickiego. Stał się osobą niewierzącą. I jak najbardziej wolno mu tak było uczynić. Widocznie miał po temu sobie wiadome powody. Jak ma powody trwać przy Kościele jego rodzona siostra Wiltraut.

Bodaj jednego nie wziął Günter Grass pod uwagę w chwili, gdy — mając lat 28 — przystępował do pisania swej debiutanckiej powieści: mocy swego pióra. Mocy swego pióra nie wziął pod uwagę zapewne również Salman Rushdie. Siły swoich słów, ich nośności i potęgi oddziaływania.

W kraju katolickim, jakim w zdecydowanej przewadze jest Polska, tolerancja myślenia innego niż własne jest znaczna. Osobiście wręcz nie pamiętam —

prócz kilku głosów wyraźnie koniunkturalnych, podyktowanych doraźną potrzebą polityczną — ataków na osobę czy też dzieło Grassa z powodu ukazywania kultu Maryjnego w daleko innej postaci od tej zalecanej przez Kościół katolicki.

Grassowi się upiekło, gdyż jego głos nadszedł z daleka, z zachodu, biegł na wschód w stronę kraju wówczas programowo laickiego, zarazem opozycyjnie wobec tych struktur oficjalnych usposobionego. Z Rushdiem całkiem inna sprawa. On rewiduje mahometanizm niejako od środka. A ponadto czyni to bez owej artystycznej, formalnej osłony. Bez owej swoistej wizyjności, cechującej wszelkie utwory prozatorskie Güntera Grassa.

I dlatego, jak sądzę, nie należało czynić przedwielkanocnych porównań Rushdiego do postaci Chrystusa. Chrystus bywał kamienowany, Rushdiego niektórzy też mają zamiar ukamienować, lecz chyba jednak nie z tego samego powodu...

(1993)

## Błaszany polityk

Temperament polityczny czy wręcz pasję polityka przyszyły autor *Błaszanego bębena* przejawiał odkąd wchłonął w siebie to wszystko: obraz płonącej z hitlerowskiego podpalenia gdańskiej synagogi. To, że jako dziecko prawie, wcielony został do oddziałów pomocniczych Luftwaffe. I jeszcze ten czas, gdy z chwilą wejścia Amerykanów znalazł się w obozie przejściowym przez nich urządzonym.

Z opowieści rodzinnych, gdańskich, lecz i kaszubskich, powziął zapewne ową niechęć do wyzwolicieli w mundurach z czerwoną gwiazdą, owych gwałcicieli oraz grabieżców jego miasta. To miasto bowiem, nie bacząc na jego skomplikowaną historię, wielowarstwowy i wielonarodowościowy skład (Niemcy, Polacy, Żydzi), zwycięska Armia Czerwona potraktowała wyłącznie jako gniazdo pangermanizmu oraz miejsce, w którym rozpętana została II wojna światowa. Hasło „Bit’ Germańca”, „Śmierć faszystom” wykwitło wówczas na murach tego jego miasta. Dla niego zaś było jedną z pierwszych, pobieraną na żywo lub przekazaną mu w rodzinnym przekazie później nieco, lekcją historii. Historii pojmowanej jako pasmo udręk, gwałtów, mających swe prawdziwe źródło w nadrzędnym przekonaniu wodzów państw i narodów o ich kreacyjnej roli w historii, o ich misji dziejowej. Z jednej strony — obrony przed skośnooką barbarzyńską Azją, z drugiej — walką z faszyzmem i narodowym socjalizmem.

Bardzo wczesnie zetknął się Grass z dwoma największymi totalitaryzmi XX wieku. Odczuł wręcz ich działanie na sobie. Wmieszały go bowiem w odmet wojny. W dzieło zniszczenia młodości jego i sąsiednich pokoleń. Doszczętnego zburzenia (naloty dywanowe, podpalenia) całych miast.

Jeden totalitaryzm — uosobiony w Rosjanach — wypędzić go miał po wsze czasy z jego miasta. Drugi — wymyślony przez jego współziomków — sprawił owo nieszczęście ludzi takich jak on: wyzutych z nagła ze wszystkiego co posiadali, zmuszonych do przesiedlenia. Do wędrówki całych narodów o z górą tysiąc kilometrów w kierunku zachodnim.

O wiele bardziej ambiwalentny stosunek aniżeli do Rosjan (Ukraińców, Uzbeków, Kazachów) objawia Grass do Amerykanów. Niechęć do nich powziął mógł w roku 1945, gdy po upadku hitlerowskiej Rzeszy znalazł się — czy mógł wówczas przypuszczać, iż los mimo wszystko okazał się dlań łaskawy? — w obozie jenieckim nadzorowanym przez owych „Amies”. Pewnie objawiali mu się wówczas jako butni zwycięzcy, odrobinę być może prostaccy, nie nazbyt patyczkujący się z pokonanymi. Doznać mógł wówczas Grass niejednego upokorzenia, które sobie zapamiętał na wszystkie czasy. Nigdzie, jak na razie, na kartach żadnej ze swych książek — może dopiero taka powstanie? — nie zawarł Grass wspomnień z tamtych lat, pełnych zapewne surowych, wręcz srogich przeżyć. Nie napisał jak dotąd, w sposób szczegółowy, o tym co wtedy przeżywał. I jak pod wpływem ówczesnych przeżyć odmieniało się jego spojrzenie na stosunek Rosjan wobec Amerykanów (zimna wojna), pozostających w politycznym, nierzadko pełnym przejawów nieskrywanej wrogości, dystansie. Było tak, jak gdyby Plan Marshalla oraz jego zbawienne dla RFN skutki niczego nie zmieniły w niechęci Grassa do armii okupującej jego kraj. Oni wszak pozostali. Nie brakowało ich w jego Berlinie, w Wiesbaden, w tylu innych miejscach narodzonego z rozmaitych Bizoni oraz Trizonii kraju. Także i ów cud gospodarczy sprokurowany przez kancleza Ludwiga Erharda, nie do pomyślenia bez ingerencji Amerykanów, nie był w stanie odmienić owego niechętnego stosunku Grassa do najważniejszego z czterech okupantów. Nic dziwnego, iż swą niechęcią ścigać ich będzie hen do... Nikaragui. Twierdzę wręcz, że w tle akcesu do zachodnioniemieckiej socjaldemokracji pozostaje u Grassa jego stosunek do Amerykanów. Do rodzącego się „drapieżnego kapitalizmu” w wydaniu niemieckim. Do tworzącej się w szybkim tempie „arystokracji pieniądza”. Lecz także, a może nade wszystko, do owych politycznych hegemonów uosobionych przez światowego potentata — USA. To się w Grassie zaczęło w owym roku 1945, gdy przebywał w amerykańskim obozie jenieckim...

Potem, w 1958 roku, była wyprawa do Gdańska. Do „jego” Gdańska, miasta, które w międzyczasie zmieniło właściciela oraz zarządcę. Lecz, które wznosiło się z ruin w arcyszybkim tempie, czego nie dostrzec nie był w stanie, za co był wdzięczny nowym jego gospodarzom. Nawet gdy ci nie we wszystkim przypadli mu do gustu, a ich rodowód był komunistyczny. Jak napisał później: „Wdychałem w nozdrza zapach Motławy, w Bibliotece Gdańskiej kartkowałem rocznik «Danziger Vorposten», spacerowałem po cmentarzu na Zaspie”.

To, iż właśnie nacjonalistycznie usposobione czasopismo brał wówczas do ręki, to a nie inne uważnie wówczas wertował na potrzeby swej pisanej wówczas książki (*Blaszanego bębenka*), wynikało zapewne z przyjętego zawczasu założenia, iż właśnie w nacjonalistycznym zwierciadle najłatwiej będzie jemu samemu oraz jego narodowi się przejrzeć. To właśnie pismo bardziej od innych przylegało do ogólnonarodowych usposobień wynikłych z epoki Hitlera.

Docierał wówczas — ileż w tym było przekory — do ocalałych z wojennej pozozi gdańskich pocztowców. Wdawał się z nimi w wielogodzinne dyskursy, prowadzone na isticie surrealistycznym, bo komunistycznym tle. Oto on, przesiadleniec z Gdańska, on Niemiec, sympatyk już wówczas zachodnioniemieckich socjaldemokratów, w kraju zwanym podówczas Polską Rzeczpospolitą Ludową rządzoną przez komunistów, rozmawia z pozostającymi na głębokim społecznym marginesie obrońcami Poczty Polskiej w Gdańsku z roku 1939. Z pocztowcami, których miało oficjalnie nie być. Którzy mieli zostać co do jednego rozstrzelani na Zaspie, teraz zaś nagle — we trójkę? w czwórkę? — zmartwychwstali. Wbrew wszystkim oraz wszystkiemu. Wbrew oficjalnej propagandzie, która z jednej strony gloryfikowała bohaterski czyn gdańskich obrońców, stawiała im pomniki, ulicom, placom nadawała ich imiona. Z drugiej jednak nie umiała sobie poradzić z tymi żyjącymi. (O fizycznych szczątkach ofiar rozstrzelania nie wspominając. Te zostaną odkopane... spychaczem dopiero w roku 1992 w trakcie robót budowlanych).

Grass, wówczas już dojrzały, bo niespełna trzydziestoletni mężczyzna, z miejsca pojął całą groteskowość tej sytuacji. Nie musiał jej nazbyt podkolorowywać. Ona sama jawiła mu się jako taka. Starczyło, iż na powojenną polską rzeczywistość, ale i na niemiecką przedwojenną oraz tę wojenną, spojrzął pod pewnym kątem.

Jakże odległą była wówczas droga od ironicznego prześmiewcy do roli sumienia narodu. Od artystycznego indywidualisty do nieomal narodowego sym-



bolu. Na to miano człowiek zapracowuje całym swoim — rasowego *homo politicus* — życiem. Dopiero wówczas można pretendować w pełni do roli moralisty. Tego, który wskrzesza podstawowe racje moralne, utracone w zamęcie historii. To wtedy, z początku zapewne w akcie narodowej i osobistej ekspiacji, złoży akces do SPD. Stanie się jednym z najbardziej zawziętych agitatorów. Te jego zdjęcia, jak na jednej z ulic Berlina Zachodniego rozdaje ulotki propagandowe, jak wręcza przypadkowym przechodniom egzemplarze pisma-organu tej partii. Wydawałoby się, iż powinien mieć serdecznie dość wszelkiej partyjności. Jednak nie. Staje się współtwórcą nowych, tych prawdziwie demokratycznych, Niemiec. Dokonuje wyboru na niemal całe swe dorosłe życie. Ma, co trzeba mu przyznać, przewodników niezgorszych. W osobach kanclerza (uprzednio burmistrza Berlina Zachodniego) Willy'ego Brandta. W osobie gdańszczanina, jak i on sam, Horsta Ehmkego. Pierwszy z tego duetu zwłaszcza bardzo się Grassowi przysłużył. Był jego inspiratorem oraz natchnieniem. Wziął go ze sobą do Polski w roku 1970, dla podpisania traktatu pokojowego pomiędzy RFN oraz Polską. Nic, że tą komunistyczną, innej wówczas nie było na mapie świata. Układ jednak ważył wielce na wewnątrz europejskich stosunkach. Na odprężeniu, na zbliżeniu wzajemnym wrogo dotąd (z nakazu Kremla oraz Białego Domu) usposobionych względem siebie państw oraz narodów, na co dzień sąsiedzkich, nawet jeżeli przedzielonych Murem Berlińskim i kordonem niechęci państwa o nazwie NRD.

### 3

Uderzenie w Grassa było frontalne. „Szczekającym pinczerkiem” nazwał go faktyczny autor zachodniemieckiego cudu gospodarczego kanclerz Ludwig Erhard. Franz Josef Strauss również się po nim przejedzie. Nieskrywaną antypatią obdarzać go będzie kanclerz RFN Kiesinger — z natychmiastową wzajemnością w każdym z tych przypadków. W jednym z miast, w Bremie, nie zostanie mu wręczona przyznana uprzednio przez kompetentne jury nagroda literacka. W innym mieście zostanie publicznie znieważony. W kraju rządzonym przez chadeków, dużo bardziej zdecydowanych w wyznawaniu poglądów oraz zaciekłych w ich objawianiu, owa okoliczność musiała nadać pisarzowi ostrości w myśleniu oraz w formułowaniu osądów. Tym bardziej że i myślał zgoła inaczej w wielu kwestiach wewnętrznych oraz zewnętrznych, a jeszcze obdarzony został niemalym temperamentem publicystycznym i politycznym. Wet za wet. Polemika za polemikę. Dyskredytacja za dyskredytację.

Nie przebierze się za Turka i nie uściśnie dłoni Franza Josefa Straussa na jednym z *Bierntagów*. Kostium okaże mu się zgoła niepotrzebny. Wszelka maska oraz pozór. Wszelkie przebranie. I szminka polityczna także będzie mu zbędna. Nie przyklei sobie sztucznych rzęs. Nie uczyni swego wzroku bardziej wyrazistym poprzez dodanie oczom kolorków czy też cieni. Policzków sobie różem nie przyprószy. Min oraz dąsów żadnych robić przy tym nie będzie. Uderzać będzie od frontu. Jako wysunięta ku przodowi szpica zachodnioniemieckiej socjaldemokracji.

To mogło rodzić u inaczej myślących oniemiaenie z początku, a zaraz potem wściekłość.

#### 4

Choć przecież do SPD wówczas jeszcze nie należał. Nie był członkiem tej wprawdzie pozostającej w opozycji wobec CDU, później zaś rządzącej w RFN partii. Nie chciał do niej wstąpić zwłaszcza wtedy, gdy mógł zostać posądzonym o nadmiar politycznego (i życiowego) koniunkturalizmu. Przyjaźnił się, owszem, z burmistrzem Berlina Zachodniego Willym Brandtem. Tym reemigrantem z Norwegii. Aktywnym uczestnikiem antyhitlerowskiego podziemia w tym kolaborującym z III Rzeszą państwie. Trzeba znać trochę nastroje towarzyszące ludziom o tego rodzaju biografii. Nie „umocnym” w faszyzm, w nazizm, w hitleryst. Jeśli więc Grass wybrał sobie za najbliższego przyjaciela kogoś o tego właśnie rodzaju biografii politycznej, i jeśli wyboru *Aussiedlera* w osobie Grassa dokonał Willy Brandt, nie mogło to być bez znaczenia oraz różnorodnych konsekwencji. Zarówno psychologicznych, jak też *stricte* politycznych.

Tak więc przyjaźń ta zaowocować miała niejedną ważną rzeczą i wydarzeniem istotnym w życiu obu tych wielkich postaci. Wspólnym przedwyborczym wiecowaniem. Owymi objazdami salonką obszaru całej niemal Republiki Federalnej, co w sposób jakże plastycznie przedstawił później Grass na kartach *Z dzien- nika ślimaka*. Rozjazdami od Bawarii po Szlezwik-Holsztyn. W trakcie tych podróży, tego ich obu wiecowania, w ogniu zadawanych im pytań i formułowanych *a vista* odpowiedzi, był czas na niejedno przemyślenie. Na konkretyzację niejednego sądu oraz osądu. Na pełne wykrystalizowanie się wzajemnych postaw i stosunku do siebie obu działaczy politycznych.

Później przeto, w gorączce, trochę pospiesznie, trochę nie w jego stylu napisał ową książkę. Rodzaj dziennika, ale i osobistej spowiedzi. Rodzaj rachunku sumienia czynionego z samym sobą, ale i z całym pokoleniem. Ba, z całym narodem i z jego myślową spuścizną. *Aus dem Tagebuch einer Schnecke (Z dziennika ślimaka)* napisana w formie rozmowy z synem Raoulem stała się czymś w rodzaju politycznej agitki, plakatu reklamowego jego partii. Ludzi takich jak on, myślących o swoim kraju, o swoim narodzie. Tytułowym „ślimakiem” — chyba przez kokieterię — zostanie sam Grass. Będzie nadto w tej książce sporo o losie Żydów gdańskich. I tych zamieszkałych w Kartuzach, Wejherowie, Kościerzynie, w podgdańskich okolicach. O ich hekatombie. To gwoli przedwyborczego przypomnienia z jakich racji — narodowo-socjalistycznych — wzrósł niegdyś faszyzm oraz nazizm. Gwoli ekspiacji oraz rozliczenia z własną oraz narodu spuścizną.

*Laustenausgleich* — słowo wzięte z tytułu jednej z jego najnowszych książek — oznacza w oryginale tyle co „odszkodowanie”. Odszkodowania powojenne. W słowniku polsko-niemieckim — w jego polskim wydaniu — odnajduję w sąsiedztwie tego słowa króciutkie, jakże wiele mówiące objaśnienie: RFN, umieszczone w nawiasie. Tak jak gdyby do jakiegoś słowa istniejącego realnie, dało się przypisać jedną tylko państwową strukturę. A jeśli, dajmy na to, przy słowie „odszkodowanie” inna ręka umieści słowo „Rosja”? Rzecz to nie do wyobrażenia? Jak długo jeszcze? Bo na odszkodowania płynące z innych państw jeszcze wówczas, w chwili powstawania tamtego słownika, pora jak gdyby stosowna nie nadeszła. W podtytule Grass umieścił gniewne: „Przeciwko tępemu nakazowi jedności...”.

To w niej, w owej wysilonej upozorowanej jedności dostrzegał Grass praprzyczynę wszelkiego zła w historii Niemiec. W tej jedności na siłę. Wykoncy-powanej w grach sztabowych tępym żołdaków o oficerskich (hochoficerskich) szlifach. On — manifestacyjny zwolennik wszelkiej różnorodności, wielorakości, rodzajowości (w tym, a jakże i tej kaszubskiej, a więc samoswojej poniekąd, i tej gdańskiej). Admirator wielości form i kształtów rzeczy, miłośnik zawzięty owych „małych ojczyzn”, poszczególnych państw niemieckich, krain (WestPreussen, OstPreussen), miast-państw w sposób wręcz demonstracyjny, przeciwstawiał się tej narzucanej mu na siłę jedności. Od czasów Bizonii oraz Trizonii przeciwny był restytucji potęgi wynikającej z wszelkiej konsolidacji sił i środków. Zbyt dobrze znał historię najnowszą, nade wszystko zaś dzieje obu Rzesz Niemieckich.

A że miał przywilej patrzenia na wszystko z wysuniętej daleko na wschód gdańskiej flanki, tym ostrzej widzieć mógł istotę tego zjawiska. Jego wszelkie ograniczenia i niebezpieczeństwa. Nabrać musiał stosownego dystansu do wewnętrzniemieckich sporów i kontrowersji. „Gdańska optyka”. Takim mianem można by określić wektor politycznego myślenia Güntera Grassa.

7

Przyjdzie mi teraz odszukać ten najpierwszy głos Grassa w publicznej sprawie. Głos brzmiący od razu jakże doniośle: ów list otwarty do Anny Seghers. Pełen rewerencji dla autorki *Siódmego krzyża*. Głos protestu przeciwko radzieckim czołgom (daleko nie miały, wyszły z koszar ulokowanych w tym mieście) na berlińskich ulicach w roku 1961, a więc na krótko przed wybudowaniem pod osłoną nocy berlińskiego muru, który w sposób jakże brutalny przedzielił miasto Grassa, miasto Alfreda Döblina, autora przez Grassa ulubionego zwłaszcza za jego *Berlin Alexanderplatz*, uznawanego wręcz za mistrza w piśmie, jakże berlińskiego pisarza. A było to nadto miasto Frau Anne. „Dziś niebezpiecznie żyć w Państwie i nie można tego państwa opuścić” — napisze w tym liście.

Miasta, którego nie można opuścić, którego opuścić nie sposób. I miasta, które opuścić trzeba było gwoli historycznych rozstrzygnięć — wbrew swojej woli. Duet pisarzy w sytuacji bez wyjścia. W sytuacji nie przez nich samych nakazanej. Powstałej z woli faktycznych kreatorów historii. Gdańsk i Berlin. Berlin oraz Gdańsk. Miasta jakże różne i jakże podobne zarazem. Miasta dziesiątkami lat frontowe. Miasta podpalane i burzone niemal w całości. Miasta, które miały szczęście do pisarzy, którzy je literacko uwznioślili i unieśmiertnili zarazem. (Był nadto pisarz, nazywał się Witold Gombrowicz, autor *Berlińskiego notatnika*).

8

Jakże dziwne są ówczesne przemówienia Grassa. Jak choćby to wygłoszone w trakcie kampanii wyborczej w roku 1965. Zaczyna je wiersz, poemat niedłwie. *Gdzie Niemiec ma ojczyznę swą?*. Z sarkazmem konstatuje, iż ma ją tam „gdzie każdy Francuz znaczy wróg. A każdy Niemiec znaczy druh”.

Co się zaś tyczy tych prowincji — zauważy wówczas po raz pierwszy z taką mocą — Śląsk, Pomorze, Prusy Wschodnie [Warmia, Mazury oraz Królewiec/Kaliningrad, to gwoli przypomnienia młodszym czytelnikom — R.C.] — to ja, czyli ktoś, kto stamtąd po-

chodzi, mogę tylko ze zgrzytaniem zębów i bijąc się w pierś powiedzieć prawdę: przepuściliśmy te prowincje, przegraliśmy je, straciliśmy je rzucając wyzwanie światu.

9

Czyż mógł się Grass podobać komukolwiek myślącemu inaczej niż on o politycznych oraz historycznych sprawach? I czyż mógł wyrosnąć na wieszczka, na „Goethego naszych czasów” ktoś, kto nie owijał w bawełnę prawdy? Kto karcił, łajał, miotał przekleństwa pod adresem własnego narodu? Kto bluźnił, znieważał, ujawniał kłamstwa i niedopowiedzenia, przeinaczenia i przejęzyczenia, kto szydził z cynizmu i dwulicowości?

W roku 1967 w bońskim klubie prasowym Grass wygłosił przemówienie, w którym, już po śmierci Adenauera, wytykał niedawnemu kanclerzowi przedwczesną chęć ponownego zjednoczenia. Nie krył pisarz, iż źle mu się owo „zjednoczenie” kojarzy. Posunął się wręcz do twierdzenia, iż dostrzega korzyści płynące z faktu rozdziału Niemiec.

Kto wie, może mylił się Grass wówczas? A może nie mylił się wcale, tylko nam dzisiaj czytającym tak się wydaje? I tylko my jesteśmy dziś skłonni naszą późniejszą wiedzę o sprawie nakładać na myśli oraz działania uprzednie, z pominięciem geopolityki, a zwłaszcza układów politycznych obowiązujących wówczas.

Bo przecież prawda jest tego również rodzaju, iż nie mógł Grass pozwolić sobie na dezynwolturę większą aniżeli ukazanie Kałmuka w sowieckim wojskowym mundurze, gwałcącego ową gdańszczankę. Nic ponad ową wesz za kołnierzem szynela tego żołnierza. Nic ponad te obrazy. Z realiami geopolitycznymi nawet on musiał się liczyć. Określały one jakoś, wytyczały ramy jego pisarstwa. Przede wszystkim te merytoryczne, bowiem od rygorów formalnych uwalniał się zawsze arcyłatwo. Kto wie, czy chwilami nie nazbyt łatwo.

Jest więc tak w jego ówczesnych rozważaniach o ewentualnym zjednoczeniu Niemiec, jak gdyby uważał, że Niemcy podzielone, słabsze, bardziej są ludzkie i humanistyczne. Bardziej do przyjęcia przez ludzi takich, jak on właśnie: outsiderów niemieckiej rzeczywistości.

10

1 Maja 1970 roku wygłosił Grass w Baden-Baden przemówienie z wiadomej okazji. „Jeśli nie chcemy, aby data 1 Maja stała się uroczyście i głucho brzmią-

cą formułą, będziemy musieli postarać się u progu lat siedemdziesiątych o wypełnienie jej nową treścią”.

Tak mógłby napisać — dziś, nie wówczas — jakiś działacz partii postkomunistycznej w Polsce. Jakiś Miller czy Kwaśniewski. A powiedział to Grass, tyle że przed z górą ćwierćwieczem. W tym tkwi jego prekursorstwo w myśleniu o robotniczym, o światowym zasięgu, święcie.

Że też Grass już wówczas nie stał się sztandarowym pisarzem komunistycznej propagandy na Kremlu, w warszawskim gmachu KC, wręcz w szeregach eneradowskich bonzów! Co sprawiło, że stało się inaczej? Owa wesz za kornierzem płaszcza radzieckiego żołnierza uwierała do tego stopnia? Wizja Gdańska, czyli miasta oglądanego od zgoła innej strony? Nieufność wobec każdego kto przychodził — choćby z wyciągniętą do zgody ręką — z „tamtej” strony?

Nieraz wszak publicznie powiadał: „W Niemczech pisarze bywają niedoceniani, w Polsce zaś przeceniani”. I w ZSRR także. Skoro Szołochow, Katajew, Erenburg bywali windowani na niesłychane szczyty, inni natomiast — Mandelstam, Sołżenicyn, Pasternak — ginęli w niewiadomych okolicznościach, bywali skazywani na banicję, izolowani w łagrach, w *psychuszkach*, spychani na społeczny margines.

Czyżby zatem aż w sposób tak bardzo skrupulatny ich czytano? Czyżby taką nośność przypisywano każdemu ich słowu zapisanemu i temu wygłoszonemu z mównicy? Może cała „gdańska trylogia” Grassa w nadmiarze pachniała owym „zachodniemieckim rewizjonizmem” z przemówienia Władysława Gomułki? Z drugiej znów strony być może nadmiernie twórczość tego pisarza otwarta była na pojednanie, zbytnio, zwłaszcza porą zimnej wojny, odstręczała swym — kto wie — wolnomyślicielstwem?

A przecież to ten sam Gomułka na prę dni przed swoim politycznym upadkiem podpisze, parafuje wspólnie z Willym Brandtem ów traktat pokojowy z RFN. W polityce wewnętrznej uszykuje sobie wcale gustowny pogrzeb, w tej zewnętrznej natomiast, niczym szczeżują, otworzy się na owo nowe, nadchodzące ze strony zachodniego sąsiada, jedynie tworem o nazwie „NRD” oddzielonego od kraju leżącego nad Wisłą.

I któż wówczas przybył w orszaku kanclerza Brandta na chwilę podpisania owego traktatu w Pałacu Namiestnikowskim przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie? Dwaj rasowi *Aussiedlerzy* — Siegfried Lenz i Günter Grass, czyli niedysyjni mieszkańcy Elku oraz Gdańska, choć za „ich czasów” nazywały się one inaczej.

Tym bardziej było to szokujące, że do tej pory na miano *homo politici* mieli prawo sobie zasłużyć pisarze starannie uprzednio wyselekcjonowani w rozmaitych „białych domach”. Nie mieli zaś tego prawa ci niewyrażający zgody na aktualny stan rzeczy. Politykować miał prawo Erenburg, nie było to prawo dane, choćby i w zmetaforyzowanej formie, Bulhakowowi czy Sołżenicynowi. Mógł to robić Jerzy Putrament, nie miał prawa Stefan Kisielewski czy Czesław Miłosz. Wszystko było racjonowane, koncesjonowane.

I nagle, niczym filip z konopi, wyskoczyli pospołu Grass z autorem *Heimatemuseum* Lenzem. Korzystali obaj z tego danego im prawa wcale obficie. Zwłaszcza Grass, miłośnik historii pod każdą wręcz postacią.

## 11

Pisze więc, przemawia. O Lasalle'u, o Marksie i Engelsie. O *Programie Erfurckim*. O — by nie być posądzonym o koneksje dogmatycznie socjalizującego — swej antypatii do NRD. „Honecker i Strauss: w sensie ideologicznym dzieli ich przepaść, ale dogmat zimnej wojny działa jednocząco i budzi w nich nadzieję”.

„Kautsky i Bernstein — zauważy — są ojcami trwającego dziś konfliktu”. W innym zaś miejscu: „Aleksander Dubczek i Ota Szik, teoretycy czechosłowackiej reformy komunizmu, zostali po inwazji Czechosłowacji zniesławieni jako rewizjoniści”.

„Kiedy Willy Brandt i Willy Stoph, socjaldemokrata i komunista, spotkali się w Erfurcie, prezentowali sobą nie tylko historyczne rozbieżności socjalizmu i narodu, ale też dwa porządki społeczne: prywatno-kapitalistyczny i państwowo-kapitalistyczny”. Czy i dziś uważa Grass podobnie? Bóg raczy to wiedzieć...

## 12

Mógł przeto uchodzić w partyjnych komunistycznych gabinetach za rewizjonistę. W każdym razie za kogoś z gruntu „niepoważnego”. Za jakiegoś nieodpowiedzialnego typu, który od zewnątrz, lecz do pewnego stopnia i od środka próbuje sobie ten komunizm ustawiać na swoje podobieństwo. Bo jest już wówczas Grass po lekturze, jakże go zajmującej, *Sołżenicyna*. To dla ludzi jego pokroju winien być wstrząs nie lada jaki. Choć i nie tak wielki, bo przecież i uprzednio wiedział on niejedno. Złudzeń, zwłaszcza na temat podstaw sowieckiego systemu, od dawna nie miał żadnych. Prawdziwe jednak korzenie „realsocjalizmu” poznaje dopiero teraz. Jego praktykę rozpoznaje w roku 1968 podczas inwazji

wojsk sprzymierzonych (zadbano zawczasu, by nie było pośród nich enerdownskich) na Czechosłowację. W Bievres pod Paryżem wygłasza owych *Siedem tez o demokratycznym socjalizmie*. Wie już wówczas, że marksizm-leninizm oraz leninizm-stalinizm stanowią o faktycznym obliczu ideologii ze wschodu.

Domyślam się, o co Grassowi chodzi nade wszystko: o obronę niemieckiej socjaldemokracji przed wpływami z zewnątrz. Te okazać by się mogły zgubne i po latach nie do przyjęcia, zwłaszcza dla jej przeciwników. Już oni urządzili by jej — socjaldemokracji — prawdziwą łaźnię, zwłaszcza w porze obalenia berlińskiego muru. Suchej nitki by na niej nie pozostawili. Zwłaszcza nacjonałści maści rozmaitej. Szło zatem Grassowi o uwierzytelnienie się przed sobą samym poprzez jawne i czynione raz na zawsze odcięcie się od ideologii zrodzonej na gruncie przemocy. O rafinację własnych poglądów i oglądów swej — choć nadal nie był wówczas jej członkiem, bo przecież rządziła w jego kraju — partii. Skoro zaś rządziła, to on wolał pozostawać poza nią. Tak na wszelki wypadek. By nie zostać posądzonym o koniunkturalizm. O pretendowanie do godności, powiedzmy na przykład: konsula RFN w Gdańsku. On dobrze zna — lecz skąd? — cenę, jaką płaci pisarz za płaskie podporządkowanie się partyjnym rygorom. Wszelkim partyjnym rygorom. Woli zatem im nie podlegać. Woli zachować myślową autonomię.

### 13

Grass pisze książkę *Plody umysłu albo Niemcy umierają* do dziś nieznaną w języku polskim. W niej znajduje się ów fragment wzięty do *Niemieckich rozliczeń*. Ten o Fundacji Narodowej. Pisze: „Mam świadomość, że żyję pośród zatroskanych o kulturę barbarzyńców”. Helmuta Schmidta chwali za głębię jego przemówienia oraz gani — dokładnie na odwrót, jak czyni się to dziś w Polsce — za nieobecność w nim spraw kultury. Co najwyżej Kisiel dostrzeże brak rozmyślań o ekonomii w powodzi przemysłów o charakterze filozoficzno-polityczno-kulturowym. I na tym cała inwencja krajowych publicystów się wyczerpuje. Inna zgoła sprawa z Grassem. Gdy zabiera głos w sprawach kultury, bywa nad Renem (szkoda, że nie nad Motławą) skwapliwie wysłuchiwany.

### 14

SPD przegrywa wybory. Przechodzi do opozycji. Ster rządów w państwie obejmuje koalicja CDU-CSU. I dopiero wówczas Grass — dowiedziawszy się



o tym fakcie z radia w trakcie wojażu po kraju — podejmuje nagle, spontaniczną decyzję o wstąpieniu do SPD. Czyni to z determinacją, niemal demonstracyjnie. Dopiero wtedy, nie wcześniej. Dobrze wie, iż pisarzowi nie przystoi być pośród zwycięzców. I że groziłoby to jego pisarstwu początkiem końca. Pośród zwyciężonych być, to zaś jak najbardziej *comme il faut*. Z miejsca dowiaduje się o tym kraj cały, wręcz cała Europa, cały kulturalny oraz polityczny świat, od wysp japońskich, gdzie bywa często tłumaczony, po USA, gdzie już taką sympatią jak w Kraju Kwitnącej Wiśni go nie darzą. Zwłaszcza odkąd, w czasie spędu pisarzy Pen Clubu na amerykańskim kontynencie, mocno dał się we znaki kilku czołowym pisarzom tego kraju.

Jest rok 1984. Nabiera Grass nowego całkiem wigoru. Podąża — o zgrozo — do Nikaragui, za co sekować go będą, na równi, nacjonałiści polscy i niemieccy. Ciekawa sprawa, jak zgodnym chórem narzekać będą na jego jawne sympatie sandinistowskie. Jak wyrzucać mu będą nieskrywaną sympatię dla przeobrażeń w tym kraju. Inna całkiem rzecz, czy nie postrzeganych z nadmiernym entuzjazmem. Tak jakby całe jego myślenie na ten temat miało przed wszystkim ostrze antyamerykańskie.

Rusza na Daleki Wschód. Do Indii. Daje się porazić, co już zakrawa na jawną wręcz demonstrację — nędzą indyjskiej ulicy. Wręcz osiedli się w tym kraju, w Kalkucie, jakby chciał na samym sobie uczynić rodzaj eksperymentu, ile jest w stanie wytrzymać (wytrzymał pół roku, długo jak na obywatela RFN, kraju jak żaden inny cywilizowanego). Własną żonę przymusi do tego samego. Nic dziwnego, że powróci ona stamtąd z objawami chorobowymi. Swej — hm... — konsternacji skrywać już potem wobec Grassa nie będzie.

Udziela Grass wywiadu — Stefanowi Heymowi. Jego tytuł: *Myśląc o Niemczech*.

Do Polski przybył jeszcze w czasie stanu wojennego, ciesząc się prawie jak dziecko z nici przyjaźni nawiązanej z polską opozycją, z polskim podziemiem. Niegdyś zaowocowała ona bezdebitowym wydaniem *Blaszanego bębenka*. Pragnął więc, nie dziwota, być pośród — tego chciały władze stanu wojennego — pokonanych. Tak zaś naprawdę dopiero teraz zwyciężonych. Raz więc jeszcze, tyle że na polskim tym razem gruncie, był przyjacielem — tak będzie lepiej, dużo bardziej precyzyjniej — pogiębionej sprawy.

To spotkanie wyda plon po latach, w kilka chwil po odniesionym przez „Solidarność” zwycięstwie wyborczym. Będą to *Niemieckie rozmyślenia* wydane przez wszędobylską NOWĄ.

16

W pięćdziesiątą rocznicę wybuchu wojny Grass wygłasza mowę, w której prócz słów Wolnym Mieście, o Westerplatte, Poczcie Polskiej w Gdańsku, padają słowa o owej paradzie wojskowej sowiecko-hitlerowskiej w Brześciu. Długo bodaj i on o niej nie wiedział. Nie oglądał filmu z tego czynionego ramię w ramię przemarszu.

Wspomina o cierpieniach milionów Ślązaków, Pomorzan, mieszkańców Prus Wschodnich, o Wilnie, Lwowie, o martyrologii Żydów polskich i niemieckich. Na koniec zaś o obu Grudniach polskich. O „Solidarności” i stanie wojennym, który, jak uważa, „unicestwił nadzieje”.

„Polska potrzebuje pomocy, naszej pomocy, bo ciągle jeszcze jesteśmy jej dłużnikami”. I dalej: „Kto kwestionuje zachodnią granicę Polski, ten nawołuje do zerwania układu. Kto tak mówi, kto dziś tak mówi, ten postępuje bezwstydnie i ściąga na nas hańbę”.

Cóż, ów dług zaciągnąć mieli Niemcy w stosunku do Polski i Polaków raz jeszcze. A to w chwili runięcia z kretesem muru berlińskiego. Nie wdrapaliby się nań bez polskiej pomocy. Nie tańczyliby po nim, nie odkorkowywaliby butelek szampana gdyby nie ks. Jerzy, tylu innych księży, gdyby nie KOR i radomsko-ursuskie „warchoły”, gdyby nie Papież i opór milionów ludzi nad Wisłą. Ten codzienny, konsekwentny. Paradoksalne: w chwili swego triumfu natychmiast się podzielili, gdy oni tam, nad Łabą i Sprewą, jednak pozostają z sobą w bliższej od Polaków komitywie. Tego fenomenu Grass jeszcze nie wytropił, ale tylko czekać, jak nas nim przyszpilili. A już pora byłaby najwyższa po temu, bo bez mądrego, czulego, współczującego doradztwa możemy sobie z gruntu nie poradzić...

17

Jest więc Grass świadkiem runięcia berlińskiego muru. Owego aktu niepokory i pojednania zarazem. Kilka dni wcześniej był pisarz, niczego wówczas niepodejrzewający, w Gdańsku, gdzie opowiadał na spotkaniu w Ratuszu Głównomiejskim o tym, że będzie lepiej gdy państwa niemieckie nie będą zjednoczone, o swym projekcie konfederacji.

Historia — stymulowana wydarzeniami w Polsce, w Czechosłowacji, pierestrojką w ZSRR, biegła jednak wówczas niespodziewanie szybko. O wiele, jak miało rychło się okazać, za szybko dla Grassa, któremu myśl o owym zjednoczeniu, jako o czymś z gruntu złowrogim, przez dziesiątki lat była obca, obmierzła, wręcz nienawistna. Omylił się. Ludzka rzecz. Czy jednak wygrał w nim pisarz? Boję się, że może od tego być obolały, wręcz odurzony. Lecz pewno się myłę. Tak łatwo Grass okolicznościom się nie kłania, by użyć nieco sparafrazowanych słów Norwida.

(1993)

## Grass albumowo uwznioślony

Kiedy mężczyzna naprawdę zaczyna odczuwać swą starość? Czy wówczas gdy włos na jego głowie zaczyna się przerzedzać? Gdy młode mężatki zaczynają mu ustępować miejsca w miejskich środkach komunikacji? Gdy jego dzieci zaczynają przyprawdzać na prywatki koleżanki, na które sam miałby chętkę, tylko, jak by to powiedzieć, musi obejść się jedynie smakiem? Po stokroć nie, nie wtedy. Lecz wówczas, gdy zaczyna obchodzić, coraz liczniejsze, jubileusze...

Günter Grass długo, bardzo długo objawiał odporność na wszelkiego rodzaju akademijne uroczystości. Zdawał się być wręcz na nie impregnowany. Skutecznie się od nich izolował, w sposób arcytrafny się od nich odcinał swą nonkonformistyczną postawą, swą, jak by rzecz tę nazwał Gombrowicz, „młodziankowatością”. Wciąż wycinał potencjalnym ceremonialistom jakiś „numer”. A to powiedział publicznie coś, co daleko odbiegało od norm przyjętych za zwyczajowe. To napisał książkę, z którą nie zgadzała się przynajmniej część owych nieskrywanich oficjalistów. I tak rzecz ta się miała przez długie lata.

Aż do momentu gdy ustrzelony został Grass przez poznaniaków. Profesor Hubert Orłowski wraz z grupą swych akolitów tak długo chodził wokół sprawy przyznania Grassowi doktoratu honoris causa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, aż uzyskał akceptację „wszystkich świętych”. Miał szczęście autor *Blaszanego bębena*, iż „figa się ucukrowała, tytuń uleżał” dokładnie

z nastaniem „polskiej wiosny” roku 1989. Bo gdyby ciut wcześniej, byłyby jeno sama dziś sromota. A tak... Wszystko odbyło się nad wyraz akademijnie, dostojnie, zgodnie z zasadami uniwersyteckiej nobliwości.

Dwa lata nie minęły od poznańskich gronostajów. Od chóralnie odśpiewanego *Gaudeamus*, doprawdy niepasującego do pełnego przekory oblicza, już wówczas wieszcza. Autora *Turbota* nade wszystko, lecz i — w niejednej frazie przewrotnego — *Bębenka*. Nastął rok 1991. Z pozorów taki sam jak wszystkie poprzednie. Grass zbliżał się do obchodów kolejnej, 64 rocznicy swych październikowych urodzin, kiedy to nakładem wydawnictwa Steidla, nowego, wcale młodego i prężnego edytora z Getyngi (z kręgów akademicko-universyteckich) ukazała się księga *Vier Jahrzehnte (Czterdziestolecie)*. Opatrzona podtytułem: *Ein Werkstattbericht*. Próbuje przetłumaczyć ów rzeczownik, jak to u Grassa w stałym nieomal zwyczaju po stokroć złożony, jako: *Relację z przebiegu dzieła*, nie rozcząc sobie bynajmniej pretensji do wyczerpania wszelkich treści zawartych w owym podtytule. Tkwi w nim bowiem nadto owo *statt*, co znaczyć może tyle co „w zastępstwie”, lub „zamiast” i zawiera ów element relatywizujący rzecz całą, nadając jej znamiona pomniejszonej solenności. Zmniejszonej, bo wziętej w nawias relatywizmu.

Nie dajmy się zwieść Grassowi. Nie o żadne „zamiast” szło mu tym razem. Nazbyt całość jest wypichcona gruntownie oraz z rozmachem.

W tym miejscu słów kilka o faktycznym autorze tej księgi albumu. To Fritze Margull. Wykładowca berlińskiej Kunstakademie. Mężczyzna słusznego wzrostu, przystojny, inteligentny, na dokładkę Grassowi oddany na dobre oraz złe. Do tego stopnia, że pisarz wozi go ze sobą wszędzie (a raczej pozwala się przezeń wozić) po wszelkich miejscach Republiki Federalnej, zwanej od pewnego czasu Niemcami, nadto zaś jeszcze po co najmniej kilku bądź kilkunastu krajach Europy i świata.

Jest, jak i Grass od powojnia, berlińczykiem z tych najbardziej berlińskich. W swoim czasie posiał niemałe zamieszanie w kręgach zbliżonych do gdańskich intelektualistek. A było to podczas Grassa odwiedzin Gdańska w roku 1981. Miałem wówczas rzadką przyjemność oprowadzania Fritzego po gdańskim Starym oraz Głównym Mieście. Niejeden niezwiertzały czasem, nieprzetrącony wojną zaułek tego miasta mu wówczas ukazałem. I epitafia gotykiem pisane w Bazylice Mariackiej. I ową naścienną inskrypcję od strony podwórza dawnego ewangelickiego zboru, tam *vis á vis* Poczty Polskiej. Zdawał się być wówczas tym trochę nieoczekiwanym obrazem miasta nad Motławą przejęty. Nagle objawiło mu się ono dotykalnie, od nieco mniej sztafazowo-bedeckerowej strony. Już i z opo-

wiadań samego Grassa mógł niejedno zmiarkować. Co innego jednak słowo mistrza (w jednej osobie szefa i protektora), co innego całkiem przyjazne, bez krępacji zbytniej czynione, objaśnienie rówieśnika.

I teraz ów album, który nadszedł z Berlina cały w celofanowym, wielce starannym, chroniącym przed zniszczeniem opakowaniu podróżnym. *Herausgeben von G. Fritze Margull*, wyczytałem na karcie tytułowej albumu. I, nieco poniżej tego miejsca, te słowa: *Printed in Germany*. A tak jeszcze niedawno Grass optował za konfederacją dwóch państw niemieckich. Gdyby doszło do spełnienia jego projektów, intelektualisty, artysty, „kosmopolityka”, lecz nie polityka czystego, czyż wówczas owo „drukowanie w Niemczech”, tak sobie myślę, byłoby możliwe?

I zaraz ta fotografia Grassa na rusztowaniu. Z ni to pędzłem, ni dłutem w ręce. Jakże przy tym młodego. Zdjęcie pochodzi z roku 1948. Zrobione zostało w Düsseldorfie, gdzie Grass zapisał się na studia, inaczej niż obecni młodzi, nie — by uniknąć służby wojskowej, lecz przeciwnie, by po czasie owej służby — w wojskach pomocniczych Luftwaffe — odetchnąć nieco innymi sprawami. W tym przypadku: studiami u Pankoka w tamtejszej Kunstakademie.

Grass kreśli obraz zimy 1946/1947. Owych głodujących, zmarzniętych tabunów ludzi. Tych, którzy „zglodniali marzli we własnych łózkach”.

Postawiłem wówczas — napisze — wszystko na jedną kartę: zapisałem się do düsseldorfskiej Kunstakademie pomimo tego, że i ona skład węgla miała zamkniętą na klucz. Pozwoliłem na początek, ażeby uczono mnie kunsztu rzeźbienia w kamieniu. Szykując prace z piaskowca, marmuru. A były to przede wszystkim portrety starych mężczyzn, których znalazłem z autopsji ze wspólnego z nimi spania w domu Caritasu nadzorowanym przez miejscową radę miejską, w którym wraz z nimi spałem w dziesięciolóżkowym pomieszczeniu, zaliczając semestr zimowy 1948/49.

Już wówczas, przyznaje Grass, wymodelował w gipsie 90-centymetrowej wysokości rzeźbę *Dziewczyny*. Album przechowuje zdjęcie tej rzeźby, wcale gustownej i proporcjonalnej, wraz z portretem Grassa z tamtego czasu. Niewinnie uśmiechniętego młodzieńca. Z za dużym w stosunku do twarzy nosem i z nazbyt wystającą brodą. Za to z oczami niewinnymi w sam raz. I z fałdą szcesywanych na bok ciemnych włosów. Wykonywał nadto Grass reliefy na święte tematy (*Ukrzyżowanie, Golgota*), jakże odległych od późniejszych, nie tylko wyznaniowych, jego wtajemniczeń pełnych posmaku w pełni świadomego agnostycyzmu.

Ewald Matare, Otto Pankok. To byli ówcześni artystyczni nauczyciele Grassa. A także Sepp Mages, którego po pierwszym semestrze zamienił na Pankoka właśnie. O łasko fortuny, okazał się on być... pacyfistą.

Rzadko to sobie uświadamiamy. Grass jest z wykształcenia i z powołania niejako przede wszystkim artystą rzeźbiarzem, artystą grafikiem, artystą mala-

rzem. Pisarzem jest z o wiele późniejszego, już profesjonalnego w niejednym, świadomego wyboru. Na początku wszelako, podczas nauki (boć nie studiów żadnych) w owej düsseldorfskiej Kunstakademie był jeszcze wyłącznie rzeźbiarzem. Nawet mu do głowy wówczas nie przychodziło, że za lat parę — ale dopiero wówczas — chwyci za pióro i okaże się ono dlań wcale poręczne.

Na fotografii z obwoluty księgi Fritze Margulla w słoiku po dżemie, miodzie czy innych konfiturach, są same jeno pędzle oraz pędzelki. Pióra ani wiecznego, ani choćby gęsiego w nim nie uświadczysz. I to pomimo faktu, iż wszystkie one zdają się pochodzić z czasu dużo późniejszego. Z tej epoki twórczości Grassa, gdy, wcale udatnie, łączyć będzie mistrzostwo pisarskie z plastycznym.

Już w pierwszych latach pięćdziesiątych, zwierza się Grass, zaczęło się jego z paszportem w ręce zwiedzanie świata.

*Wass machen die Deutschen? Die Deutschen maschieren um die ganze Welt ohne Geld.* Dokąd udać się najsampierw? Na południe, rzecz jasna. Do ciepłych krajów. Trzeba się odrobinę wygrzać, wystawić twarz do słońca. Odkuć się za kilka arcymroźnych ostatnich zim.

A zatem: Florencja, Perugia, Rzym, Palermo. Dotarł aż na Sycylię. Przywiózł z tego wojażu rodzaj szkicowego notatnika. Nazwie go sobie: *Włoska księga szkiców*. Jak podróżował? Autostopem. Z czego żył wówczas? Nie za bardzo pamięta po latach wielu. Szkicował i pisał — już wtedy — wiersze. Nigdy ich dotąd nie publikował. Teraz je w tej książce oficjalizuje po raz pierwszy, tak bardzo wydają mu się one obce, nie spod jego ręki wyrosłe. A na owych szkicach Włochy wydają się jemu samemu po latach nieledwie idylliczne, wiersze zaś obce, jako się rzekło. Rysunki zdradzają rękę już wówczas wcale wprawną. Rzec by można, przypominają rysunki „późnego Topolskiego”. A że Grass jest tamtą porą mocno „wczesny”... I nagle rozśłonecznione po włosku zdjęcie Grassa na tle starorzymskiej figury. Jest na nim młodzieńczo uśmiechnięty, pogodny, optymistyczny.

Następne ferie — roku 1952 — spędza na autostopie we Francji. W szkicach wówczas powstałych dostrzega się inną już zgoła rysowniczą manierę. W wierszach — pomieszanie patosu z ironicznym egzystencjalizmem, w którym rozpoznać by można dużo późniejszego drumlistę, niejakiego Oskara Matzeratha.

Jest późne lato oraz wczesna jesień roku 1952. Grass maluje w Paryżu kolorową akwarelę z wiolonczelistą w planie głównym. I pisze. Wiersze. Piórkiem, które zdradza niejakie, wcale spore, wyrobienie oraz artystyczny dryg oraz usposobienie. A przecież nie wie, iż kilka lat później przyjedzie do tego miasta nad Sekwaną, by zapoczątkować tutaj, mało tego, rozpisać na wieleset stronic swą debiutancką, od razu genialną książkę.

Ona już w nim tkwi. Soki twórcze już w nim podchodzą ze wszystkich stron — od strony poezji, rzeźby, grafiki oraz rysunku, rozmaitych, czynionych odręcznie, notatek. Że też przechował to wszystko. Uznał za ważne. Nie za żaden młodzieńczy kaprys. I że posiadał, już wówczas, tyle samoświadomości pisarskiej i artystycznej. Mógł przecież próbować, szkicować, cyzelować, niszcząc co uprzednio wymyślił i stworzył.

On zaś nie. Może dlatego, iż trafiał od razu w rzeczy sedno? I że aż tylu prób czynić nie musiał? Alchemia pisarza, artysty — tu jej w sposób nieomal fizyczny dotknijemy jeszcze niejednym raz. Metafory już wymaszerowują, sam tak rzecz tę ujmie, spod jego pióra. Ćwiczy nadal. Obrabia je, buduje wciąż nowe i nowe. Przybywa portretów ludzi. W ruchu, w scenkach ulicznych. Bo we Francji, inaczej aniżeli w jego kraju, wszystko wygląda normalnie. Kobiety wychodzą na spacer z wózkami. Kumple z ulicy zbijają się w ciasny koleżeński krąg. Paniusie z sąsiedztwa swobodnie ze sobą plotkują. Ubrani na czarno-biało obsługują go tamtejsi kelnerzy.

Rodzą się wiersze-impresje, wiersze-poetyckie reportaże.

W tamtym czasie Düsseldorf wydaje mu się nieledwie rodzajem „małego Paryża”. A przecież opuści to nadreńskie miasto, stolicę Nadrenii Północnej i Westfalii na rzecz Berlina. Personalnie zaś — dla kolejnego mistrza w artystycznym fachu — Karla Hartunga. „Nauczyciela — jak o nim napisze — z wyboru”.

„Gdzie dziewczyny z tamtych lat?”, chciałoby się zapytać oglądając fotografię Grassa z koleżankami i kolegami ze studiów przed frontonem düsseldorfskiej Akademii. Sympatyczne, zadbane. „Gdzie są chłopcy z tamtych lat?”, z grupy skiflowej: bandžo, fletu-obój oraz tarka, po której, zasluchany w swe własne rytmy, palcami przebiera sam Grass. Kolejne artystyczne wcielenie. Z pewnością, tamten czas preferował artystyczne wcielenie Grassa. Stanowczo, tamten czas preferował artystyczne omnibusy. Nie specjalizujących się w jednym bądź drugim gatunku wyznawców jednej tylko gałęzi sztuki. Ludzi otwartych na wszystko co dookolnie bogate, co nieledwie renesansowe.

Są szkice, które Grass rozpoczyna w Düsseldorfie, wieńczy zaś w Berlinie. Widnieje pod nimi podpis: Düsseldorf/Berlin 1952/1953. I jest reprodukcja listu do „wielce szanownego prof. Hartunga” z prośbą o przyjęcie w poczet studentów. Mówi w nim o swoich 25 latach, o dotychczasowej drodze artystycznej, ale w sposób arcyłakoniczny i skrótowy. I kończy: „Pański Günter Grass”. Na liście widnieje data: 11.11.52.

W Polsce epicentrum socrealizmu, a pewien student düsseldorfskiej akademii zamarzył sobie właśnie studia artystyczne, ich twórczą kontynuację w Ber-



linie. W tym mieście-państwie, gdzie stacjonują wojska największych armii ówczesnego świata. Które z woli wielkich mocarstw przedziela granica dwóch państw, dwóch światów, dwóch kultur. On zdaje się sobie z tego niewiele robić.

Berlin stał się już wkrótce realnością, w której napotkałem Annę. Jako student Szkoły Wyższej Sztuk Ilustracyjnych żyłem miesięcznie za 50 marek stypendium, wypłacanego z kasy mego ojca, który nie był już więcej kupcem, lecz *Ostflüchtlingiem* [przesiedleńcem ze wschodu]. Rzecz jasna nie od razu Berlin stał się dla mnie samą realnością. To trochę musiało trwać. Także i Anna podchodziła i odchodziła. W wierszach, a było ich 53, jakie wówczas powstały, jest ona już jednak obecna...

Jeden z nich nosi jej imię w tytule.

Nie lękaj się  
Dopokąd pada deszcz  
nikt nie zmiarkuje  
iż twoje lalki płaczą.  
Nie lękaj się  
Nasze nazwiska zmieniłem  
Nikt nie powinien wiedzieć, jak się nazywamy  
jak na siebie wzajem wołamy.

Dostrzega i rzeczy tkwiące poza tym... Ot, choćby kontrast pomiędzy zachodnioniemieckim myśleniem o sztuce a wschodnioniemieckim bezrobociem. By rzecz ująć precyzyjniej: brakiem przemysłu oraz możliwości zatrudnienia.

Dąży w swojej sztuce do informelu pomieszanego z figuratywnością. W rzeźbach jego natomiast, o dziwo, przybywa kur, kogutów oraz ptaków. Miałby to być pierwszy symptom przyszłej „faunizacji” zarówno jego prozy, jak i grafiki? Stosuje coraz nowsze techniki. Z zacięciem, dopiero teraz, oddaje się drzeworytowi. A także pierwszym — w roku 1954 — technikom metalorytniczym.

Kolorowe akwarele, poniektóre, z tamtego czasu noszą podpis: „Tessin”. Czyżby zatem przebywał Grass w roku 1955 w polskim Cieszynie?

Na zdjęciu-portrecie z owych lat jest czegoś smutny. Ubrany, jak zawsze, w sweter i w spodnie sztruksowe. Te same, które nosił w Düsseldorfie? Zapewne. We wnętrzu już jednak siedzi wcale gustownie urządzonym. Z jedną, sporych rozmiarów, jego pracą oraz rodzajem lusterka w barokowej ramie wiszącego na ścianie. To już zdaje się być Grass-wnętrzarz niezgorszy. Grass umiejętnie planujący swoje bezpośrednie otoczenie. Uładzający je na sposób wysmakowany, estetyczny.

Już czyni przymiarki do pierwszej edycji *Die Vorzüge der Vindhühner*. Jest rok 1955. Pojawia się odlana w brązie płastuga. Ów turbot, ryba flądrowata w treści oraz w formie.

Pomimo tego, że już wówczas modelowałem turbota, moim głównym wówczas (rok 1955) motywem były wyobrażenia zielonych śledzi. Kosztowały wtenczas 35 fenigów za pół kilograma i już wkrótce zdominowały koguta, tego tytułowego bohatera debiutanczkiego tomu mych wierszy. Ten debiut poetycki umożliwił mi jednak owe zaprosiny na posiedzenie „Grupy 47”. Polazłem dotamtąd i znalazłem wcale wdzięcznych słuchaczy, co można by nazwać pisarskim szczęściem. A także to, że żadnego tłumacza wówczas nie potrzebowałem. Od razu podszedł do mnie ktoś z Luchterhand Verlag w osobie jego lektora Petera Franka.

Miało to miejsce w pewnej piwnicy przy Königsallee...

Peter Frank... Miałżeby to być ów natchniony redaktor, któremu zarówno Grass, jak i my wszyscy, jego wyznawcy oraz czytelnicy, tyle zawdzięczają? Ten, który z wieluset stronich okazanych niebawem wydawnictwu, wypichci w swojej redaktorskiej pracowni ową, jakże spoistą, „gdańską trylogię”. Spoistą, koherentną, w każdej z jej części składowych gruntownie pomyślaną i przemyślaną. Miałżeby być to ten, który minipowieści *Kot i mysz* nada tytuł właśnie tego rodzaju, nie zaś ów *Ritterkreuzträger*, proponowany przez jej autora.

„Podczas wszystkich tych lat dziwnie z sobą koegzystowały rysowanie oraz pisanie. Obie te dyscypliny melanżowały mi się w jakiś isticie fantastyczny sposób. Żyły z tego samego atramentu”. Zwierza się ze swego poddaństwa wobec pisarstwa Franza Kafki. Jak choćby w cytowanym, a uprzednio niepublikowanym wierszu *Pod schodami*.

Berlin w roku 1956. Günter Grass ukazuje twarz mężczyzny świeżo ożenionego (z Anną). Pod ciemnym, opadającym ku kącikom ust wąsikiem. Oczy jego są zmrużone niczym od lampy błyskowej. W nieskazitelnie białej koszuli, krótko ostrzyżony, mocno już dostatni. Na tle jednej z jego wielu własnych grafik. Jest więc na zdjęciu jak gdyby kompletny.

„Lata 1955/56. Rozpisałem się wówczas bardzo. Jury związku plastycznego odrzuciło moje prace, skutkiem czego żadna akademія sztuk pięknych nie mogła mnie więcej u siebie trzymać”.

O chwilo zbawienna! Jakże owocna w coraz bardziej rychłe dokonania oraz spełnienia. O łaskawości fortuny, która zdecydowałaś, iż plastik żaden z Grassa nie będzie. Iż skoro do tej pory się niczym szczególnym nie był wykazał, to i zapewne w przyszłości będzie podobnie.

Niejedyn pod ciśnieniem tej chwili by się załamał. W każdym razie złałby pędzle, ryłce, rozbił o ścianę pracowni młotki oraz dłuta. Lecz nie Grass. Owszem, odłoży je wszystkie na pewien czas (potrwa ładnych parę lat, lecz będzie to jak okamgnienie). Weźmie pióro do ręki (naładowane po czubek atra-

mentem) i kreślić poczynnie poszczególne słowa, które już wkrótce ułożą mu się w kształt sztuk scenicznych o następujących tytułach: *Wujek, wujek, Gniewne kucharki, Trzydzieści dwa zęby*, jednoaktówka *O dziesięć minut drogi do Buffalo*. Zilustruje także rysunkami wszystkie te sztuki, które na wspólne wydanie w jednej księdze jeszcze trochę poczekają.

Zdarzy się za to — napisze — teatralna premiera. Wkrótce jednak nadejdzie chwila nieoczekiwanej zmiany miejsca stałego pobytu, z Berlina na Paryż, dokąd zabrała mnie z sobą Anna, uprzednio zabrawszy z sobą parę baletek. Ja miałem właśnie rozpoczętą prozę, bardziej jednakże w głowie, aniżeli w torbie podróźnej.

Było to stypendium artystyczne jego świeżo wówczas poślubionej, przepięknej, przeuroczej żony Anny, matki czwórki jego dzieci.

Istniały także polityczne uwarunkowania tej podróży — dopowie Grass — tym co w dniu 17 czerwca 1953 roku ujrzałem na Potsdamer Platz, a co dopiero w 11 lat później zyska kształt sztuki teatralnej *Plebejusze szykują powstanie* [wydanie polskie: „Dialog” nr 7 z 1992 roku w tłumaczeniu Sławy Lisieckiej pod tytułem *Próba powstania plebejuszy* – R.C.]. To co stało się wówczas z jeszcze niepodzielnym murem miasta. To co mnie wówczas spotkało ze strony wschodniobierlińskiego organu władzy, ze strony policji granicznej, a co opisałem w wierszu pt. *Kontrola*.

Wysiądać wszyscy wówczas musieliśmy

Nasze kufry podróźne otworzyć przy pomocy kluczy

I pokazywać, co też takiego znajduje się w ich wnętrzach

Mieć 30 lat w Paryżu... Trochę to gorzej aniżeli mieć lat 20, jednak dla pisarstwa Grassa, jak już rychło miało się okazać, wcale niegorsze miało to mieć konsekwencje.

Osiadłszy w Paryżu, po długich poszukiwaniach lokum, Anna udała się na próby swojego baletu, ja zaś, po wyłożeniu naszego dwupokojowego mieszkania licznymi obrazami, które już wkrótce przyschły, zabrałem się rączo do rękopisu swej książki o wciąż zmieniających się tytułach: *Dobosz, Błaszany dobosz*, nagle przywieziony do tytułu *Błaszany bęberek*, już nie miałem zbyt wiele czasu na sztuki plastyczne. Za wyjątkiem cyklu rysunków do libretta baletowego *Wypłazanie ptaka (Vogelscheuchen)* ukształtowanego ostatecznie jako *Gęś oraz pięciu kucharzy*, które później trafiły, jako ilustracje, do *Psich lat*. Powstawały też wówczas pierwsze moje linoryty. Zarysowała się trudna przyjaźń z poetą Paulem Celanem, tym Żydem z Czerniowców na Bukowinie rodem. Praktycznie przyjaźń z Harry Kramerem, któremu ruchome figurki mojej ptasiej menażerii (mego ptasznika) pomagały w ich umechanicznieniu. I naturalnie sporo wersji, później ukształtowanych jako ostateczne, wierszy. Takich jak, dla przykładu, *Narcyz czy też Bez parasola*.

A wokół rozciągał się Paryż, którego Grass prawie wcale nie konsumował. Którego nieomal wcale nie dostrzegął, tak bardzo jego, mieszkańca Avenue d'Italie 111 (w oficynie) zajmowała sprawa jego, jakże w niejednym osobnego, pisarstwa.

Spośród uratowanych po latach szkiców, siostr szpitalnych dzierzących w swych dłoniach... węgorze [już wówczas — R.C.], brakuje rysunków dających się odnieść w jakiej bądź formie do mojej pierwszej powieści. Dopiero w 3 i pół roku później to pisanie przybierze konkretny kształt *Blaszanego bębena*. To jednak wówczas, w tym moim atelier, w tej kotłowni, co nieco rozpocząłem pisać. [...] Było to w czasie, gdy do władzy we Francji doszedł generał de Gaulle. Również i on odcisnął swoje przemożne piętno na Paryżu, dla którego byłem jedynie cudzoziemcem i w którym to mieście nikogo nie znałem, i dlatego zapewne na początku 1960 roku podjęliśmy decyzję o powrocie do Berlina. Było teraz dość pieniędzy i chęci do pisania wierszy...

Jeden nosi tytuł *Przeciwnakcje*. Drugi tom wierszy pierwotnie miał nosić tytuł *W jajku*. Ostatecznie zyskał on miano *Gleisdreieck*.

Na kolejnej fotografii w albumie piątka kucharzy z przedstawienia premierowego sztuki *Gniewni kucharze*, która odbyła się w berlińskim Schiller-Theater 16 lutego 1961 roku. Reżyserował ów spektakl Walter Henn, pasując zarazem Grassa na dramaturga pełną gębą. A 9 czerwca roku 1961 w Galerii Hinterhof w Berlinie przy Oranienstr. 27 otwarta zostanie wystawa prac graficznych Grassa pod tytułem *Zakonnice*, i czynna będzie codziennie w godz. 17—20.

Owe tytułowe *Die Nonnen* powstały jeszcze w Paryżu. To Paryż, także i pod względem graficznym, okazać się miał ze wszech miar płodnym artystycznie miastem. Bo że zawdzięczać będzie temu miastu — jakąż istnieje pewność czy w innym byłoby to możliwe, skoro spełniło się właśnie w nim, a nie gdzie indziej? — największą swą powieść, rzecz to dziś całkiem pewna.

Wiadomą jest sprawą, iż wyprawiał się z Paryża do Gdańska oraz na swe pradawne Kaszuby, jakże od nadsekwańskiej stolicy odległe. Znalazł — znaleźli, bo oboje z Anną — czas sposobny, akuraty, w sam raz. By zapach Motławy oraz Raduni w swe nozdrza wziąć, pochylić się nad rocznikami „Danziger Vorposten” we wnętrzach szacownej Biblioteki Gdańskiej (neogotyki), szczęśliwie od wojny i powojennej hekatombi ocalałych. A także odwiedzić Grassa babkę cioteczną w nieodległym od Gdańska Bysewie. Żadnego zdjęcia z rodzinnego albumu do tej księgi nie przemieścił. A szkoda... Byłaby to rzecz jak gdyby z innego, nazbyt osobistego, wymiaru? Niewykluczone. Ta księga od samego jej początku pomyślana jest jako rodzaj osobistej, ale jednak, rekapitulacji. Rodzaj podsumowania i zwieńczenia niemal całego życia. Tak, jak gdyby dalszy ciąg nie obchodził go

(Grassa) wcale. Jak gdyby wszystko, co miało się w jego życiu zdarzyć, już zdarzyło się naprawdę.

*Knirscher*, taki tytuł miała nosić, jak się okazuje, ta powieść, a faktycznie *Hundejahre* (*Psie lata*). Plany szczegółowe, rozdział po rozdziale. Punkt po punkcie. Zawiązek akcji po kolejnym zawiązku. Wszystko nad wyraz precyzyjnie pomyślane i przemyślane, zaplanowane, uszczegółowione, wypunktowane. Planista Grass. Inżynier słowa. Jedna z wielu wersji jego życiorysu.

Na zdjęciu stoi ze skrzem w ręce (zaczął palić, wkrótce stanie się nieledwie nałogowcem) na strychu remontowanego właśnie przez siebie osobiście mieszkania. U jego stóp prawdziwe stopy młotków, dłut, pilników. *Wyżej podnieście strop, cieśle*, chciałoby się powiedzieć za Salingerem.

Żadnych więcej wierszy, sama tylko proza. Ponadto wiele planów, które pod rozmaitymi tytułami na krótką nieraz chwilę zafunkcjonują. *Zgrzytający* przedzierzgnie się w *Przepłaszanie ptaków*, potem w *Lupiny kartoflane*. Podobnie jak rzecz się miała z cyklem grafik *Zakonnice*, pośród których znajdowała się niejedna karykatura Bismarcka oraz Ulbrichta.

A zatem Grass, już teraz, karykaturzysta. Jedno jeszcze z jego wielu artystycznych wcieleń oraz spełnień. Grass-prześmiewca, dla wielu nieledwie obrazoburca. Zamachowiec na liczne pseudowartości i pseudoświatości.

A wszystko to dokonywało się na drugim piętrze z jednej strony zbombardowanego w latach wojny budynku [owo zdjęcie je właśnie ukazywało – R.C.], który później, po jego, budynku, uporządkowaniu miał wcale konkretny adres: Berlin—Schmargendorf, Karlsbader Strasse 16. Mieszkanie liczące cztery i pół pokoju, które po narodzinach w niedzielę córki Laury, jako atelier pod dachem zostało uczynszowione. Przy tej okazji zabawiłem się w rodzaj cieśli oraz stolarza w jednej osobie. Upřednio te wnętrza o wiele częściej były nawiedzane przez gołębie aniżeli przez ludzi. Żyliśmy w nich bez telefonu szczęśliwi wcale długo.

I wówczas, w roku 1961, pojawiła się Eva Hönish (*de domo* Kuchenbecker), która nazywała się wówczas Genee. Z początku dla porządkowania korespondencji. „Właśnie, napisze Grass, obchodzimy dziś wspólnie jubileusz 30-letnia pracy”.

W tym mieszkaniu zrodziły się notatki do filmu dokumentalnego *Dzień ojca*, jego reżyserem miał być Walter Henn. Zmarł, zanim zabrał się do pracy. I wtedy roboty nad filmem podjął się Hansjürgen Pohland. Nic z tego jednak nie wyszło, za to w pełni powiódł się zamiysł sfilnowania powieści *Kot i mysz* przez producenta niedoszłego dokumentu. Ów *Dzień ojca* natomiast przydać się miał Grassowi w 10 lat później przy pracy nad *Turbotem*.

To, i wiele innych rzeczy wylania się z tej, jakże życiowej Księgi Günтера Grassa. Dalej już jednak mocnymi krokami nadchodzi czas nam wszystkim współczesny. Coraz lepiej rozpoznany, coraz lepiej pospólnie wiadomy, nierzadko w najdrobniejszych szczegółach. Przeto i sama księga pełni już tylko rolę dopełnienia.

„Dla Laury”, tak zadedykował Grass tę swą jubileuszową w każdym szczególe księgę. Córcę swojej, artystycznie bodaj najbardziej przez siebie ukochanej (jest ceramiczką z wykształcenia), owej nosicielce, jako jedynej poza nim samym, artystycznych rodzinnych skłonności Grassów. Skoro jeden z jego synów, ten najmłodszy, jest dziś — tak, tak — piłkarzem i to, dodajmy, niezgorszym; przez czas pewien wydawało się wręcz, iż tej klasy, że przyćmi blask nazwiska swego ojca, choć na jakże inny, dużo bardziej plebejski sposób.

Ale cóż: *Plebejusze szykują powstanie...*

(1992)

## W pielgrzymce do Polski

Aż nadszedł grudzień roku 1992. W kilka miesięcy po wrześniowej edycji *Wróżb kumaka*, od razu w kilkunastu językach świata (w tym i w języku polskim w tłumaczeniu, już tradycyjnie, Sławomira Błauta), w atmosferze owych targów książki we Frankfurcie, na których odbył się swoisty wielki show wokół najnowszej książki Grassa, a na który zjechali się zewsząd wydawcy tej książki (w tym i Joanna Konopacka, szef Wydawnictwa Morskiego), po otwarciu owej berlińskiej wystawy w Staatliche Kunsthalle przy Budapester Str. 42, udało się, za sprawą wszędobylskiego dyrektora warszawskiego Goethe Institut pana Nobbego, zaprosić autora *Wróżb...* do Polski.

I choć to Gdańsk wydał tę jego książkę, Warszawa raz jeszcze przechwycała Grassa (wespół z Poznaniem) dla siebie. Gdańskowi go nie użyczyła choćby i na krótką chwilę. Cóż, może zwiedził się Grass o mocno dychawicznej sytuacji finansowej swego gdańskiego edytora? Niewykluczone. Informatorów posiada on wszak w mieście nad Motławą niezgorszych. *De facto* ogłosiło już bankructwo. Lecz czy pójdzie pod młotek licytatora, dopiero się okaże. I tak się stało, iż długi Wydawnictwa Morskiego poszły w niepamięć; całe odium odpowiedzialności przejęło na siebie wszędobylskie Państwo, jego zaś, wydawnictwa baza materialna została przekazana — tak, tak — Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskiemu, któremu z kolei wielce uśmiecha się wcale profesjonalny charakter tej placówki

(choć dużo mniej jej długi, bodaj kilkumiliardowe), jej baza materialna, jej drukarnia. A także opcje wydawnicze na dzieła wszystkie Günтера Grassa.

A zatem po raz drugi Instytut Goethego. Po raz pierwszy okazał się niezastąpiony w roku 1987, podczas promocji *Szczurzyca*, czynionej na równi w Warszawie (w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego wypełnionym wówczas w całości zasłuchaną widownią), jak i w Poznaniu.

Raz jeszcze przybył Grass do Polski od stolicy poczynając (po raz pierwszy uczynił to w roku 1970, na moment podpisania traktatu pokojowego Polska—RFN), choć tym razem bez zastępu towarzyszy podróży. Nie wsparty Siegfriedem Lenzem jak wtedy, czy też Peterem Handke (*Leworęczna kobieta*) oraz Horstem Bienkiem (*Gliwicka trylogia*), już zresztą od paru lat nieżyjącym. Sam jeden przybył w te nadwiślańskie strony. Jedyne z nieodłączną w podobnych przypadkach żoną Ute.

W zaproszeniu wsparł dyrektora Nobbe polski Pen Club, który zapragnął gościć Grassa w swych progach, podobnie jak uprzednio Czesława Miłosza i Stanisława Barańczaka.

Wszystko zaczęło się tym razem w sposób od początku profesjonalny, zgodny z przyjętym w podobnych przypadkach ceremoniałem. Nieomal tak, jak przed wojną miało to miejsce z Tomaszem Mannem. Autor *Buddenbrooków*, przypomnę, uznany w latach trzydziestych za superklasyka, nie tylko niemieckiej, ale i światowej literatury, prócz kilku spotkań w pełni oficjalnych — to jedna, acz zda się istotna różnica — spotkał się u Fukiera z bracią literacką. Przy kilkunastu lampkach wina łatwiej było wówczas o pełne pisarskie zbratanie się twórców znad Wisły z koryfeuszem literatury znad Łaby i Renu. I kto wie, czy to nie tamto ich spotkanie nie miało pewnego wpływu na późniejsze życiowe decyzje autora *Czarodziejskiej góry*. Nie mógł on przystać ni na *anschluss* Austrii, ni na aneksję Czechosłowacji, tym bardziej nie na napaść na Polskę i... wyemigrował. Grasso-wi, jak na razie przynajmniej, to nie grozi. Choć zarzeka się od czasu do czasu, że gdy mu już całkiem będzie źle w Niemczech, wówczas osiadzie na stałe w... Gdańsku.

Przybył przeto do Warszawy. Z miejsca porwali go dziennikarze i urządzili z nim sobie konferencję prasową. Tytuły gazetowe głosiły następnego dnia: „Politycy to skiny w krawatach”. Bo też tak dosadnie, niezbyt o nich korzystnie, wyraził się Grass w trakcie, arcyupolitycznionej, jak to z Grassem, prasowej pogadanki.

Pod wieczór natomiast przybył do Domu Literatury na ogólnodostępne spotkanie z czytelnikami pod auspicjami polskiego Pen Clubu. Jupiterzy, liczni fotoreporterzy, kamery wielu stacji telewizyjnych. Mnóstwo znającej się na rzeczy



— i na pisarstwie Grassa, na całej jego twórczości — publiczności, szczerze wypełniającej pomieszczenia w sali widowiskowej Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu.

Artur Międzyrzeczki otworzył ów wieczór od następujących słów...

Jego głos, niejednokrotnie, przeważał szale. Na rzecz godnych rozwiązań i solidarnych decyzji. Korzystamy z okazji ażeby za to wszystko Günterowi Grassowi podziękować. Za jego wiedzę, nieomylny wybory, naturalną niechęć do wszelkich uzurpacji [oklaski z sali – R.C.].

Drogi Günterze, spotykamy się w momencie szczególnym. Tragiczny przykład Jugosławii pokazuje, do czego prowadzić może cynizm polityków. Na to rodzące się zagrożenie zwracała uwagę wspólna deklaracja polskich oraz niemieckich pisarzy, ogłoszona w Warszawie i w Bonn 1 września 1989 roku, w 50. rocznicę agresji niemieckiej na Polskę. Zewsząd dochodzą odgłosy rodzących się nacjonalizmów. Spotykamy się z okazji polskiego przekładu *Unkenrufe*. Oczywiście, ta powieść to historia miłości Niemca Aleksandra Reschkego i Polki Aleksandry Piątkowskiej. Również nie brakuje w tej książce ukochanych przez Grassa kaszubskich pejzaży. I przypomnieć się może także Orzeszkowa. Jej „uszy same śpiewają”. Albo też staropolskie: „Żałuj ropuchy w sadzie a mędrca w gromadzie”. (Z całą pewnością sięgnął pisarz do słownika przysłów polskich). Jest to również ironicznie-przewrotna kronika Polsko-Niemieckiego Towarzystwa Cmentarnego. Są w tej książce narzucające się koincydencje z głośną powieścią Karela Czapka. Ale wszystko u Grassa, i owo kumkanie żab, osadzone jest w samym środku aktualności. W wydarzeniach, jakie miały miejsce w Polsce w latach 1989—1991. Występują w tej książce Tadeusz Mazowiecki i Helmut Kohl. Prezydent Wałęsa. Z pisarzy Kazimierz Brandys i Andrzej Szczypiorski. Mowa jest o „zupach Kuronia” i o komputeryzacji gdańskich biur. Z ogromną obawą spogląda Grass na swoje miasto, tym razem z wysokości 17 piętra hotelu „Hewelius”. Cała ta książka osadzona jest w dzisiejszości. W codziennym dniu. Nic dziwnego. Obok Heweliusza, Fahrenheita i Schopenhauera to właśnie Günter Grass, jest najgłośniejszym gdańszczaninem, a zarazem strażnikiem niemieckiej demokracji w sercu współczesnej Europy. Jest bowiem ta demokracja pierwszym warunkiem autentycznych pojednań. Też demokracji Günter Grass poświęcił całą swą twórczość pisarską. Niechaj więc czuje się na tej sali, jak u siebie.

Jacek Bocheński, autor *Boskiego Juliusza, Tabu* — pokusi się o rodzaj laudacji na cześć Grassa w języku niemieckim. Będzie mówił o rozmiarach autentycznej czytelnicznej radości, wynikających z obcowania z twórczością autora *Błaszane go bębenka*. Wda się w, z lekka ironiczne, dywagacje na temat owego „łykania żaby”, owej tytułowej żaby. Przywoła osobę Witolda Wirpszy, pisarza z polsko-niemieckiego pogranicza, także tego twórczego, osiadłego w Berlinie tłumacza Tomasza Manna. Günter Grass twierdzi, a raczej twierdzi to narrator jego powieści, że jako uczeń łykał żywe ropuchy. Twierdzi on wręcz, że tę umiejętność do dzisiaj zachował, choć nie sprawia mu już teraz żadnej przyjemności. Pojęcie:

„jeść żabę”, które nie jest łatwe do zdefiniowania, określa jako ponoszenie przykrych konsekwencji niedobrego wyboru. Witold Wirpsza napisał w latach 50. esej, który był jednym z pierwszych rozliczeń z marksizmem-leninizmem, w którym poruszył problem „jedzenia żaby”. Wydaje się, że „jeść żabę” można wtedy, kiedy jest się zaangażowanym nie w proste interesy, lecz w jakiś cel wyższy. Być może literatura tu się kończy, jeżeli zajmuje się losem zbiorowym albo też jeśli usiłuje dotrzymać kroku swoim czasom. Alternatywa: jeść ropuchę lub jeść żabę, czyniona na zasadzie lingwistycznych odniesień, na tym się właśnie kończy.

Günter Grass, jak to w jego zwyczaju, zaczyna od dywagacji na temat wzajemnych polsko-niemieckich doświadczeń w... jedzeniu żaby. Są one, będzie utrzymywał, co najmniej takie same jak te, które łączą Niemców i Francuzów czy też Polaków i Francuzów. Tych Francuzów, którzy jak powszechnie o tym wiadomo, mocno są zaprawieni na co dzień w jedzeniu żabich udek, także i tych importowanych z Polski. Przypomniął, że rozmaici krytycy czynią mu niejednokrotnie zarzut, iż jego trzy pierwsze powieści (*Błaszany bębenek*, *Kot i mysz* oraz *Psie lata*) traktują o jakimś świecie zgoła nierealnym, nieistniejącym nigdy i nigdzie, tylko w umyśle pisarza, w jego imaginacji wyrosłym. Nic bardziej błędnego. Bo, jak się w życiu coś szczególnie cennego utraciło, to — bywa tak — ma się do tego stosunek szczególnie gorący i nabożny. Odwiedza się ziemię swego dzieciństwa wciąż na nowo, przybliżając się do niej z upływem lat, o paradoksie, coraz bardziej. Bo tyle w nas jest dobrego i pamiętania wartego naprawdę, ile w nas jest dzieciństwa, owego raju utraconego. W jego, Grassa przypadku, utraconego w sposób niejako zamplifikowany, bo nie tylko w czasie, lecz także w geograficznej przestrzeni.

Tysiącletnia perspektywa dziejów Gdańska stwarza pisarzowi ów szczególny przywilej owej „głębi ostrości”. Szczególny i przez to, że z dezynwolturą, w uzurpacji stałej i nieprzerwanej może on sobie pozwolić, jak uczynił to choćby w powieści *Turbot*, na pochylenie się nad czasem odległym choćby i o stulecia. Może sobie ów pisarz pozwolić na budowanie dość dowolnych konstelacji figur i postaci. Na powroty do rozmaitych rajów, w tym i tych utraconego dzieciństwa własnego, lecz i poprzednich pokoleń. Gdańsk, w dodatkowym stopniu, okazać się miał dlań twórczy i interesujący, przez swe wzajemne polsko—niemieckie, niemiecko-polskie konstelacje. I tak oto doszło do napisania przezeń historii życia i przyjaźni pewnego wdowca oraz pewnej wdowy. Właśnie w Gdańsku spotykających się ze sobą. W tym mieście rozpamiętujących własne oraz ich pokolenia przeżycia i doświadczenia. Tu, wcale nie poniewczasie, okazujących sobie uczucie przyjazne, na ich własny sposób wręcz miłosne. Ale znajdujące jak

gdyby uzasadnienie w owym tle historycznym, w owym pejzażu, który ich przez całe życie określał, który wyznaczał ich pojedyncze losy.

Ona przybyła z Wilna, on pochodzi z Gdańska (choć jakże innego od tego obecnego). Oboje poddani zostali zawirowaniom historii, przenosinom w nowe dla siebie i ich rodzin miejsca. A przecież to miejsce, gdzie się urodzili, gdzie ich mała ojczyzna (*Heimat*) się znajduje, nie przestaje mieć dla nich ogromnego znaczenia. W roku 1970 zaczął Grass jednak rozumieć, że nie tylko przeszłość — ta gdańska, kaszubska, polsko-niemiecka — lecz i współczesność jest dla niego ważna. I choć jako pisarz może sobie pozwolić na traktowanie rzeczywistości, jak to powiedział Tomasz Mann, w *imperfectum*. Otóż od grudnia 1970 roku rozumie on, że jego powinnością jest mówienie także i o terażniejszości. I właśnie *Unkenrufe — Wróżby kumaka* są książką zbudowaną na aktualności. Sprawiało mu przewrotną przyjemność tworzenia książki równoległe z rytmem owej aktualności. Z tym co wydarzało się pomiędzy rokiem 1989 a 1991.

Andrzej Szczypiorski, autor dobrze Grassowi znanej powieści *Początek*, podjął się roli tłumacza i prowadzącego dyskusję.

Powiedział, po niemiecku, o rozmiarach uzurpacji językowej jaką jest próbowanie w obecności Grassa choćby rozmowy w tym języku. Tym niemniej, uznał, rozmawiać trzeba, bo inaczej nie wypada. Starając się przy tym abstrahować od sarkastycznych słów „papieża krytyki literackiej w Niemczech” Marcela Reicha-Ranickiego, skądinąd dobrze w Polsce znanego (był przed laty „papieżem krytyki marksistowskiej w... Polsce”). A przecież to właśnie Reich-Ranicki uznał w swojej krytyce sprzed paru miesięcy, iż tron literacki Grassa w Niemczech nie był nigdy podważany. W trakcie lektury *Unkenrufe* on, Andrzej Szczypiorski, żaden przecież znawca, tylko sympatyk niemieckiej literatury, miał cały czas pełną świadomość, że oto obcuje z najpiękniejszymi stronicami prozy w całym niemieckim piśmarstwie. Są to najpiękniejsze stronicami prozy miłosnej, jakie kiedykolwiek przedtem miał okazję czytać. W całej europejskiej literaturze znajduje się niewiele równie świetnych przykładów prozy na tematy miłosne jak właśnie ta.

Szczypiorski opowiada dalej o roli Grassa nie tylko jako pisarza, poety, artysty, lecz także niemieckiego moralisty na scenie życiowej jego kraju. Jego słowa, nacechowane aktualnością, zawsze bywają uważnie wysłuchiwane w całym współczesnym świecie. Odegrał i odgrywa nadal niebagatelną rolę w wychowaniu, w procesie ozdrowienia wzajemnych polsko-niemieckich stosunków, także tych politycznych, lecz tych moralnych przede wszystkim. A także w określaniu miejsca nas Europejczyków w świecie współczesnym.

Na koniec uprawomocnił Andrzej Szczypiorski zebrane w sali stołecznego Domu Literatury osoby do zadawania pytań. I nie tylko pytań, lecz także do

wyrażania sądów o rozmaitych sprawach dotyczących dzieła oraz osoby Grassa i jego poglądów na rozmaite tematy.

Nie obyło się, na początek, bez rytualnego w takich przypadkach pytania o stopień znajomości języka polskiego czy też kaszubskiego. Już niegdyś na nie odpowiadał, i teraz odrzekł, iż z czasów dzieciństwa swego pamięta jedno zdanie. Zdawało mu się wówczas, że zostało ono wypowiedziane po kaszubsku, okazało się, że było po polsku. To zdanie, które jego matka wykrzyknęła, gdy zobaczyła po czubek głowy umorusanego synka. Zawołała wówczas rozgłośnie: „O Bosze, jak ti wyglondasz!”.

Alfred Łaszowski, pisarz, krytyk, tłumacz literatury szwedzkiej i niemieckiej zwierzał się z głębi swego przeżycia po lekturze powieści *Wróżby kumaka*. Mówił nadto o głębokiej dziejowej krzywdzie, jaka wyrządzona została obu narodom przez polityków. O dziejowej pomyłce, która dziesiątki lat miała ciążyć na stosunkach wzajemnych. I o roli pisarstwa Grassa dla zblizniania się tych jakże głębokich ran. Jego pytanie sprowadza się do kwestii — czy pisarze mogą odegrać jakąś rolę w zbliżeniu się obu społeczeństw i czy może to być rola znacząca? Powie także o swym własnym uczuciu wstydu, gdy ogląda, także i w Gdańsku, zartarte w sposób świadomy ślady po skomplikowanej przeszłości tego miasta, obu narodów. „Každy cmentarz posiada swoje szczególne właściwości” — zauważy Alfred Łaszowski. Na koniec swego wywodu nazwie najnowszą powieść Grassa „wielkim misterium o klimakterium”, które ma znakomitą tradycję w niemieckiej literaturze. Choćby w pisarstwie Tomasza Manna, u którego również wiek starczy zostaje niejako uwznioślony, podniesiony do rozmiarów swoistego misterium. Misterium śmierci. Niewielu ludzi w sposób twórczy, podobnie jak Grass, jest w stanie dotknąć tej sprawy. A to z tej prostej przyczyny, że inni pisarze nie zajmują się w stopniu równym, czy choćby podobnym Grassowi, przeszłością. Na koniec opowie, że obyczaj „łykania żaby” może być również rodzajem misterium, jak stał się nim w powieści Grassa. No i rzecz nie najmniej ważna: seksualność przełamuje wszelkie granice oraz bariery. Narodowe oraz państwowe (śmiech na widowni, śmiech życzliwy autorowi tych słów).

Grass w odpowiedzi nieoczekiwanie mówi ważkie rzeczy. O nacjonalizmie, który jego zdaniem, bardziej przypomina, niestety, w swoim zewnętrznym wyrazie wiek XIX, nie zaś powagę i dostojeństwo wieku XX. Kilka zdań później rzuca kwestię o liczbie polskich nazwisk na listach czołowych drużyn piłkarskiej Bundesligi, jako o wyrazie czegoś, co jednak stało się już chyba w sposób nieodwracalny. Mówi o rodzaju „cudownej mieszaniny”, jaką był Gdańsk jego młodości. O tym swoistym tyglu narodowościowo-wyznaniowo-kulturowym, jakim by-

ło to miasto-państwo. O twórczym charakterze tego sąsiedztwa. Przypomina, że to w Gdańsku całkiem współcześni jego mieszkańcy noszą się z zamiarem odważenia się na rekonstrukcję jedyne go istniejącego niegdyś w Europie poza Anglią, właśnie w mieście nad Motławą, teatru szekspirowskiego na wzór londyńskiego „The Globe”. O skali tego przedsięwzięcia. O jego rozmachu. O stopniu wyobraźni Polaków. Mówi o wspaniałości polskiego irracjonalizmu, który na dłuższą metę zawsze okazuje się bardzo racjonalny. Tylko z takiego pluralizmu może wynikać coś dobrego dla kultury i cywilizacji. Z tej wielowątkowości. Mówi, w sposób wielce niekorzystny, o niektórych niemieckich politykach, którzy wznecają niemiecki racjonalizm. Jeżeli przewodniczący frakcji CSU w niemieckim parlamencie twierdzi, że jesteśmy wprawdzie we wschodnich Niemczech, ale w istocie są to przecież Niemcy Środkowe, to przecież jest to woda na młyn nacjonalistycznego, rewanżystowskiego myślenia. Dodał Grass uwagę na temat zachowania niektórych reprezentantów mniejszości niemieckiej w Polsce, za pieniądze podatników niemieckich. Dobrze, iż mniejszość została uznana, bo kiedyś w ogóle zaprzeczano faktowi jej istnienia. Ta mniejszość ma dzisiaj swą reprezentację parlamentarną. Muszą oni jednak zrozumieć, iż są Niemcami, lecz obywatelami Polski. Istnieje zatem obowiązek zachowania lojalności wobec państwa, którego są obywatelami. Pisarz ceni sobie bardzo polską uprzejmość, ale powinna mieć ona swoje granice. Poza tymi granicami nie powinniśmy być tak dalece tolerancyjni, jak do tej pory.

Jeszcze długo zadawano pytania autorowi *Wróżb kumaka*. Samemu Grassowi, prócz wyznań czysto literackich, odpowiedzi na te pytania służyły, widać to było jak na dłoni, zwierzeniom i deklaracjom natury daleko wykraczającej poza literaturę, poza refleksję pisarską.

Ubolewać będzie, dla przykładu, nad tak gruntownym, jak to ma obecnie miejsce w Polsce, odejściu od tradycji lewicowych. Wspomni osobę Kautsky'ego, Róży Luxemburg. Ale póki co dobrze, że nie mamy już — zarówno Niemcy, jak i Polacy — „wielkiego brata”. Bogu niechaj za to będą dzięki... Rozważać będzie meandry wczesnego kapitalizmu w Polsce w stylu Anglii, tej XIX-wiecznej. Kapitalizmu żarłocznego, pełnego znamion wyzysku i ucisku osób najbiedniejszych. Przypomni o roli partii demokratycznych, służących socjalnemu przeciwstawieniu się drapieżnym praktykom kapitalizmu. Wyrazi sąd, iż niektóre treści socjalizmu, zwłaszcza te socjalne, warto by przechować z pożytkiem dla współczesności. Tradycje europejskich demokracji w sposób ścisły wiążą się z tradycją ogólną. Mówi o Heglu i o tym, jak zaważył na myśleniu niemieckim. Dialektyka heglowska stała się rodzajem legitymacji dla polityki i jej zgubnych praktyk. Wy-

chodząc z żelaznych reguł historii potrzebne jest dla przeciwwagi, myślenie lewicowe. Róża Luxemburg była tą, która w roku 1918 z więzienia napisała w liście do Lenina, że to co dzieje się w porewolucyjnej Rosji Radzieckiej jest niczym innym, jak zdradą rewolucji. Wizja lewicy Kautsky'ego była odmienną od tej, którą później realizowano w praktyce. Akcje strajkowe miały w sobie pewne wątki luksemburgizmu. Także i w działaniach strajkowych „Solidarności” tkwiły one w sposób immanentny. Demokratyczna, nowoczesna socjaldemokracja to jest to, czego Polsce obecnie brakuje. Jego zdaniem. Chyba nie tylko jego, dopełni Andrzej Szczypiorski. Polska scena polityczna jest taka, jaka jest. Liberalny wolny rynek nie rozwiąże problemów. Według niego, Grassa, potrzebna jest społeczna gospodarka rynkowa. Nie można wyrzucić za burtę całego doświadczenia ruchu robotniczego. Całego myślenia socjalistycznego z chwilą gdy upadł tamten poprzedni system. To myślenie w kategoriach etyki społecznej ma swoją przyszłość. Jest potrzebne.

W tym samym mniej więcej czasie w Gdańsku, w Ratuszu Staromiejskim przy ulicy Korzennej, położonym u brzegów niezbyt ruchliwej w tym miejscu Raduni, nieopodal gdańskiego Wielkiego Młyna, odbywała się zorganizowana przez Nadbałtyckie Centrum Kultury sesja popularnonaukowa zatytułowana *Pogranicza — literatura odzyskanych znaczeń*, z udziałem tłumaczy oraz wydawców. Jednym z jej uczestników był, bardzo na niej fetowany, nadworny tłumacz Güntera Grassa w Polsce, mieszkaniec stołecznego Żoliborza, lublinianin z urodzenia, Sławomir Błaut.

Pragnę powiedzieć kilka słów o innym aspekcie pogranicza — powiedział w swoim wystąpieniu. — O aspekcie językowym. U Grassa aspekt językowy to różne dialekty, dzisiaj już przeważnie martwe. Tak mówiła ludność Żuław, przedmieść gdańskich czy Kosznejderii, tej krainy położonej na południe od miasta Chojnice, owej „bramy Kaszub”. W owych siedmiu wsiach pomiędzy Chojnicami a Tucholą. Grass ma niezwykle wyczulone ucho na brzmienie tych wszystkich języków, gwar. Jestem pełen podziwu dla niego z racji pietyzmu z jakim te martwe już dialekty pielęgnuje w swoich książkach. Ja już nie mówię o kaszubszczyźnie, o zniemczonej kaszubszczyźnie, która we wszystkich książkach Grassa, od *Blaszanego bębenka*, tam jest jej jeszcze stosunkowo niedużo, przez *Psie lata*, *Ślimaka*, *Turbota*, po *Szczurzyce*, gdzie tej mowy jest już bardzo dużo. To również jest dla tłumacza jego książek poważne wyzwanie. W końcu września tego roku, w ramach targów frankfurckich, brałem udział w imprezie: *Unknenrufe in dreizehn Sprachen*. To była międzynarodowa premiera ostatniej książki Grassa. Zjechali się tłumacze książek Grassa. Czytaliśmy fragmenty naszych przekładów. Później rozmawialiśmy o trudnościach tłumaczenia Grassa z nim samym. Odbyło się to wobec audytorium kilkuset osób. Jest to dość niecodzienne zjawisko, że w 4 miesiące po ukazaniu się oryginału książki dochodzi do jej edycji od razu w trzynastu, i to najrozmaitszy

szych, językach świata. Jest obecna w całej Skandynawii, we Francji, we Włoszech, w krajach Beneluksu. W Hiszpanii nawet w dwóch językach, bo prócz hiszpańskiego w katalońskim. A język hiszpański otwiera dziełu Grassa bramę na całą Amerykę Łacińską. Jak się patrzy na mapę tłumaczeń Grassa, z miejsca dostrzega się także białe plamy. Więc przede wszystkim Jugosławia. Ten kraj kiedyś czytał Grassa. Jest to swoiste *signum temporis*. Znak czasu, w którym brakuje miejsca na kulturę. Także i cały Wschód — od krajów bałtyckich przez Rosję i Ukrainę nie zdobył się na wydanie książki Grassa. Ale szykuje się już 9 wydań w następnych językach. W Bułgarii, Izraelu, Japonii, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii. Razem będą to niebawem 22 kraje. Książka, jak żadna inna u Grassa o polsko—niemieckich sprawach, będzie poznawana nieomal przez cały czytający książki świat. Jest coś symbolicznego w tej równoczesności. W przeżywaniu tego samego przez czytelników w różnych krajach w tym samym czasie. Wydanie *Wróżb kumaka* w tak rekordowym tempie jest ewenementem (dlatego, że wszystkie uprzednie książki Grassa ukazywały się z opóźnieniem blisko dwudziestoletnim. *Błaszany bębenek* wręcz z 25-letnim). Myślę, że stanie się to od tego momentu praktyką stałą i niezmienną.

(1994)

# Literacka turystyka tęsknoty

## *Rozmowa z Günterem Grassem*

Urodził się 16 października 1927 roku na jednym z gdańskich przedmieść o nazwie Langfur — Wrzeszcz, w rodzinie kupca, właściciela sklepu z ulicy Labesweg 13 oraz matki, gospodyni domowej, z pochodzenia swego Kaszubki. Do czasu powołania pod sam koniec wojny do oddziałów pomocniczych Luftwaffe w wieku 17 lat mieszkał w Gdańsku. Wojna miała sprawić, że już do tego miasta nie powróci na stałe. Rzecz w tym, iż osiadłszy w Berlinie, ostatnio także w okolicach Hamburga, stale do miasta nad Motławą powraca. Głównie za sprawą kolejnych swych książek, które, niemal bez wyjątku, w dużych partiach rozgrywają się w mieście jego dzieciństwa i młodzięcgo wzrastania.

— Panie Grass. Z górą 30 lat minęło odkąd odkrył Pan w sobie zainteresowanie gdańsko-kaszubsko-polską tematyką. Odkąd w odległym Paryżu rozpoczął Pan pisanie książki, która w ostatecznym swoim kształcie zyska tytuł *Błasznany bębenek*. Co sprawiło, że zainteresował się Pan wówczas tymi sprawami? Jaki bodziec wewnętrzny stymulował to, a nie inne tematyczne zainteresowanie?

— Sam się nieraz nad tym zastanawiam. Bo przecież, gdy zaraz po wojnie zatrzymałem się na dłużej w Düsseldorfie (zapisalem się tam do *Kunstakade-*



mie), dużo bliższym doświadczeniem winny być mi choćby sprawy wojenne. To było w końcu bardzo silne przeżycie. Sama wojna. Obóz jeniecki. Przyjście Amerykanów...

— ...o których zresztą od tamtej pory nie wyraża się Pan z nadmiernym entuzjazmem. Podobnie zresztą jak i o Rosjanach. O paradoksie jednak, z Amerykanami ma Pan na pieńku od dawna. Czegoś im Pan nie jest w stanie darować. Te liczne uszczypliwości pod adresem „Ami”, „Jankesów”. Te publiczne polemiki z pisarzami amerykańskimi podczas obrad Pen Clubu. Sposób, w jaki wziął się Pan za łyby ze Styronem czy też Baldwinem.

— W człowieku rodzą się pewne mechanizmy obronne. Ze mną inaczej nie było. Dookolna niemiecka rzeczywistość lat 1945—1947 do najbardziej interesujących nie należała. Jeszcze trochę estetyzowałem, w rzeźbie przede wszystkim, ale i w grafice. Przypomnę jednak, że już miałem wówczas za sobą ową szkolną pracę pisemną na temat Kaszubów i z Kaszubami w tytule. Te jednak sprawy zaliczam raczej do pre-twórczości. W sztuce winna się liczyć nade wszystko świadomość twórcy, czy to malarza, czy to pisarza.

— Wiele Pan wówczas podróżował po Włoszech, po Francji, głównie zresztą autostopem. Powstawały wówczas liczne szkice podróżne, rysunkowe. Czy już wówczas wzbierały w Panu owe tajemne moce sprawcze, które każą Panu niebawem pochwycić za pióro?

— Zapewne tak, choć nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością. Pisałem sporo wierszy, które były mieszaniną patosu i komizmu. Jednak już z tego swoistego melanzu dało się odczytać przyszłe cechy, chociażby Oskara Matzera z *Blaszanego bębenka*.

— Owa skłonność do groteskowego postrzegania rzeczywistości była więc Panu właściwa odkąd po raz pierwszy pochwycił Pan za pióro. Po latach zresztą uczynią Panu z tej skłonności koronny zarzut. Zwłaszcza tu nad Wisłą, gdzie owa tradycja literacka nie była zanadto obecna. Było to wszak w pejzażu przed Gombrowiczem. W każdym razie przed tym Gombrowiczem znanym Polakom z *Pornografii* czy *Trans-Atlantyku*.

— Jeszcze bodaj dobitniej jest ta moja ówczesna skłonność widoczna w wierszu *Wiosna*. W groteskowym widzeniu świata posuwam się wręcz do autoironii. Zwłaszcza zaś owym końcowym „I splunął wielobarwną śliną w trawę” (*Spuete vielfarbig ins Gras*), z grą słów — Grass—Gras (trawa).

— My Polacy mamy wobec Pana, przyznaję to z ręką na sercu, skłonności bardzo zaborcze. Bywa, że traktujemy Pana osobę, całą Jego twórczość jak niemal swoją własną, tutejszą, w niejednym polską. Zwłaszcza za sprawą owych

licznych, tkwiących w niej wątków gdańsko-kaszubsko-polskich. To one sprawiają, że jest Pan nam aż do tego stopnia bliski. Choć w odbiorze Pańskiej twórczości nie posuwamy się aż do tego — z małymi wyjątkami, o których za chwilę — by ją nicować w imię dostrzegania objawów chwilowej słabości. Jak zdarza się to chociażby w Niemczech, gdzie bywa Pan nierzadko krytykowany. A to za formę, to znów za treść. Raz z prawicowej flanki, to znów z patriotycznych (czy też wręcz nacjonalistycznych) pozycji. Tymczasem Pańska twórczość niezbyt poddaje się zakwalifikowaniu do nurtu „literatury wysiedlonych”, choć niby wszystkie składowe w niej są. Jednak kaliber tej Pańskiej twórczości, jej rozmach formalny sprawiają, że niezbyt Pan pasuje, także i polskim znawcom literatury tego rodzaju do ich scyentycznego schematu.

— No cóż... Z woli historii moja rodzina przeniosła się do Niemiec. To była najpierw Bizonia, później Trizonia. W Berlinie Zachodnim, gdzie zamieszkałem, poszczególne strefy okupacyjne były mocno widoczne. Świadcowałem zresztą — w maju 1953 roku — owemu ludowemu robotniczemu powstaniu w Berlinie Wschodnim. Bardzo mnie ono wówczas obeszło. Do tego stopnia, że napisałem w kilka lat później sztukę sceniczną *Die Plebejen machen den Aufstand* (*Plebejusze szykują powstanie*).

— Przed rokiem ukazała się ona drukiem także i w Polsce, w miesięczniku „Dialog” (nr 7/1992). Inna Pańska sztuka, *Hochwasser* (*Powódź*), została wystawiona przez Krystynę Meissner w teatrze toruńskim.

— Miałem sposobność obejrzeć ten spektakl podczas tournée tego teatru w RFN.

— Powróćmy jednak do owej „literatury wysiedlonych”. Pod ziomkowskie schematy „literackiej turystyki tęsknoty” niezbyt Pan podpadał. Odcinał się Pan od nich swym obrazoburstwem, groteskowością poszczególnych scen, gnomicznością głównej postaci *Blaszanego bębena*. *Notabene*, polski pisarz Tadeusz Konwicki, zagadnięty w Pańskiej sprawie, będzie zdania, że ten ostatni czynnik — karzełkowatość głównego bohatera — przesądza w sposób ostateczny o praniemieckich korzeniach Pańskiego pisarstwa. Bo nawet w pisanych w Niemczech utworach dla dzieci (bracia Grimm), a pewno był Pan pod ich silnym wpływem, czego Pan nie ukrywa, pełno jest stworów tego rodzaju. Polskie krasnoludki zdają się postaciami jedynie zewnątrznie do nich podobnymi. Niczym ponadto.

— Jak jednak inaczej miałem ukazać Gdańsk mojej, coraz bardziej odległej, młodości, jak nie poprzez chłopca, który zaprotestował przeciwko dalszemu swemu rośnięciu? Ten chwyt formalny wydał mi się najbardziej sensowny. Pozwolił mi on, uznałem wówczas, na ekstrapolację wielu spraw. Na opowiadanie o nich tak, jakby zdarzyły się wczoraj.

— I na infantyлизację wielu spraw. Na, jak gdyby, zatrzymanie w kadrze wielu postaci, w tym i tych znanych z historii powszechnej. Postać Gauleitera Forstera chociażby, czy nawet samego Hitlera. Jak Pan sądzi, co tak bardzo zdenerwowało w *Bębenku* tych, którzy, zarówno nad Renem (zwłaszcza politycy, rangi Straussa czy też kanclerza Kiesingera), jak i nad Wisłą wieszali na Panu psy?

— Nie wiem, jak rzecz się miała w Polsce, choć doszły mnie słuchy, że poszło o sekwencję obrony Poczty Polskiej w Gdańsku i grę w skata podczas tejsze obrony. Nadto jeszcze o gwałt żołnierza radzieckiego na gdańszczance i owe wszy za kołnierzem Kałmuka. W RFN z kolei niezbyt podobał się klimat tej książki. Atmosfera pamfletu na hitlerowską rzeczywistość.

— Tymczasem, co dobitnie pokazał film podług Pańskiej książki, *Bębenek* był powieścią wybitnie realistyczną. Volker Schlöndorff dziwił się wręcz, że wszystkie miejsca, o których pisał Pan w powieści, istnieją naprawdę. I z konieczności jedynie sceny z gdańskiej Zасы musiał on filmować, czego był Pan świadkiem, na gdańskich... Stogach, tuż nad brzegiem morza.

— Nawet postaci Oskara wymyślać nie musiałem. Starczyło obdarzyć go ową „dorosłą” w każdym szczególe nadświadomością i to wystarczyło, by akcja powieści toczyła się już potem wartko.

— Gorzej, że postać wuja Franciszka z kaszubskiego Klukowa, w powieści nazwanego Jan Broński, niezbyt przypadła do gustu jego dzieciom.

— Wiem o próbach interwencji rodzinnych w tej sprawie. Pisarz ma jednak prawo do zabiegów tego rodzaju. W końcu nie posługiwałem się nazwiskami rzeczywistymi.

— Wystarczyło to jednak, aby na wiele lat zatrzymać druk powieści w Polsce. Powiem Panu w zaufaniu. Miało to sprzyjać w przyszłości recepcji całej Pańskiej twórczości na polskim rynku czytelnictwym. Atmosfera skandalu, towarzysząca książce, jej trwała nieobecność wbrew jej randze dobrze robi pisarzowi. Nie był Pan zresztą w tym względzie odosobniony. Z autorem *Wyboru Zofii* było podobnie. Kto tylko miał się polskiej tematyki, narażony bywał na zarzut zbyt łatwej koniunkturalności. Z Panem było gorzej jeszcze i przez to, że zdaniem obrońców „Okopów Św. Trójcy” obrażał Pan uczucia religijne Polaków, kult Matki Boskiej Częstochowskiej. I za to właśnie bywał Pan sekowany przez Jana Dobraczyńskiego i Wojciecha Żukrowskiego. I znów: jedynie przysparzali Panu sojuszników, zwłaszcza w kręgach inteligenckich.

— Mnie zawsze było trochę łatwiej, bo nie potrzebowałem tłumacza. Język niemiecki czynił moje książki bardziej dostępnymi. Pisarz polski w mojej sytuacji miałby się z pyszna.

— Powróćmy jednak do Pana pierwszych po wojnie odwiedzin Gdańska...

— Było to w roku 1957. Byłem w trakcie pisania *Bębenka*. Brakowało mi trochę realiów. Znałem je, lecz odrobiny pewności siebie przed wzięciem się za bary z historią mi brakowało. Wprost z Paryża, gdzie wspólnie z żoną Anną wówczas przebywaliśmy, przyjechaliśmy do Gdańska oraz na Kaszuby, gdzie w Bysewie odwiedziliśmy moją babkę cioteczną Annę Hoppe, mego przed kilku laty zmarłego wuja Jana (Hannesa, jak go nazywałem). Zrobiliśmy sobie wówczas kilka zdjęć, które trafiły później do albumu rodzinnego.

— Lecz nie do albumu wydanego z okazji 40-lecia Pańskiej twórczości pt. *Vier Jahrzehnte*, a szkoda. Bardzo były ładne. Jedno z nich wykorzystałem zresztą w roku 1972, kiedy to opublikowałem w stołecznej „Kulturze” reportaż o Panu pt. *Droga kaszubska*. Po raz pierwszy spotkaliśmy się jednak o wiele później, bo w roku 1978 na planie filmowym *Blaszanego bębenka*. Tak czy owak minęło właśnie 20 lat odkąd zaczęło się moje pisanie na Pański temat. W kraju był Pan znany z opowiadania *Kot i mysz* w tłumaczeniu Ireny i Egona Naganowskich, nadto zaś z fragmentów *Bębenka*, które się upychało to tu, to tam.

— Zawsze byłem zdania, że w Niemczech sprawy literatury są niedoceniane, w Polsce natomiast bywają przeceniane. Takie nieodparte wrażenie odnosiłem na podstawie reakcji na moje kolejne książki.

— Jednak trochę szczęścia miał Pan również. Wilhelm Szewczyk opublikował swoją *Literaturę niemiecką w XX wieku*, w której sporo miejsca poświęcił Pańskiej twórczości. Prof. Franciszek Ryszka nie miał dość słów zachwytu dla powieści *Psie lata*. Także i w osobie Andrzeja Wasilewskiego, prominentnego wydawcy, miał Pan wcale nie cichego sojusznika. Wkrótce zresztą był gotowy przekład *Bębenka* pióra Sławomira Błauta.

— Byłem od tego bardzo daleko. Po napisaniu „gdańskiej trylogii” powróciłem do gdańskiego tematu w *Turbocie*. To była przełomowa jak gdyby sprawa: robotnicze protesty na Wybrzeżu w roku 1970. Zrozumiałem wtedy, że historia to jest także dzień dzisiejszy. Całkiem inaczej aniżeli dotąd zacząłem podchodzić do spraw „mojego” miasta, do Gdańska. Zacząłem żyć nie tylko jego dawnymi, powiedzmy, hanzeatyckimi losami, czy też okresem międzywojennym czy wręcz wojennym, ale także i tym, co zdarzało się całkiem aktualnie. Nadto jeszcze jedna z moich krewniaczek naprawdę pracowała wówczas w jednym z gdańskich punktów gastronomicznych. Tyle że nie w kantynie Stoczni Gdańskiej, jak opisałem to w *Turbocie*, ale w kawiarni klubu studenckiego „Żak”. Przesunięcie akcentów i efekt był gotowy. Wtopienie wątków osobistych w nurt zdarzeń historycznych.

— Podobnie, jak uprzednio uczynił Pan z Janem Brońskim. Nawet gdy zmieniał Pan nazwiska bohaterom swoich „gdańskich” książek, łatwo było odcyfrować ich protagonistów i protoplastów. Odnoszę nieraz wrażenie, że wręcz lubuje się Pan w zabiegach tego rodzaju. To zresztą nadaje Pańskim książkom walor szczególnej plastyczności. Te nazwy ulic, placów, dzielnic, rzek. Ów gdański *genius loci*, który sprawia, że staje Pan w jednym szeregu z takimi pisarzami jak Kafka z jego Pragę, Joyce z Dublinem, Döblin (skądinąd Pański, jak wiem, nauczyciel w prozie) i jego Berlin, Proust i jego Illiers (powieściowe Combray), jak Bruno Schulz oraz Drohobycz, wreszcie Wilno Tadeusza Konwickiego.

— Dobra literatura, miałem zaś ambicje tworzenia takiej, nie mogła, moim zdaniem, dziać się „wszędzie i nigdzie”. Na to pozwolić sobie nie mogłem, zresztą nie miałem najmniejszego zamiaru tak czynić. Zbyt mocno była we mnie zakorzeniona owa gdańska, pograniczna w niejednym, tematyka. Przy okazji chciałem coś ważnego powiedzieć moim rodakom. Bo przecież jestem i czuję się Niemcem. Chciałem ich do czegoś namówić, do czegoś nakłonić.

— Właśnie. Agitacyjny ton Pańskiego pisarstwa. Wydaje mi się on być w nim immanentnie obecny. Nie wprost, ale jednak. Do czego Pan agituje swoich rodaków?

— Do wyrwania z siebie hitlerowskich pozostałości. Do wyrwania ich wraz z korzeniami wszelkiego wąskonacjonalistycznego myślenia. Do uświadomienia sobie rozmiarów „szlachetnego sąsiedztwa”. Jego roli i znaczenia. Choćby przez postaci wspólne naszej historii. Mam na myśli postać Saksończyka i gdańszczyzanina w jednej osobie — astronoma Heveliusa (Polacy pragną z niego zrobić Heweliusza), Kopernika, którego ja sam w sporze czy był on Polakiem, czy też Niemcem zaliczyłem do grona... Kaszubów, gdańskiego myśliciela z ulicy Świętego Ducha — Schopenhauera, fizyka Fahrenheita.

— Swoją drogą, dziwne to było miasto, ten Gdańsk minionych wieków, lecz i ten w którym Pan wzrastał.

— On już więcej nie powróci. Z woli Hitlera i Stalina tak się stało. Nie ma już dzisiaj w Gdańsku Żydów, choć byli tam przez kilka stuleci, nie ma już Niemców, ludzi innych wyznań jest w nim bardzo niewiele.

— Uczestniczyłem całkiem niedawno w nabożeństwie zielonoświątkowców. Jest w Gdańsku parafia menonicka. Zbudowano od fundamentów meczet, nigdy w tym mieście uprzednio nieistniejący.

— Z sympatią odnotowuję odradzanie mniejszych na gruncie polskim religii.

— Już jednak dawny cmentarz żydowski na Chełmie znany jest bardzo niewiele ludziom. Tymczasem inskrypcje na jego rozrzuconych w przestrzeni, porośniętych trawą, płytach nagrobnych mówią, że był to cmentarz XVIII-wiecz-

ny. O kompleksie spraw Żydów gdańskich napisał Pan w *Dzienniku ślimaka*...

— Był to rodzaj rozmowy prowadzonej z mymi dziećmi. A mam ich, ba-  
gatela, aż dziewięcioro...

— Na albumie *Vier Jahrzehnte* widnieje dedykacja: „Dla Laury”.

— Podczas poprzedniej mojej wizyty w Gdańsku wziąłem ze sobą moją  
córkę wywodzącą się z trwającego dość krótko konkubinatu.

— Poznałem Helenkę. Odziedziczyła, jak bodaj żadne inne z Pańskich  
dzieci, zdolności po ojcu. Jak wiem, pisze, maluje. I rzecz nie bez znaczenia: jest  
ładną, mądrą kobietą.

— Kocham wszystkie moje dzieci. Także dwójkę dzieci mojej obecnej żo-  
ny Ute.

— Oddalenie. Jaką rolę odgrywa ono w Pańskim pisarstwie?

— Oddalenie oraz utrata. To dla mnie nieoczekiwana szansa spojrzenia  
na szereg spraw z pewnego dystansu. A z oddalenia, jak wiadomo, lepiej widać.

— I co Pan ujrzał?

— Miasto-mozaikę narodowościowo-wyznaniową. Historię pisaną zarów-  
no wielkimi, jak i małymi literami, tę rodzinną, obecną w każdym z nas na swój  
sposób.

— Nam o niej zbyt długo kazano milczeć.

— Aż doszło do dwóch kolejnych wybuchów społecznych, którym soli-  
darnie, na ile tylko było mnie stać, świadkowałem.

— Upominał się Pan też — w liście do gen. Jaruzelskiego — o wypuszcze-  
nie z obozu internowania pisarza Wiktora Woroszyńskiego. List Pański zaczynał  
się od słów: „Gdy napisałem list do gen. Pinocheta...”. Reakcja była natychmiasto-  
wa. Autor książek o Jesieninie, Majakowskim, Niekrasowie znalazł się na wolno-  
ści. *Homo politicus*. Takie miano przypisano Panu niejedyn już raz. Co to ozna-  
cza?

— Nieobojętność na ludzką krzywdę. Na wszelkie przejawy totalitary-  
zmu. Na ludzką nędzę.

— Tropił ją Pan hen, w Kalkucie...

— Na rasowe i wyznaniowe przesady.

— Z Kościoła katolickiego w sposób oficjalny Pan wystąpił, stając się  
*ex definitione* agnostykiem.

— Na wszelkie prześladowania, chociażby, jak ostatnio, cudzoziemców  
zamieszkałych na stałe bądź okresowo w moim kraju. W momencie, w którym  
moja partia opowiedziała się w sposób oficjalny za ustawą o przesiedleńcach,  
podjąłem decyzję o opuszczeniu szeregów SPD.

— Nieraz sobie myślę, jakby sprawy te miały się, gdyby żył Willy Brandt...

— Może by się zastanowili?

— „Grupa 47”. Jaką rolę w Pańskim życiu odegrała przynależność do niej?  
— Bardzo znaczną. Ona mnie wręcz do pewnego stopnia ukształtowała. To właśnie podczas spotkań tej grupy dyskutowaliśmy wiele spraw z gatunku tych, o których powiedzieliśmy tu sobie przed chwilą. Przede wszystkim — odpowiedzialność pisarza przed historią. Estetyzować mogłem sobie — i robię to nadal — w grafice, częściowo w sztukach scenicznych. Czasami także w mojej poezji. Już jednak w prozie na luksus tego rodzaju pozwolić sobie nie mogłem. Zresztą, wciągnęły mnie wkrótce w swą orbitę sprawy wielkiej polityki.

— Stał się Pan wręcz agitatorom SPD, nie będąc zresztą członkiem tej partii...

— Jej członkiem stałem się natomiast wówczas, gdy znalazła się ona w opozycji do bloku rządowego CDU-CSU.

— To dało Panu pewien luksus w myśleniu oraz w działaniu. Sprawy dozażne, rozmaitych chwilowych koniunktur, mogły pozostawać odległe.

— Nie mogłem jednak milczeć wtedy, gdy moja partia opowiadała się po niewłaściwej, moim zdaniem, stronie w kwestii azylantów.

— Ma Pan również wciąż żywy stosunek do Gdańska. Do wielu spraw tego miasta tyjących. Agituje Pan, dla przykładu, na rzecz upamiętnienia postaci Daniela Chodowieckiego. Tego rysownika, podróżnika, autora książki—albumu o podróży do Gdańska.

— Do tego stopnia, że patronuję nagrodzie — w wysokości 10 tys. marek rocznie — dla młodego artysty. Nagrodzie noszącej w szyldzie imię tego twórcy z Polski.

— W Gdańsku działają aż dwa, konkurujące z sobą, Towarzystwa im. Daniela Chodowieckiego.

— Pragnąłem nadto rekonstrukcji gdańskich spichlerzy, upamiętnienia getta żydowskiego w Gdańsku. Jego ulice, domy wciąż przecież istnieją.

— A także synagoga we Wrzeszczu. Mieści się w niej obecnie szkoła muzyczna, lecz brakuje na tym budynku choćby tablicy informującej o historii tego obiektu.

— Wszystko jest jednak na dobrej drodze.

— To, co się stało ostatnimi laty w Europie, jak wiem, zaskoczyło nawet Pana...

— Pamiętam, że podczas mego pobytu w Gdańsku optowałem na rzecz konfederacji dwóch państw niemieckich.

— W tydzień zaś później mur berliński został obalony.

— Cóż, i tak bywa z diagnostami historii.

— Wyraża Pan swój gorący protest przeciwko złemu traktowaniu przez Arabów osoby oraz dzieła Salmana Rushdiego...

— Mam w pełni jasny i do końca sprawdzony pogląd w tej sprawie. Rushdie to mój brat po pisarskim piórze. To ktoś, jak ja sam. Jego *Midnightchildren* (*Dzieci północy*), choć dzieją się w Bombaju, mogłyby dzieć się w Gdańsku. To taki hinduski *Błaszany bębenek*.

— Spodobał się Panu film według *Bębenka*?

— Bardzo. Zresztą, nie znając się na sztuce filmowej, doceniłem w pełni aspiracje Volkera Schlöndorffa do znalezienia ekwiwalentnego języka filmowego dla mojej, przecież niełatwej, prozy.

— A film podług *Kota i myszy*?

— Pokazuje Gdańsk mojej młodości. Nie wiem, doprawdy, jak się to Pohlandowi udało.

— Także i Gleb Panfilow, autor *Pokuty*, jak wiemy, planował nakręcenie *Szczurzyca*?

— W końcu jednak nic z tego nie wyszło. Ciągłe powstają w Niemczech jakieś filmy o Gdańsku. W niejednym wziąłem osobiście udział.

— Później zaś, jak po nakręceniu filmu *Drogocenna przeszłość*, cała sekwencja Pańskiego udziału w tym filmie trafiła na karty *Turbota*, tej bodaj jedynej — obok *Miejscowego znieczulenia* — dotąd nieprzetłumaczonej na język polski Pańskiej powieści.

— *Szczurzyca* również nie została jeszcze wydana.

— Ale jej przekład, jak mi wiadomo, od dawna jest już gotowy. Reszta to sprawa wydawcy *Wróżb kumaka*, czyli Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku. Wypada Panu podziękować za to, że w całym nieomal czytelniczym świecie poznają dziś dzieje późno spełnionej miłości Polki Aleksandry Piątkowskiej oraz Niemca Aleksandra Reschkego. Gdy przed pół rokiem przebywałem w Bielefeld, spotkałem tam kogoś o tym nazwisku. Eks-Łodzianina, Polako-Niemca, którego żona jest tłumaczką. Ciekawa koincydencja, nieprawdaż?

— Dla mnie było ważne w tej powieści owo ostateczne pojednanie na Cmentarzu Europy. Ono i tak już się faktycznie dokonało. Z chwilą rozbrojenia atomowego, złączenia się dwóch państw niemieckich, atrofii komunizmu. Rodzą się wprawdzie nowe niebezpieczeństwa, owe nacjonalizmy, choćby te w wydaniu jugosłowiańskim, czy też tego co obserwujemy obecnie na scenie politycznej w moim kraju. Jestem jednak optymistą. Wierzę w rozum ludzkości i w żelazne reguły dziejowe.

— Serdecznie dziękuję za tę rozmowę.

(1994)



## Grass występuje z SPD...

Uczył to, podjął decyzję tego rodzaju nie w odruchu protestu. Nie w jakiejś chwili emocji czy szczególnego uniesienia. Zdecydował tak po kilkutygodniowym namyśle, w akcie niezgody na wewnętrzzpartyjne ustalenia socjaldemokratów, partii do której od lat należał, a z którą sympatyzował i ją wspierał przez lat kilkadziesiąt. Z braku jego akceptacji dla wpisania się jego partii w myślenie podobne innym partiom w jego kraju w kwestii zmiany niemieckiej polityki azylowej. Listopadowe roku 1992 porozumienie SPD z rządzącą nad Renem koalicją CDU/CSU w sprawie znacznego zaostrzenia — dotąd bardzo liberalnych — praw azylowych od razu spotkało się z negatywnym stosunkiem pisarza. Już wtedy Grass, członek SPD od 1982 roku, uznał iż zgoda socjaldemokratów na nowe przepisy azylowe była „nieodpowiedzialna i obłudna”.

Tyle komunikat Agencji France Presse w tej niebagatelnej sprawie. Każdy z nas uzupełnia go sobie obrazem ujrzanym w telewizji: autor *Blaszanego bębenka*, ale i *Niemieckich rozliczeń*, maszeruje na czele pochodu demonstrantów. W jakiej sprawie? Wciąż powtarzających się incydentów podpaleń, przemocy wobec przybyszów do tego kraju: Polaków, Turków, Rumunów, ludzi innych narodów, ras oraz wyznań. Wyszedł wówczas ze swej, „Goethego naszych czasów” pracowni, by jak jego wielki protagonista i poprzednik — zaprotestować.

To wtedy publicznie objawił Grass swą niezgodę na to, co dzieje się wokół niego w kraju nad Renem, Menem oraz Łabą. Ruszył do milczącego przemiar-

szu przez jedno z największych niemieckich miast, by okazać tym sposobem swą solidarność z pognebnionymi, poniżonymi, nie mającymi sił na to, by zaprotestować. On więc wsparł ich swoim niewątpliwym autorytetem męża stanu, moralisty.

Pamiętny moment akcesu Grassa do SPD. W podróży promocyjnej jednej z jego wówczas wydanych książek, w samochodowym radio usłyszał, iż zawiązała się w RFN nowa koalicja rządowa i że SPD przeszła do opozycji. Z miejsca podjął decyzję o przystąpieniu do tej partii. Nie chciał być, nie bardzo mu to odpowiadało, członkiem tej partii wówczas gdy sprawowała rządy. Groziło to mu uwikłaniem się w nazbyt doraźne układy, apanaże, uwarunkowania i przywileje. Nie pragnął ich; jego pisarstwo nie potrzebowało protezy tego rodzaju. Wsparcia go czymkolwiek innym. I to pomimo tego, że poprzednio przez lat wiele świadczył za swą partią na wiele sposobów...

Oto Berlin roku 1965. Burmistrz Berlina Zachodniego Willy Brandt podpisuje plakat autorstwa swego serdecznego przyjaciela Güntera Grassa, ten z charakterystyczną głową i owym dziobem koguta, ułożonym sylabicznie: Es-Pe-De. Otacza go gęstwina młodzieży podobnie jak i on politycznie myślącej. Ta młodzież miała jeszcze w najbliższej przyszłości odegrać niebagatelną, choć nie w każdym szczególe pozytywną dla postępów demokracji w tym kraju, rolę. Ta jednak jej część, zgrupowana wówczas wokół autora świeżo wydanej „gdańskiej trylogii”, z owymi rulonami jego plakatu w ręce, stanowiła trzon, samo jądro młodzieżowej przybudówki partii SPD. To była jej część najaktywniejsza, choć nie mająca decydującego głosu w partii.

Już po chwili zasiadł Grass w towarzystwie Karla Heinza Eversa, Waltera Schmiedingera oraz Klause Schütza, by agitować za tym ostatnim w wyborach do parlamentu.

Grassowi mało było tego. Zaczął owe liczne podróże po kraju. Obraz Grassa siedzącego na jednej ze swych wcale eleganckich walizek na berlińskim dworcu kolejowym, z kuframi, na których zalegają owe plakaty, rulony pism o SPD-owskiej orientacji, należał do swoistych scenek rodzajowych tamtego niemieckiego czasu. Czasu bezpardonowej batalii o zwycięstwo tendencji socjaldemokratycznych.

Mógł się nie identyfikować w pełni ze swym państwem. Był wszak *Ausiedlerem* z zupełnie innego geograficznego, historycznego wymiaru. On — berlińczyk z gdańskiego przeszczeputu.

Pisał:

Wówczas, w połowie lat sześćdziesiątych polityka upomniała się o niemal każdego z nas, znaleźliśmy się raptem w kręgu jej bezpośrednich oddziaływań. Mnie nie chcia-

ła później poza ten krąg przez wiele lat wypuścić. Przez dobrych siedem długich lat tak się działo. Owe doświadczenia, wejrzenia w urodę niemieckiej prowincji sprowadzały się w efekcie końcowym do walki tendencji alarmistycznej z antyalarmistyczną. Już nigdy potem nie miało być wystarczająco cicho. Z tego czasu powziąłem też motywy dla mojego trzeciego z kolei tomu wierszy *Ausgefragt (Wypytni)*, które miały się później złożyć na stronie mojej prozy, dodając mi sił na jej pełne rozwinięcie.

W liście do rodziny z 7 lipca tego roku informował: „Wczoraj było bardzo interesująco: Vaterland — przemówienie w Hamburgu wraz z Willym. Mowa w Kilonii ze znacznym skutkiem”.

A grzebień espedowskiego koguta bywał, na zmianę, czarny bądź też czerwony. Literki SPD kreślił skrótowo bądź fonetycznie. Malował je na niebiesko, czerwono, czarno. Wspierał swą partię: oratorsko, agitacyjnie, podróżniczo, lecz i na sposób obrazowo-komiksowy. Cały Grass. Z niejednej gliny ulepiony. Nie na jeden sposób, tylko pisarski, czy tylko agitatorski, przemawiający do współobywateli.

„Przekłete niemieckie problemy” — pisał w tytule jednego ze swych szkiców, który miał nie wejść do tomu *Niemieckie rozliczenia*, jaki w roku 1990 ukazał się nakładem wychodzącej z polskiego podziemia NOWEJ.

Nienawiść nie powstaje i nie wzmaga się bez powodu. Jakkolwiek na koniec wybuch jej jest jednoznaczny, ma wielowarstwowe podłoże. Dlatego nienawiść między narodami i rasami, między wiernymi zwolennikami ścierających się religii, a także nienawiść między klasami społecznymi z reguły zwykło się nazywać irracjonalną, nawet gdy łatwo poznać, że przyczyny tej nieliczącej się z żadnymi miarkującymi argumentami siły napędowej zakorzenione są często w decyzjach natury ekonomicznej, politycznej i społecznej, podyktowanych — jak można sądzić — wyłącznie rozsądkiem.

Dostrzegał Grass objawy tej nienawiści w dawnym Związku Radzieckim. Podczas ostatniej swej wizyty w Warszawie niejedną kwestię wypowiedział na temat wojny w Jugosławii. Objawy nienawiści pomiędzy Niemcami a Niemcami obchodziły go jednak zawsze w sposób najbardziej żywy i natychmiastowy. Reagował na nie najrychlej.

Dostrzegał objawy „spychania rozsądku na margines”, w chwili gdy inkorporacja NRD do moźniejszej RFN dokonywała się niejednokrotnie z pogwałceniem praw obywateli kraju nad Sprewą. Zjawisku spychania ich na społeczny i polityczny, w efekcie: także i ekonomiczny, margines przeciwstawił się z wielką żarliwością.

„NRD dostanie się im za bezcen” — pisał wówczas.

Dopiero co jeszcze skłócona, zachodniemiecka radykalna prawica już połączyła się ze wschodniemiecką. W tych kręgach można liczyć na koniunkturę. A nienawiść,

która tylko w pojedynczych przypadkach (niekiedy płodnych literacko) neutralizuje się jako nienawiść do siebie, będzie szukała sobie celów leżących poza sferą własnych dusznych wyziewów. [...] Byłem tam w ciągu ostatnich miesięcy — pisał Grass w roku 1990. — W Cottbus, w Guben czy w północnym Uckermark — wszędzie w obszarze przygranicznym nienawiść do obcych, gdzie indziej skierowana raczej na Wietnamczyków czy Afrykanów, koncentruje się wprost przeciwko polskim gasterbeiterom i przeciwko Polsce w ogóle...

Od tej pory minęły dwa lata. Fala nienawiści rozlała się w Niemczech szeroko. Wzbudzana przez skinheadów, powodowała natychmiastowe dołączanie się do nich klienteli politycznej o prawicowym rodowodzie. Odcinanie politycznych kuponów od tej sytuacji.

Autor *Niemieckich rozliczeń* nie chciał być wobec tych spraw obojętnym. Autor szkiców *Wstyd i hańba*, autor wiersza *Gdzie Niemiec ma ojczyznę swą?* kończącego się słowami: „Niech całe Niemcy domem nam!”, autor listu otwartego do Anny Seghers z roku 1961 (moment zbudowania muru berlińskiego), *Kilku myśli kosmopolity bez ziemi* powiedział: *no pasaran*, jak niegdyś przeciwnicy faszyzmu we frankistowskim jego wydaniu. Dalej już nie przejdziecie. Waszą małością przez moją wielkość. Przez moje myślenie w tych sprawach, jakże różne od tego waszego. Waszym, tkwiącym głęboko w brunatnej przeszłości narodu myśleniem oraz działaniem przez moje poglądy, nieskrywane nigdy, demokratyczne, pełne tolerancji dla innego myślenia i pochodzenia, dla innej obyczajowości oraz zachowań.

I wówczas zdecydował — o swym wystąpieniu z SPD. Wydaje się, że jest ono definitywne i ostateczne. Jest rodzajem decyzji, od której nie przysługuje już jakie bądź odwołanie.

Co grozi Grassowi teraz, gdy już zabrakło Willy'ego Brandta? Postępujące osamotnienie? Marginalizacja jego osoby? Czy może wręcz przeciwnie — stanie na czele jakiegoś ruchu, który dopiero powstanie? Mam w oczach blask łun pochodni w rękach 300 tysięcy demonstrujących mieszkańców Berlina. Odnoszę teraz takie wrażenie, jakby Günter Grass stanął obecnie na ich czele.

(1993)

## Sonety do wypędzonych

Marcel Reich-Ranicki wprost oniemiał. Gdy nakładem wydawnictwa Gerharda Steidla w Getyndze ukazał się – w marcu 1993 roku – tom sonetów Güntera Grassa zatytułowany *Novemberland (Listopadia)*, nie potrafił wręcz ukryć słów zachwyty nad tym tomikiem Grassa. On – notoryczny prześmiewca i niedowiarzek, osobisty wróg Grassa, jak można by wnosić z wielu jego wobec Grassa krytycznych wystąpień w przeszłości (od sławetnego pasowania go na – tu uwaga – „bułgarskiego szpiega”, hen w latach 50., po owo pastwienie się nad *Szczurzycą* czy, zwłaszcza, *Wróżbami kumaka*), nagle zmienił ton. Pod wpływem świeżej lektury tego tomu wierszy począł wręcz pasować Grassa na tego, który „pełni dojrzał do przyznania mu literackiej Nagrody Nobla”.

Tymczasem Steidl wciąż wznawiał *Novemberland*. Drugi nakład ukazał się zaraz po pierwszym, bo jeszcze w marcu, trzeci w kwietniu 1993. Zbiór 13 ponumerowanych sonetów zaopatrzony jest w malunki samego Grassa, co wspólnie ze staranną edytorską oprawą czyni z tomiku swoiste cacko edytorskie.

Sonet – jakże gustowna forma literacka. Imał się jej Szekspir, Petrarca, Kochanowski. Tu forma zewnętrzna zmagają się z treścią niekiedy bardzo współczesną. Dlaczego jednak Grass użył tej właśnie, jakże kunsztownej, formy? Należałoby jego samego o to zapytać. Być może taka właśnie zdała mu się najbardziej stosowną do treści, jakie pragnął w swych wierszach przekazać.

W listopadzie roku 1992, już po obaleniu z kretesem muru berlińskiego, po zjednoczeniu RFN z NRD, przez całe Niemcy przeszła fala napadów na azylan-  
tów. Grass powie o niej:

Nagle znalazłem się w społeczeństwie amorficznym. Politycy niezbyt pośpiesznie się do niej odnieśli. Postanowiłem na tę sytuację zareagować. W jaki jednak sposób? Byłem zdania, że forma wiersza musi być bardzo surowa. Postanowiłem odwołać się do sonetów autorstwa Andreasa Gryphiusa, gdańszczanina z urodzenia, pisarza niemieckiego i europejskiego baroku, który w pierwszych dziesiątkach lat XVII stulecia zareagował całym cyklem sonetów na toczącą się wówczas w Niemczech wojnę trzydziestoletnią.

Tom otwiera wiersz *Co nasze*. Pisze w nim Grass: „Wszystko co tajne odchodzi”. Pisze o nędzy, która się utrzymywała pomimo koncepcji wolnego rynku. I że listopad był pewną cezurą stworzoną w lęku przed Sądem Ostatecznym.

*Późne słoneczniki*, tak zatytułował Grass sonet 3. „Listopad je dopadł” — pisze. W kolorach żółci i czerni także. Jeszcze kikuty sterczą ukośnie na deszczu. Dokonało się rozejście. Rozejście, niczym męża i żony, kraju i ludzi pospołu.

W *Dniu zadusznym* wspomina Grass swój listopadowy lot do Polski. Sporządza rodzaj posłania: „Bądź osobliwy, inaczej ulepiony”.

*Przeciągły deszcz*. Pisze Grass o „strachu który krążył”. I dalej:

Młodzi wcześniej się starzeją,  
boją się o swe renty  
skinom we frakach nadano ordery.

Sonet 13. nosi tytuł *Co nadchodzi?*. „Na zboczach resztki głogów mokną w słońcu”, „Kto wie jak na Adwent knebel się zakłada?”.

Kilka z tych sonetów odczytał Grass na spotkaniu z okazji wręczenia mu doktoratu honorowego Uniwersytetu Gdańskiego. Czytał je wspaniale, głosem mocnym, z niemalym talentem aktorskim. Ale i z wyraźnym przejęciem w głosie, jak gdyby wciąż jeszcze ich zawartość poruszała go wcale mocno.

I wyjechał. W kilka dni później telewizje całego świata pokazały ów dom w Solingen, w którym spalono pięć tureckich dziewczynek. Grass zapewne był gdzieś blisko tego miejsca...

(1993)

# Jestem niemilczącym świadkiem

## *Rozmowa z Günterem Grassem*

— Tak więc przybył Pan do Gdańska z należnymi mu ze strony tego miasta honorami. Wiele wody musiało spłynąć Radunią oraz Motławą.

— Przypomnę więc tylko, że po raz pierwszy po wojnie przybyłem do Gdańska, który nie był miastem o nazwie Danzig, w roku 1958. Dziś, w 35 lat później spotkały mnie tak wielkie honory – obywatelstwo tego miasta, doktorat Uniwersytetu Gdańskiego. Wręczono mi medal „Poruszył wiatr od morza”. Prawdziwy grad zaszczytów.

— Co sprawiło tamte pierwsze odwiedziny? Pomijam nostalgię do miejsc dzieciństwa oraz młodości.

— Sprawy warsztatowe, czysto pisarskie. Nagle w Paryżu, gdzie przebywałem jako „mąż swojej żony”, Anna bowiem była tam na stypendium baletowym, zrozumiałem, że czegoś przy pisaniu mojej debiutanckiej powieści (nie nazywała się wcale *Błaszany bębenek* lecz rozmaicie, *Dobosz*, *Bębnienie po blasze*) mi brak, zrozumiałem, odczułem wręcz fizyczną potrzebę przemieszczenia się w te strony, o których akurat pisałem.

— Jak wiem, pisał Pan tę powieść już od dawna.

— Od roku 1953. Wciąż mi się ona rozrastała. W ten sposób dotarłem do sekwencji obrony Poczty Polskiej w Gdańsku. Tknięty intuicją, postanowiłem zmierzyć się z tym tematem niejako w sposób osobisty, dotykający, na wyciągnięcie ręki. Wsiadłem przeto do pociągu...

— ...z żoną?

— Postanowiła dojechać. Razem odwiedziliśmy Bysewo, wieś, w której zamieszkiwała wciąż kaszubska część mojej rodziny.

— Z tamtego czasu zachowały się amatorskie zdjęcia, takie z zębami, w Pana rodzinnym albumie. Oglądałem je u Krausów, bo je Pan Janowi, jego żonie nadesłał. Jeszcze Pan wówczas nie wiedział, że już wkrótce stanie się Pan rewizjonistą, rewelatorem historii.

— Cóż, z miejsca dotarłem do trzech żyjących obrońców Poczty Polskiej. Podczas gdy oficjalna wersja głosiła, że co do jednego zostali rozstrzelani na Zaspie, odkryłem fakt ich istnienia. Opowiedzieli mi niejedno ciekawe.

— Lecz chyba nie to, że różni w skata w trakcie ataku oddziałów *Heimwehry*?

— Wie Pan, życie bywa odległe od historyczno-dyktatorskich wyobrażeń oraz przekazów. Sama już okoliczność, że owi pocztowcy przeżyli, uciekli systemem bocznych przejść i korytarzy, to że miałem ich przed sobą żywych, podczas gdy mój wuj – Franciszek Krause rodem z kaszubskiego Klukowa – dawno już nie żył, stanowiło o pokrętności ludzkich losów. Coś z tego przeniknąć miało na karty mojej powieści.

— Był w Panu ten w pełni skonkretyzowany zawczasu zamiar – dania świadectwa prawdzie?

— Gdy sięga się po pióro po raz pierwszy, nigdy nie wie się do końca i całkiem na pewno dokąd go ono zaprowadzi. I jaki ładunek wiedzy, intuicji, talentu w człowieku drzemie naprawdę. Podobnie było i ze mną. Najpierw jednak była wędrówka po Gdańsku wraz z red. Górną z „Głosu Wybrzeża”.

— Przydał ją Panu wszędobylski tamtą porą „Interpress”. Co innego mnie zastanawia w tej sprawie. To, że Panu, młodemu, zgola nieznanemu pisarzowi – miał Pan wówczas jeden zaledwie tomik wierszy w swoim dorobku – przydano „opiekuna”.

— Widocznie uznano, że jest mi on niezbędny. Niech Pan weźmie pod uwagę, skąd przybywałem. I jaką miejscowość miałem wpisaną do paszportu w rubryce „miejsce urodzenia”. To wystarczyło.

— Jakim zastał Pan to miasto?

— Szczęśliwie odbudowanym, co z miejsca zdało mi się nieledwie cu-



dem. Wiedziałem przecież co ono przeszło tak jeszcze niedawno. O rozmiarach jego zniszczeń. Co stało się z jego mieszkańcami w chwili wejścia do miasta Rosjan.

— Moja ciotka, mieszkająca w Świętym Wojciechu, dzielnicy Gdańska, została zgwałcona, i gdy później poroniła, cała rodzina odetchnęła z ulgą. Miałem więc i ja „blaszany bębenek” w domu mojego kaszubskiego na wskroś dzieciństwa. Pan zaś odjechał. Wkrótce, bo w roku 1959, ukazała się w RFN Pańska powieść. Z miejsca narobiła sporo szumu, zarówno nad Łabą, jak i nad Wisłą. Pan miał swoiste szczęście do bycia na cenzurowanym, co zresztą dodawało Pana książkom nieoczekiwanego rozgłosu, Pana zaś osobie przyczyniało, prócz kłopotów (niewręczenie nagrody literackiej miasta Bremy), niemało splendoru. A już gdy kanclerz Kiesinger nazwał Pana „szczekającym pinczerkiem”, szczęście Pana musiało nie mieć granic.

— Tak było... Jednak kłopoty z cenzurą wynikły jedynie w Polsce. Czekać musiała na swoje pierwsze, to oficjalne, wydanie moja pierwsza powieść aż do roku 1983. Wyprzedziło tę edycję w czasie wydanie drugoobiegowe z roku 1979. Rzecz niezmiernie ciekawa. Cenzorom nie wadziła wesz za kołnierzem munduru żołnierza radzieckiego. Już jednak wzmianka ledwo, o podpaleniu Gdańska przez oddziały marszałka Rokossowskiego, wzbudziła ich słuszny gniew.

— I serwilistyczną odrazę. Odczuwaną tak na wszelki wypadek, w imię przypodobania się sojusznikowi. Powiedzmy bowiem sobie otwarcie: wiele z tego, co działo się wówczas w Polsce, czynione było w imię owego wiernopoddaństwa. Nie było wcale wymuszone przez przepis, oficjalny zakaz, bezwarunkowy sprzeciw. Pan zaś nakłuywał kolejne balony owego zakłamania. Trochę Panu z oddalenia zazdrościliśmy Jego dezynwoltury w tym względzie...

— Jasne, że było mi łatwiej. W Polsce zawsze bowiem przywiązywano zbyt wielką wagę do roli słowa pisanego. W moim dla odmiany kraju nazbyt małą. To mnie w sposób dodatkowy, przyznać muszę, rozsierdzało i domotywowało w moim pisarstwie.

— Lata mijały... W Polsce psim swędem udało się opublikować – w przekładzie Ireny oraz Egon Naganowskich – w wydawnictwie Czytelnik minipowieść *Kot i mysz*. I od razu ozwali się owi „strażnicy świętego ognia” w osobach Jana Dobraczyńskiego i Wojciecha Żukrowskiego. Do dziś nie wiem, co ich tak bardzo w Pana książce(-kach) wpiekliło. Owa szczególna wizyjność? Krecyjność niektórych scen? Artystyczna wyobraźnia tych książek? Forma daleka od ogólnie modnego wówczas w Polsce realizmu? Domyślam się, że szło im o postawę rewizjonisty, jaką zdawał się Pan uosabiać. No i to jeszcze, że czynił Pan to wszystko

w imię tworzenia pamfletu na historię tworzoną przez Pana rodaków, która powinna była korespondować z tym co ówczesny I sekretarz PZPR głosił z rozmaitych trybun: „Rewizjoniści zachodniemieccy...”.

— Z Gomułką miałem spotkać się raz jeden. Było to na 2 tygodnie przed jego upadkiem. Wznosiliśmy obaj toast za pomyślność tuż po podpisaniu traktatu pokojowego Polska—Niemcy. Był początek grudnia roku 1970. Pałac Namiestnikowski Rady Państwa. Ja wraz z Siegfriedem Lenzem towarzyszyłem wówczas Willy'emu Brandtowi, mojemu serdecznemu przyjacielowi jeszcze z czasów, gdy był on burmistrzem Zachodniego Berlina. Już jako kanclerz klęknął przed Pomnikiem Obrońców Getta. Stałem wówczas bardzo blisko niego.

— Jak wiem, po Warszawie oprowadzał Pana wówczas Andrzej Kuśniewicz.

— Desygnowany do mojej osoby chyba przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Związek Literatów Polskich.

— Wydaniu w Polsce kolejnych Pana książek niewiele to pomogło.

— Obowiązywał już chyba surowy zakaz wydawania mnie. Wie Pan, pisarz ma w końcu prawo do przesuwania akcentów w swoich powieściach. On nie ma potrzeby oraz przymusu pisania o wszystkim tak „jak leci”. Tym właśnie różni się pisarstwo od wspominkarstwa.

— To zaś uprawia z jakimś kunsztem Pana zawzięty i konsekwentny, trzeba mu to przyznać, nieprzyjaciel, Brunon Zwarra. Ten gdańszczanin jeszcze sprzed wojny, podobnie jak i Pan, tyle że wywodzący się ze środowiska dawnej gdańskiej Polonii, nie dość, że został przez Pana wyprzedzony w czasie – jest on autorem książki *Gdańszczanie* oraz trylogii *Wspomnienia gdańskiego bówki* – to jeszcze o lata świetlne w popularności. Czekał aż nadarzy się stosowna chwila. I doczekał się. Podczas stanu wojennego. Wówczas to wystąpił z całym szeregiem oświadczeń, które miały Pana zdyskredytować jako rewizjonistę, świntucha i błaśfemistę. Okruchy tych kalumnii spadły wówczas na nas wszystkich, popularyzatorów Pana prozy. A że rychło wsparł go niejaki Kazimierz Kretowicz, wywodzący się z kręgów Stowarzyszenia „Grunwald” (zginął w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach na polowaniu), a także mieszkaniec Hamburga Jeschke, odnosiło się wrażenie, że — jak amen w pacierzu — nie zaistnieje Pan już więcej na polskim rynku księgarskim. Tymczasem właśnie władze stanu wojennego wyciągnęły z głębokiego lamusa *Blaszany bębenek*. Tuszę, iż mogło się tak stać bo – po pierwsze – chciano w ten sposób zaakcentować: „Solidarność” nie, liberalni pisarze – tak. Po drugie zaś, co tu kryć, Pańska proza miała sojusznika w... Mieczysławie Rakowskim.

— Razem przed laty budowaliśmy ów polsko-niemiecki traktat pokojowy. Pan jednak ożywia tamte, jakże odległe, przeżycia. Ode mnie *Blaszany bębe-*

nek jak gdyby odszedł. Ożywiłem się na krótką chwilę w myśleniu o nim, gdy na ekrany kin wszedł film Volkera Schlöndorffa.

— Jak go Pan odebrał?

— Jako dzieło samoistne reżysera. Kontrowersje na planie wynikły jedynie wówczas, gdy kręcił on sceny dziejące się w kościele katolickim. Jako protestant, Schlöndorff był zupełnie niewrażliwy na całą duszność i zaściankowość kościoła katolickiego. Tego mu wytłumaczyć nie byłem w stanie.

— Pan jednak drażył wciąż od różnych stron ów „gdański” temat. Mierzył się Pan z nim w *Psich latach*. Pisarka rodem z Misdroy [Międzyzdrojów] Britta Wuttke (dziś mieszkająca na stałe w Berlinie) nie mogła się dość nachwalić tej właśnie Pana powieści, nie do końca docenionej także chyba i w Polsce, już po jej w pełni oficjalnym wydaniu. Bo też łączyła w sobie ów zapach „gdańskości” w jego wymieszaniu z „kaszubskością”.

— W *Turbocie* opisałem dzieje jedenastu gdańskich kucharek od czasów prehistorycznych po dzieje kucharki z kantyny Stoczni Gdańskiej. W *Z dziennika ślimaka* zająłem się dziejami Żydów gdańskich.

— I nie poprzestał Pan na tym. W roku 1989, podczas konferencji prasowej urządzonej w Ratuszu Głównomiejskim w Gdańsku, zaapelował Pan o upamiętnienie hekatombi tych gdańskich współobywateli. Upamiętnienie getta w Gdańsku, skąd — z jednego ze spichlerzy zbożowych przy ulicy Mysiej — Żydzi byli wywożeni do Łodzi i Terezina. Tak bywało z Panem zawsze. Gdy już wspominał Pan osobę Daniela Chodowieckiego, nie poprzestał Pan na tym, tylko posunął się do ufundowania nagrody w wysokości 10 tys. marek dla młodego artysty w podzięce za twórczość o tematyce polsko-niemieckiej. Nagrody właśnie im. Chodowieckiego, która miała się stać zaczynem do powstania aż dwóch, konkurujących z sobą, jak to w Polsce, towarzystw imienia tego znakomitego grafika, którego uczniem do pewnego stopnia Pan się, jak wiem, czuje.

— *Kot i mysz* wynikał z chęci powrotu do lat dzieciństwa oraz młodości.

— Całkiem ostatnio ukazała się — gdzieżby indziej? w Gdańsku — książka *Oskar—Tulla—Mahlke... Śladami gdańskich bohaterów Güntera Grassa* napisana i opracowana przez grupę studentów Uniwersytetu Gdańskiego pod kierunkiem ich wykładowczyni, berlinianki Sabine Schmidt. Jest to rodzaj drobiazgowego przewodnika po Gdańsku sporządzonego na podstawie Pana książek. Rzecz jest dwujęzyczna, tym łatwiej jej urodę zdoła Pan rozpoznać. Grass — przewodnik po Gdańsku. Coś z tego w Panu jest. Przewodnik po Polsce, po Europie, po świecie. Bo i po Indiach, po Nikaragui, wręcz po Chinach, jak w *Kopfgeburt* (*Plody umysłu...*). Obieżyświat stale i systematycznie powracający do Gdańska, tego swego epicentrum zaprzeszłego i całkiem współczesnego świata.

— Te sprawy całymi latami we mnie dojrzewały. W końcu musiały znaleźć swoje ujście. I czy czyniłem to w mojej pracowni na strychu jednego z berlińskich, osobiście wyremontowanych przeze mnie domów w dzielnicy Falkenberg, czy w Paryżu, czy w portugalskim Faro (dokładnie na wsi w półtoragodzinnej od Faro odległości), czy na duńskiej wyspie Mon, czy też w podhamburskim Behlendorfie, wszędzie tam, pomimo geograficznego oddalenia, śnię i rozmyślałam o Gdańsku. Gdy więc ewokowałem w *Szczurzyca* wizję wojny atomowej, wieńczyłem ją w ruinach kościoła św. Brygidy w Gdańsku.

— O tej książce będzie okazja porozmawiać po jej polskiej premierze, co, jak wiem nastąpi już niebawem, bo jej przekład od dawna jest gotowy [rzeczywiście, *Szczurzyca* ukazała się w tym samym, 1993 roku – R.C.]. Pan jest w Polsce niezwykle uważnie czytany. Choć przyznać też muszę, w sposób szczególny. Kilka Pana książek zostało jak gdyby prześlepionych, nie w pełni docenionych. Mam na myśli *Płody umysłu* oraz *Spotkania w Telgte*. Są nazbyt wyrafinowane. Już chyba tylko na użytek prof. Mariana Szyrockiego, wielkiego znawcy baroku.

— Zawsze byłem zwolennikiem ludyczności. Zabawowej formy literatury. Ciągnie się to od *Blaszanego bębenka* – sceny w cyrku, groteskowe sceny na Poczcie – przez *Kota i mysz* po *Telgte* właśnie.

— Ale tego właśnie rodzimi krytycy nie byli w stanie Panu darować! Oni są skłonni wszelkie sprawy polsko-niemieckiego pogranicza traktować ze śmiertelną wręcz powagą.

— Zawsze szukałem miasta „Danzig”, znajdowałem zaś coraz częściej miasto „Gdańsk”. I tak doszedłem do *Wróżb kumaka*.

— Miał Pan chyba niebywałe pisarskie szczęście. W tym mieście wybuchały sprawy brzemiennie dla losów całej Europy. *Mourir pour Danzig?* – zapytywali nieskłonnici do wojowania Francuzi. Później po latach wybuchł Grudzień '70. Wreszcie Sierpień '80. Zdążył Pan jeszcze nakręcić w realiach gdańskich Starego oraz Głównego Miasta film dokumentalny dla telewizji niemieckiej *Drogocenna przeszłość*. Raz jeszcze stał się Pan *cicerone* po „swoim” mieście. Opowiadał Pan o fenomenie jego odbudowy. O roli konserwatorów, sztukatorów, murarzy, cieśli, architektów. Raz jeden emitowano ten film w programie II telewizji polskiej i... odłożono go na półki wraz z nakręconym trzy lata później *Blaszanym bębenkiem* oraz filmem Pohlanda według *Kota i myszy*. Zebrała się z tego wcale pokazana liczba grassowskich „półkowników”.

— Zwłaszcza, że na tej półce leżały także moje książki.

— Już je z niej jednak z wolna zdejmowano. Ukazał się w Wydawnictwie Morskim tom *Wierszy wybranych*, wznowiono *Kota i mysz*, przyszła kolej na *Psie*

*lata*. Co więcej: otwarto w Gdańsku, a jakże, wystawę Pańskich prac rysunkowych i graficznych *Kalkuta*.

— Upřednio zakupiło je ode mnie, chyba w akcie ekspiacji za niegdysiej-sze nieprzyznanie mi nagrody literackiej, miasto Brema.

— Z kolei burmistrza Lubeki pana Guttkuna nakłonił Pan do zafundowa-nia Gdańskowi repliki karylionu, którego oryginał tuż przed końcem wojny wy-wieziono z kościoła św. Katarzyny do Niemiec i zainstalowano w lubeckim ko-ściele Mariackim.

— Mój apel, wielokrotnie ponawiany w radio, w telewizji, w końcu od-niósł skutek. Replika tego karylionu, wykonana przez ludwisarza holenderskiego, została zawieszona na wieży Katarzyny w Gdańsku i co godzina wygrywa swe ko-ścielne melodie oraz psalmy.

— To chyba musi być rzeczą miłą wędrować ulicami Gdańska i wszędzie oglądać miejsca czy to przez siebie zapisane, czy sfilmowane – jak owo lapida-rium rzeźby gdańskiej umiejscowione w kościele św. Jana – czy wreszcie ożywio-ne w sposób tak bardzo szczególny, jak właśnie Katarzyna jej „grą dzwonową” składającą się z zestawu 32 dzwonów, noszących dziś imiona Jana Pawła II, pre-zydenta Weizsäckera, Stefana Wyszyńskiego, gdańskiego astronoma Heveliusa, Schopenhauera, Fahrenheita, przechowujących nazwę Westerplatte, obrońców Poczty Polskiej itd.

— Gdy wraz z rodziną, z żoną Ute i najmłodszą córką, zaledwie 13-letnią Nelle, w chwili wolnej podczas niedawnego pobytu w Gdańsku udaliśmy się na kawę na ulicę Chlebnicką, zadałem moim bliskim to pytanie: co jeszcze po przy-znaniu tytułu doktora, honorowego obywatela mogłoby mnie spotkać zaszczyt-nego w tym mieście, uznałem na głos: chyba tylko to, że biskup gdański przyznał-by mi tytuł prałata.

— W Niemczech od dawna zasłużył Pan sobie na miano *homo politicus*. To w końcu Pan pojechał na posiedzenie Pen Clubu do USA i z mównicy obrad tej światowej organizacji zaatakował pisarzy, zwłaszcza amerykańskich, za ich — Pana zdaniem — „nadmierną mocarstwowość” usposobienia.

— Milczę, gdy piszę kolejne powieści. Z miejsca ożywiam się, gdy sytu-acja tego wymaga. Najpierw gdy NRD stała się widownią walk wewnątrzpolitycz-nych. Stałem wówczas zdecydowanie po stronie opozycyjnej SPD. Nie widzia-łem powodu, aby stać się jej członkiem w momencie, gdy objęła ster rządów wraz z FDP. Natomiast gdy na powrót, po porażce wyborczej, przeszła do opozycji, podjąłem decyzję o wstąpieniu w jej szeregi. W końcu od dawna czułem się jej faktycznym, choć nieformalnym, członkiem. Z ducha jestem bowiem socjaldemo-

kratą. Tego faktu nie była w stanie odmienić ostatnia decyzja „mojej” partii o zgodzie na skreślenie z konstytucji RFN paragrafu mówiącego o prawie azylantów do zamieszkania w moim kraju. Wówczas w akcie protestu wystąpiłem z SPD, nie przestając być socjaldemokratą i to wielce wciąż aktywnym.

— Czy w Polsce nadszedł już czas na socjaldemokrację?

— Bardzo bym sobie tego życzył. Wspierałem za Jego życia myślenie oraz działanie Jana Józefa Lipskiego. Popadłem z tego powodu w pewien rodzaj konfliktu z moim pierwszym w Polsce tłumaczem panem Egonem Naganowskim, który w rozmowie ze mną twierdził, że Lipski nie jest żadnym socjaldemokratą, tylko PPS-owcem.

— Spadł teraz na Pana prawdziwy grad wyróżnień. W trzy lata po poznańskim doktoracie honorowym Uniwersytetu Adama Mickiewicza – już wtedy ozwały się głosy protestu, zwłaszcza ze strony „młodych wściekłych” z kręgu poznańskiego ZChN-u – przyznano Panu kolejny doktorat honorowy, na który – *better late than never* – zdecydowały się władze uczelni gdańskiej. W Poznaniu Pana sojusznikami okazali się prof. Szyrocki, prof. Hubert Orłowski, Stefan Kaszyński i cała w ogóle znakomita germanistyka w tym mieście, w Gdańsku prof. Maria Janion i jej wychowankowie, których już kiedyś Pan odwiedził. Nade wszystko sprzyjała Panu sytuacja dookolna. Rozmiary przemian, jakie dokonały się w obu naszych krajach po zwycięstwie demokracji w Polsce i obaleniu muru berlińskiego. Faktu jego obalenia jakoś pan jednak nie przewidział. Diagnostą historii nie jest Pan najlepszym. Jeszcze na dwa tygodnie przed tym historycznym wydarzeniem w najlepsze opowiadał Pan w Sali Białej Ratusza Głównomiejskiego w Gdańsku o konieczności narodzin „konfederacji dwóch państw niemieckich”. Od tej pory bodaj z dużo mniejszym sarkazmem aniżeli uprzednio wyraża się Pan o kanclerzu Helmucie Kohlu.

— Wierzę mocno, że jeszcze niejedną łatkę będę miał okazję przypiąć mu w przyszłości. Sądząc z wydarzeń w Solingen, już w tej najbliższej. Zwłaszcza zaś oceniając rozmiary polsko-niemieckiej hipokryzji przy podpisywaniu przez ministrów spraw wewnętrznych obu państw – Milczanowskiego oraz Seiferta – umowy o przekazaniu Polsce, wraz z sumą 120 mln marek, cudzoziemców, którzy przekroczą naszą wspólną granicę. Przecież to jest jawne niewolnictwo! Nic innego, jak handel żywym towarem!

— Pan, który we *Wrózbach kumaka* powołał do istnienia Cmentarz Pojednania, który tyle strof w tej powieści poświęcił Zjednoczonym Cmentarzom, miał pełne prawo by poczuć się oszukany.

— Lecz nie tylko to. Miałem i mam pełną świadomość konsekwencji wynikających z faktu sąsiedztwa, koegzystencji kultur, ras, wyznań i cywilizacji.

Wzbogacania się wzajemnego na skutek towarzyszenia sobie w Gdańsku przez dom, przez ulicę, przez korytarz Szkotów, Flamandów, Żydów, menonitów, Niemców, Kaszubów oraz Polaków. Wzajemnego ich wspierania się i wzbogacania siebie wzajem.

— Nagle – za sprawą *Wróżb kumaka* – o romansie, jakże późnym, Aleksandry Piątkowskiej, Polki rodem z Wilna i Alexandra Reschkego dowiedziano się w 23 językach świata i to niemal równocześnie.

— Z drugiej jednak strony dokonywał się ów akt kupczenia ludźmi przez rządy naszych dwóch krajów, tak jawnie kontrastujący z tym o co chodzi w moim pisarstwie, pozostający z nim w tak jawnej sprzeczności.

— I wówczas – znów nie bez kontrowersji – zostało Panu przyznane honorowe obywatelstwo Gdańska. Radni w tej sprawie nie byli jednomyślni. Ci sami radni, którzy na co dzień dyskutują o dziurach w jezdni, o stanie oświetlenia w mieście, cenach biletów w tramwajach, pochylił się nad rolą fikcji w utworach, jakie wyszły spod Pana pióra. Nagle zamienili się oni w, nieledwie, seminarzystów prof. Janion czy prof. Żmigrodzkiej.

— W momencie gdy oświadczono mi w sposób oficjalny o tym fakcie, powiedziałem: *W Niemczech znany jestem z tego, że jestem obywatelem mocno niesfornym. Obiecuję, że będę nim również jako obywatel Gdańska...*

— Gdyby miał Pan możliwość zamieszkania w Gdańsku, którą dzielnicę by Pan wybrał dla siebie?

— *Heimat* to jest to coś, co się straciło w sposób bezpowrotny. Mieszkam dziś w kilku, jakże różnych, miejscach w Europie. Kiedyś wyjechałem na rok do Kalkuty i tylko stan zdrowia mojej żony przynaglił mnie do powrotu już po upływie połowy roku. Mimo że po kądzieli jestem Kaszubą z urodzenia, jedno od Kaszubów odróżnia mnie w sposób zdecydowany: namiętność do podróżowania, do ciągłego zmieniania miejsc stałego czy też okresowego pobytu. Bywam nomadą, podczas gdy Kaszubi należą do najbardziej zasiedziałych społeczności świata, jakie znam.

— Zapewne dlatego od Cyganów otrzymał Pan całkiem niedawno wielce zaszczytną nagrodę „Hidalgo”.

— Przyznano mi ją z początkiem tego roku [1993 – R.C.] w Barcelonie w uznaniu mych zasług dla wspierania małych społeczności i narodowości. Ta cygańska akurat do najmniejszych nie należy. Przyjmując ową bambusową laskę, pasującą mnie na członka cygańskiej społeczności, miałem pełną świadomość wielkości ofiar, jaką Cyganie ponieśli w latach II wojny światowej, gdy w samym Oświęcimiu z rąk moich rodaków zginęło ich blisko 400 tysięcy. Dziś więc, gdy

pytają mnie, czy jestem Polakiem, czy może Niemcem, odpowiadam: jestem Cyganem oraz Kaszubą.

— Osobiście nie widzę przeszkód żadnych, ażeby wzorem choćby tow. tow. Ptaśńskiego oraz Kociołka miasto Gdańsk zaofiarowało swemu honorowemu obywatelowi willę nie gorszą od tej, jaką okupowali tamci, chyba dużo mniej od Pana dla miasta tego zasłużeni „obywatele”.

— Najpierw korzystałem z usług hotelu „Monopol”. Jego już jednak nie ma. Później zamieszkiwałem w Jelitkowie w hotelu „Posejdon”. Wreszcie w „Heweliusie”. Ostatnio zaś w sopockim pensjonacie „Maryla”. Wiem, że jest wam dziś trudno...

— Salman Rushdie?

— To mój literacki brat. Ktoś jak ja sam w pisarskim rzemiośle oraz myśleniu. On utracił swój Bombaj, ja zaś swój Danzig (Gdańsk bowiem odzyskałem). Podobne w niejednym są źródła naszej twórczości. I dlatego tak bardzo ubolewam, że Salman jest dziś zmuszony ukrywać się. Korzystać z rodzaju „balonu ochronnego” rządu Jej Królewskiej Mości. Wierzę jednak, że się jeszcze kiedyś spotkamy, w sposób całkiem otwarty, na jednym z literackich kongresów.

— W jaki sposób ewoluowało Pana myślenie o świecie? Kiedy uwolnił się Pan od piętna gdańskiej lokalności?

— Od tego stygmatu nie uwolnię się już chyba nigdy. Do rzeczy uniwersalnych dotarłem poprzez klasyków egzystencjalizmu. Poprzez *Mit Syzyfa* Alberta Camusa w pierwszym rządzie. Od niego powziąłem przekonanie o życiowej drodze przez wysiłek, który nigdy nie może ustać. Przekonałem się wówczas, że droga jedna jedyna, ta z góry i zawczasu zadekretowana, nie może być właściwą. Wiedziałem więc, że już nigdy nie poddam się jednej jedynej ideologii. Ta właśnie postawa sprawiła, że jestem tak wojowniczo wobec rzeczywistości usposobiony. Ponieważ niejedno na własne oczy widziałem, więc — gdy upadły dwa totalitaryzmy, ten hitlerowski i ten sowiecki, i gdy świat powinien był odetchnąć, a zaczął się okres zimnej wojny — popadłem w rodzaj chwilowego sceptycyzmu. Przynajmniej jeden z rodzajów totalitaryzmu powrócił, tyle że jak gdyby w innym opakowaniu czy też przebraniu. I to właśnie w swojej odległej konsekwencji doprowadziło do narodzin nacjonalizmów w ich jugosłowiańskim kształcie. Nasilać się poczęły objawy rasizmu, ksenofobii. Okazuje się, że przemiany polityczne mogą prowadzić do nacjonalizmu w jego zgoła XIX-wiecznym wydaniu. Myślę tu także o przejawach brutalnego kapitalizmu. Młodzi ludzie zewsząd czekają na nowe autorytety. Dla ludzi młodych zderzenie z tym kapitalizmem bywa często szokujące. Również i w Niemczech kapitalizm pokazał swoje rzeczywiste oblicze. Jest to pro-



ces, który w swojej brutalizacji jeszcze się będzie rozwijał. Mogę sobie wyobrazić, co się stanie w Polsce, jeżeli nie przeprowadzi się w niej do końca dzieła budowy demokratycznych struktur państwa. Uważam jednak z drugiej strony, że trzeba w Polsce kultywować jej własne tradycje, które ten kraj posiada, którymi obdarzone jest to społeczeństwo.

— Pan często, także w tytułach swych powieści, ostrzega. Co Pan „wróży”, przed czym Pan ostrzega?

— Przed takim rozwojem sytuacji, który zagrozi porozumieniu pomiędzy ludźmi i społeczeństwami. *Wróżby kumaka* liczą siedem rozdziałów. Ten ósmy należałoby dopisać już po podpisaniu umowy o przekazywaniu uciekinierów, zawartej pomiędzy min. min. Seifertem i Milczanowskim.

— W ostatnich latach zaniechał Pan, autor sześciu sztuk teatralnych, współpracy z teatrem. Dlaczego?

— Odkąd teatr stał się „reżyserski”, a przestał być „autorski”, mnie również przestał on interesować. Po prawdzie, w ostatnim czasie czytałem w jednym z teatrów kolejne rozdziały jednej z moich powieści.

— A zatem teatr jednego aktora i autora zarazem. W Polsce również, bywało, oddawał się Pan temu zajęciu. Że przypomnę Pana występ w Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie przy do szczętu wypełnionej sali – był początek roku 1989 – czytał Pan jeden z rozdziałów *Szczurzyca*. Wówczas był Pan gościem Goethe Institut. Współ z nieżyjącym już eks-gliwiczanielem Horstem Bienkiem oraz Peterem Handke wędrował Pan po Polsce, był Pan m.in. w Poznaniu, mimowolnie szykując sobie grunt pod przyszłe doktoranckie zaszczyty.

— Tak widzę swoją, pisarza, rolę. Czynić swoje pomimo wszelkich zewnętrznych okoliczności.

— Te zaś były nie byle jakie. W Polsce trwały w najlepsze przygotowania do ustawienia okrągłego stołu. Jeżeli powiem Panu, że w tym samym czasie, gdy Pan miał to gigantyczne spotkanie autorskie, w jednym z bocznych, niedużych pomieszczeń gmachu Wydziału Prawa (Audytorium Maximum jest jego integralną częścią) odbywało się spotkanie założycielskie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, podczas którego dyskutowano tak istotne dla Polski – miało się okazać że i dla Europy – i dla Niemiec również, sprawy. Gdy więc za rok przyjechał Pan do Polski ponownie, i w Gdańsku optował Pan na rzecz konfederacji dwóch państw niemieckich, mur berliński, o czym Pan dwa tygodnie wcześniej nie wiedział, trzeszczał już w posadach. Wówczas chyba intuicja Pana zawiodła.

— W końcu jestem tylko pisarzem, w polityce bywam gościem. Znów teraz, w poprzek niejednych poglądów, jestem sceptyczny wobec problemu „zjed-

noczonej Europy”. Podejrzewam wręcz, iż pod przykrywką tych słów kryje się skłonność pewnych państw do ekspansji. Na początek gospodarczej, później zaś, kto wie... W każdym razie nigdy nie zezwolę by mówiono: „Cicho, cicho, jesteśmy w Europie...”. We mnie tkwi naturalny lęk przed zbiurokratyzowaną Europą w jej brukselskim czy też strasburskim wydaniu. Zjednoczenie Europy – tak, jeżeli chodzi o ujednoczenie, wyrównanie gospodarcze. Jednak najsampierw europejski parlament musi stać się rzeczywistym parlamentem, nie zaś miejscem, gdzie toczy się czcza, nikomu niepotrzebna, gadanina.

— Azjaci nadchodzą...

— Czy jakimś państwu w przeszłości zaszkodził napływ świeżej krwi? Czy zaszkodził on choćby Gdańskowi? Kompleks obłożonej twierdzy, z jakim mamy obecnie do czynienia w moim kraju, może okazać się niezwykle niebezpieczny dla losów Europy oraz świata.

— W jaki sposób Pan pracuje?

— Jestem człowiekiem dnia. W nocy nie pracuję. Piszę na stojąco. Także na maszynie. Komputerów nie uznaję. Kto wie, czy nie powrócę niebawem do gęsiego pióra...

— Za to posługuje się Pan coraz częściej rylcem grafika.

— Bo w tej dziedzinie, jak w żadnej innej, czuję się profesjonalistą. Odebrałem w końcu w tym fachu wcale staranne, jedyne zresztą, wykształcenie. Przypominam, że matury, pomimo gradu doktoratów, nie udało mi się zrobić.

— Nieraz zwierzał się Pan publicznie, iż ma Pan „dokładny stosunek do historii”. Jakie oceny miewał Pan z tego przedmiotu w szkole?

— Dobre i bardzo dobre. W programie szkolnym były jednak również łacina oraz – o zgrozo – matematyka.

— Dobra literatura ma to do siebie, że żyje własnym życiem. Czy zdarzyło się Panu ujrzeć, wysłuchać fragmentów Pana prozy w zaskakującej dla Pana wersji? W takiej, z którą by się Pan nie zgadzał lub, przeciwnie, w takiej, która Pana czymś zaskoczyła?

— Wciąż lądują na moim biurku rozmaite prace magisterskie, doktorskie na temat mojej prozy, grafiki, wierszy itp. Nakłaniam ich autorów do postawy dalekiej od wszelkiego oportunistycznego „profesora” czy też przedmiotu oraz podmiotu studiów. Dałoby się generalnie odróżnić podejście „anglosaskie” do tematu „Grass” od podejścia, powiedzmy „germańskiego”.

— Ostatnio sięgnął Pan po kunsztowną formę sonetu.

— Tych sonetów jest w *Novemberland* 13. Mają listopad w tytule, bo wiem właśnie w tym miesiącu miała miejsce w Niemczech fala terrorystycznych napadów na cudzoziemców.

— Dostrzega Pan wśród współobywateli Pana kraju ludzi I oraz II kategorii, przeciwko czemu ostro Pan protestuje. Pisze Pan wprost: „Rozwiedzeni jak mężczyzna z kobietą”. I dalej: „Poleciałem do Polski, biorąc listopad ze sobą”. To było wówczas, gdy w Warszawie, w Pałacu Kultury, otwierał Pan wystawę swoich prac graficznych. Na koniec zaś wieszczy Pan: „Wnet pośród listopadów grozi nam Boże Narodzenie”. Ono już ma miejsce. Jego wyznacznikiem stało się miasto Solingen...

— Jestem przerażony rozmiarami tego wszystkiego. Głębią, bezmiarem nienawiści w moim kraju. Sam wzrastałem pośród ruin miasta Danzig. Przedwcześnie dorosły, wierzyłem po cichu w postęp i w to, że już nic nie będzie takie samo jak przedtem. Przecież widziałem, jak za pruskich czasów Danzig stał się miastem zaledwie garnizonowym. Sądziłem, że owa „mentalność twierdzy” nie zwycięży już nigdy. Byłem przekonany, że narodowe fobie i ciasnoty ustąpią raz na zawsze miejsca porozumieniu, zbrataniu, otwarciu na inne, choćby tylko te ościennie kultury.

— Tu, w Gdańsku, oddał Pan hołd tłumaczom swoich książek.

— Granice istnieją tylko po to, by je pokonywać, zauważyłem na koniec mego podziękowania za przyznany mi gdański doktorat. Tłumacze są zaś tymi ludźmi, którzy wyprowadzają moje książki z zaścianka jednego tylko języka.

— Odszedł pan od wydawnictwa Luchterhanda. Podobnie jak kilka innych ostatnio opublikowanych książek, *Novemberland* wydał Pan u Steidla w Getyndze.

— Z Luchterhendem zerwałem po tym, jak zdecydował się zwolnić kilku pracowników, do których byłem przez wiele lat bardzo przywiązany. Można więc rzec, że były to względy osobiste, acz dla mnie zasadniczej natury.

— Jak zrekapitulowałby Pan swoje 40-letnie pisarstwo?

— Gdy w roku 1953 zasiadałem do pisania *Blaszanego bębenka*, było już po buncie robotników berlińskich. Wkrótce zresztą napisałem o nich sztukę sceniczną *Die Plebejen machen den Aufstand* (*Plebejusze szykują powstanie*). Od tego czasu stale miała mi towarzyszyć troska o polsko-niemieckie pojednanie.

— Artur Międzyrzecki mówił teraz w Gdańsku:

Wspomaga go w tym dziele jego solidna przyjaźń, która w latach stanu wojennego w Polsce odegrała znaczną rolę w środowiskach pisarskich w Niemczech. Dziękowaliśmy mu za to przed rokiem w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Przeszłość, cała przeszłość została wyrażona do końca, bez żadnych wątpliwości. Zagrożenia przeszłe i przyszłe zostały nazwane po imieniu. Były one widoczne już we wrześniu 1989 roku, gdy oba Pen Cluby – niemiecki i polski – ogłosiły wspólną deklarację. Deklarację ostrzegającą przed ksenofobią, antysemityzmem, nacjonalizmem.

Nazwał Pana „strażnikiem demokracji Niemiec i świata”.

Bo nie jest to ostateczny *happy end* – mówił Międzyzrzecki. – Czekają nas nowe furie, nowe niepokoje. Warunkiem ostatecznego pojednania jest autentyczna demokracja w Niemczech oraz w Polsce. Przyszłość trwa długo. Któregoś dnia może się okazać, że bezinteresowny gest czyniony w imię honoru i ludzkiej prywatności jest również po latach zupełnie dobrą polityczną lokatą.

Czy jest to przypadek, że tam, w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku, spotkali się z Panem, po raz pierwszy w sposób w pełni oficjalny, Niemcy gdańscy?

— Chyba nie, jako że spotykałem się z nimi już w roku 1958. Wówczas sprawili na mnie mocno przygnębiające wrażenie. Byli jacyś przyduszeni, stłamszeni. Nie byli wtedy uznawani jako oficjalna narodowa mniejszość. Byli po prostu społecznym marginesem. W tej akurat sprawie rząd komunistyczny i Kościół katolicki były w tamtych latach w pełni zgodne.

— Jak przez wszystkie te lata uzasadniał Pan utratę niemieckich ziem wschodnich?

— Niezmiennie tak samo. Wywołaną przez Niemców bestialską wojną, w której zginęły miliony ludzi. Wojną z kretesem przegraną.

— Jak widzi Pan sytuację Polaków, którzy tę wojnę wygrali, a musieli pogodzić się z utratą swoich ziem wschodnich?

— Była to przemoc wywołana wojną. Jedna nieprawość wywołała drugą nieprawość. Tak jak to widzimy obecnie w Jugosławii. Niech jednak nikt nie próbuje przesuwac granic w Europie w jakąkolwiek stronę. Ja bardzo proszę: żadnej korekty granic w Europie!

— Ma Pan korzenie katolickie. Jaki jest Pana stosunek do Kościoła we współczesnym świecie?

— Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że Kościół katolicki odegrał w historii Polski znaczną rolę. Zwłaszcza wówczas, gdy Polska nie była państwem suwerennym. Także w okresach historycznych przesilen można było liczyć na wsparcie jego hierarchii, jak również całych kościelnych struktur. Tamte czasy już na szczęście minęły. Polska jest obecnie na drodze do zbudowania państwa nowoczesnego i demokratycznego. Uważam jednak, że państwo i Kościół muszą być bardzo ostro od siebie oddzielone. To Kościół katolicki w Polsce musi zrozumieć. Jeśli się z tym nie pogodzi, będzie narażony na poważne konflikty.

— Rola pisarza we współczesnym świecie.

— Urodziłem się w kraju, w którym w 1933 roku palono książki, później ludzi. Być może te właśnie okoliczności sprawiły, że uznałem, iż należy czynić wszystko, by się to już nigdy więcej nie powtórzyło. Z doświadczenia wiem, że

dzieła sztuki oddziałują – jeżeli w ogóle – bardzo powoli. Tymczasem wydarzenia polityczne domagają się reakcji natychmiastowej. Republika Weimarska została zniszczona przez komunistów i narodowych socjalistów. Główną przyczyną tego stanu rzeczy upatruję w tym, że było wówczas w Niemczech zbyt mało demokratów, którzy mieli odwagę stanąć w obronie tejże demokracji, w obronie jej ideałów. Gdy zaś jest ich za mało, grozi to rozpadem dotychczasowych osiągnięć. Osobiście najlepiej czuję się nad kartką białego papieru, gdy dzięki niej oraz pióru mogę rozpoznać swoje kłamstwa. Ale wiem również, że od czasu do czasu trzeba opuścić atelier i głośno mówić o swoich przekonaniach. Może to nie przyniesie żadnego efektu, ale powiedziane być musi...

(1995)

# Moje spotkania z Grassem

## *Spotkanie I*

Gmach telewizji na Woronicza. W redakcji „Kobry” pracuje Sławomir Błaut. Redaguje teksty „kóbr” na antenę. W godzinach wolnych od zajęć służbowych tłumaczy. Jest rok 1971. Mający przeszłość krytyka w PAX-owskich „Kierunkach”, szerzej nieznany tłumacz, dla PAX-u, o czym wiem, przekłada *Błaszany bębenek*. Zaufał mi, młodemu wtedy reportażystcie, i powierzył jedną, całkiem świeżą, z kopii tłumaczenia *Die Blechtrommel*.

Z książką, jako rodzajem przewodnika, ruszyłem na Kaszuby. Do Bysewa, gdzie spotkałem Jana Krause, gospodarzącego na kilku piaskowych hektarach gruntu, Agnieszkę Hirsch, siostrę Jana, zatrudnioną jako kasjerka w okienku dworca kolejowego w Gdyni. Pod chałupę Jana, właśnie wtedy, podchodzili mierniczowie. Robili pomiary pod budowę przyszłego lotniska. Zyska ono miano „Rębichowo”. Grass nieraz będzie na nie nadlatywał z Hamburga. Zaś wieś Bysewo, niemal cała, z wyjątkiem jej części o nazwie Bysewo-Glinianki, poszła pod spychacz. Nieopodal, w Klukowie, spotkałem córkę Franciszka Krause, bohaterskiego obrońcy Poczty Polskiej w Gdańsku.

O Janie reportaż filmowy nakręci Iza Trojanowska. Z Grassem na czele żalobnego konduktu. I scenę kaszubskiej stypy, jakby żywcem przeniesioną z kart powieści Grassa. Stypa odbyła się w domku, który Grass zakupił swojej kaszubskiej familii w Brzeźnie. Jednak wuj Grassa powrócił na swoje, ościenne wobec Gdańska, Kaszuby. Do Matarni, gdzie znajduje się przy parafialnym kościółku

grób zarówno jego babki ciotecznej, Anny Hoppe, wuja Jana, całej w ogóle kaszubskiej odnogi rodziny autora *Blaszanego bębenka*.

### *Spotkanie II*

Na planie filmowym *Blaszanego bębenka*. Grass zamieszkał w hotelu „Posejdon” w Jelitkowie. Miał przy sobie syna Raoula. Wówczas 21-letniego, długowłosego hippisa. Zabraliśmy się jednym z samochodów ekipy Volkera Schlöndorffa na Stogi. Tam, w sąsiedztwie plaży, kręcona była sekwencja z diabolicznym Schugger Leo (Leo Chysiem) i łuską po naboju, którą wręcza mafemu, skarlonemu Oskarowi. Grass z uwagą patrzył w obiektyw kamery czeskiego operatora, słuchał uwag reżysera pod adresem Marka Walczewskiego. Kręciła się też Angela Winkler, w filmie Schlöndorffa grająca rolę matki Oskara, mającej romans ze swoim kuzynem, polskim pocztowcem (Daniel Olbrychski). Był też na planie Mario Adorf, z którym Daniel Olbrychski grywał w wolnych chwilach w tenisa na sopockich kortach.

Z tej okazji porwali Grassa Kaszubi do Wdzydz. Uczestniczył w skansenie w uroczystości odsłonięcia pomnika dłuta Wawrzyńca Sampa poświęconego pamięci Izydory i Teodora Gulgowskich. Uśmiechnął się, gdy mocno leciwe uczennice tych dwojga w sztuce kaszubskiego haftu, na wyprzódki rwały się, by pomnik ten odsłonić. Grass wysłuchał nadto z niejaką uwagą wierszy kaszubskiej młodej poetki Krystyny Muzy. Pojadł ryb z kaszubskich jezior. A z samego rana wybrał się na grzyby do okolicznych lasów. Zbierał na równi prawdziwki, kurki, maślaki, rydze. Okazy, które tak sobie upodobał w motywach, zwłaszcza fallicznych, w swojej grafice.

### *Spotkanie III*

Paryż. Z grupą dziennikarzy wracałem z Tours, gdzie nas językowo szkolono. Wypatrzyłem w programie paryskich kin, że w jednej z niedużych sal kinowych grają jeszcze film podług *Blaszanego bębenka*. W Polsce do szczytu zakazany. W Europie i w świecie obsypany nagrodami — Złotą Palmą w Cannes i hollywoodzkim Oscarem. Zapędziłem żurnalistów do kina, by skosztowali owocu zakazanego. Był Wrzesień 1980 roku. W kilkanaście dni po umowach gdańskich oraz szczecińskich.

### *Spotkanie IV*

W Gdańsku. Ze swoją nową żoną, z zawodu, a raczej z wykształcenia, *Orgelspielerin* (organistką koncertową) pojawił się Grass świętujący polską odnowę. Są bankiety uświetniające jego twórczość. Zwłaszcza tę plastyczną. Jako że Grass zjechał z okazji wystawy jego prac graficznych w Sieni Gdańskiej. Za tą fetą stał Konsulat RFN w Gdańsku. Pojawili się też na niej kaszubszy krewni Grassa. Do dziś posługujący się na co dzień płynną kaszubszczyzną. „Dziś już chyba tylko moi krewni rozmawiają po kaszubsku”, powiada Grass przekornie w którymś momencie. Miał też odrobinę czasu, by wraz z małżonką podejść pod Pomnik Stoczniovców, gdzie złożył naręczą kwiatów, jakie otrzymał od swoich gdańskich wielbicieli.

Był to czas sposobny dla wystosowania apelu do czasopism kulturalnych o potrzebę i nagłą konieczność wydawania utworów Grassa. Apel ten wydrukowała „Literatura” (Putramenta) oraz „Miesięcznik Literacki” (Sokorskiego). Machejek w „Życiu Literackim” ten apel dyskretnie przemilczał. Wiele innych tekstów „grassowskich” jednak wydrukował. W liście-apelu powoływałem się na nazwiska jego polskich tłumaczy i krytyków: Wilhelma Szewczyka, Jana Koprowskiego, Stefana H. Kaszyńskiego, Norberta Honszy, Huberta Orłowskiego, Adama Krzemińskiego. I swoje własne, autora reportaży, szkiców o życiu i twórczości Günтера Grassa, drukowanych na łamach „Kultury”, „Życia Literackiego”, „Miesięcznika Literackiego”.

### *Spotkanie V*

Stan wojenny. Czas to był Grassowi niezbyt przychylny. W gdańskiej prasie pojawiło się mnóstwo pseudonimowych ataków na osobę i dzieło Grassa. Przodowały w tym „Dziennik Bałtycki” i „Głos Wybrzeża”. Artykuły-donosy na Grassa podpisywali: „Derdowski”, „Zwarra” i pewien „Grunwaldczyk” (sympatyk Stowarzyszenia Patriotycznego „Grunwald” Bohdana Poręby), który zaraz potem zginął zastrzelony w tajemniczych okolicznościach na polowaniu. W Warszawie, na łamach tygodnika „Tu i teraz” szalała niejako Zofia Rybicka. W czterech sążnistych artykułach atakowała w Polsce praktycznie nieznanego autora. Uknuliśmy wraz z Adamem Krzemińskim intrygę, której zamysłem była obrona w „Polityce” postponowanej powszechnie osoby Grassa. Ukazała się w marcu 1983 roku. Czy miała jakiś wpływ na pierwszą oficjalną edycję *Bębenka* w Polsce? Tę PIW-owską z roku 1983? Większe znaczenie miał druk



podziemny w jednym z „Zapisów” ze wstępem Lecha Bądkowskiego. Na powierzchni już nie wypadało dłużej przemilczać arcydzieła Grassa. Oficjalne wydanie ukazało się więc ze wstępem, trzeba to przyznać, niezgorszym... Romana Bratnego.

### *Spotkanie VI*

Rok 1984. Klub studentów „Hybrydy” w Warszawie. Odbывała się w nim sesja w całości poświęcona osobie i dziełu Güntera Grassa. Sam Grass był na nim obecny poprzez wywiad pokazany na ekranie TV. Nie otrzymał wizy wjazdowej do Polski.

Przybył natomiast na kolejną sesję do tego samego klubu. Był oblegany. W kularach otworzył wystawę fotografii ze swego życia. Smakowitą, pełną niedyskretnych, często intymnych, zdjęć.

### *Spotkanie VII*

W Sali Białej Ratusza Głównomiejskiego w Gdańsku. Był rok 1988. Właśnie ukazało się polskie wydanie, już drugie, po Czytelnikowskiej edycji z roku 1962, opowiadania *Kot i mysz*. W dyskusji, jaka się wtedy wywiązała, Kazimierz Radowicz, ni z gruchy ni z pietruchy, zaczął wychwalać dopiero co wydaną w LSW moją rzecz o Grassie pt. *I szukam ziemi Polaków*. Kolejka po moją książkę ustawiła się wtedy dłuższa niżli po, wciąż skąpe na krajowym rynku, oryginalne książki Grassa.

### *Spotkanie VIII*

Tczew. Z kasetą filmu Schlöndorffa i z własną książką urządziłem sobie, z pomocą Jurka Kiedrowskiego, naówczas dyrektora miejscowego Kolejarskiego Domu Kultury, serię spotkań autorskich dla miejscowej młodzieży. W Tczewie zatem Grass pośród obecnych 30-latków jest całkiem niezły znany.

### *Spotkanie IX*

Rok 1989, luty. W auli Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego odbywało się spotkanie z autorem dopiero co wydanej *Szczurzycy*. Pretekstem był Tydzień Kultury RFN w Polsce. Prócz Grassa zjechał

wówczas do Polski Horst Bienek oraz autor *Leworęcznej kobiety* — Peter Handke. W wypełnionej do ostatniego miejsca auli Grass czytał swoim mocnym, trochę chrapliwym głosem fragment swej dziejącej się, a jakże w Gdańsku, powieści. W tym samym czasie w jednej z bocznych sal odbywało się zebranie założycielskie Komitetu Obywatelskiego. Tu Grass i *Szczurzyca*, tam zaś „knuli” Mazowiecki, Kuratowska, Bratkowski oraz Gil. Jeszcze wszyscy byli wówczas razem, choć sympatycy osoby oraz dzieła Grassa, już wtedy opowiadali się za literaturą. I pomyśleć, że dziś czynią Grassowi wyrzuty o nadmierne zaangażowanie...

### *Spotkanie X*

Rok 1993. Grass był fetowany w mieście swoich 16 października roku 1927 narodzin. Nie we Wrzeszczu, gdzie przy Labesweg 13 (obecna Lelewela) przyszedł na świat. Ale na Uniwersytecie Gdańskim, gdzie prof. Maria Janion urządziła Grassowi fetę z okazji przyznania mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. Grass w birecie wygłosił wówczas referat okolicznościowy. Słuchała go żona, córka Helenka, też, jak i Grass, pisząca wiersze.

W restauracji Kubickiego (nad Motławą), którą Grass szczególnie sobie upodobał, odbyła się kolacja, na której, jak pamiętam, Paweł Huelle po angielsku podejmował dialog z pisarzem, od którego czerpie nie tylko tematyczną, ale i stylistyczną inspirację. Była też rodzina kaszubsko-gdańska Grassa. Kaszubi nadto urządzili wtedy Grassowi w Pałacu Opatów swoją fetę wręczenia medalu im. Bernarda Chrzanowskiego. Była też kolejna wystawa jego prac w Ratuszu Głównomiejskim. I uroczysta kolacja w podziemiach Ratusza Staromiejskiego.

### *Spotkanie XI*

Grass honorowym obywatelem Gdańska. Były z tym korowody. Pojawiły się stare kontrowersje wokół osoby oraz dzieła Grassa. Celował w nich Brunon Zwarra. Głosił, że kala on dobre imię pocztowców polskich. To znów, że powołuje się w swoich książkach na „Danziger Vorposten”. Cienia poczucia humoru u jego polemistów, wśród których pierwsze skrzypce gra niezmiennie autor *Gdańskiego bówki*. Wszystko zostało przewalzone i z opóźnieniem, ale jednak Grass obywatelem honorowym miasta został. W Sali Czerwonej Ratusza Głównomiejskiego nastąpił akt wręczenia Grassowi symbolicznych kluczy do „jego”, od tej pory także i formalnie, miasta.

„Będę niepokornym, jak i dotąd, krytykiem Gdańska”, powiedział Grass z tej okazji. Jako gość, choćby i honorowy, nie mógłbym sobie na to pozwolić. W nowej sytuacji...”.

I wtrąca się. Do potrzeby upamiętniania martyrologii gdańskich Żydów. Do konieczności pamiętania o gdańskich Niemcach. Słowem, upomina się o sprawy trudne, latami pozostające w zapomnieniu.

### *Spotkanie XII*

Rok 1994. W kawiarni przy Straganiarskiej w Gdańsku, z inspiracji red. Adama Krzemińskiego, odbyło się spotkanie z udziałem Grassa oraz autorki *Wzórów dzieciństwa* Christy Wolf. Ciekawe, żywe. Jego temat, stary jak świat: „Niemcy, Polska. Ich wzajemne relacje, kompleksy”. Zaraz potem była okazja do dwugodzinnej, w towarzystwie małżonki pisarza Frau Ute, pogawędki w Klubie Aktora. Pośród osób kilkorga był redaktor „Przeglądu Politycznego”, a także nieodłącznie towarzyszący od pewnego czasu peregrynacjom Grassa po Gdańsku Wacek Maksymowicz. Grass zwierzył mi się, już na potrzeby „Gazety Morskiej”, ze swoich niegdysiejszych ambicji sportowych. Z tego, jak imał się, jeszcze w czasach szkolnych w gdańskim „Conradinum” zapasów w stylu wolnym. „Moim ulubionym chwytym, powiadał, był nelson”. Zapewne po gdańsku...

Od tamtej pory bodaj w Gdańsku nie był. Po powieści *Rozległe pole* — tak niechętnie przyjętej przez część niemieckiej krytyki, tej zwłaszcza sygnowanej nazwiskiem Marcela Reich-Ranickiego — zaszył się wraz z żoną w swojej podhamburskiej samotni. Przestał niejako być osobą publiczną. Wygląda jakby miał wszystkiego i wszystkich dość.

I teraz — z okazji przyznania Mu literackiej Nagrody Nobla — wydobyto Go z tej samotni, otrzepano z kurzu, jakim w międzyczasie zdążył się pokryć. Chyba sam już z kretesem przestał On, jak i zastęp grassologów po całym świecie rozsiany, liczyć, że zostanie jeszcze kiedyś światu przypomniany. Włożył, brązowego koloru, elegancką marynarkę. Dał się po wielokroć sfotografować. Jak powiada Józiu Hen: „W Polsce trzeba umieć długo żyć”. W świecie sprawa miewa się kubek w kubek tak samo. A swoją drogą, taka mi się refleksja rodzi z tej okazji, dwaj najwybitniejsi współcześni Niemcy, tak się jakoś dziwnie sprawy mają, są rodowitymi gdańszczanami. Tym drugim jest... zawodowy bokser, mistrz świata w wadze półciężkiej, niegdys „uciekiniar” — w zupełnie innych warunkach hi-

storycznych, w czymś jednak do tamtych, powojennych Grassa podobnych — z tego miasta Dariusz Michalczewski. Czy chociaż wiedzą o swoim wzajemnym istnieniu?

Dziwne bywają głosy o Grassie z tej ponobłowskiej okazji. Czesław Miłosz bałamuci, że jednak twórczość zaangażowana może być doceniona. Tak jakby nie było uprzednio teź nagrody dla Marqueza oraz... Miłosza. Powiadają, że oto różowi przyznali swą nagrodę różowemu. Powszechne jest jednak odczucie, że nagrodę otrzymał pisarz bezsprzecznie wielki. Jeśli tak, to czemuż to właściwie tyłu z nas, zaprzysiężonych akolitów, adherentów Grassa, przez tyle lat było zmuszonych działać w jakimś ukryciu? Czemuż były potrzebne „podspodnie” wydania jego utworów? Czemu należało urządzać w Gdańsku pokątne pokazy filmu podług *Błaszanego bębenka* w rozmaitych KW i Urzędach Wojewódzkich, tylko dla wtajemniczonych? Czemuż należało — porą stanu wojennego zwłaszcza (jak piszący te słowa na łamach tygodnika „Polityka” z okazji wrednych napaści rozmaitych „Tu i teraz”, „Dzienników Bałtyckich”, „Głosów Wybrzeża”) — odpierać te ataki?

(1999)

Günter Grass

Berlin 41, am 13. September 1971  
Niedstr. 13

Herrn  
Myszard Cieminaki  
Al Jerozolimskie 125, Kulisy  
W a r s z a w a

Sehr geehrter Herr Cieminski,

vielen Dank für Ihren Brief. - In der Tat wohnen in Byszewo, Post Firoga, noch einige Verwandte mütterlicherseits. Noch 1958, 59 und 60 habe ich dort meine Großtante besuchen können. Sie ist vor wenigen Jahren gestorben, aber ihr Sohn Hannes Krause und ihre Tochter Agnes Hirsch leben noch; einfache Leute: Hannes bewirtschaftet einen kleinen Hof, Agnes arbeitet bei der Eisenbahn. Einer ihrer Brüder, Franz Krause, war vor 1933 bei der Polnischen Post in Danzig beschäftigt. Bei Kriegsbeginn, und nachdem die Polnische Post von der SS-Heimwehr eingenommen worden war, wurde Franz Krause mit anderen erschossen.

Ich habe, wie Sie wissen, in meinem Roman "Die Lechtrommel" den gesamten Komplex Polnische Post behandelt und diesen Teil meiner Familiengeschichte ins Literarische übersetzt.

Selbstverständlich habe ich nichts dagegen, wenn Sie ein Gespräch mit meinen Verwandten suchen; auch ich habe übrigens vor, mit meinen beiden ältesten Söhnen im Frühjahr des kommenden Jahres nach Gdansk zu reisen und unsere kaschubischen Verwandten zu besuchen.

(Mein nächstes Buch, das voraussichtlich nächstes Jahr erscheinen wird, spielt zu einem guten Teil in Kartuzy,

List Güntera Grassa z 13 września 1971 roku, który zapoczątkował proces pisania tej książki

## RYSZARD CIEMIŃSKI

Ryszard Ciemiński jest autorem książki o Günterze Grassie pt. *I szukam ziemi Polaków*, która ukazała się w roku 1988 nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, a także wielu artykułów, szkiców, esejów, recenzji oraz wywiadów związanych z dziełem oraz osobą laureata literackiej Nagrody Nobla na rok 1999.

### *Nota o autorze*

Urodził się 6 czerwca 1943 roku, a więc pod znakiem Bliźniąt, w mieście magicznym o nazwie Kartuzy, odległym od metropolitalnego Gdańska o zaledwie 32 km. Wówczas nazywało się ono Karthaus (Carthaus). W domu, rzecz dziś niezwykle rzadka, trójjęzycznym. Z babką i jej niezamężną siostrą — *Tante Hedwig* — rodowitymi gdańszczankami ze Świętego Wojciecha, rozmawiał wyłącznie po niemiecku, z rodzicami i starszą od siebie siostrą po polsku, na targowisku, gdzie rychło wspierał kupieckie poczynania obu babć, swojej *Grossmutter* oraz *Grosstante*, osłuchiwał się w żywej, tej mówionej, kaszubszczyźnie. Na metryce swojej ma hitlerowską gapę.

W wieku dwóch lat przeżył traumatyczne doświadczenie: widok pożaru Gdańska z sowieckiego — o czym wówczas, rzecz jasna, nie wiedział — podpaleń. Gigantycznych rozmiarów lunę na atramentowego koloru niebie. Było już sporo po Berlinie...

Z Kartuz jeździł samochodem DKV, czyli dekwką, wraz z ojcem i wielu innymi miejscowymi fanatykami futbolu, na mecze Lechii do Wrzeszcza. To miało mu się przydać po latach w praktyce dziennikarza sportowego. Choć czyni mu się dziś zarzut, iż jest żurnalistą-kibicem.

Jest absolwentem kartuskiego żłobka, dwóch przedszkoli, Szkoły Podstawowej nr 1 (wspaniałe ponure popruskie gmaszysko), niezwyklego liceum im. Hieronima Derdowskiego. Tego samego, które ukończyli Franek Cebula, kapelan jednego z prezydentów — bywało że siedział z Nim w jednej ławce, Irek Engler, autor filmowego dokumentu „Sierpień '80”. W nim spotkał znakomitych profesorów rodem z Wilna, Warszawy oraz z Kaszub (wieloletni dyrektor, łacinnik, znawca greki Teodor Elas). Do miasta powróci, ażeby w roku 1991 opublikować — w wydawnictwie Graf — *Album kartuskie*. Poniesie go do Warszawy.

Ukończy, obroną pracy magisterskiej z tematu „Moneta krzyżówkowa typu deventerskiego”, Wydział Historyczny — kierunek: archeologia pradziejowa i wczesnośredniowieczna — Uniwersytetu Warszawskiego. Był luty 1968 roku.

Był wówczas studentem podyplomowego Studium Dziennikarskiego. W marcu tego roku, za udział w wiecach studenckich, został relegowany z uczelni. Otrzymał powołanie do służby wojskowej.

Wyreklamował się z niej i został przywrócony w prawach studenta dzięki wsparciu sekretarza osobistego tow. Zenona Kliszki, ówczesnego wykładowcy Studium, przyszłego sekretarza KC Ryszard Frelka. Indeks osobiście na powrót wręczył mu rektor UW prof. Turski.

Pracował kolejno: w tygodniku „Kulisy”, gdzie akuszerem jego tekstów był Stefan Bratkowski, w „Tygodniku Kulturalnym”, „Zwierciadło”, „Sztandarze Młodych”, „Prawie i Życiu”. Lata 60. ukształtowały go intelektualnie — teatr Dejmką i Hanuszkiewiczą, STS, Jazz Jamboree, Warszawskie Jesienie, film polski, Zachęta i liczne stołeczne galerie. Lata 70. uczyniły zeń reportera.

Przedstawiciela generacji, na którą składały się dokonania w piórze, później usankcjonowane książkami, nazwiska: Hanny Krall, Małgorzaty Szejnert — rywalizował z nimi z niejakim skutkiem w konkursie na reportaż gdańskiego tygodnika „Czas” — Marty Wesołowskiej, Krystyny Jagiełło, Doroty Terakowskiej, Elżbiety Dziwisz, Heleny Kowalik (jego ówczesnej żony), Henryki Dobosz, Edmunda Szczesiaka, Michała Mońki, Jakuba Kopcia, Krzysztofa Czabańskiego. Od tego ostatniego nabył — już w stanie wojennym — podziemne wydanie *Blaszanego bębena* (Wyd. NOWA).

Z „Kulis” został wywalony za sprawą bohaterki popaździennikowego „Po prostu” Hanki Bratkowskiej za... opublikowanie na łamach stołecznej „Kultury” reportażu *Kaszubska droga Günтера Grassa*. Był rok 1972. W rok później otrzymał nagrodę młodych SDP. Też akuszerem był Kazimierz Kąkol...

O Grassie, swoim kaszubskim ziomku, pisywał od tej pory wcale często, publikując swoje „grassowskie” teksty na łamach „Życia Literackiego” (Władysław Machejek), „Miesięcznika Literackiego” (Włodzimierz Sokorski), „Kultury” (Dominik Horodyński), „Polityki” (Mieczysław Rakowski), bydgoskich „Faktów” (Jan Górec—Rosiński).

W epoce „solidarnościowego” karnawału słał listy otwarte do pism literacko-politycznych w sprawie potrzeby drukowania utworów Grassa w Polsce. Podówczas znane było w kraju jedynie opowiadanie *Kot i mysz* w przekładzie

Naganowskich. Ten, mocno oddolny, apel opublikował Sokorski oraz Jerzy Putrament w „Literaturze”. A także, po pewnych skrótach „kaszubska” „Pomerania” (Wojciech Kiedrowski).

Porą stanu wojennego, licznych ataków na środowisko inteligenckie — w tym i na Güntera Grassa — knuł, wspólnie z Adamem Krzemińskim, na łamach „Polityki” — rozmaite odpory na te zarzuty. Celowała w nich, wstyd to dziś przyznać, prasa wybrzeżowa...

Twierdził, jakże nieskromnie, że stan wojenny uczynił zeń... pisarza. Po kilku tomach reportaży, takich jak: *Miasto z morza* (rzecz o Gdyni), *Od północnej strony* (tom reportaży na tematy kaszubskie), po kilku książkach na tematy społeczne, zasiadł do pisania książki do Grassie. Czasu miał sporo. Do pracy w redakcji „Prawa i Życia” chodzić nie musiał. Jeszcze mu za to płacono. Rzecz o Grassie pt. *I szukam ziemi Polaków* ukazała się w roku 1988 nakładem, bodaj już nieistniejącej, Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Zatrudnił się w tygodniku „Sportowiec”, skąd zwolnił go Jacek Żemanowski. Często zmieniał pracę. Na miesięcznik „Inspiracje”, krakowskie „Tempo”, „Kurier Polski”, „Tenis”, efemeryczny „High life”.

Wciąż publikował sporo tekstów o Grassie, o jego życiu oraz twórczości. W ostatnim „podspodnim” numerze „Krytyki”, w „Expressie Reporterów”, na łamach wrocławskiej „Odry”, w „Pomeranii”, w przywróconym do istnienia tygodniku „Po prostu”, w przeistoczonej w miesięcznik „Literaturze”. Na inne, na ogół kaszubskie, tematy publikował w paryskiej „Kulturze” Jerzego Giedroycia, w jego „Zeszytach Historycznych”, również w paryskim „Kontakcie” Mirka Chojeckiego .

Przeniósł się — pod koniec 1994 roku — do Gdańska, miasta narodzin i młodzieńczego wzrastania Güntera Grassa. Dziś jest autorem 10 tomów reportaży, licząc wspólnie z książką, która się właśnie ukazała...





## ***Spis treści***

### **Część I: *I szukam ziemi Polaków***

Zamiast wstępu	7
Saga rodu Krause	11
Było raz sobie miasto...	31
Wiersze polskie	42
Przygody pisarza w świecie sztuki	51
Pod lirycznym przymusem	61
Spotkania trzech stopni	86
Oko zostawione w Gdańsku	103
W miejsce zakończenia	115

### **Część II: *Uznany i nagrodzony***

Polowanie z nagonką, czyli bębnienie po blasze	129
Grass na śmietniku świata	139
Powrót do wolnego miasta	143
Poznańska wojna o Grassa	156
Grass i Rushdie	169
Błaszany polityk	173
Grass albumowo uwznioślony	187
W pielgrzymce do Polski	198
Literacka turystyka tęsknoty	207
Grass występuje z SPD...	216
Sonety do wypędzonych	220
Jestem niemilczącym świadkiem	222
Moje spotkania z Grassem	237
Nota o autorze	245

